

J. KRASZEWSKI



DWIE KROLOWE

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

BIBLIOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

DWIE KRÓLOWE

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE



J. H. Franklin

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXXIX

J. I. KRASZEWSKI

DWIE KRÓLOWE

(BONA I ELŻBIETA)

CZEŚĆ I



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225.

Wieczór jesienny ciepły był jeszcze, ale w powietrzu czuć się dawała ta woń, która każdą porę roku odznacza. Lekki wietrzyk od Wisły i łąk a pół, od dalszych lasów i zarośli przynosił wyziewy liści więdnących, usychających traw, kielkujących zbóż zasianych, które żywo wśród pożółkłych ścierni się zieleniły, i mgły niewidocznej jesieni. Niebo złociło się, rumieniło, barwiło obłokami sinemi i liljowemi, z pod których przeglądał blade zielonawy lazur północy. Zdali nie dochodził głos żaden, nie widać było na błoniach ruchu i życia. Jak mrówki przesuwaly się tylko gdzieś gdzieś trudne do rozpoznania postacie na płowych ścieżkach i gościńcach, które pola i łąki krzywemi przerzynały paskami. Cisza wieczoru i jesieni kołysała świat Boży do spoczynku...

W otwartem oknie krakowskiego zamku na pierwszym piętrze siedziało przepiękne dziewczę. Odbłysek wieczornego światła cudownie lice jej łagodnym swym blaskiem oblewał. Siedziała, jakby służyć miała za wzór do obrazu Luiniemu Bellinowi, jednemu z tych mistrzów włoskich, którzy ostatnie ideały niewieście, jakby żegnając się z nimi, na płótno przenieśli.

Twarcyzka dziwnie regularnych rysów, świeża acz blada, przypominała też kameę, ręką mistrza na kamieniu drogim wyrzeźbioną. Smutek i tęsknota nadawały temu obliczu madonny wyraz poetyczny.

Patrzała przez okno na dalekie błonia, lecz pewnie nie widziała nic, oprócz tego, co się na tle ciemnem jej duszy malowało. Przechodziły po niem jakieś cienie

przeszłości czy nadziei. Nieruchome oczy czarne pływały jakby we łzie, która napelniała powiekę i upaść z niej nie mogła, tak jak tęsknica jej z duszy się na świat wydobyć.

Była to piękność niezwykajna. Klasycznego wdzięku rysy marmurowe, śmiałości ale łagodnymi razem linjami wyrzeźbione, otaczał włos bujny, w części spleciony, w części na ramiona w puklach puszczonej, tej barwy osobliwej, którą weneccy upodobali malarze. Ciemne brwi, czarne oczy odbijały dziwnie od warkoczów złocistych, jaskrawych nawet, tak barwa ich była silną. Małeńkie usteczka, ściśnięte teraz, bolesnym się zamykały uśmiechem i zdawały się wyrzucać zawód losowi i światu, przeznaczeniu i ludziom.

Jakby stężała tym bólem, siedziała nieporuszona, ręce spuściwszy na kolana. Robota dawno z nich wypadła, haft kolorowy na jedwabiu leżał razem z kłębuszkiem u nóg jej, we wgłębieniu okna, które w grubym murze siedziało, oprawne jakby w ramę małeńką, wykutą w nim izdebką.

Strój dziewczęcia był smakowny bardzo i wytworny. Suknia z ciężkiej jedwabnej tkaniny mieniająca się zielono i płowo, cała była naszywana wstęgami, jedwabnymi sznury, kokardami i paciorkami szklanymi. Odpowiadał jej bogato ozdobny pas wysadzany z torebką, a trzewiczek, którego koniec z pod sukni wystawał, także był do całego stroju dobrany.

Komnatka oknem tem słabo oświecona, niezbyt przestronna, sklepiona wdzięcznie w górze, malowana i złocona, pomimo pomroku, jaki w niej panował, miała w sobie coś młodego i wesołego, jakby na szczęśliwe gniazdo przeznaczoną była. Smutna twarz na jej tle wydawała się dziwnie.

Wszystko, co w tym wieku XVI, lubującym się w wytworności, woni, kolorach przepychu, nagromadzić było można, aby, jak cacko przyozdobić mieszkanie pieszczoszki-dziewczęcia, złożyło się na ubranie pokoiku.

Posadzkę marmurową, której tylko u progu domy-

ślać się było można, okrywał wschodni kobierzec, przedziwnej harmonji barw, najśmielej pożenionych z sobą... marmurowy komin zdobiły dwie karjatydy niewieście, uśmiechające się mimo ciężaru gzymsu, który dźwigały. Opasywały je wieńce kwiatów i liści, z wielkim kunsztem rzucone. Ponad nimi wisiało weneckie zwierciadło w ramach, jak brylanty połyskujących z ozdób szklanych, a na gzymsie stały cudne fraszki ze szkła, majoliki, złota i srebra wyrzeźbione. W jednym z naczyń wiadł bukiet kwiatów jesiennych.

Przy jednej ze ścian stały siedzenia z drzewa, miśternie rzeźbionego, na których biegały jakby nici złociste. Stół, okryty lekkim kobiercem, cały też prawie zarzucony fraszkami, które kształtami swemi pociągały oczy. U komina, w przeciwnym kącie półotwarte drzwi, które przysłaniała ciężka przed nimi zawieszona draperja, pozwalały dojrzeć w drugiej izdebce łóżko o rzeźbionych słupkach, o jedwabnych płótkach, nad którego pokryciem unosiły się bukiety piór.

Wszystko tu miało wyraz miękkości, rozpieszczenia, rozkochania się w życiu, rozmarzenia w rozkoszy. Smutne dziewczę wśród tych zbytków i cacek raziło, jak sprzecznność niezrozumiała.

Wczoraj jeszcze wszystko tu musiało być śpiewem, szczęściem, weselem, zapomnieniem smutków życia — a dziś? Dziś siedziało dziewczę, jak ptaszek w klatce, zadumane, skamieniałe.

Wieczór zwolna tracił jaskrawe blaski zachodu, barwy oddalenia szarzały i mgła jakaś, jak pół przejrzysta zasłona, zdawała się je od patrzącej oddzielać. Jedna po drugiej niknęły barwy, zacieraly się kształty, zlewały przedmioty — dal ginęła już w półmrokach. Tylko na rzece odbijał się jeszcze gorący blask słonecznych promieni... i gdzie niegdzie maleńkie szybki domostw połyskiwały, jak oczy dziwotworów.

Dziewczę było tak w sobie i tęsknicy swej pogrążone, iż nie słyszało nawet zeicha wprawdzie, ale coraz wyraźniej dających się słyszeć kroków, które z drugiej

komnaty ku drzwiom się zbliżyły. Z szelestu szat domyśleć się było można kobiety.

Szła powoli, szukając oczyma i nie znajdując smutnej mieszkanki tego wesołego kąta. Stała w drzwiach, ciekawie wypatrując za nią, i teraz można ją już było widzieć całą.

Była to pani lat średnich, na której licu nieco zmiękłem i rozlanem znać było szczątki nadzwyczajnej piękności. Wszystko, czego wiek nie mógł zepsuć i nadwereżyć, świadczyło o niej.

Strój, pomimo wieku, bo młodą już nie była, wytworny, a nadewszystko bogaty i wspaniały, okazywał, że do najwyższego społecznego kręgu należeć musiała. Suknię czarną, dobrze barwą obrachowaną, aby świeżość płci podniosła, ubierały bogato aksamit, atłasy, jedwabne szycia i koronki. Na piersiach miała złoty łańcuch misternej, delikatnej roboty, wyrób weneckich lub genueńskich złotników — podobne ozdoby widać było u pasa, a białe, pulchne ręce tak okrywały pierścienie kosztowne, iż niektórych palców końce zaledwie widać było.

W tej chwili namarszczone groźnie brwi, zaciśnięte wargi blade, wzrok zaostrzony niepokojem nadawały przybliżającej się pani wyraz, który mógł przerazić słabą istotę.

Lecz nadchodząca nie zdawała się przybywać tu dla wywarcia tego gniewu, który niosła w sercu; szła ostrożnie, nie chcąc przestraszyć. Stała w progu, jakby potrzebowała się namyśleć, czy wniknąć miała. Wpatrzyła się w dziewczynę zadumaną, ręką uchyliwszy ciężką zasłonę u drzwi i stała, stała długo, nim wkońcu umyślnie poruszyła portjerę, aby dać znać o sobie.

Dziewczę porwało się przestraszone, potrzebując chwili do opamiętania, gdzie było. Zatopione w myślach, straciło poczucie i pamięć rzeczywistości.

Wchodząca pani, która od progu powolnym ku niej przybliżała się krokiem, nadała twarzy, przed chwilą

gniewnej i zasępionej, wyraz nienaturalny, wymuszony, dobroci i łagodności.

Lecz, pomimo wysiłku, tak nie przystawał on i niezwykajnym był licu, nawykłemu do swobodnego wyrażania gwałtownych namiętności i wybuchów woli żelaznej, że jak gość przelotny, mający zniknąć rychło, zdał się pożyczanym i fałszywym.

Dziewczę zobaczyło nadchodzącą i jakby zawstydzoną, na uczynku schwytaną, drobnymi kroczkami pośpieszyło zniżyć z dwóch wschodków, które wgłębienie okna od pokoju oddzielały.

Stała naprzeciw tej, która tu widocznie panią była.

Z politowaniem przysunęła się niewiasta starsza do dziewczęcia i, nie mówiąc nic jeszcze, ręką białą pogłaskała ją po twarzyczce, która zwisła na piersi smutnie.

Oczyrna rzuciła po izdebce; tuż u stołu, jakby przygotowane dla niej, stało krzesło wielkie, jedyne, jakie tu się znajdowało. Przybyła rzuciła się na nie, oparła twarz na rękę i przed chwilą łagodne rysy znowu posępny gniewem ściemniały.

Dziewczę stało zwrócone ku niej.

— Płakałaś, Dżemma! Widzę to po twoich ślicznych oczach! — odezwała się po włosku, ale w jej ustach nawet ta mowa muzykalna nie brzmiała harmonijnie; wyrazy leciały z pód warg drżących szorstko, ostro. — Dziecko jesteś!... Wiesz już! tak! wszyscy wiedzą! Nie mogłam zapobiec! tak! ale biada temu, co ze mną rozpocznie wojnę; ja nigdy nie uznam się za zwyciężoną i nie złożę oręża. Ja zawsze na swoim postawić muszę. Żenią go więc z Austriaczką!

Uśmiechnęła się złośliwie.

— Teraz, Dżemma, ty mi jesteś najpotrzebniejsza, teraz zdobędziesz trwale, na zawsze serce jego. Biada tej, która tu, mimo woli mojej, wciska się, aby mi syna odebrała! Nie powinnaś mi być smutną, musisz być piękniejszą, niż kiedykolwiek; musisz to serce jego, które miałaś, któregoś nie straciła, nie tylko zachować, ale

je okuć w kajdany... Ja na ciebie rachuję, tyś moim
orężem... a wzamian ci dam...

Tu wstrzymała się nieco i dodała:

— Obsypię cię złotem, dam ci najświetniejsze obok
tronu stanowisko.... wybierzesz je sama! Zrobię cię
księżną, panią ziem szerokich...

Dżemma sobie obiema rękami oczy zakryła.

— A! królowo! pani! — odezwała się głosem słabym. — Ja nic, nic, niczego nie żądam, oprócz serca
jego.

I lzy polały się z jej oczu.

Uśmiezek przesunął się po bladych ustach królowej, położyła palec na wargach.

— Cicho! nie płacz! Pracować potrzeba, wyteńczyć
wszelkie siły, aby zwyciężyć. Nie masz się czego obawiać.
Powinnaś mnie znać. Jesteś przy mnie prawie od dzieciństwa... patrzałaś na to, ilem tu walk zwalczyć
musiała, a zwyciężyliż mnie oni kiedy? — Wszyscy ci
sędziwi, poważni senatorowie, całe to mądre duchowieństwo,
krzykliwa ich szlachta, mówcy, intryganci wysilali się na to,
aby wpływ mój osłabić, aby mi go odebrać, a mimo to rosnął on z każdym dniem.
Nigdy mocniej nie czułam się panią, nigdy nią nie byłam tak...

Tu królowa przerwała sobie.

— Powiesz mi, że to małżeństwo przeprowadzili
przeciwnie mej woli. Tak, ożenieniu zapobiec całkiem
nie było podobna, kraj cały się go domagał. I ja nie
chcę, aby zmarł bezpotomnym, ale na to czas wielki
jeszcze. Teraz mi go żona odebrać nie powinna, bo
panować z nim, jak panowałam z ojcem, potrzebuję.

— Dopuściłam Austrjaczkę — mówiła ciszej, po
komnacie wodząc oczyma niedowierzającemi — dlatego,
że ten wątły kwiatek prędko tu zwiechnąć musi...
dlatego, że każda inna mogłaby zwycięsko wyjść z tej
próby, jaka ją czeka, ona zaś paść musi!

Wstała z siedzenia.

— Dżemma! pociesz się! — poczęła żywiej. —
Wiozą mu tę żonę, ale to jedzie ofiara, przeznaczona

na zgubę. Z zarodem śmierci tu przybędzie... On, on nigdy mężem jej rzeczywistym nie zostanie...

Dla dziewczęcia, słuchającego chciwie, wszystko to były rzeczy mało zrozumiałe, nierozwikłane, lecz nawykła wierzyć w słowa tej, która przyszła ją pocieszać, uczuła w sobie odradzające się męstwo... Twarzyczka jej blada poczęła zlekka się zarumieniać, piękne czarne oczy śmieiej się podniosły, duch znowu wstąpił w znękaną.

Milcząc, schyliła się do ręki królowej i złożyła na niej pocałunek, za który zapłaciło pogłaskanie.

— Nie dręcz się, nie smuć — mówiła pani, starając się głosowi nadać łagodność, choć gniew brzmiał w nim jeszcze. — Nic więcej nie szkodzi piękności nad troski, a ty, ty szczęśliwa nie masz się troskać o co! On ciebie jedną kochał i kocha, od czasu jak się ta miłość zrodziła. Tak, dziecko moje, dla mnie on nie ma tajemnic, Dżemmo. Trzeba przetrwać tę burzę, która będzie może gwałtowną, ale krótką. Powtarzam ci, nie byłabym nigdy zezwoliła na to małżeństwo, gdybym nie była pewną, że je rychło śmierć rozerwie.

Mimowolnie wzdrygnęło się dziewczę, słuchając.

— Nie bój się, — odparła, śmiejąc się, królowa — nie potrzebuje jej tu nikt zabijać; ona sama śmierć z sobą przynosi.

Oczy dziewczęcia domagały się odkrycia tej zagadki, ale brwi królowej zbiegły się groźnie i dodała:

— To moja tajemnica!

Palec przyłożyła do ust.

— Bądź wesołą... Gość ten przemknie się, jako cień, a ja nie dopuszczę, aby on ciebie dla niej na chwilę opuścił... Będzie żoną i królową, ale ani jego serca, ani panowania nie dotknie... To ofiara... Cóżem winna, że nam ją narzucono?

Dżemma chwyciła słowo każde, ale się odezwać nie śmiała.

Mrok wieczora poczynił rozpościerać coraz większe ciemności w tych mało oknami rozjaśnionych komna-

tach. Królowa silnie klasnęła w dłonie raz i drugi, i z za zasłony od sypialni ukazała się główka niewieścia.

— Światła! — zawołała pani i, prędko złożywszy pocałunek na czole Dżemmy, czekała tylko natychmiast zjawiających się świec, aby szybko za nimi wyjść z mieszkania Włoszki.

— Dżemmo! Bądź piękną i wesołą... Smutnej twarzy on nie lubi. Udawaj, że nie wiesz nic... Śpiewaj mu i uśmiechaj się do niego. Tyś panią i tyś serca jego królową...

To mówiąc, wyszła krokiem poważnym, a pozostała w miejscu Dżemmo oczy sobie zakryła i trzymała tak ręce przytulone do twarzy, aż póki służąca, powracająca ze światłem, z zadumy jej nie rozbudziła.

Dwie młode służebne królowej czekały na nią ze świecami w ciężkich srebrnych lichtarzach, a drugie dwie, jednako ubrane wszystkie, iść miały za panią, niosąc wachlarz, rękawiczki, chustkę i okrycie. Wolnym krokiem postępowała pani, przechodząc naprzód izby, które dwór jej żeński mieścili, daleko mniej wytworne, niż pokoje Dżemmy, potem część korytarzy i galeryj zamkowych, z których był widok na podwórcę wewnętrzne.

Baczne oko królowej rozpoznawało tu wśród koni, służby, kolebek i orszaków osób, które się na zamku znajdowały, barwę każdego dworu i zaprzęgi panów. Naprzemiany dumna jej twarz ruchoma i wrażliwa to się rozjaśniała, to chmurzyła.

Byli to jej sprzymierzeńcy i nieprzyjaciele, bo wyższe klasy społeczeństwa dzieliły się wówczas na dwa obozy nieprzyjacielskie, walczące ze sobą jawnie, które, choć się czasem ocierać musiały o siebie, przejednać się nie mogły. Na czele jednego z nich stała królowa Bona, która sama wszystkiem rządzić chciała i wymagała, aby się jej Polska poddała a legła u stóp pani, aby mogła czynić z nią, co jej się żywnie podobało — drugiemu zdawał się przewodniczyć król Zygmunt Stary, ale w tej dobie życia dziwnie zobojętniały, zgóry spo-

glądający na wszystko, co się działo na świecie, nie miał ani sił, ni ochoty do wojny.

Z majestatyczną powagą, z rodzajem filozoficznej ironji patrzył on, uśmiechając się, na igraszki losu, na gniewy żony aż do wściekłości posuwające się, na opór, który jej dostojni mężowie senatu stawili, na zwycięstwa kolejne swoich przyjaciół i zauszników Bony.

Coś z milczącego, zimnego, wytrzymanego charakteru ojcowskiego miał w sobie Zygmunt i w wielu razach przypominał go, przewyższając tylko wielkim majestatem, dostojnością, o którą dbał, i ocieężałością, jaką lata ostatnie ściągęły.

Przyjaciele, zausznicy, sprzymierzeńcy, ulubieńcy Bony brali z każdym dniem górę, a król nie zdawał się oceniać nawet klęski, jaką ponosił.

W jednej tylko sprawie małżeństwa syna z powinowatą blisko Elżbietą, wnuczką Władysława czeskiego, bardzo dawno umówionem, któremu Bona uparcie się sprzeciwiała, król właśnie energiczniejszym objawem woli zwyciężył. Małżeństwo zostało postanowione. Bona się oprzeć temu nie mogła, ale poprzysięgła zawczasu zemstę i prześladowanie tej, która mimo jej woli miała przybyć, odebrać serce syna i dzielić, jeśli nie wydrzeć, jej panowanie.

Przechodząc korytarze, królowa rzucała oczyma roztargnionemi lub z wyrazem gniewu na ludzi, których mijała. Wszyscy oni niemał, znając tę twarz pani, starali się przesunąć niepostrzeżeni: Bona była rozdąsana i gniewna!

W tych chwilach rozdrażnienia wiedzano, jak najmniejsza rzecz do szaleństwa mogła przyprowadzić panią, która namiętności swych ani ukrywać, ni hamować się nie starała.

W komnatach, które prowadziły zarówno do izb króla i królowej, gdzie się wielu oczekujących na posłuchanie gromadziło, gdzie spoczywali dworzanie pana i pani, komornicy królewscy, dwór duchownych, przybywających na zamek — niedaleko od tych podwoi, któremi Bona wniknąć miała na pokoje swoje, stał

jakby umyślnie na przesmyku postawiony mężczyzna w cudackiem ubraniu, z niemniej oryginalną fizjonomją, na którego patrząc zdala, dworzanie chichotali, ukazując go sobie.

Ów średnich lat mężczyzna wcale się na to zważać nie zdawał.

Za panowania Zygmunta w Polsce, jak nigdy, namnożyło się było strojów rozmaitych, dziwacznych, z różnych stron świata pochwyconych, iż narodowej sukni, jak świadczą współcześni pisarze, prawie oznaczyć nie było podobna. Staroświecka, prosta opończa jedna ją zastępowała.

Wśród tej mnogości ubrań włoskich, tureckich, francuskich, niemieckich, czeskich wiele raziło dziwactwem, ale właśnie przez to tych, co je nosili, pociągaly. Zwracały oczy na nich, czegooby w inny sposób nie dostąpili.

Stojący u drzwi mężczyzna, Petrek Dudycz, na teraz komornik królewski, choć komory pańskiej wcale nie patrzył, wyglądał nader osobliwie. Niemłody, przystroił się kuso, nader barwnie, niby z włoska, bez smaku, a jego sucha, długa, koścista figura w obcisłej odzieży jeszcze się chudsza i przeciąglejsza wydawała. Na obnażonej szyi opalonej, którą oplatały żyły, siedziała głowa niewielka, z włosami rzadkimi, starannie utrefionemi i twarzą pocieszną a brzydką.

Dudycz był brzydki okrutnie, a bardzo mu się pięknym być chciało, co dowodził ów ubiór z włoska, wykwinny, kosztowny, krojem wymuszonym, czyniący go jakąś maszkara.

Dudycz miał pewnie lat przeszło czterdzieści, był dotąd nieżonatym, i teraz dopiero zamyslał wstąpić w święty stan małżeński... serce miał miękkie i wicłką miłością zapalał dla — nie do uwierzenia — najpiękniejszej z dziewcząt dworu królowej Bony, dla tej uwielbianej, opiewanej Dżemmy (Gemma) Pagliari, na której cześć poeci składali ody... a pocichu mówiono, że młody król Zygmunt August oddawna śmiertelnie był w niej zakochany.

Zuchwalstwemby to było niedarowanem Dudyczowi, gdyby Dżemma nie była ubogą, jak myszka kościelna, a on nie patrzył już na pana.

Wiedzano, że pan komornik posiadał kilka wsi w Krakowskiem, a oprócz tego na groszu mu nie zbywało.

Dziewczę patrzeć na niego nie chciało, mówiło, że wstręt w niej wzbudzał nie do wyrażenia... ale królowa Bona, opiekunka Dżemmy, zajmująca się jej losem, wiedziała dobrze o tem, iż Dudycz wzdychał do pięknej neapolitanki, uśmiechała się czasem złośliwie i nie wypędzała go, nie zrażała. Owszem, zdawać się mogło czasami, że do wytrwania zachęcała, że mu jakieś czyniła nadzieje.

Jak się u królowej starej godziło protegowanie Dudycza i sprzyjanie miłości syna, było dla wielu zagadką.

Jak dziś, tak niemal codzień Petrek Dudycz szukał wszelkich zręczności pokazania się i przypomnienia Bonie, pochwycenia od niej słówka, rozkazu, skinienia, na których budował nadzieje. Stał i teraz na przesmyku, spodziewając się, że wracająca królowa obdarzy go choć uśmiechem, ale nadchodząca pani niosła na twarzy zachmurzonej, jak noc, w brwiach zmarszczonych tylko zapowiedź złości i gniewu.

Spojrzała na stojącego u drzwi długiego Dudycza i zatrzymawszy się na oka mgnienie, skinęła mu, aby wszedł za nią. Komornik posłuszny wcisnął się we drzwi razem z idącemi za królową dziewczętami. Bona dała im znak, aby szły dalej, a sama podniosła oczy na Dudycza, który pochyłony czekać się zdawał rozkazów.

Przez chwilę królowa namyślała się. Musiała rozważać jeszcze myśl jakąś. Dudycz nie mówił po włosku, ale ze szkół i życia wyniósł trochę łaciny, a królowa doskonale, wprawnie i wytwornie mówiła tym językiem.

— Cóż Dudycz? — zapytała. — Masz tam dużo do roboty przy starym panu?

Petrek się uśmiechnął.

— Nic a nic; — rzekł powoli, jaskając się — moja

służba stać kilka godzin w antykamerze, aby gawiedź się miała z kogo śmiać. Nikt nigdy nie raczył mnie użyć do niczego. Marszałek odwraca oczy.

— Bo jest ich tam dosyć przy moim panu — dodała Bona żywo, chcąc skrócić rozmowę. — Powinienesz szukać innej służby... Młody król się żeni, wiesz? — dodała ze złośliwym przekąsem — wiesz? Służby więc dla siebie lub dla żony potrzebować będzie. Życzę ci, abyś się tam zapisać starał.

Dudycz skłonił się posłusznie.

— Byle mnie przyjęto — zamruczał.

— O to się postaramy, — dokończyła Bona, już zwiacając się, jakby w głąb pokojów swych pilno jej było — ale Dudycz ma pamiętać, że gdziekolwiek jest i będzie, przede wszystkim m o i m ma być sługą.

I ręką wskazawszy na siebie, Bona oddaliła się krokiem nieco przyśpieszonym.

Dudycz krótką chwilę pozostał zadumany w progu, sam jeden, otworzył potem drzwi i powrócił do antykamery, w której panował cichy gwar dworzan i komorników.

Po krótkim namyśle Dudycz, ostrożnie się przesuwając, tak, aby nikogo z zebranych tu kupkami nie potracił, doszedł do kurtyny, podniósł ją i cicho stąpając, wsunął się na puste pokoje.

Stały one szeregiem, mało co oświecone, nie było w nich prawie nikogo. Przesuwały się pacholeta, niosące do króla dzbany srebrne na misach złocistych, służba zamkowa i jakieś postacie, do rozpoznawania trudne. Z ostatniej komnaty, dość oddalonej, w której król zasiadał, zaledwie niekiedy dochodziły tu głosy. Ciszą i mrokiem obleczone stały puste izby te, dosyć wspaniałych rozmiarów, ale jak na królewskie, przybrane dość skromnie. Stały ciężkie ławy, okryte poduszkami i kobiercami, krzesła, na których poręczach rzeźbionych gdzie niegdzie połyskiwało złocenie, na ścianach obrazy ciemne, na innych malowania spłowiałe, od sklepień wiszące świeczniki z niepozapalaniem żółtymi świecami — nie widać było nic więcej.

Dudycz, wszedłszy tu, zwolnił kroku; mógł spocząć na ławach pustych i rozmyślać bez przeszkody... Nikt mu tu śmiechem ani rozmową nie wadził. Posunął się, przeszedłszy pierwszą komnatę, do drugiej, w której więcej cokolwiek światła było. Oprócz kilku świec przy ścianach, przez okno, na podwórce wychodzące, wpadł blask pochodni, których kilka niezgaszonych palili woźnice i pacholkiwie pańscy.

Petrek miał już sięść w kącie i upatrywać miejsce, gdy, zwróciwszy w głąb oczy, zobaczył siedzącego naprzeciw na ławie, rozpostartego wygodnie, z nogą na nogę założoną, starca. Należać on musiał do dworu, a nie był ani wysokim urzędnikiem, ani pospolitym posługaczem. Sam wiek jego podeszły świadczył, że tu jakieś odrębne stanowisko zajmował.

Dudycz, zobaczywszy starca, zatrzymał się z pewną obawą i poszanowaniem razem.

Postać była niepowszednia. Blask od okna bijący oświetlał ją ostro, czyniąc wydatne rysy, którym starość nie odjęła życia, jakie w nich drgało.

Twarz była długa, czoło wysokie, wypelźle, ironiczny a łagodny uśmiech trzymał usta jakby obojętnością zamknięte na wszystko, co oczy przeszywające chwytaly. Marszczki niezliczone, fałdy i zapadliny, jakby siecią poszarpaną, okrywały policzki aż do czoła, które było wygładzone i lśniące; tam na sklepieniu, gdzie królowała myśl, panowała pogoda. Rodzaj litościwej wzgardy nadawał wybitny charakter pięknej tej głowie filozofa. Widać było, że człowiek ten musiał wiele cierpieć, wiele przeżyć, a wszystko już lekceważyć. Salomonowa *vanitas vanitatum* mówiła z każdej z tych uśmiechających się marszczek. Lecz guiewu w tym śmiechu nie było.

Ubiór się wcale na królewskie nic nadawał pokoje. Miał na sobie suknię długą nakształt opończy, z kapturkiem, pod którą innego domyślać się było można stroju.

Jedną rękę suchą, pomarszczoną, żyłastą trzymał opartą na rodzaju kija, który tłumaczył, kim był ten starzec, spoczywający tu na ławie, jakgdyby był u sie-

bie w domu. Do kija tego pstrego przyczepionych było kilka lisich ogonów i dzwonków, którym serca wyjęto, aby brzękiem nieustannym nie dokuczały.

Starcem tym był ów sławny królewski trefniś, Stańczyk, który już trzem królom, trzem braciom rzucał w oczy prawdę gorzką, sarkazm nielitościwy i gryzący.

Naprawdę miał on tu urząd i obowiązki nie trefnisia, bawił rzadko, chociaż często boleśnie, odzywał się mało. Błądził po zamku i uśmiechał się sam do siebie. Gdy kto mu rzucił pytanie, jeżeli na nie odpowiedzieć raczył, to po długim namyśle i kilku krótkimi słowami, często jak ostrze noża włoskiego, wbijającemi się w pierś i pozostającemi w pamięci na zawsze.

Nie dziw, że Dudycz niewymowny, bojaźliwy, znalazłszy się oko w oko wobec tej potęgi, której się lękał. nie wiedział, co ma począć — cofnąć się pocichu, czy pokłonić, odejść śpiesznie, czy się zbliżyć.

Stańczyk już miał oczy wlepione w niego. Karykaturalna ta postać bawiła go... usta zamknięte nieznacznie się ściągnęły.

— Siadaj, Petrek — odezwał się stary, wskazując na ławę. — Cóżes się ty tak dziś wystroił, jakby w swaty lub na wesele? A po nocy tu u nas wszystkie koty czarne i moja stara opończa warta twojego nowego sajanika.

Dudycz nie wiedział co odpowiedzieć, lecz nie śmiejąc się sprzeciwiać, zajął miejsce na ławie w przyzwoltem oddaleniu od trefnisia.

Stańczyk powiódł za nim głową.

— Słuchajno, — rzekł — tyś się to do bab tak przystroił? Czy one nie dojadły ci jeszcze dosyć?

Powstał Dudycz i głową potrząsnął.

— Jam ich znać nie miał czasu.

— A teraz osolony, bezpieczny — rzekł Stańczyk — myślisz na drugie pół wieku puścić się na gonionego! Hej! taniec to niebezpieczny!

Spuściwszy głowę, słuchał Petrek nauki, nie ważył się ust otworzyć.

— Powiał wiatr żeniący, — zamruczał Stańczyk —

młodemu królowi panią dają. Zaprawdę czas, aby miał jedną, nakosztowawszy się ich tyle...

Dudycz drgnął niecierpliwie i poruszenie to zapewne ławie i Stańczykowi się czuć dało.

— Fraucymer starej pani odetchnie, — mówił — gdy królowę przywiozą, a piękna Dżemma śliczne oczy wypłacze.

— Na wspomnienie swej bogini, bo tak ją Dudycz nazywał, żywo się znowu poruszył dworzanin.

— Dżemma? — powtórzył głosem dziwnym, w którym brzmiało coś więcej, niż pytanie obojętne.

Stańczyk popatrzył nań złośliwie.

— Włoszkę chciałbyś sobie wziąć, — przerwał trefniś — ale dla nas, Polaków, powiadam ci, wszelka włoszczyzna niezdrowa. Zjeść ją można, smakuje czasami, ale strawić trudno.

Dudycz wahał się ust otworzyć, wstyd mu było przed tym szydercą do słabości swej się przyznać.

Stańczyk, który zgadywał, czego wiedzieć nie mógł, czytał w tym biednym Petрку, jak w otwartej księdze.

— Poco ci się kręcić i wisieć przy dworze — począł zcicha. — Dorobiłeś się z soli chleba, możesz mieć dowoli jednego i drugiego... a służyć ci się chce! Nałóg do jarzma! Kark świerzbi, gdy go co nie gniecie! Jechałbyś rzepę siać i Boga chwalić.

Dudycz się czuł dotkniętym.

— Cóż to ja? Dworum niewart? Prostak jaki? — zamruczał.

— He! — zawołał stary — może ten dwór niewart i ciebie!

Rozmowa została przerwana. W sąsiedniej komnacie króla słyhać było ruch i podniesione żywiej głosy, jakby goście, którzy tam byli, zabierali się do wyjścia. Dudycz zmieszany, nie chcąc, aby go tu z trefnisiem na jednej ławie widziano, wstał żywo i, nie pożegnawszy starego, pośpieszył, ku drzwiom bocznym uchodząc.

Stańczyk pozostał zadumany, obie ręce spartłszy na ławie, zgarbiony, z głową spuszczoną, nie podniósł nawet oczu, gdy głośno otwarły się drzwi komnat pań-

skich i na jasnym tle ich ukazały się poważne postacie senatorów, żegnających starego pana.

Na zamku krakowskim, który podówczas ciągle jeszcze restaurowano i przyozdabiano, ku czemu z Włoch ściągano mnogich kamieniarzy, budowniczych, rzeźbiarzy, co kolonję italską, już i tak liczną, z każdym dniem powiększało — na zamku nie było izb tak wiele, aby nawet najpotrzebniejszych królowi senatorów pod bokiem jego umieścić. Znaczną część komnat zajmowały kobiety, służba, dwór starej królowej, która dla siebie ludzi wielu potrzebowała, a w miarę, jak wpływ jej rosł, około Zygmunta stawało się coraz puszcziej, przy Bonie ludniej.

Ci nawet, których król nieustannie radzić się i posilkować nimi musiał, na mieście szukali kwater u dostojniejszych kupców. I najwierniejszego a najniezbędniejszego doradcę pańskiego, biskupa plockiego Maciejowskiego los ten spotkał, że na zamku gościem był tylko, choć tu kancelarje jego się mieściły.

Smutne zaprawdę było położenie tych niewielu doradców starego króla, którzy przy nim stojąc, resztę jego dostojęstwa ratując, całemu licznemu nieprzebiejącemu w środkach wojsku zauszników Bony czoło stawić musieli. Coraz trudniejszą stawała się walka, a rycerzy do niej brakło. Szeregi zacnych mężów się przerzedzały... Król z każdym dniem starzał i stawał się słabszym. Dawna energia uparta Jagiellonów, żelazny upór ojca miękły, złamane chorobą i umiejętnymi napaściami Bony, która знаła dobrze małżonka i nie wahała się, dla postawienia na swoim, uciekać do środków ostatecznych.

Naprzeciw Maciejowskiego, ze spokojem, męstwem i powagą wiodącego bój ten z królową, stał ów osławiony Gamrat, z małego wyrosły, dzisiaj przeciwko kościelnym prawom i obyczajowi zasiadający razem na dwóch najwyższych stolicach biskupich, Gniezna i Krakowa.

Kto był ten Gamrat, do którego się Sulimowie nie-

chętnie dawniej przyznawali, o którym prawiono, jak o Ciołku (a był jego wychowawcą i domownikiem), że w kurpiach z Podgórza, pieszo o kijku do szkół kra-kowskich przywędrował?

Człowiek-zagadka był niezawodnie wielce zdolnym i równie przewrotnym, odważnym, zuchwałym dorob-kiewiczem.

Okolo biskupiego pałacu przy Gamracie gromadzi-ło się wszystko, co służyło Włoszce; do Maciejowskiego się garnęło wszystko, co z boleścią patrzyło na rządy Bony, faworytów, Gamrata, cudzoziemców bez miłości kraju, wyzyskujących go... Tu, jeżeli radzić nie było można, zabołec otwarcie było wolno.

A bolano tem więcej, że przyszłość nie obiecywała się jaśniejszą, bo młody król Zygmunt August, którego teraz żenić miano, był więcej wychowawcą królowej, niż króla, Włochów, niż Polaków, fraucymeru Bony, niż rycerzy z pod Obertyna.

Kamienica, którą w rynku zajmował Maciejowski, gdy do domu swego nad Prądnikiem uciec dla spoczynku nie mógł, wprawdzie nazewnętrz od innych się nie różniła wielce, ani od nich nie była piękniejszą, ale wszedłszy wewnątrz, łatwo się poznawało mieszkanie człowieka, który nabył smaku wykwintnego długim zagranicą, szczególnie w Włoszech, pobytem.

Liczny szereg izb na pierwszym piętrze składało mieszkanie biskupa Samuela, gdy na dole dwór i służba się ścisłała jako tako; jak śledzie w beczce, niby na obozowisku żyjąc. Nie było przepychu okolo biskupa Samuela, bo on sam skarbów nie miał, nie zbierał ich i nie trwonił, ale komnaty się odznaczały poważną wytwornością wielkiego smaku. Obrazy pendzla włoskie-go, włoskie marmury i bronzy, flamandzkie openy, rzeźby z drzewa ubierały izby, którym prosty człek niebardzo się dziwił, bo nie błyszczały nadto, ale znawca miał tu na co patrzeć.

Wieczór nadchodził właśnie i biskup Samuel, po-wróciwszy od króla, spoczywał u siebie, domowników przywołując i łagodnie im dając rozmaite rozkazy.

Piękna, jak dusza Samuela, była zewnętrzna postać jego, pańska bez dumy, dostojna bez wyniosłości, szlachetna bez wymuszenia, miła oczom, choć się o to nie starała. Wiek niewiele ją potrafił nadwereżyć. Rysy oblicza zachowały się tym spokojem mężnym duszy, który daje spokój sumienia i wiarę w cel żywota. Maciejowski widział go przed sobą, w służbie kościołowi i krajowi. Stan kapłański do obojga go namaszczał.

Siedząc przy stole, prowadził rozmowę ze spartym na nim marszałkiem dworu swego, gdy szmer w dalszych pokojach zmusił go przerwać naradę. Wieczorem przybywali goście, na których tu nigdy nie zbywało. Nie bywało tu tłumów, bo nie było biesiad, zabaw i gwaru, ale też komnaty nigdy pustkami nie stały.

W tej chwili przybywał Tarło, biskup przemyski, a tuż za nim szedł żupnik, Seweryn Boner, gdy na wschodach świecono Andrzejowi z Górki, kasztelanowi poznańskiemu, wielkorządcy wielkopolskiemu.

Wszyscy oni byli spodziewani, pożądaní.

Brakło tylko dnia tego hetmana Tarnowskiego, który doma dla pilnych spraw był wstrzymany.

U progu witał Maciejowski przyjaciół swych, do których wkrótce przyłączyła się garstka mniej głośniejszych a niemniej mu wiernych.

Twarze widać było wesole, lecz po tej wesolności umiarkowanej, cichej, znać było ludzi, którzy ani boleć krzykliwie, ani się wrzaskliwie bawić nie umieli.

Tarło począł Maciejowskiemu winszować zwycięstwa.

— Przemogliście owe moce nieczyste — rzekł. — Króla młodego żenicie, a przez to go może z pod władzy matki wydobędziecie, oddzielicie od niej. — Przebóg — dodał — cóż to za czasy, co za położenie nasze, gdy musimy cieszyć się, żeśmy matce syna wydarli!

— Dzieło niedokonane jeszcze — rzekł Maciejowski, siadając sam, gdy drudzy goście zwykle miejsca swoje zajmować zaczęli. — Zdaje się, że wkońcu małżeństwo to u kolebki obiecane, ciągle będące na celu,

przyjdzie do skutku, mimo oporu Bony... ale co za los czeka tę biedną młodą panią!

Milczenie odpowiedziało na ten wykrzyk smutny, który się wyrwał z piersi biskupa.

— Młodziuchna, nieśmiała, a co gorzej, pono wątła i słabowita — rzekł Tarło; — jak ona tu sama jedna potrafi temu — tu zniżył głos — potworowi się opierać!

— Przypomnijcie legendy stare, — rzekł Maciejowski — Bóg staje w obronie niewinności, a ma On siłę, której rozum nie potrafi ocenić. Ile takich dziewic, potworom na pastwę rzuconych, niewidzialne ręce aniołów osłoniły...

— Co daj Boże! — westchnął Tarło.

— Królam nie widział jeszcze, — odezwał się pan Andrzej z Górki, zwracając ku biskupowi — jakże jest?

Maciejowski nie odpowiadał długo, jakby mu ciężko było otworzyć usta; — smutkiem się okryło oblicze jego.

— Nie łudźmy się, kasztelanie — rzekł powolnie. — Wprawdzie ja, obcując z nim oddawna codziennie, nie widzę schyłku jego, jako drudzy, a mimo to, król straszliwie osłabiony, znękany, zobojętniały... niepodobna nie dopatrzyć, nie można zaprzeczyć...

— Miał on zawsze chwile słabości — odezwał się pan Andrzej, — gdy go niewieści pisk i krzyki zmogły, ale w nim mieszkała owa Kazimierzowa ojcowska stałość myśli, że się chwilowem ustępstwem z prawej drogi sprowadzać nie dawał.

— I dziś on widzi jasno — rzekł biskup Samuel — ale spokojny jakiś fatalizm starości go ogarnął. Mówi sobie, iż Opatrzność ludzkie sprawy wiedzie do pewnego końca i, choć ulega, niebezpieczeństwa w tem nie widzi.

Maciejowski wstrzymał się chwilę i dodał z uśmiechem:

— Miłość jego dla przewrotnej tej gadziny włoskiej dawno ostygła; zna ją lepiej od nas wszystkich. Nawskroś przegląda każde jej słowo, zamiar i czynność, niekiedy łaje i w oczy ją głupią zowie, albo szaloną...

cóż po tem? Gdy przywiedziona do ostateczności stara pocznie krzyczeć, płakać, rzuci się na ziemię, poszarpie suknie na sobie, włosy rozrzuci, bluzgać pocznie i Polskę przeklinać... Zygmunt wkońcu woła: Idź, idź, rób, co ci się żywnie podoba!

W milczeniu słuchano, aż biskup Tarło przerwał.

— Króla mi i pana mojego żal, — rzekł — boć w nim wielki mąż był i monarcha wielki.

— Bezwątpienia — potwierdził Maciejowski. — Nadszedł wiek, sędziwe lata, choroba uczyniła swoje. Nie tym jest, jakim był w początkach. Widzi jasno, poczynąć nie ma siły; ratuje się więc w sumieniu swem, co wskazał... wiarą w Opatrzność... A jabym ją, taką, jak ona jest, rychlej fatalizmem nazwać mógł. Dobrze jest zdanie się na wolę Bożą, bo bez niej nic się nie dzieje, aliści i człowiekowi dana w pewnej mierze wola, której zażyć ma obowiązek.

— Jakże Włoszka przyjęła porażkę? — odezwał się pan Seweryn Boner, żupnik, mężczyzna rozumnej twarzy, choć niepięknego, kwadratowego oblicza i rysów dość pospolitych.

— Złość swą musiała wyrzucić za kurtyną na karlicach i sługach, na tych, co jej służyli a zawiedli... lecz gdy raz uchwała stanęła — mówił Maciejowski — co począć miała? Uśmiechnęła się ironicznie, wyzywająco, jakby mówiła: nie otrąbiajcie zwycięstwa, pókiście go niepewni!

— A cóż pocznie? — spytał Tarło.

— Mój Boże! — mówił Maciejowski. — Spytajcie raczej, czego nie pocznie? Azali włoskich sztuk nie znacie? Pewna rzecz, że tam w tym kraju i wszelkiego dobra i siła złego nauczyć się można. Krew u nich żywiej płynie, a ludźmi miota. Nie wiecież, co tam może trucizna, sztylet i straszniejsza nad nie przewrotność? Wszystkiego tego mogą zażyć przeciwko nam, przeciw tej niewinnej ofierze.

Zamilkł, urywając nagle.

— Grzesznymbym był, — dodał — gdybym bez dowodów, iż się to stać może, tak srodze obwinił...

lecz patrzyłem, widziałem i wiem wiele. Dałby Bóg, byśmy pokonali tę potworę, która w herbie Sforziów dziecko pożera. *Omen* to jest!

Wzdrygnął się Tarło i rękę jedną podniósł do góry.

— Młody król przecież żonę umiłować musi; godzi się na niego rachować, że jej przeciwko matce bronić będzie.

Wstał pan Boner, potrząsając głową.

— Przeciwno miłości dla żony jest tu miłostek bez miary, coraz świeżych, a coraz powabniejszych, są dawne ulubienice... a ona, matka, Boże mi przebaczyć porównanie, jak ona Neronowa Agrippina nad umysłem syna ma potęgę wielką.

— Tak jest — potwierdził biskup Samuel. — Patrzaliśmy na wychowanie królewicza, które na to jedynie obrachowaniem było, aby władzę wielką nad umysłem jego osiągnąć. — Domagali się głośno a mocno panowie wszyscy, aby młody pan odebrał wychowanie męskie, rycerskie, bo, choć chwilami pokój mamy, nigdy bezpiecznymi od siasiadów nazwać się nie możemy. Wojna jest przeznaczeniem naszym, wojna rzemiosłem. Nie dała Bona uczynić syna wojownikiem, odebrała i w fraucymerze zawarła, pieszcząc go, aby zmięknął, od ojca go trzyma daleko, od ludzi oddziela, od świata zasłania podwiką... czegoż się po nim spodziewać?

Wtem pan Seweryn Boner przerwał:

— Takci ostatecznie źle może nie jest, jakby być mogło — rzekł. — Znam ja młodego króla od dziecińczych lat jego. Pan niepospolitych przymiotów umysłu, a i serca wielkiego, szlachetności wielkiej.

— Co po tem, jeśli zniewieściał? — spytał Tarło. — Słabość w mężczyźnie przywarą wielką... sprężyny nie ma, półzegarze nie idzie... cóż dopiero w panującym, który wolę powinien mieć za tysiące?

— No, — odezwał się pan Andrzej z Górki — przyszłością się nie trapmy do zbytku, gotówem i ja ze starym królem zostać fatalistą! Bóg się ulituje nad nami.

Tymczasem myśleć potrzeba, jako tej młodej pani, która tu przybyć ma, zastęp utworzyć, obrońców zjednać, czuwanie zapewnić.

— Ja — rzekł po małym milczeniu Maciejowski — najwięcej liczę na starego króla. Szczególną bowiem zawsze upatrywałem miłość dla tej narzeczonej syna, a tak bliskiej powinowatej. Krew ci to nasza, wnuczka Władysława czeskiego, i czy temu, czy jej młodości, czy myśli za wcześniej powziętej, a długo piastowanej winna Elżbieta, że ją już dziś Zygmunt, jak własne dziecko miłuje. Żadnej ze swych córek, nawet ulubionej Bony Izabeli tak nie kochał, a Dantyszek i Lutalski, co ją widzieli, twierdzą, że miłość ta jest całkiem usprawiedliwioną. Dziecię ma być śliczne, skromne, miłe, obyczajem pięknego, wychowana w bojaźni Bożej, serca przedziwnego, umysłu rozbudzającego się, a że wcześniej ją naszemu Augustowi przeznaczono, że listy nawet pisywali do siebie, więc w młodym sercu już jest uczucie dla przyszłego męża.

— I ta to gołąbka niewinna — zamruczał, głową potrząsając, Andrzej z Górki — ma paść ofiarą sępów!

— Znajdzie obrońców! W Bogu nadzieja! — dodał Maciejowski.

Czasu tej rozmowy, jak pospolicie u biskupa Samuela wieczorami, gdy widziano światło, wchodził ten i ów z jego przyjaciół. Znalazł się Bojanowski rozumny, Lupa Podłódowski i kilku innych. Ale na nich nie zważając, bo wszyscy swoi byli, rozprawiano dalej, a nikt się z myślą swą nie ukrywał.

Wtem u drzwi powstał szelest i niektórzy głowy zwrócili ku nim, bo ktoś się śmiałym, posuwistym krokiem zbliżał ku rozmówcom... a był człowiek dla nieznanym wielce oczy ściągający i niepospolitej powierzchności. Takiego się najmniej na pokojach biskupa Samuela spodziewać było można, bo tu wszyscy pańsko i bardzo ochędożnie wyglądali, a przybywający, choć mu na fantazji nie zbywało, bardzo zprosta i zaniedbanie był odziany.

Dziwnych onego czasu strojów nie brakło, a co

człek, można było coraz inną modę widzieć na nim, ale po wchodzącym trudno było poznać, do jakiego należał narodu. Buty miał długie, jakie w Polsce pospolicie noszono, spodem suknię, jak sajanik skrojoną, ale wytartą i wyblakłą, choć materia była na niej niegdyś kosztowna i piękna. Wierzchem zaś miał na niej futerko, wyszarzanym aksamitem okryte, z popielicznych wiewiórek, jakieby ledwie staremu słudze na dzień powszedni przystało. W rękę zaś trzymał kołpaczek futrzany, tak dobrze stary, jak odzież cała. Za paskiem na sajaniku zatknięta była para rękawic wyszywanych, zużyta, u boku ani miecza, ani szabli, tylko pod pachą niósł laskę kutą.

Niepozorny ten człek, średnich lat, przed czasem postarzały, miał głowę ogromną, nad którą czoło wypelzłe, jak bania sterczało, twarz chuda, długa, kończyła się śpiczasto. Brzydki był, ale w oczach miał tyle rozumu, a w tej twarzy życia tyle, iż poszanowanie jakieś wzbudzał. A musiał się mieć za niepośledniego sam on, gdyż owi dostojni mężowie, owe bławaty, szaty i łańcuchy, między które tak poufale wchodził, bynajmniej go nie onieśmiewały.

Ci, co na drodze mu stali, ustępowali z ukłonem, zdala będący witali go z uprzejmością wielką, a ksiądz Samuel, ręką wcześniej go pozdrawiając, życzliwie się uśmiechał.

Zbliżywszy się do stołu, nowy gość z tą śmiałością, z jaką wszedł, dookoła się pokłonił i stanął.

— Gościem wy u mnie rzadkim, a wielce pożądanym, Strusiu miły — odezwał się biskup. — Bądźcież pozdrowieni.

Struś głowę skłonił nieco.

— Dzięki Bogu, mnie tu nie było potrzeba — rzekł, — a gdzie indziej mus iść i konieczność. Doktorowi wszyscy radzi, a no bodaj go nie wołać.

Struś ten był naówczas najzawołanyszim z lekarzy w Krakowie, choć tu na nich nie zbywało, bo i Polaków, co się we Włoszech uczyli, i Włochów, i różnych cudzoziemców siła można było naliczyć.

Struś bodaj innych nauką i bystrem okiem w rozpoznawaniu chorób ludzkich i temperamentów przechodził. Szanowano go powszechnie z nauki wielkiej, ale i z charakteru niemniej pięknego. Jak to lekarzom wielu się trafia, codziennie z widokiem śmierci oswojonym i sprawy ludzkie nawykłym widzieć, jak marne mi są, Struś zachowywał swobodę umysłu i mowy wpośród najdostojniejszych osób a nie korzył się przed nikim. Tak mu było łatwo powiedzieć prawdę królowi, jako parobkowi, a zawsze była zdrowa i jędrna. Nie lękał się też nikogo, gdy jego wszyscy pożąдали.

Ostatnie wyrazy rozmowy, toczącej się o królownie Elżbiecie, Struś, wchodząc, pochwycić musiał, bo gdy się uciszono, rzekł:

— Nieradbym przerwał *Encomium* przyszłej pani naszej, a dowiedziećby mi się było miłem, czy też dosyć siły a zdrowia mieć będzie, aby tu i miłości jednych, i nienawiści drugich podolać mogła biedaczka.

— Co do zdrowia jej — zniżając głos, rzekł biskup z powściągliwością pewną — różne wieści krążą, daj Boże, nieprawdziwe, a złośliwe... Słabowitą ma być a wątłą.

Strusiowi, słuchając, rozrosłe brwi pod wysokiem czołem ogromnie się marszczyły.

— Jam też coś zasłyszał — rzekł — i dlatego pytam. Powiadają, że matka jejmości niedobrego jest zdrowia, a i w ojcu pewne przypadłości, które mogły z niego przejść na dzieci... chociaż to koniecznem prawem nie jest, aby one dziedziczyły je. Trafia się ten spadek często, lecz nie wszędzie, jedne dzieci mija, drugie obarcza.

Maciejowski milczał zamyślony.

— Skąd ja to wiem, — rzekł — nie raczcie mnie badać; słyszałem wszakże od tych, co często ostatniemi dniami królowę starą widywali, że ma pociechę z tego wielką, acz może przedwczesną, iż wie u przyszłej królowej o chorobie jakiejś skrytej, która jej życia długiego nie obiecuje...

Wszyscy chwilę milczeli, a pan Seweryn Boner pochichu szepnął biskupowi Tarle, obok którego siedział:

— Może zawczasu choroby przepowiadają, aby się jej nie dziwowano, gdy potem włoskim kunsztem ją w kubku lub woni zadadzą!

Struś, dosłyszawszy to, smutnie się uśmiechnął.

— Zowiecie to włoskim kunsztem — odezwał się, — chociaż on i we Francji, i narówni w innych krajach, pod ten czas zły do wielkiej doskonałości doprowadzony został.

— Ale sąc antydotą — odparł po chwili biskup — i mówią o kamieniach takich, które nosząc, nigdy otrutym być nie można.

Struś się uśmiechnął.

— Przyszła do nas ta wiara od starożytnych, tak, jako o ametyście głoszą, iż upić się nie daje, ale cudny toby kamień być musiał, żeby samo nań wejrzenie i noszenie go połknięty jad niszczyło... Baśnie to są!

— A toż prawda, — zapytał Boner — że i zapachem zabić można?

— Prędzej, niż wejrzeniem na kamień uleczyć — rzekł Struś. — Lecz smutna to treść rozmowy... rzućmy ją lepiej.

— O wesołą bo trudno — przerwał biskup Samuel.

Po tych słowach rozdzielili się mówiący i każdy z nich pojedynczo z kimś cichą zawiązał gawędę. Wszystkie zaś one mniej więcej jednego się tyczyły przedmiotu: — młodego króla i przyszłej królowej, na których wielkie pokładano nadzieje... tak jak Bony i królowania jej, coraz się rozwielniającego, lękali się wszyscy, tem pocieszając tylko, iż ono z żywotem starego pana ustać miało.

Słowo to było w ustach wszystkich, i dosłyszawszy je, biskup Samuel rzekł, że i to niepewna, ażali Bona, która na pozyskanie serca syna pracowała od dzieciństwa jego, nie potrafi go zatrzymać, tysiączne na to mając sposoby.

— Jakie one są — mówił znowu, podniósłszy głos, Maciejowski — wszyscy wiemy, bośmy na nie patrzyli.

Młody pan wiele potrzebuje, bo do wykwintnego i zbyt-
kownego życia jest nawykły, kocha się we wszystkim,
co piękne, a co pięknem jest, szacownem być musi.
Stary król nierad na fraszki mu dostarcza i ostrzejby
go chciał wziąć; Bona temu nie przeszkadza, zarazem
mając okazję tajemnie zasilać go ze swego skarbcza, co
miłość jedna i utrzymuje. Jest w Chęcinach na zamku
z czego wszelki zbytek żywić.

— Gorsze drugie — kończył biskup, oczy spuściw-
szy, — boć na krewkość wielką młodego pana obracho-
wane. Ma Bona zawsze przy sobie poddostatkiem piękn-
ych dziewcząt, Włoszek i Polek, a przez szpary patrzy
na miłości syna.

Westchnął biskup Samuel, ale wtem marszałek
dworu otworzył drzwi jadalni i oznajmił, że wieczerza
była podana, i jakby dla niej wszedł też, śmiejąc się,
brat biskupa, a wszyscy razem, oprócz Strusia, który
za chleb wieczorny podziękował, ruszyli do sali są-
siedniej.

Zdawna dwór biskupi krakowski, choć na nim sie-
dział Oleśnicki i kardynał Jagiellończyk, takiego prze-
pychu i świetności nie zaznał, jak pod ten czas za
Gamrata.

Stara to i udowodniona prawda jest, iż ten, co od
kolebki nawykł do dobrego bytu, do dóbr, mniej
do chlubienia się nim jest pochozny. O Gamracie mó-
wiono, że w łapciach przyszedł z Podgórza, tak, jak
o Ciołku, że był synem karczmarza czy szewca, a oba
oni bez wielkich zbytków obejść się nie mogli.

Nadworne straże, liczni komornicy, służba, aż do
najmniejszego pacholka, jeżeli nie na codzień, to na
uroczystości towarzyszyli Gamratowi w takich stro-
jach, zbrojach i przyborach, iż gasili barwą swą i ryn-
sztunkiem poczty domów najmożniejszych.

Prawda, iż arcybiskupstwo razem gnieźnieńskie
i biskupstwo krakowskie dzierżąc, dwa książęce bene-
ficia, mógł Gamrat starczyć na przepych książęcy

i sprostac choćby Tarnowskiemu, Górkom, Zebrzydowski i najmajętniejszym magnatom.

Gdy u innych wspaniałość z wytwornym smakiem połączoną była, Gamrat się szczególnie w tem kochał, co oczy pospółstwa zachwycalo i polyskiem je pociągalo. Więc od złotych bramowań biły barwy, kapy na konie, złotem i szkarłatem świeciły kolebki, a liczba pocztów dostojności odpowiadała. Dwór jego więcej wyglądał na orszak świeckiego pana, niż na drużynę duchownego, ale i on sam też, mimo najwyższego dostojęństwa w hierarchji kościelnej, o kapłańską mniej stał powagę.

Panem przedewszystkiem chciał być, przeto i dobroczynnym bywał po pańsku, bo gdy w podróż się puszczal po dobrach swych, szły za nim wozy odzieżą i chlebem dla ubogich naładowane. Sypał tak hojnie, jak mu zbierać było łatwo.

Nie poskapila natura szczęśliwemu dziecku wyposażenia, dając mu oblicze piękne, choć się ono już w tych leciech jego znacznie było rozlało i rysy zgrubialy; postawę przytem miał wspaniałą, wzrost i tuszę pańską. Z oczów tryskał rozum i przebiegłość, jako też umysłu był prędkiego i odgadywał łatwo i to nawet, czego się nigdy nie uczył.

Nie miał nigdy głębokiej nauki Maciejowskich i Tomickich, ale dowcip żywy i giętki, słowo łatwe i rodzaj wymowy bujny a kwiecisty, który stał za mądrość.

Z ludźmi, których sobie pozyskać chciał, był tak miłym, a tak się szczerym zdawał, choć nim nie był, że za serce łatwo chwytal. W środkach wcale nie przebiegal, i życiu jego jawnie wiele zarzucić było można, lecz o to nie dbał. Namiętności swych poskromić nie umięjąc, gdyby nawet cnotliwego udawal, nikogoby nie oszukał.

Gdy z jednej strony niepodobna było uniewinnić jego obyczajów, miał jednak ten srom jakiś w sobie, że za nie placić usiłowal czyny głośnemi. Sypał pełną garścią na ubogich, szczególnie tam, gdzie nietylko lewica, ale tysiące oczów z prawej i lewej strony wi-

dzieć to mogło. Młodzieży do nauki pomagał chętnie, grosza na to nie żałując, dla przyjaciół hojnym był, a im głośniejsz mógł to sprawić, tem ohotniej robił.

Ale tak samo, jak się z dobrem chwalił, tak złego nie ukrywał, i miłośnica jego, z Sobockich Dzierzgoska, a jej rodzina niemal na dworcu arcybiskupim zamieszkiwała. Wizerunek pięknej pani wisiał w pokoju na ścianie, a gdy się arcybiskup w podróż puszcział, szła za nim kolebka tej, którą żoną arcybiskupią publicznie zwano.

Ona się też nie sromała być ulubienicą Gamratową, a ośmielać ją musiało to, że na pokojach u królowej Bony wizerunek jej także włoskiego pendzla widzieli wszyscy i stara pani mówiła o miłości arcybiskupa dla niej, jako o rzeczy godziwej i uprawnionej.

Zżymało się na to duchowieństwo, bo od Pawła z Przemankowa zgorszenia podobnego na stolicy krakowskiej nie widziano. Rozwiązł życie wiódł kardynał Jagiellończyk, ale osłaniano je przecie, aby w oczy nie biło. Gamrat się z niego prawie chlubił, a zwano to z przekąsem „włoskim obyczajem“.

Pospolicie, gdy królowa stara na zamku krakowskim mieszkała, Gamrat jej nieustannie bywał potrzebnym. Obejść się bez niego nie umiała, i do rady, i do wykonania służyć musiał, więc znaczniejszą część dnia spędzał na Wawelu i późno powracał.

Ale rzadki dzień się obszedł potem bez nocnej biesiady, bo biskup i jeść dobrze, i pić lepiej jeszcze lubił, a gdy jadł lub pił, nigdy sam nie siadł do stołu, otaczając się towarzystwem wesołym ludzi, coby go zabawiać mogli i dobrej myśli przyczynić.

Przy owych tedy sławnych Gamratowych wieczorach, które letnich dni trwały nieraz do poranku, brano na zęby wszystkich, co do obozu królowej nie należeli, a słowo grube i żart plugawy nie były nowiną.

Na niczem tym biesiadom nie zbywało, cokolwiek rozbudzić i rozochocić mogło, ani na trefnisiach, ani na muzykantach, ani na pochlebcach, dworujących faworytowi, — tylko na pomiarkowaniu i skromności.

Niewiastom też z panią Dzierzgowską wstęp nie był wzbronionym, choć duchowni u stołu przeważali liczbą. Lecz kto z nich u Maciejowskiego bywał, ten u Gamrata nie powstał, i nawzajem. Gdy zmuszony czasem profesor akademji, prałat jaki, u stołu miejsce zajął, przed końcem uczty się wynosił, bo im ona dłużej się ciągnęła, tem swawola była większa.

A taka jest moc nieszczęsna władzy, znaczenia i wszelkiej siły, że choć sam Gamrat prawie w powszechnej był ohydzie, kłaniało mu się możnych ludzi coraz więcej, gościło dostojnych, coraz mniej tu spodziewanych. I najgłośniejszych imion ludzie, jak Opałińscy, jak Kmita, nie uchylali się od arcybiskupa, bo co stało przy królowej, z Gamratem trzymać musiało. Szczególniej w ostatnich latach, gdy król coraz widoczniej starzeć począł, a żona nad nim przewagę coraz większą brała. Gamrat też rosł i potężniał. Ani do urzędu, ani do ucha króla dobić się nie było można bez niego. Nie starczył datek, choć królowa sobie za wszystko płacić kazała — pokłon był niezbędnym.

A im dłużej kto kłaniać się nie chciał, tem potem niżej musiał.

Wieczora tego na dworcu też się gotowano z wieczszą, gdy biskup powróci, i z otwartych okien kuchni aż na podwórze dolatywała woń zamorskich korzennych przypraw, bez których żadna się pańska kuchnia nie obchodziła. Smakowały one komu czy nie, dla samej swej ceny używać się kazały, aby okazano, że stać na to było, by imbirem, szafranem, muszkatałą i cynamonem półmiski były zaprawne.

Liczny dwór dosyć niesfornie kręcił się w podwórcu ze śpiewkami na ustach, pobrzękując na cytrach, odprawując gonitwy takie, jakby to nie był dwór księży i mieszkanki duchownego. Zbrojnej też gawiedzi więcej oko spotykało, niż sukni kapłańskich, które wielu rzucało lub tak przykrawywało, że się świeckimi wydać mogły.

Synody wprowadzie ostro nakazywały i tonsurę, i su-tanny, i bezbronność, i wyrzeczenie się świecidełek,

lecz sam pasterz stroił się i nie ganił tego nikomu, kto mu przyjaznym był.

Kolebka Gamratowa jeszcze nie nadażyła z zamku, gdy Sobocki, którego naonczas na województwo gwałtem siostra forytowała, wraz z nią zajechał kolebką szkarłatną ze świecidłami mosiężnymi przed drzwi główne.

Z jejmością razem (Dzierzgowską) przybywała druga jej towarzyszka i pokrewna, Sobocka także. Stryjeczny brat jej, który je przeprowadzał, stał na stopniu kolebki, trzymając się balasów, na których spoczywało pokrycie... Mężczyzna ów był tak urodziwy, jak siostra, z której łaski był u Gamrata w zachowaniu, ale już wiekiem i życiem roztyły, ocieężały i na twarzy zbyt rumiany, napiętnowany od napojów gorących. Stroił się jednak młodo, dbał o swą piękność i chciał się nią jeszcze chlubić.

Wysiadająca z kolebki Dzierzgowska, ulubienica Gamrata, cała w jedwabiach, łańcuchach, klejnotach, forbotach i plecionkach złotych, niewiastą była już przeszło trzydziestoletnią, pięknej kibici, kształtna, silna, rumiana i biała.

Twarz zalotnie uśmiechnięta, z wielkimi oczyma szafirowemi, mówiła równie, jak malinowe usta, że jejmość lubiła życie wesołe. Śmiała się, wysiadając, gdy ją Sobocki wraz z nadbiegającym marszałkiem dworu na rękach niemal wynieśli z powozu. Tuż za nią szła druga Sobocka, piękna też, ale nie mogąca się z siostrą równać. Mniejsza od niej, pulchna, pełna, tylko białem licem i zbyt nastrzępionym odznaczała się strojem. Marszałek arcybiskupi w progu oznajmił, że arcybiskup dotąd z zamku nie powrócił.

— A! — zawołała, śmiejąc się, Dzierzgowska — gdyby Bona nie była starą i królową, byłabym zazdrośną. Godzina dobrze druga lub trzecia na zegarze... jużby doma dawno spocząć powinien.

Marszałek poruszył ramionami...

— Opóźnienie — rzekł cicho i poufnie — jeszcze by nie było nic. Wiadomo, że nasz arcypasterz na swej

głowie i ramionach tyle dźwiga, iż mu podolać trudno. Nic się nie dzieje bez niego. Gorsza to, że od dwóch dni już chodzi ks. arcybiskup jak struty, z troską jakąś, której nic rozprosyć nie może. Jeszczem go takim nie widział nigdy.

Zmarszczyła się pani Dzierzgowska.

— Ale cóż mu się stało? — zawołała nasepiona. — Mielizbyśmy nie wiedzieć nic?

Rozmawiając tak, weszli do wielkiej sali rzeźbiarskiej, w której stół był nakryty wspaniale. Na drugim obok stały wyłaczane nalewki i także misy, z ręcznikami szytymi bogato, przygotowane dla gości do umywania rąk przed wieczerzą. Służba w kącie gotowa była na skinienie.

— Nie wiecie nic? — zawołała Dzierzgowska.

Marszałek pokręcił głową i wydał usta.

— Nie tai nic przede mną, — rzekł — ale tym razem nie mogłem się dowiedzieć, co mu jest. Rzecz tem osobliwsza, że wczoraj, kładąc się spać, był najlepszej myśli, śmiał się, żartował. Położył się potem, a rano wstał blady i spotniały, zmęczony, do siebie niepodobny, tak, że do pana Strusia lub innego lekarza chciał iść, ale ofuknął, że go nie potrzebuje. Przez cały czas, gdy się odziewał, wdychał zadumany, co nie jest jego obyczajem. Dziś we dnie jeszcze się te chmury nie rozproszyły.

Dzierzgowska i Sobocki spoglądali na siebie, badając się wzajem. Marszałek stał, nasłuchując, czy turkotu kolebki arcybiskupiej, której oczekiwał, nie posłysz. Ale cicho było dokoła, tylko z podwórca dolaływały śmiechy, śpiewki i gwary.

Upłynęło tak ze ćwierć godziny w oczekiwaniu, gdy w ostatku zatętniało wdali, i marszałek pośpieszył naprzeciw pana swojego razem z Sobockim, a dwie kobiety pozostały w sali same, zbliżając się tylko nieco ku progowi. Pochodnie mignęły u okien, arcybiskup przybywał.

Po chwili zjawiała się piękna jego postać we drzwiach, ale tak zasepiona, z wyrazem takiej trwogi

jakiejs i srogięgo niepokoję na twarzy, iż pani Dzierzowska przełękła się.

— Co wam jest? — zapytała żywo.

— Co mi jest? — butnie odparł arcybiskup, zmuszając się do uśmiechu — a któż wam mówił, że mi się co stało?

— Z twarzy to widać.

— Lica kłamią podczas jak i usta — zawołał Gamrat. — Zmęczony człek wydaje się zatroskanym, znużonym, smutnym.

W chwili, gdy arcybiskup do sali jadalnej wchodził jednemi drzwiami, drugiem i z bocznych komnat cisnęło się tu także codzienne już na niego oczekujące zwykłe towarzystwo. Duchowni strojni, jakby nimi nie byli, świeccy po włosku, po usarsku, po węgiersku, po niemiecku poubierani, dwa karły, trefniś, wszystko się to razem wtoczyło.

Marszałek, który rozkaz już odebrać musiał, natychmiast misy na stół przynosić kazał, a Gamrat, któremu wodę chłopięta na ręce zlewać poczęły, już szedł do nalewek. Zatem i paniom, i innym gościom podstawiano misy i podawano tuwalnie.

Gwar wesóły rozszedł się po sali oświetlonej i błyszczącej od sreber i szkła weneckiego. Wszyscy jednak, ku arcybiskupowi spoglądając, widzieli, że nie takim przybywał, jak zwykle. Zły ten humor powszechnie przypisywano temu, że i królowa stara, i Gamrat pobici zostali w sprawie małżeństwa młodego króla. Żeniono go pomimo nich; zapowiadały się burze i ciężkie walki.

Gdy Gamrat zajął swe siedzenie, obok którego umiesciły się po obu stronach Dzierzowska i Sobocka, a inni też wedle dostojęństwa krzesła zasiedli, zapach polewki rozszedł się po izbie, i słyhać było przez czas jakiś tylko brzękanie łyżek i dźwięczenie mis, potracanych niemi.

Arcybiskup, ledwie tknąwszy jedzenia, porzucił je, kazał sobie nalać wina, wypił, nie mieszkając, i siadł, oparłszy się na rękę.

Nawykli przy biesiadach widywać go zawsze roz-

budzonym, do wesela powołującym, ochoczym, zdumieni potracali się łokciami.

— Co mu jest?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć, bo takim go nie widziano nigdy, takim on nie bywał nigdy.

Dzierzgowska cicho badać go zaczęła. Spojrzał zgóry na nią, chciał się uśmiechnąć łagodnie, lecz skrzywił się tylko i rzekł:

— Żle się czuję na zdrowiu. Sam nie wiem, co mi jest. Do melancholji nie miałem nigdy skłonności, ani mnie hipochondrykiem kto widział, raczej cholerykiem niekiedy. Przejdzie to wszakże i zwolna się zatrze. Bądźcie wy dobrej myśli, abym ja z niej się cieszył, gdy własnej nie mam.

— Mówicie tak; — odparła Dzierzgowska czule — dobre to dla drugich, nie dla mnie, która ma to szczęście dobrze was znać. Strapienie jakieś wam dolega, a ciężkie nad miarę być musi, gdy tak widocznem się stało.

Westchnął Gamrat, nic nie odpowiadając.

Więc Dzierzgowska, Sobocki i marszałek, i wszyscy ci, którym szło o to wielce, aby pana widzieli wesółym, poczęli szeptać, krzątać się, różne wymyślając sposoby.

Wystąpił tedy włoski lutnista i pobrzaknąwszy o struny, na ławie pod oknem zajął miejsce, śpiewać poczynając pieśń starą, którą arcybiskup lubił, bo mu młode lata, w Rzymie, przy Ciołku spędzone przypominała. Spojrzał Gamrat ku lutniście, czoło mu tęsknota jakaś oblała... i zasluchał się w pieśni.

Nie rozjaśniło mu się jednak oblicze.

Skończył śpiewać lutnista, któremu Gamrat sam podał kubek, dziękując, a przy stole panowała cisza. Ci, co zwykle tu rej wodzili, dziś czuli się bezsilni.

Wystąpił z kąta trefniś, którego Pokrzykiem zwano, co znaczy toż jak włoska: Mandragora, upatrywano bowiem w niezgrabnej jego postaci jakieś z dziwaczną tą rośliną podobieństwo.

Krzywy, na obłączystych nogach, garbaty szpetnie,

z głową jak garnek ogromną i niekształtną — Pokrzyk słynał, jeśli nie z dowcipu trefnego, to z wielkiego cynizmu, który też nazwisko mu nadane usprawiedliwiał.

Zbliżywszy się do stołu, Pokrzyk rozpoczął blaznowanie... śmiech obudził w kilku, ale Gamrat nie zdawał się go ani słyszeć, ni rozumieć. Napróżno się wysilał na coraz śmielsze wybryki, wszystkie pozostały bez skutku.

— Co ci, ojczy nasz dobry? — spytał, niemal pod łokieć mu się wciskając.

— Chciałżeś, abym, jak ty, szalonym był? — zapytał Gamrat.

— Krzta szaleństwa i rozumnym mężom nie szkodzi, — odparł Pokrzyk — zwłaszcza przy biesiadzie. Ano, patrzcie, nietylkoście wy smutni, ale wszyscy pociemnieli... tak, jak gdy słońce zajdzie, a mrok padnie na ziemię.

Arcybiskup ręką rzucił, a potem nią czoło znużone potarł i od trefnisia się odwrócił.

— Hm! — rzekł Pokrzyk na ucho Dzierzgowskiej — rychlej wy, niż ja, poradzicie na melancholję, ja ręce umyвам...

I od stołu odstąpił.

Ten i ów z gości, zwłaszcza ci, co więcej w dowcip swój ufali, poczęli się z tem i owem wyrывać głośno, sądząc, że chmurnego i zadumanego rozruszają. Nie pomogło nic.

Wieczera owa, co miała podochościć wszystkich, zesła posępnie, a pod koniec jej czoła się wszystkim pofałdowały i gdy znowu do mycia rąk przyszło, milczenie panowało trwożliwe.

Nawet dla Dzierzgowskiej Gamrat nie miał słówek tych słodkich, któremi ją był zwykł karmić.

Zaraz więc, po krótszej, niż zwykle, biesiadzie, poczęli się goście mieć ku wyjściu. Ten i ów żegnał się i znikał; rada nierada Dzierzgowska z siostrą pożegnała Gamrata, który ich nie wstrzymywał i do kolebki siadły.

Sobocki tylko pozostał, odprawując je, z mocnem

postanowieniem wybadania arcybiskupa i wyjścia z tej trwożliwej niepewności, w jaką go niezwykajne zaszepienie jego wprowadzało.

Gdy kobiety odjechały, goście się rozeszli, a Gamrat sam został z domownikami i Sobockim, skinął na niego i z komnat pustych przeprowadził go za sobą do komórki zacisznej, malej, która do sypialni przylegała.

Ulubione to było jego gniazdo, do którego tylko najpoufalsi przystęp mieli; całe kobiercami wysłane, dookoła miękką, szeroką obwiedzione ławą, zaciszne, wygodne i obcym nieprzystępne.

Arcybiskup zajął tu miejsce na rozłożystem siedzeniu, które tak urządzone było, że na niem położyć się mógł, zeprzeć i, jak chciał, umieścić. Sybaryta tylko mógł podobne wymyśleć.

Obok pod ręką stało zawsze na niskim stoliczku wszystko, czego tylko przy spoczynku pożądać było można. Dzban z wodą zimną, nalewki z winem gotowanym i surowem, łakocie różne i owoce, w cukrze kandyzowane.

Sobocki zajął miejsce nieopodal od niego.

— Pietrze — rzekł do niego poufale, gdyż byli z sobą, jak bracia i wzajem tajemnic nie mieli — drugim sobie mów co wola twa, a no mnie tem się nie zbędziesz. Coś cię dotknęło okrutnie; nigdy cię takim nie widział.

— Zaprawdę, — westchnął Gamrat — bom nigdy takim nie był.

Zamilkł krzywą i mówił dalej:

— Niemałom żył, a tego, co mi się przygodziło dziś nocą, nie doświadczyłem nigdy. Dlatego zbliżanie się godziny nocnej tak mnie trapi i przeraża.

— Nocą? — podchwycił niespokojny Sobocki.

Gamrat skinieniem głowy to potwierdził.

— Idź — rzekł — opatrz drzwi, aby nawet z domowników moich nikt nas nie podsłuchał. Przed tobą mogę, przed nikim innym z tegobym się nie potrafił

spowiadać dla sromu. Znasz mnie, że ducha męznego mam, a zmogło go.

Poszedł natychmiast Sobocki za drzwi na oględziny i niespokojny powrócił prędko. Siadł naprzeciw Gamrata, w twarz jego wpatrując się z trwogą.

Arcybiskup milczał czas jakiś, odetchnął potem ciężko i cichym głosem tak opowiadać zaczął:

— Znałeś Kurosza? Wiesz, jak bliski był sercu memu. Pierwszy to człowiek, który do mnie przystał, gdym maluczkiem był, i został mi wiernym do zgonu. Plakałem po nim, jak nigdy po nikim jeszcze.

Pomnisz, co to on za życie prowadził i czasu peregrynacyj swych zagranicą, i powróciwszy do kraju. Tak zuchwałego hulaki a zawadjaki nie wskaże mi nikt drugiego. A życia zażywał pełną czarą... Gdy zmarł, już pewnie nie zostało nic na tej ziemi, czegoby nie spróbował, z czemu by się nie zmierzył, czegoby nie zakosztował, choć zakazanego. A co zakazane, owszem, najlepiej mu smakowało. Dość powiedzieć: Kuroszem był... bo drugiego takiego, sądzę, nie znajdzie ni u nas, ni w żadnym kraju. Do dziś dnia oplakać go nie mogę. Ten mi jeden przyjacielem był, choćbym krwi od niego zażądał.

Westchnął Gamrat.

Sobocki słuchał, nie pojmując jeszcze, jaki zmarły Kurosz mógł mieć związek ze smutkiem Gamrata, gdy ten dalej ciągnąć począł:

— Wczoraj do łóża szedłem, jako zwykle, wesołej będąc myśli, nie mając powodu do żadnej trwogi ani troski. Z zamku wyjechawszy, przetrząsałem w głowie wszystkie środki, jakie stara królowa zwierzyła mi, że ich przeciw młodej pani zażyć zamierza. Położyłem się, rozmyślając o nich, a nie wątpiąc, że wszystko się uszykuje gwoli naszej. Zasnąłem twardo.

Nagle zdało mi się, jakbym oczy otwierał, choć powieki miałem zawarte... W sypialni zjawilo się światło jakieś, jakby od ognia dalekiego luna odbita. Na tle jego naprzeciw mnie stał ktoś, którego mi rozpoznać było trudno.

Tymczasem światło rosło i wkrótce rozjaśniło tak całą komnatę, że wszystko w niej mógł rozeznaczyć i tego, który naprzeciwko mnie stał, wpatrując się we mnie, poznałem też... Kurosz!

Osobliwa rzecz. Pamiętałem we śnie, iż go między żywymi niema, a zjawienie się jego wcale mi się nie wydawało dziwnem.

— Miły mój Kuroszu, — odezwałem się — pozdrawiam cię. Jako tam dzieje się z tobą?

Patrzył na mnie długo z politowaniem jakimś, nim mówić począł.

— Bogu miłosiernemu i Przenajświętszej Matce Jego niech będą dzięki — rzekł. — Tam jestem, gdzie się dostać nie spodziewałem.

A gdy milczał zdumiony bardzo, ciągnął dalej:

— Życie moje pomnisz, boś jego świadkiem był. Zbluzgany i obłożony niem zszedłem z tego świata, a jeśli mnie ciężar grzechów nie miał na dno pchnąć piekielne, długa i sroga czekała pokuta.

Tego słowo ludzkie nie wyrazi, jak burzliwym witem porwana dusza moja z ciała wyszła, przez ciemności straszne lecąc ku pożarnemu morzu płomieni. Wtem zaszeleściły skrzydła aniołów, pęd się ten powściągnął, i jasna biała światłość oblała mnie. Ponad sobą ujrzałem gwiazdami siany płaszc, który spada z ramion białej dziewicy, w jasności wielkiej stojącej Marji. Chwyciłem rąbek jego i natychmiast pierzchnęło, co mną rzucało. Lekki stałem w powietrzu, a głos z góry dał się słyszeć:

— Ten czei mojej był obrońcą!

Naówczas przyszła mi na myśl przygoda owa w hiszpańskiej ziemi, gdy pijanego a zuchwałego heretyka, który przeciw Matce Bożej bluzgał słowy wszeźtecznemi, na rękę wyzwał za to i ubiłem go.

Skrucha za grzechy wstąpiła we mnie tak potężna, iż naraz całego przeistoczyła. Czułem, jako opadały grzechów mych sprośne łupieżę i trądy, jakom znowu do dziecinnej powracał niewinności.

Tak mówił Kurosz, a słowa jego przejmowały mnie grozą wielką, trwogą i bólem.

— Słuchaj, Gamracie, — dodał — żywota masz jeszcze dwie lecie i kilka miesięcy. Pójdiesz potem zdać z niego rachunek. Jakom cię niegdyś miłował, tak cię dziś żałuję. Czas jest kajać się, czas upamiętać, pora pokutować... Pomnij na to, a nie wąp o miłosierdziu Bożem.

To gdy rzekł Kurosz, jakby we mgle się rozplynał i z oczów mi zniknął. Światło w izbie zagasło, a ja dopiero teraz rzeczywiście, powieki podniósłszy, przebudziłem się.

Cóż chcesz, Sobocki, ze snem tym chodzę dzień cały, pozbyć się go nie mogąc. Widzę ciągle przed oczyma, słyszę głos jego.

Sobocki, który z natężoną słuchał uwagą, nie rzekł nic zrazu.

— Cóż o tem sądzić — odezwał się, pomyślawszy trochę. — Sen to jest jako drugi: sen mara, Pan Bóg wiara; o czem za dnia człowiek myśli, to mu nocą powraca mimowoli. Za duszę Kurosza mszëby odprawić.

— On jej już nie potrzebuje — odparł Gamrat.

— Albo... albo... — wtrącił Sobocki. — Ja to mam za ułudny sen zwykły.

— A ja za widzenie prorocze — przerwał Gamrat. — Dwie lecie i para miesięcy, a potem...

Spuścił głowę.

— Za pół wieku grzechów mało czasu na pokutę!...

— A! — zawołał Sobocki — nie jesteście więcej grzeszni nad innych, a Pan Bóg tym, co brzemiona wielkie noszą, więcej, niż innym, przebacza.

Godzina była spóźniona; Gamrat, podumawszy, szepnął, znak dając Sobockiemu, aby się zbliżył.

— Słuchaj, bracie, trwogę mam przed tą nocą, a nikomu się z nią zwierzyć nie chcę. Śpij obok w drugiej izbie, raźniej mi będzie, gdy nie sam pozostanę.

To mówiąc, Gamrat powstał i drzwi od sypialni otworzywszy, klasnął w dłonie na służbę.

Sobocki, mało co odzienia zrzuciwszy, pas odpiął i leżał na ławie.

Jak noc upłynęła, powiedzieć potem nie mógł, nie pamiętał nic. Gdy pozostał sam, było mu jakoś nie ochoczo i sen z powiek uciekał, więc ze dzbana wina sobie korzennego spory kubek nalawszy, jednym łykiem go wypróżnił, poczem, gdy zasnął, nie zbudził się aż o dniu białym.

Arcybiskup stał przed nim już odziany, ale z twarzą od wczorajszej nielepszą. Zapytał go pocichu Sobocki, czy noc spokojnie przeszła — na co nie otrzymał odpowiedzi, ale blade i zachmurzone lice świadczyło, że wczorajsze wrażenie jeszcze się nie zatarło.

Następnego dnia król stary wcześniej się udał na spoczynek, czując znużonym; poufała gromadka domowników około Bony na jej pokojach gwarzyła jeszcze.

Izby te, które Włoszka zajmowała, choć im na wygodach nie zbywało, dziwnie się wydawały огоłocone i jakby na czas krótki tylko przybrane w to, co było niezbędnem, przepych królewski łączył się z zaniedbaniem jakimś i skąpstwem dziwacznem. Gdyby Bona, co się trafiało często, wyruszyć stąd chciała do Chęcin lub jednego z zamków swych i posiadłości, łatwo było stąd zabrać wszystko i nie zostawić nic nad nagie ściany. Cały sprzęt kosztowniejszy był przenośnym. Pewien nieład i pośpieszne a obojętne urządzenie naprędce było widocznem.

Królowa razem skąpą była, chciwą i o powagę majestatu swego zazdrosną — usposobienie to dawało się poznać w tem, co ją otaczało. Komnata, w której przyjmowała, dość oszczędnie była oświeconą, służba wieczorem już powszednie szaty przywdziewała, a karły i panny, które się posługując pokazywały, niemal ubogo były przyodziane.

Obok królowej przy stole Gamrat, wyrocznia jej, zajmował pierwsze miejsce; reszta mężczyzn, między którymi widać było Opalińskiego, ochmistrza młodego

króla, w drugim końcu rozmawiała pocichu. Około arcybiskupa chodziła troskliwie królowa, od dni kilku widząc go, jak nigdy, ponurym i zasepionym.

Nawet po tej sławnej scenie publicznej, tak upokarzającej, gdy Gamrata do tego przywiedziono, że wstał dziękować za biskupstwo, którego nie miał otrzymać, i musiał zawstydzony sięść, aby Chojęńskiemu ustąpić, nie był tak w sobie zanurzonym i przybitym. Zwykle przynosił z sobą męstwo, rozweselał, uspokajał niecierpliwą się panią, teraz ona musiała jego ośmieszać, dodając mu odwagi.

Wymowny i wielomówny, jakby się wyczerpał, siedział tego wieczora milczący i blady, drżący za każdym szelestem, a przyczyny Bona dobadać się nie mogła. Była tem widocznie podrażnioną; wszystko, co się opierało, zawsze gwałtowny jej temperament wszelkimi sposobami podbić, ujarzmić, przełamać usiłował.

Mściwa, chytra, przewrotna, nie miała powściągliwości i panowania nad sobą, gdy szło o pokrycie uczuć. Z trudnością przychodziło jej coś ukryć w sobie... wybuchala, aż do szału się unosząc, choć ją to zdradzało i narażało na szyderstwa nieprzyjaciół.

Tak samo postępowała z mężem, gwałtownością zdobywając wszystko; tak samo z synem, tak z innymi. Potrzeba było ostateczności, najwyższego niebezpieczeństwa, aby się potrafiła na krótko poskromić. Naówczas milczała, zacinała usta, próbowała kłamać, ale tak niezręcznie, iż każdy zgadywał, co się w jej duszy działo. Wszystkie środki dobre dla niej były, gdy szło o to, aby na swoim postawić; panowanie nad sobą i cierpliwość ze wszystkich przychodziły najtrudniej.

Smutek Gamrata, nagła zmiana humoru mocno ją dotknęły. Znała człowieka, nie mogło to być bez przyczyny. Badala napróżno. Gniew nią miotał już, bo miała przed sobą tajemnicę, a domysły ją przerażały.

— Mów, co ci jest? — nalegała na niego. — Trwóżysz mnie. Sądzić muszę, że ukrywasz przede mną klęskę większą, niż ta, którąśmy jawnie ponieśli.

Gamrat musiał wkońcu usta otworzyć.

— Miłościwa pani, — odezwał się — na tę cześć i poszanowanie, jaką mam dla niej, przysiąc mogę, że chwilowe strapienie, którego przemóc nie zdołam, przyniosłem je z sobą, nie tyczy się ani osoby miłości waszej, ani żadnej ze spraw ważnych, ale tylko mnie samego.

— Masz więc sprawy, które taisz przede mną? — odparła Bona, nie ustępując.

— Dlatego tylko, iż małe są, liche, a uszu miłości waszej nie warte — rzekł biskup.

— A przecie cię tak mocno obchodzą?

— Bom czasami słaby, jak dziecko — rzekł Gamrat. — Łaski miłości waszej mnie popsuly.

Pomyślała chwilę królowa.

— Wiem już, — odezwała się — pewnie Dziergowska ci czem dokuczyła... Lecz niech mi się nie pokazuje na oczy. Niewdzięczną jest!

Gamrat nie stanął w obronie przyjaciółki, chcąc się w ten sposób zbyć natrętnego nalegania. Usiłował się otrząsnąć z czarnych myśli, co mu się nie powiodło; w ostatku wygadał się z tem, że przepowiednia krótkiego życia strwożyła go.

Bona wzięła to do serca.

— Sny są bałamutne, — rzekła — najczęściej je naodwrot tłumaczyć trzeba. Na to są zresztą astrologowie, aby coś pewniejszego wywróżyli; ale pytać ich nie trzeba, bo człowiek potem trwoży się i ochota mu do wszystkiego odpada... nie myśl o tem. Ja — dodała, zagadując żywo — o co innego musiałam mojego astrologa i doktora badać: chcę wiedzieć, co gwiazdy prorokują młodej królowej. Z Wiednia dostałam horoskop jej, Da Bari pracował już nad nim.

Gdy to mówiła, ciemne jej oczy złośliwą pałały uciechą.

— Niedługo cieszyć się nią będziemy, — dodała — słabowita jest i wrażliwa... Narzucili nam ją gwałtem, niech się nie dziwią, że jej tu posłania na różach nie gotujemy. Mój syn się do niej przywiązać nie może, ja

dopilnuję tego... Jednego jego mam, nie mogę narażać na to, aby, obcując z chorą, sam zdrowie postradał.

— Chora jest? — zapytał Gamrat.

Królowa dziwnie ściągnęła usta.

— Jeżeli chorą nie jest, to nią będzie, — dodała cicho — a na to nie potrzeba ani filtrów zadawać, ani szukać mądrych sposobów. Dziecko wątłe, matka była słabowita... pieścić jej nie będziemy.

Mówiła przerywanemi słowy.

— Nie dopuszczę, aby mój syn żył z nią — powtórzyła dobitnie nawpół do samej siebie i całej myśli swej nie chcąc wypowiedzieć. — Król codziennie na siłach upada. Syna muszę być pewną, abym moją władzę utrzymała. Jeżeli kiedy, to teraz wszyscy mi potrzebni jesteście... rachuję na was, liczę na Kmitę.

Gamrat nieznacznie bardzo głową potrząsnął. Królowa to spostrzegła.

— Wątpisz o kasztelanie? — zapytała gorączkowo i ciekawie.

— Nie miałem dotąd powodu, — odparł arcybiskup — niewątpliwie trzyma z nami, ale z nim, jak z ogniem, potrzeba się obchodzić ostrożnie. Ogień to jest, przy którym ogrzać się można i opatrzyć. Buta straszna, krew gorąca, życie gotów stawić jednej chwili za to, co jutro oknem wyrzuci. Wszelki opór go drażni. Któż przewidzi, co mu jutro w głowie zaświta... ambicja nienasycona!

— Możeż się skarżyć na mnie? — zapytała królowa. — Mimo wszystkich jego wybryków, wbrew królowi, z najwyższą trudnością doprowadziłam go do najwyższego dostojęstwa.

— Tak, a jutro mu wasza miłość będziesz musiała fraszki odmówić i dla tej fraszki stanie się nieprzyjacielem. Nic go to kosztować nie będzie.

— Ja go tak czarno nie widzę, — przerwała Bona — nie miałam powodu uskarżać się na niego. Oprócz Kmity mam wielu innych, a tych, których potrzebować będziemy...

Bona cynicznie uderzyła się po kaletce, uwieszonej przy pasie, i szepnęła:

— Kupię resztę!

Zdawała się tak być pewną siebie, że Gamrat nie śmiał jej przeczyć.

— Tych ludzi, jak Maciejowski, jak Tarnowski, — mówiła dalej — których pozyskać nie można, zostanie garść nieznaczną; ci groźnymi nam być nie mogą. Liczba zawsze przemaga...

— Młody król... — wtrącił Gamrat.

Bona mówić mu nie dała.

— Dotąd jest moim. Czuwam nad tem, trzymam go przy sobie, pieczę, dogadzam... Król stary dla niego surowy, królewscy stronnicy przeciwią mu się, wymagają rzeczy wstrętliwych, chcą go mieć rycerzem i wodzem. Obawia się ich, odstręczony jest i nieufny. Zresztą i on tu także... — dodała, wskazując na kaletkę.

— Nie dają mu dosyć... ja go żywię, ja mu daję pieniędzy na fantazje, a potrzebuje wiele, bo charakter ma szlachetny i upodobanie pańskie. Od króla wraca zawsze namarszczony i smutny, przychodzi skarżyć się do mnie... wie, że staram się mu życie osłodzić. Każdy krok jego mi wiadomy, Opaliński o wszystkim donosi... między sługami mam moich, staram się go otoczyć takimi, którzy popsuć nie mogą.

Godzina była spóźniona, Gamrat posępny i nierozmowny wstał nakoniec znużony i, całując podaną rękę królowej, wyszedł, aby powrócić do siebie.

Zwolna światła pogasły na zamku, ucichł ruch i tylko przechadzające się stráže słychać było w mroku przy bramach i murach.

W tej tylko części zamku, którą zajmowała królowa, od czasu do czasu dawały się widzieć przemijające światelka, naprzemian ukazujące się w różnych oknach, niknące nagle i wracające po chwili, jakby tu życie nie ustawało...

Niespokojna, niezmordowanie czynna, podejrzliwa, zawsze mająca do spełnienia coś, co się tajemniczo i w ciemnościach dokonywać musiało, zdawała się nie

usypiać nigdy, tak jak jej służba spoczynku nigdy nie miała. Wstawano tam, gdy wszyscy się spać kładli, zasypiano na chwilę, gdy inni wstawali, a gorączkowe krzatanie się i niepokój wszędzie otaczały Bonę.

Oprócz znanych ludzi, co ją otaczali i którymi się posługiwała, nie było dnia, ażeby tu nowi, obcy przybywający z różnych stron świata się nie zjawiali. Włosi ze wszystkich prawie państw i miast, Niemcy, cudzoziemcy z zachodu, a teraz też Turcy i Grecy, z którymi Bona ukrywać się musiała, prowadząc politykę na swą rękę dla Izabeli w Węgrzech.

Pod różnemi pozorami, jak kupcy, jak mnichy, zbierający jałmużnę na klasztory wschodu, zjawiali się tu wysłańcy Konstantynopola, szpiegi i ludzie z listami.

Z mnogich majątności, które królowa trzymała w różnych częściach Polski, z jej księstw włoskich ze wszech krajów świata krzyżowali się jej tu posługacze i pomocnicy.

Najpilniejszy nadzór nie mógł odkryć tych wszystkich nici tajemnych, jakimi ona opłatywała starego króla, oszukiwała najbaczniejszych stróżów, często-kroć wniwecz obracała wszystkie zabiegi przeciwników swoich.

Skąpa i chciwa, tam, gdzie była potrzeba, szafowała pieniędzmi i rachowała nadewszystko na nie, rzadko się myląc w rachubie.

Nieodstępna faworyta pani, jak ona niespoczywająca nigdy, na zawołanie ciągle przy niej, zjawiająca się na skinienie, była wychowana i ułożona przez nią do tej służby, do milczenia, do posłuszeństwa niewolniczego dziewczyna Włoszka, którą zwano mniszką Maryną. Przydomek mniszki winna była ona ubraniu czarnemu, niepozornemu, krojem niemal zakonnym, i kwefowi, który nosiła, nigdy nie zmieniając tego stroju i pokornej a skromnej, nic nie mówiącej twarzyczce.

Mniszka Maryna nie opuszczała jej ani dniem, ani nocą. Obojętna na wszystko, dla wszystkich, była to już nie służa, ale martwe jakby narzędzie. Na jej licu wyółkłem rysów nieregularnych, które ją starą przed

czasem czyniły, nikt nie wyczytać nie mógł. Były, jak kamień, niezmiennie jedne, bez wyrazu. W oczy nikomu nie patrzyła, ani sobie zajrzeć nie dawała. Mówiła rzadko i półsłówkami tylko. Obawiali się jej wszyscy, nikomu się do siebie zbliżyć nie dawała.

Gdzie i kiedy odpoczywała mniszka Maryna, nikt nie wiedział; o północy równie, jak nadedniem przychodziła na znak zawsze jednako, gotowa zawsze do posługi. Bona nie potrzebowała mówić z nią wiele. Maryna rozumiała jej wejrzenie. Pod rozkazami tej sługi, acz niewidocznie, czuł się i zostawał cały fraucymer królowej. Jedno słowo Maryny często stanowiło o niełasce i wygnaniu, a prosić jej o pobłażanie było próżnem. Nie gniewała się nigdy, to jest nie okazywała nikomu gniewu, lecz mściwą była bez litości i nieprzeblaganą dla tych, co się jej narazili.

Do pomniejszych posług stało zawsze u drzwi kilka panien, a w izbie w kącie para karłów. Nocą i dniem ktoś zawsze czuwać musiał w antykamerze, ktoś na posyłki był gotów, bo w godzinach najniezwykajniejszych królowa wydawała rozkazy, które bez zwłoki spełnione być musiały.

I następnego poranka, nim około komnat starego króla życie się powoli objawiać zaczęło, a stróże, cicho wymiatający korytarze, drzwi otwarli na krużganki, u królowej paliły się światła, i Bona w krześle ostawionem poduszkami, nogi spartłszy na podnóżku, przy stole czytała papiery, które czekały od wieczora, i te, które Maryna przyniosła jej rano.

Cicho przesuwali się już w ciemnościach ludzie do tego dworu należący.

Pierwszym, który nie pytając otworzył drzwi i wsunął się do izby, był lekarz zwykły Bony, Jan Antonio z Maceraty, Włoch i sługa jej zaprzędany.

Doktorów kilku i astrologów miała przy sobie Bona, Jan Antonio był jeśli nie najcudowniejszym, to tym, który ją znał najlepiej i najrzęczniejsz obchodzić się z nią umiał. Bona miała w nim zaufanie, chociaż i on, gdy lekarstwo dać musiał królowej, podlegał temu prawu,

co inni: sam wprzódby zmuszony był się go napić, aby nie było trucizną.

W obawie o swe życie posądzała nieprzyjaciół, że na nią czyhali. Nie zrzucała też z palca i piersi kamieni i amuletów, które wedle ówczesnych przekonań antidotami przeciwko truciznom być miały.

Jan Antonio był mężczyzną w sile wieku i czystej krwi Włochem, z tą fizjognomją ruchomą, pełną wyrazu i życia, z temi gestami dobitnemi rąk, głowy i całej postaci, od których Włochom wstrzymać się trudno. Zwano go na dworze pospolicie Maceratą, a słynął z niezachwianego dobrego humoru, którego często nie mając, silił się zręcznie z nim popisać. Obracać zwykł był w żarty najgroźniejsze rzeczy, o tyle, o ile wzrok Bony pozwalał... Znał on swą panią tak dobrze, iż niemal z fałdów sukni mógł odgadnąć, w jakim była usposobieniu.

Nim, skłoniwszy się w progu, doszedł do stołu, przy którym siedziała pani, Macerata już wiedział, że Bona była podrażnioną, niespokojną. Trzymała w ręku rozłożony półlarkusz papieru, którego zgięcia listu domyślać się kazały. Spojrzała, nie rzucając go, na Maceratę.

Nic nie mówiąc, ujął podaną mu rękę i chwilę potrzymał. W milczeniu popatrzył na język i skłonił się.

Wyszeptane cichutko słowo miało oznaczać, że wszystko znalazł w jak najlepszym porządku. Bona milczała. Stojąc, czekał rozkazów. Rzuciła papier na stół.

— Giovantonio — odezwała się — pilno mi czuwaj nad Dzemmą. Jestem o nią niespokojna.

Macerata głowę pochylił.

— Zdrowa, jak rybka — rzekł, pokazując zęby białe.

— A czyni się chorą? — przerwała Bona.

— Kaprysy rozpieszczonego dziecięcia — rzekł lekarz.

— Którym do czasu dogadzać potrzeba — szybko dodała Bona.

Macerata dał do zrozumienia miną, iż doskonale wiedział, o co chodziło.

Królowa przyłożyła palec do ust. Włoch nachylił się ku niej i szeptać coś począł.

Wtem w przedpokoju ucho starej pani pochwyciło ledwie dosłyszany szmer, wyprostowała się i Maceracie wskazała drugie drzwi do wyjścia, w których za kurtyną pokazała się blada twarz czujnej Maryny. Ciche-
mi kroki wyniósł się, na palcach idąc, Giovantonio.

Maryna podbiegła ku drugiemu wnijsciu, uchyliła drzwi, i ukazał się w nich słusznego wzrostu mnich w czarnych sukniach zakonników św. Franciszka. Czarny, bujny włos wieńcem okalający mu wygoloną nieco głowę, wielkie oczy wypukłe, twarz rysów pięknych, ale zbyt grubo wyciosanych, szerokie usta z wargami mięsistymi zapowiadały człowieka rozumnego, ale namiętnego. Pokory tej i uniżoności, jakimi odznaczali się mnisi tej reguły, wcale w nim widać nie było. Wchodził śmiało i pewien siebie.

Królową nie ruszyła się na powitanie i nie okazała mu zwykłego dla duchownych, będącego w obowiązku uszanowania. Ukłonił się kilka razy, zbliżając ku niej, na co ledwie skinieniem głowy odpowiedziała.

Maryna już znikła w zasłonie drzwi drugich, gdy się do stołu przybliżył.

— Padre Francesco, — odezwała się Bona — dlaczego was tak dawno na zamku nie było?

I nie dając mu się tłumaczyć, niecierpliwie ciągnęła dalej:

— Wiesz, prosiłam was, abyście mi młodego króla zabawiali. Wiesz, jak go te wasze kościelne kwestje zajmują, jak rad czyta i słucha o nich. Powinniście mu dostarczać ksiąg, starać się go rozrywać waszą rozumną rozmową.

— Miłościwa pani, — odparł ojciec Franciszek Lismanin — nie jestem na dworze zbyt dobrze widzianym przez duchowieństwo polskie, sarkają na mnie, podejrzewają nawet o herezję.

— Co cię to ma obchodzić; — zawołała Bona —

nie powinienes się ani lękać ich, ani zważać. Arcybi-
skup Gamrat obroni was zawsze.

Lismanin głową pokręcił.

— Szanuję jego eminencję, — rzekł — ale w tych
sprawach, gdy o herezję chodzi, obawiam się jej... Któż
tu w Polsce inkwizycję tak surową zaprowadził? Kto
dał spalić staruszkę Malcherową, która nie wiedziała
sama, co plotła?

Bona poruszyła ramionami.

— Gamrat robi, co mu każe — rzekła. — Młody
król właśnie te wasze drażliwe kwestje śledzi i niemi
się zajmuje... on przecież was nie zdradzi.

— Tak, ale mury mają uszy — rzekł Lismanin.

— Boisz się, aby i ciebie nie spalono? — rozśmia-
ła się Bona, ruszając ramionami. — Proszę cię, otrzą-
śnij się z tych dziecinnych postrachów. Bądź dzisiaj
u młodego króla, potrzebuje roztargnienia... Przynieś
mu jakie księgi nowe... Kocha się w nich.

Lismanin słuchał, nie odpowiadając.

— Po księgi — dodał po chwili — należałoby wła-
ściwie jechać zagranicę. Tu ich nie dostać, bo ducho-
wienieństwo polskie surowo czuwa i nad tem, co z Nie-
miec idzie, i cokolwiek bibljopole przywożą.

— Poślij kogo? — szepnęła Bona.

Lismanin ręce złożył.

— Nikomu, nikomu w tej sprawie zawierzyć nie
można, — rzekł pośpiesznie — o gardło idzie! Ja sam
chyba musiałbym się ważyć, i to nieinaczej, jak mając
polecenie królewskie, boby mi celnicy na granicach za-
brali, co tylko drukiem pachnie. Pojadę, jeśli w. k.
mość rozkażesz — dodał.

— Nie teraz — szybko i kwaśno przerwała królo-
wa i, rzuciwszy nań okiem, dokończyła:

— Idź dzisiaj do młodego króla!

Skłonił się mnich. Posłuchanie było skończone,
franciszkanin wychodził pocichu. Zaslona ledwie za
nim zapadła, gdy dorodny mężczyzna, pięknej posta-
wy, typ prawdziwie polski, krwi i wielkiego rodu, uka-
zał się w progu.

Spojrzawszy na tę twarz pogodną, jasną, na oczy śmiało spoglądające, na całe oblicze, nacechowane odwagą i rycerskim wyrazem, zadziwić się było można, znajdując tu o mroku w komnacie starej królowej. Lepiej się dopiero wpatrzywszy w zwodnicze rysy, dostrzec w nich się dawała skryta przebiegłość jakaś i udanie otwartości, pokryte butą szlachecką.

Królowa z przyjemnością wpatrywała się w to piękne, męskie oblicze. Nowy gość był ochmistrem młodego króla, Opalińskim.

Przyciągnęła go do Bony w części ambicja wielka, która z jej pomocą spodziewała się zaspokoić poczęści nieprzyjaźń różniącą z Tarnowskim i Maciejowskimi.

Opaliński jawnie i skrycie służył Bonie, on jej donosił o każdym kroku syna, o każdej myśli, zamiarze, pragnieniu jego. Pomniejsza służba, przekupiona, pomagała jej do skontrolowania tego, co Opaliński przynosił.

Bona uśmiechnęła mu się wdzięcznie, dając ręką znak, aby się zbliżył. Jako oznakę łask wyciągnęła białe, pulchne palce, okryte pierścieniami, do pocałowania.

— Nic nowego u nas, — odezwał się Opaliński — ale też nic złego. Król zdrow i chmury smutku powoli uchodzą. Staramy się go rozrywać i weselem naszym obudzać w nim myśl dobrą.

— Co robił wczoraj wieczorem? — spytała Bona.

Znakiem tylko jakimś niezrozumiałym, wskazując ręką, odpowiedział Opaliński i dodał prędko:

— Czekamy na wysłańca, który miał nam przynieść rzeźbione kamienie, zamówione we Florencji i medale. Król wygląda ich niecierpliwie, chociaż — rzekł ciszej — nie wiem, czy je będziemy mieli czem opłacić.

Królowej ta wiadomość nie zdała się być przykrą, uśmiezek przebiegł jej usta.

— Al tak — szepnęła — będzie się musiał uciec do matki, bo ojciec skarciłby go tylko surowo. Wie, że na mnie rachować może, choć i mnie bardzo jest ciężko.

Moi rzadcy i dzierżawcy źle się wypłacają. Pieniędzy niema, a rachunków poddostatkiem!

Opaliński złożył papier na stole, cichym szeptem go objaśniając. Bona włożyła go za pas sukni... krótkie posłuchanie się skończyło.

W oknach coraz jaśniejszy dzień przeglądał z za zasłonek, dzwony w katedrze wołały na ranne nabożeństwo, na zamku słychać było rzenie i tętent koni, turkot wozów, wołanie pacholców.

Maryna przyszła zabrać już niepotrzebne światło... a w progu pokazał się pokornie bardzo, do ziemi kłaniający się szlachcic, niepocześnie ubrany starą modą. Rękę, w której trzymał czapkę, tak wyciągnął, że nią prawie zamiótł ziemię.

Gdy podniósł potem wygoloną głowę, nie śmiejąc przystąpić bliżej, — ukazała się twarz ogorzała, wąsała, rysów pospolitych, ale napiętnowana energją... Pozdrowił królowę po łacinie. Był to Stanisław Falczewski, rzadca ówczesny Krzemieńca, który królowa trzymała.

Przyjeżdżał z pieniędzmi i raportem. Pierwsze już wczoraj oddał był do skarbcza, drugi miał złożyć ustnie.

Zdumiewać się było potrzeba tej pamięci, z jaką Bona badała o stan swych krzemienieckich posiadłości, i pan Stanisław nieraz, słuchając, powiódł ręką po czole, bo poty nań były.

Królowa pamiętała o wszystkim, o mostach, młynach, stawach, o swoich karczmach, o szynkach, o sporach granicznych, o najmniejszych gospodarskich szczegółach. Falczewski ledwie na wszystko odpowiedzieć umiał i zająknął się nieraz.

Nastąpiły rozkazy i rozporządzenia, którym również zdumieć się było można, tak rozumne były i obrachowane, aby stan posiadłości polepszyć.

Królowa też czasu już nie miała na dłuższą z nim naradę, w drugich drzwiach czekały na nią córki, które przychodziły z rannem pozdrowieniem do matki, a zbliżała się godzina, w której Bona zwykle odwiedzała starego króla.

Ciszej, spokojniej było w komnatach, które zajmował Zygmunt. Około Bony wrzało nieustanne życie, tu wszystko obrachowaniem się zdawało, aby sędziwemu panu nie zakłócić pożądanego pokoju.

Tam pośpiech widać było wszędzie, tu rozważną powolność. Z rozpoczynającym się dniem byli na swych miejscach dworzanie, urzędnicy, służba i ci, których król pierwszych mógł potrzebować.

Duchowieństwo w większej liczbie razem z świeckimi panami dwór składało.

Cierpiący na bóle w stawach, na łamanie w kościach, znużony długimi walkami życia, król był ociężałym i zubożniałym, milczącym i smutnym. Rzadko bardzo i to na małą chwilę uśmiech blady twarz jego zasepioną ożywiał. W młodości już miała ona wyraz surowy, który z wiekiem i cierpieniem stał się prawie groźnym, choć natura łagodną była i dobrą.

Nigdy Zygmunt nie miał wymowy Olbrachta, ani żywości charakteru kardynała, teraz słowo dobywało mu się z ust trudno, krótkie i rzadko weselsze.

Ulegał Bonie, bo sił już w sobie nie czuł do walki z nią, a Włoszka aż do szaleństwa się posuwała, jeśli opór znalazła... i padała na ziemię, krzycząc, aby na swoim postawić.

Widok królowej czynił też teraz na nim wrażenie przykre. Wiedział, że nigdy mu nic nie przyniesie dobrego, ale wymówki, wyrzuty, żądania lub narzekania na ludzi, których on znał najlepszymi przyjaciółmi swoimi. Z obawą też wyglądał przyjscia — i szelest jej sukni jeszcze czarniejszą chmurą twarz jego posępną oblekał.

Lecz ile razy mocniej zachorzał, rozbrajała go Bona nadzwyczaj wielką troskliwością o jego zdrowie. Nawczas nocami nie odchodziła od jego łóża, sama mu podawała lekarstwa i pokarmy, żadną siłą od niego oderwać jej nie było można.

Wstał był król późno i odmówił z kapelanem zwykłe modlitwy, po których przybyli lekarze opatrzyć no-

gi, dowiedzieć się, jak noc spędził... i przyniesiono mu ranną polewkę i śniadanie.

Król siedział jeszcze za stołem, na którym stały naczynia z resztkami jadła, gdy Bona czarno ubrana, z głową zakwefioną ukazała się na progu.

Przyjście jej zawsze było znakiem dla służby i dworu, ażeby się oddalili i nie zjawiali, chyba na zawołanie.

Często rozmowa ta ranna, z początku cicha, stopniami coraz głośniejsza, przeradzała się w tak krzykliwą i gwałtowną, że dworzanie truchleli o pana, bo po każdej potem odboleć musiał i godzinami siedział, jak martwy, odrętwiały, milczący.

Poprzedzającego dnia królestwo źle się rozstali z sobą. Bona czyniła mężowi wymówki, podnosiła głos, rzucała się, zaciskała pięści, chwytala się za włosy, król milczący patrzył i chwilami mruczał: — Głupia (Fatua).

Wyrzuty wszystkie tyczyły się małżeństwa z Elżbietą, którego sobie Bona nie życzyła; król obstał przy swoim. Rozeszli się nieprzejeđnani. Wieczorem króla chwyciły boleści w nogach i stawach, ale zakazał dać o tem znać Bonie; zwykły lekarz, Polak, Błoński, opatrzył go.

I tego więc dnia spodziewać się było można burzy, wybuchu, wznowienia walki, chociaż ona już królowę do niczego doprowadzić nie mogła, bo układy ostateczne w Wiedniu zostały zawarte i na przyszłą wiosnę oznaczono termin przybycia młodej pani.

Znając niepokonany upór Bony, król z rezygnacją wyglądał nowej napaści. Siedział ponury, spojrzał ku wchodzącej zimno, surowo i nie śpieszył jej pozdrowić.

W izbie, oprócz króla, znajdował się jeden stary jego sługa, Lula Skotnicki, który jeszcze czasy szczęśliwsze Barbary Zapolji, pierwszej małżonki Zygmunta, pamiętał, i kapelan, ks. Słomka. Obaj oni natychmiast się przez najbliższe drzwi wycofali. Małżeństwo pozostało same.

Stary oczekiwał już zgryźliwego jakiego słowa, gdy

powtórnie wejrzawszy na królowę, spostrzegł na jej twarzy znany sobie wymuszony spokój, który wprawdzie nie obiecywał nic dobrego, ale zapewniał chwilowe zawieszenie broni.

Długie pożycie z tą kobietą nauczyło Zygmunta wszystkich jej podstępów wojennych, manewrów strategicznych. Gdy chwilowo tego, co zamierzała, do skutku przyprowadzić nie mogła, królowa wówczas przybierała tę upokorzoną postawę zwyciężonej, a choć udawanie przychodziło jej ciężko i nikogo właściwie oszukać nie mogło, oznaczało, że wyczekiwać postanowiła.

W tym stanie ciała i ducha, w jakim król się znajdował, i ten chwilowy spoczynek był mu pożądanym. Osłabły, rad był spocząć czas jakiś. Nie łudził się wygraną, bo znał nieprzyjaciela, lecz miło mu było nie słyszeć wrzawy i nie znosić nieznośnego krzyku.

Bona, jakgdyby o dniu wczorajszym zapomniała, zbliżyła się, kręcąc głową, sznurując usta, i cichym złagodzone głosem dopytując małżonka o zdrowie.

Wyciągnięte na podnóżku i okryte futrem nogi świadczyły już same, że był cierpiący. Zygmunt spojrzał na nie i wskazał ręką.

— Jak zawsze, — rzekł — miałem nocą boleści w kolanach, w stawach, ale mi Błoński dał smarowanie, które ulżyło nieco.

— Dlaczegoż nie dali mi znać o tem? — żywo odparła królowa. — Jabym była sama dopilnowała i przyprowadziła z sobą Maceratę.

— Nie potrzeba go było — rzekł Zygmunt.

— Wolisz swoich Polaków? — zaczęła Bona z przekąsem — choć to są zarozumiałe nieuki. Lecz my wszyscy, Włosi, straciliśmy pańską łaskę, a jednak powinniśmy byli zasłużyć na nią, bo, bez wymówki, wieleśmy tu przynieśli z sobą.

— A! nie przeczę! — odparł król z uśmiechem — wdzięczny jestem. Włosi się na mnie skarżyć nie mogą. Służyli mi, alem niewdzięcznym nie był.

Królowa siadła na krześle, sparała się na ręku u sto-

łu, twarz starając uczynić smutną, cierpiącą, jakby zbolącą. Natura jej gwałtowna nie dozwalała długo utrzymać się w mierze, musiała, choć z innego tematu, wznowić żale.

— Kraj ten byłby dotąd napół barbarzyńskim, — odezwiała się — gdyby nie nasi budowniczkowie, kamieniarze, artyści. Teraz on inaczej wygląda, dzięki Włochom.

— Włosi też twoi dość stąd pieniędzy wynieśli, — rzekł król — bo kazali sobie płacić dobrze.

— Zapracowali na to — odparła królowa.

Zygmunt rękę położył na stole, przebierać zaczął palcami po nim, wpatrzył się w podłogę i milczał. Nowy ból w stawach wycisnął z ust jego syknienie, królowa poruszyła się zaraz, dopytując, czyby nie potrzebował czego.

— Nie, nie, przeszło to już — zamruczał stary.

Bona usiadła, milczenie panowało chwilę.

— Gamrat też chory, czy nie wiem, co mu jest — odezwiała się po przestanku. — Na twarzy i humorze się zmienił, posmutniał, opanowały go jakieś przecucia krótkiego życia.

Zygmunt brwiami poruszył i potrząsł głową.

— Gamrat? — powtórzył. — Ale nie stary wcale jest i życiem się nie zmęczył, chyba nadużyciem...

Królowa się zżymnęła.

— Zawsze te potwarze — odparła. — Zaprawdę nie gorszy jest od innych, ale wielu solą w oku. Naraził się i heretykom i katolikom, bo nam służył wiernie.

— My też jemu! — zamruczał Zygmunt. — Lepiej się nie obliczać, bo niewiadomo, kto by został dłużnym.

I jakby znużony już temi odpowiedziami, król zwiesił głowę na piersi. Bona знаła go, że mówić wiele nie lubił. Dała mu spocząć, nim się znowu odezwiała.

— Cóżeście postanowili — rzekła — dla syna? Panowie litewscy ciągle się go dopominają, aby jechał do Wilna uczyć się rządu sprawować, ale zawczasu go zaprzęgać nie widzi mi się.

— W tem jesteśmy zgodni — odparł Zygmunt. —

Później zobaczymy. Naprzód ożenić go potrzeba i wiedzieć, jak się to stało dobrze. Władzy rozdawać nie myślę. Nie mam jej nadto, abym się nią dzielił. Na każdym kroku spotykam opór.

— Zbytnią powolnością rozzuchwaliłeś ich sam; — rzekła Bona — miałeś przykład na włoskich książętach wielu, którym miasta i patrycjusze z ludem także stawili nieraz opór; kilka głów spadło... i panowanie się ustaliło.

— Rozlew krwi nie lubię — rzekł król krótko, poruszając głową znacząco: — inny kraj, inny obyczaj. Polska nie Włochy.

— Widzi mi się, że tu by łatwiej jeszcze pożyć ich można, — wtrąciła Bona — ale dziś za późno: kto zawczasu nie począł, porywać się później nie może.

Nie odpowiedział Zygmunt.

— A! to małżeństwo, — wyrwało się jakby mimowoli starej pani, której oczy się zaiskrzyły i usta sfałdowały namiętnie — a! to małżeństwo. Napróżnom odradzała, próżno błagałam: twoi przyjaciele postanowili mnie naprzekór.

— Wiesz, że to było zdawna umówione w Wiedniu. Byli dziećmi, gdyśmy ich zaręczyli, — zamruczał król niechętnie — daćby już pokój żalom za późnym.

— A! wiem bardzo dobrze, — poczęła, ożywiając się, Bona — że to dziś już wszystko próżne. Stało się, co się stać nie było powinno. Dajecie mu żonę, z którą on żyć nie będzie mógł.

Król spojrział z rodzajem podziwienia.

— Mówiłam wam: to dziecko schorowane, wątłe, które odrazę, nie miłość, wzbudzić może...

Nie chcąc odpowiadać, Zygmunt niemymi ustami poruszał. Zrezygnowany był słuchać wyrzutów i pogroźek, nie podsycając rozmowy o niemiłym przedmiocie.

Wszystko to już słyszał nie raz i nie raz odpowiadać na to był zmuszonym. Zadumany nie zważał nawet na sypiące się z ust Bony słowa, i królowa, spojrzawszy na niego, przekonać się mogła, że był myślami

gdzie indziej. Nie wstrzymało ją to od tych narzekañ, które, jak wczora, nie przerodziły się wprawdzie w krzykliwe i gniewliwe wyrzuty, ale były niemniej dokuczliwemi.

Król zdawał się wyglądać i czekać na coś, coby go wybawiło. Bona wkońcu umilkła, widząc niemożność wywołania sporu, od którego stary bronił się milczeniem.

Kilka spraw mniejszej wagi było na porządku dziennym. Zażądała podpisów na przywileje dla swoich miasteczek.

Otrzymawszy, co chciała, powstała z siedzenia, powtórzyła raz jeszcze, aby kanclerzowi i podkanclerzemu król listy wypisać nakazał, i głową żegnając męża zdała, wyszła.

Na twarzy Zygmunta, gdy zasłona opadła za nią, odmalowało się widoczne uspokojenie. Oddychał teraz swobodniej. Myśl starca pobiegła w przeszłość i ła za kręciła się w oku. Przypomniat sobie tego anioła, Basię swą, pierwszą żonę, z którą pożycie było tak szczęśliwe, którą kraj cały kochał z nim razem, a po za wczesnym zgonie dotąd opłakiwał.

Sam się widząc, ostrożnie dobył król ze stolika w kształcie pugilaresu złożoną książeczkę... otworzył ją i wpatrzył się w wizerunek Barbary. Łagodnie, smętnie patrzyła nań z tego obrazka, na którym malarz wyobrażał ją młodziuchną, taką, jaką tu raz pierwszy przybyła, pokorną, pobożną...

Przez całe też życie nie zmienila się dobra, pół święta pani, której modlitwom i postom przypisywano powszechnie zwycięstwo pod Orszą odniesione.

Jak anioł cicho, sypiąc dobrodziejstwy, łagodząc bóle, zapominając o sobie, przeszła przez ten świat, nie skarżąc się nigdy i opuszczając go z modlitwą na ustach.

Po Barbarze nie miał męskiego potomka, pocóż go naówczas panowie senatorowie zmusili wziąć drugą żonę? poco pięknoscią Włoszki i jej bogactwami ujęci posłowie tak mu ją zalecali?

Tak prędko owa dziewczica, pełna rozumu, nauki, nieporównanego wdzięku postaci, zmieniała się w zrędną nieznośną, która i królowi, i królestwu nie dawała pokoju.

Tak! Ale ona dała obojgu tego upragnionego potomka płci męskiej, w którym płynęła krew Jagiellonów i z niego rozrodzić się miała.

Westchnął Zygmunt, zaszeleściało około drzwi, schował prędko pugilares zamknięty, przeszłość szczęśliwa musiała pierzchnąć, ustępując rzeczywistości.

W progu pokazał się ten sam Lula Skotnicki, stary, siwiejący już dworzanin królewski, który przed królową ustąpił. Zaglądał on do pana, czy nie potrzebował czego. Zygmunt zwrócił ku niemu łagodnie rozjaśnione oblicze.

— Lula, — szepnął — zobacz, czy niema ks. Samuela?

— Oddawna czeka w kancelarji — odparł Skotnicki.

— Niech przyjdzie — rzekł Zygmunt.

Dworzanin pośpieszył z rozkazaniem i po chwilce ks. Samuel z wiązką papierów i pergaminów stał przed królem, który milcząco witał go poruszeniem głowy.

Zobaczywszy brzemie, które niósł podkanclerzy, uśmiechnął się, brwi w górę poruszywszy.

— Jest co podpisywać, miłościwy panie — zaśmiał się biskup, który na rogu stołu złożył listy i przywileje. — Poprzednicy miłości waszej nie zadawali sobie pracy rękę własną przykładać do listów, dość było pieczęci.

— Ha! — zaśmiał się król — trzebaż okazać, że król choć pisać umie.

I wskazał miejsce Maciejowskiemu, który, nie śpiesząc do pracy, spytał o zdrowie.

— Cierpiałem w nocy; — rzekł — we dnie zawsze bóle mi dają folgę. Jesień nadchodzi; jest to pora, w której najwięcej cierpię.

— Pomniście, miłościwy panie, na dziadka waszego Jagiellę; — rzekł Maciejowski — krew macie i siłę

jego, a ten do późniejszej starości zachował moc i zdrowie.

— Tak, — odparł Zygmunt — ale żył inaczej. Jam może przeszedł go siłą, bom łamał podkowry w rękach, i gniótł puhary srebrne, ale dziś już i spróchniałego kijabym nie skruszył.

Westchnął stary i zadumał się. Nie mówili o tem więcej.

— Młodego (król czasem tak zwał syna) nie widzieliście? — zapytał Zygmunt.

— Od wczoraj nie — rzekł Maciejowski.

— Nie wiecie, jak przyjął wiadomość o postanowionem małżeństwie? — dodał stary król.

— Wcześniej przeciwko niemu starano się go usposobić; — począł Maciejowski — trudno się spodziewać, aby temu wpływowi oparł się o własnej sile. Lecz rzecz to nie nowa. Narzeczoną swą zna z listów, wie, że mu serce zawczasu przeznaczone przyniesie, że jest pobożnie przez matkę wychowaną. Nie daje nic znać po sobie... miłości młode zapomnieć się muszą, aleby dobrze było zawczasu im tamę położyć.

Król począł się marszczyć.

— Jak? — spytał krótko.

— Ze dworu królowej oddalić miłośnicę — szepnął cicho Maciejowski.

Zygmunt oburącz głowę objął; nie mówiąc nic, okazywał, jak wielką w tem widział trudność.

— Wydaćby ją zamąż, wyposażywszy; — dodał ks. Samuel — znajdzie się niejeden, co się o ładną lalkę pokusi...

— Nikomu jej dziś nie dadzą, — szepnął Zygmunt — nadto jest potrzebną. Musiałbym o nią rozpocząć wojnę.

— Nie moja rzecz intrygę zwalczać intrygą; — mówił dalej, ciągle szepcąc, Maciejowski — stan mój na to nie pozwala, charakter się tem brzydzi. Ktoś innyby to powinien dokonać i uwolnić nas od niej zawczasu.

Król długo nie odpowiadał, ale myślał zasępiony, westchnął razy parę i wkońcu zamruczał:

— Naco się to zdało? Alboż druga w jej miejsce podstawiona się nie znajdzie, gdy jej za narzędzie użyć będzie potrzeba? Jest ich dosyć we fraucymerze, co się chętnie podejmą kusić...

Zamilkł.

Ks. Samuel, jakby zwyciężony tym argumentem, milczał także; ale myślał, że popróbować usunąć tę, o której wiedziano powszechnie, iż młodemu panu najulubieńszą była, nie szkodziłoby jednak; wstręt miał wszakże do takich się uciekać sposobów, choć w pocziwej sprawie. Oręż to był nieprzyjaciół, nie jego.

Zwrócił się ku papierom i przerzucać je zaczął, przysposabiając się do podania ich królowi, który już do blisko stojącego kałamarza i pióra sięgnął, aby się przysposobić do podpisywania.

Podkanclerzy czytał treść każdego dokumentu, a często nie potrzebował nawet do końca jej dopowiedzieć, bo Zygmunt dawał mu znać, iż rzecz, o którą chodziło, pamiętał.

Dziwnem to było, że złamany na ciele i na duchu, często się zapominający w potocznych sprawach, gdzie o ważniejsze chodziło, Zygmunt budził się, jakby z uśpienia, i całą dawną żywość umysłu odzyskiwał.

Gdy niewieści krzyk i swar mu nie dokuczał, wracała pamięć, rozważa, rozum — starość czuć mu się nie dawała. Lecz teraz były to błyski pogody rzadko trwające długo, każda waśń z Boną, każda przeżyta godzina jej wyrzutów odbierały mu siły i pogrążały go w tej odrętwiałości, z której potem trudno mu się było dźwignąć. Naówczas wszystko przyjmował obojętnie, zimno, milczaco, zdając się mówić:

— Dziej się, co chce! Opatrzność niech rządzi! Stanie się, co Jej wola!

Temi nawet słowy, zniechęcony, odpowiadał czasem ks. Samuelowi, wyrzekając się walki, z której nie spodziewał się wyjść zwycięsko.

Tym bezsilnym chwilom zubożenia, z których umiejętnie korzystała Bona, winna ona była stopniowy wzrost swej władzy, i zwątpienie ogarniało przyjaciół

króla, przewidujących, że wkrótce ona jedna zawładnie wszystkim.

Młody król mieszkał na zamku, choć ten nadzór nieustanny, na jaki go wystawiał pobyt pod bokiem ojca i matki, ciążył dwudziestokilkuletniemu panu.

Litwini, domagający się oddawna, nalegający, aby go im dano na wielkie księstwo, mieli w nim chętnego, ale milczącego sprzymierzeńca. Więcej swobody pragnął i wyrwać się był rad dawno z pod opieki rodziców.

Któż wie? Król byłby zezwolił może, aby się zawczasu wprawiał do przyszłych rządów, aby pracował więcej, a mniej się rozrywał, ale królowa opierała się temu potajemnie, wymyślała tysiące niebezpieczeństw, była przeciwną ofierze choć najmniejszej części władzy, którą chciała sobie przywłaszczyć.

Czyniła o to zabiegi tak skrycie, iż syn nie domyślał się w niej przeciwnika, widział go w ojcu.

Matka zresztą najczulszą była dla niego, ale chciała, aby wszystko, co miał, otrzymywał z jej ręki, aby jej winien był wszystko.

Zygmunt August wychowany przez nią, choć miał kilku Polaków przy sobie, choć dwór jego z nich się składał, dzięki wpływowi i staraniom matki, wychował się raczej na książątko kosmopolitę, niż na polskiego następcę tronu. Nawykły do pieszczot, elegancji, oglądy włoskiej, do świata wytwornego, choć umysłowo rozwinął się jak najszcześliwiej, umiał wiele — najmniej był rycerzem tam, gdzie królowi przeważnie nim być przystało.

Przepowiednia owa starego szlachcica, gdy z pierwszej wyprawy królowa, strwożona doniesieniami, zawróciła go do Krakowa — przepowiednia, iż na wodza i rycerza nie urośnie, w pełni się ziściła.

August lubił księgi, muzykę, sztukę, wszystko piękne i wytworne, żołnierska sprawa była mu jeśli nie wstrętliwą, to obcą. Do łowów nawet, tej ulubionej zabawy Jagiellonów, której tak namiętnie oddawał się

Jagiello, Kazimierz, nawet stary Zygmunt, August nie czuł pociągu żadnego.

Pięknej i pańskiej postawy, oblicza poważnego i za wczesną jakąś tęsknotą łagodną obleczonego, miał w sobie wdzięk arystokratyczny starej krwi panów. Jagiellońska dobroć łączyła się w nim z umysłową bystrością Sforzów. Władzami ducha przechodził pewnie wszystkich swych poprzedników, lecz energii ich, siły i uporu mu brakło.

Matka zawczasu starała się go zmiękczyć, obezwładnić, aby nim rządzić — powiodło się to jej w zupełności...

Były to zresztą ostatki może lat najszcześniejszych życia Zygmunta Augusta, w których nic na nim nie ciążyło. Nie miał żadnych obowiązków... a matka starała się, aby wszelkie jego pragnienia młodzieńcze zaspokojone zostały.

Przysposabiał się do życia, nie przeczuwając w niem żadnej walki, lecz samo tylko rozszerzenie pragnień i swobodę używania...

Mógł marzyć, bawić się, słuchać lutnistów, uczyć się pieśni, wpatrywać we wdzięczne twarzyczki, które mu się uśmiechały, dobierać przyjaciół, jeżeli oni Bonie nie zdawali się niebezpiecznymi, fantazjom chwilowym dogadzać. Królowa pierwsza zawsze o nich wiedziała, aby z jej pomocą mogło się spełnić, czego pożądał. Życie upływało, jakby w jakimś półśnie rozkosznym. Trosk dotąd tak jak nie znał. O przyszłej swej żonie słyszał oddawna, pisywali do siebie, miała być piękną, lecz małżeństwo w początku zdawało się tak dalekiem, a do miłostek sposobność tak bliską.

Bona przez szpary patrzyła na zawiązywane i rozwiązujące się stosunki z pannami swojego dworu. Zawsze w porę znajdował się ktoś, co pomógł do uniknięcia skandalu, do zapewnienia milczenia. Zkolei piękna Dżemma była kochanką młodego króla, najpiękniejsza z dziewcząt, to mało, najwykształceńsza z nich: umysłem, dowcipem, talentami przechodząca o wiele swe współtowarzyszki.

Królowa od dziecka, widząc w niej nadzwyczajne zdolności, zajmowała się nią szczególnie. Miała mistrzów, nauczycielki, wychowywała się tak starannie, może świetniej, niż królowne. Z tamtymi obchodzono się dosyć surowo, ta była pieszczona.

Królowa, która umiała zużytkować wszystko, rachowała na nią, jako na ponętne narzędzie, które zawsze użytecznem być mogło... Nie miała może na myśli syna w początku, potem miłości z piękną Dżemmą przyszły jej w porę i na rękę.

Despotycznej zdawać się mogło, że potrafi, gdy zechce, pokierować niemi, zawiązać, gdy będzie potrzeba, rozwiązać łatwo, gdy się staną zawadą. Myliła się w tem jednakże, niedosyć znając charakter dziewczęcia, którego podstawę stanowiła duma i rozkołysana wyobraźnia. Była to Włoszka w całym znaczeniu tego wyrazu, z namiętnościami gwałtownymi i niepohamowanymi, z pojęciem idealnem o miłości. I piękność, i umysł, i talenty w jej przekonaniu powołać ją mogły choćby do tronu, a przynajmniej na jego stopnie.

Płochych miłostek Dżemma nie rozumiała; miłość ze sztyletem w dłoni, z trucizną w czarze, walczącą i gotową na śmierć.

Wykarmiona poezją włoską, pieśniarni włoskiemi, które o miłości mówiły jako o najważniejszej sprężynie żywota, Dżemma wierzyła w nią i czekała na nią. Przyszła do niej w postaci łagodnego, młodego, rozmarzonego królewicza.

August powoli skradał się do niej, jakby przeczuwał, że raz zawiązany stosunek nie da się łatwo rozwiązać... ale zbliżywszy, poznawszy ją lepiej, znalazł w niej kobietę swoich marzeń. Pierwsze jego miłości były płache i dziecinne, ta odrazu przedstawiała się tragicznie i nęciła tem właśnie.

Bonie się zdawało, że gdy Dżemma raz nie będzie potrzebną, łatwo się jej pozbędzie, jak innych, wdając zamięsz; trzymała na to gotowego, rozmiłowanego, majątnego Dudycza, który był i dostatecznie ślepy i jak należy zakochany. Dżemma patrzyła teraz na niego

z pogardą, ale wszystko to zmienić się musiało, gdyby stara królowa rozkazała.

Dosyć zawsze pieszczona Dżemma, teraz, gdy miała serce syna odciągnąć od młodziuchnej królowej przyszłej i została na to przeznaczoną, z nadzwyczajną troskliwością była pielęgnowana przez królowę. Wbijało ją to w pychę i utwierdzało w tem przekonaniu, że wielkie i świetne losy czekały na nią w przyszłości.

Nic nie uchodziło oka Bony, która szpiegów swych miała wszędzie, wiedziała więc o każdym kroku syna, o każdym słowie Dżemmy. Dudycz miał być ze dworu starego króla przesadzony do młodego pana, aby i on donosił o nim. To rozporządzenie nim było dosyć niezręczne, lecz Bona nie rozumiała, aby się jej kto mógł sprzeciwić... zresztą Dżemma po królewiczu była dla Dudycza jeszcze aż nadto wielkim skarbem.

Mieszkanie młodego króla łączyło się zbliska korytarzami z izbami królowej i jej fraucymeru. Przejście do Dżemmy było łatwe i nie narażało na spotkanie z nikim obcym.

Zygmunt August żył tu zawsze w oczekiwaniu jakiejś zmiany, bo mu wysłanie na Litwę obiecywano, jakby na obozowisku; ale do czasu musiał około siebie zgromadzić, co życie znośnem czyniło.

Lubił wszystko piękne, pokoje więc pełne były darów królowej i nabytków ciekawych różnego rodzaju, odznaczających się artystycznym wykończeniem. Zbroje, których nigdy prawie nie wdziewał, zachowane tu starannie, były arcydziełami kunsztu płatnerskiego, połączonego ze złotniczym. Szyszaki, napierśniki, złotem nasadzone, tysiącami dukatów opłacano dla niego.

Oprócz tego zbiory pierścieni, gemm, medalów, rzeźb małych stanowiły już mały skarbiec, który młody król namiętnie coraz nowemi nabytkami powiększać się starał. Cokolwiek się tu znajdowało, musiało się czemś niepospolitem odznaczać. Od szyszaków rytych i złożonych do mieczów, których rękojeści rzeźbione podziwiać trzeba było, jako cacka, do kobierców i po-

kryć na konie, wszystko prawdziwie królewskim jaśniało przepychem.

Szkatuły pozamykane, szafki zamcyste, skrzynie rzeźbione z drzewa na stołach zamykały te zbiory, któremi król lubił się bawić i chwalić się nimi przed poufałymi. W sypialni i komnatce przy niej, stoły oprócz tego zarzucone były księgami, tak zachowaniem, aby nie każdy mógł je przepatrywać i dowiedzieć się, co królewicz czytywał.

Tu nie każdy miał przystęp. Księgi sprowadzane z zagranicy, we wspaniałych, acz prostych oprawach ze skóry dzieczej, gromadziły się przy sypialni. Treść ich byłaby zdziwiła ciekawego badacza, tak nadzwyczaj urozmaiconą była. Począwszy od poezji do rozpraw teologicznych, do historycznych badań, było tam wszystko, co w obecnej chwili świat zajmowało. Pisma surowo zakazane niemieckich reformatorów, rozprawy Melanchtonów, Rotterdamusa, Lutra obok namiętnych traktatów politycznych obrońców katolicyzmu. Z załadek i znaków widać nawet było, że pierwsze z nich pilnie czytowane były.

Obok tego poeci włoscy, łacińscy, księgi o sztuce, opisy krajów, historie państw, nawet rozprawy o czarnoksięstwie znaleźć było można.

Zygmunt czytał wszystko, lub przynajmniej przeczekał tak, aby mu nic obcem nie było. Na dworze mało czuć się dawał ten prąd idej polemicznych, które wiodły z sobą walkę o swobodę sumienia. Właśnie w tych latach panowała jakaś cisza pozorna. Gamrat ustanowił inkwizycję. Spalono staruszkę Malcherową, wielu duchownym zagrożono... trwoga wywołała milczenie. Lecz pod tą ciszą łatwo się było domyśleć nurtujących potajemnie prądów, które tem były niebezpieczniejsze, im mniej się na oko pochwycić dawały.

Zygmunt Stary pobożnym był, nie będąc zbyt gorliwym; Bona modliła się i obchodziła z duchowieństwem na sposób włoski, posługując się niem i płacąc mu za to, ale wymagając posłuszeństwa. Z Rzymem wołała być dobrze, lecz nie żałowała go zbyt wiele;

a gdy tam nie mogła przeprowadzić, co chciała, łajala i żymała się namiętnie.

Pod takimi wpływami wychował się Zygmunt August, w rzeczach religijnych raczej obojętny i zimny, niż gorliwy.

Dopiero ruch reformatorski w Niemczech, który, jak fala, tłukł o granice Polski i wdzierał się tu pod najrozmaitszemi postaciami, obudził w młodym królu zajęcie tą polemiką, która go zabawiała. Lismanin, któregośmy widzieli u królowej, przebiegły Włoch, siedzący na dwu stołkach, a skrycie sprzyjający reformatorem, przychodził, ostrożnie badając stan umysłu króla, oswajając go powoli z gotującym się wielkim przewrotem w kościele.

Lecz jakkolwiek młody i żywy, król tak był w sobie zamknięty i ostrożny, iż w rozmowie nigdy poznać nie dał po sobie, gdzie się jego sympatje skłaniały.

Tak samo, jak tą teologją namiętą, zajmował się August chętnie muzyką, słuchając jej z przyjemnością. Naostatek miał jeszcze upodobanie w pięknych koniach, których nieczęsto dosiadał, ale lubił mieć osobliwe i już naówczas myślał o ich hodowli i stadach.

Takim, jakim był naówczas młody pan, można go było sądzić wielce obiecującym na przyszłość. Nad wiek poważny, dbały o każdy krok, nie rażący żadnym wybrykiem, umysłowo wykształcony, mógł zapowiadać znakomitego monarchę.

Szlachta i panowie polscy możeby go innym mieć byli woleli, otwartzym, więcej rycerskiego ducha, mniej ostrożnym Włochem, lecz odmówić mu nie mogli dojrzałości nad wiek i taktu.

Mało się czem zajmował, ale to nie było jego winą — nie pociągano go do pracy. Królowa starała się go od niej odsuwać, stary Zygmunt też nie powoływał.

Były to, bądź co bądź, lata szczęśliwej młodości dla młodego króla... mógł marzyć, zabawiać się, jak chciał, iść za swemi skłonnościami i upodobaniami, a jeśli ojciec mu skąpił i był dlań surowym, matka za to płaciła, starając się pozyskać serce i zaufanie.

Dnie upływały swobodnie. Często kilka ich ucho-
dziło, a August nie widział ojca, przychodził do niego
na chwilę, niewiele słów zamieniał, i powracał do apar-
tamentów swoich lub królowej.

Bona zato widywała syna nie raz, ale po kilka na
dzień razy, zapraszała go do siebie, starała się zaba-
wiać... Z rana przejeżdżał się konno, polował rzadko,
jadł z rodzicami lub matką, przeglądał swe kamienie
i medale, przyjmował tych, których królowa dla towa-
rzystwa jego dobierała. Wszyscy oni tem się odzna-
czali, że nigdy nie mówili z Augustem o sprawach pań-
stwowych, o polityce. Mało się też nią zajmował, lub
przynajmniej nie dawał znać po sobie, że go to pocią-
gało. Ale wzrok miał bystry, a w dzieciństwie prze-
szedł szkołę milczenia i umiał nosić w sobie największe
brzemiona, nie zdradzając ich ciężaru.

Tego dnia królowa zastała go nad księgą, którą
szybko złożywszy i zasunawszy między inne, na stole
nagromadzone, wyszedł na jej spotkanie.

Bony czułość dla niego zawsze się namiętnie obja-
wiała, jakby jego miała jednego. Dla córek, oprócz Iza-
beli, była surową i nieprzystępną, dla Augusta wylaną.

Oczyma, wszedłszy, przebiegła pokój, aby z naj-
mniejszej jakiejś oznaki poznać usposobienie syna...
Znalazła go smutnym, więc zapragnęła być wesolą...
usiłowała wyciągnąć na słowo jakieś, lecz nic się dowie-
dzieć nie mogła. Poleciała mu na dworzanina Dudycza,
chwaląc go, jako posłusznego sługę. August przyjął to
obojętnie. W chwilę potem, poszeptawszy jeszcze, bie-
gła napowrót do swoich pokojów.

Zaledwie wyszła, czując się już swobodnym, Au-
gust poprawił na sobie włoski strój czarny i cichemi
kroki przemknął się korytarzem do Dżemmy.

Siedziała znowu tak, jakeśmy ją widzieli, w oknie
małej komnatki swej, lutnia leżała przy niej i szycie
miała w ręku, choć nie zdawała się niem zajmować.
Zwróciła głowę, gdy drzwi się uchyliły, rumieńcem
oblała się twarz, wstała, śpiesząc na spotkanie króla,
który rzucił się, obejmując ją i przyciskając do piersi.

W tym niemym uścisku upłynęła chwila. Patrzyli sobie w oczy... Dżemma i on, oboje byli smutni, ale wielkie szczęście czasem się tak czarno ubiera umyślnie... Szeptali z początku tak, że ledwie sami się słyszeć mogli.

Dżemma poszła zwolna, wiodąc go za sobą ku krzesłu, a August obyczajem dawnym na podnóżku u kolan jej usiadł, patrząc w piękne oczy.

— Nieprawdaż? zdrowszą dziś jesteś? — szeptał król. — Uwierzyłaś, że nie masz czego się trwożyć?

— A! — przerwało dziewczę, machinalnie ręką białą sięgając ku leżącej blisko lutni, a drugą poprawiając pukle ciemnych włosów króla — a! niema miłości bez trwogi! Każdy skąpiec drży o skarby swoje!

— Bojaźńby szczęście zatrula, gdyby tak zawsze dręczyć nas miała — odparł August. — Szkoda dawać jej na pastwę chwil drogiech.

— A chwile te tak krótkie! — westchnęła Dżemma — obliczone, niestety!

Zmarszczył się król i ujął rękę jej w dłoń.

— Nie przewiduj gorszej przyszłości, niż się ona obiecuje — zaczął mówić. — Niestety, królowie żenić się nawet, tak jak żyć, muszą nie dla siebie, ale dla poddanych; zato małżeństwa ich serca nie wiążą. Zmusić mnie mogą do podania ręki przed ołtarzem, ale serca mojego nikt nie weźmie gwałtem... to do ciebie należy.

— Na długo?

— Na zawsze! — zawołał August. — Dopóki twoje dla mnie bić będzie, piękna Dżemmo!

Zwolna kołysać się zaczęła piękna jej główka, a uśmiech smutny błakał się po wargach.

— Dzielić się będę musiała z nią, — mówiła — a nienawidzę tej kobiety!

— To dziecko; — rzekł August — zabawiać ją będzie stary król, który podobno kocha bardzo synowę... a mnie zastąpi matka, która wie, co mnie szczęśliwym uczynić może, i żyje tylko dla mnie.

Gdy to mówił, wejrzenia ich się spotkały. Dżemma

zaczęła usta, Augustowi zdawało się, że w oczach jej znalazł wyraz wątpliwości i niedowierzania.

— Dżemmo! — zawołał. — Ty jej nie znasz, ty ją sądzisz, jak drudzy. Ona to czyni wszystko dla mnie, i jeśli się naraża ludziom, ja jestem przyczyną tego. Od kolebki pamiętam ją zawsze tak czułą, tak dla mnie wylaną. Siostry nawet zaniedbuje.

Włoszka nic nie odpowiadała, lecz wejrzenia jej nie okazywały, aby przekonana była.

— I ciebie — dodał król — winienem jej! Ona tak surowa dla innych, nam zostawia swobodę, nami się opiekuje... ciebie kocha jak dziecko własne.

Podniósł głowę ku niej, jakby się domagał odpowiedzi. Dżemma jeszcze milczała, westchnęła tylko.

— Daj Boże — odezwała się po przestanku — aby się to zmieniło... Widziałam nieraz królowę przechodzącą z miłości do nienawiści tak skoro, tak gwałtownie.

— Nigdy bez przyczyny; — począł król — oburza ją niewdzięczność, nie umie przebaczać zdrady... a my na dworze, wśród ludzi, których łaskami obsypujemy, wystawieni jesteśmy ciągle na niespodziewane ciosy... Bona po królewsku wdzięczną być umie, lecz też i po królewsku karze.

Wzdrygnęła się ze strachu jakiegoś Dżemma.

— My we dwoje — ciągnął król dalej — my się przynajmniej nie mamy czego obawiać, a wszystkośmy jej winni. Przyrzekła mnie bronić od przyszłej małżonki, z którą żyć nie będę zmuszony.

— A stary król? — spytała Dżemma.

— Ojciec nie zdoła nic, gdy królowa się oprze — mówił August. — Zmusi go ustąpić i pozostać obojętnym.

Myślała długo Włoszka, której lice rozjaśniło się nieco.

— Mówią, że was z nią, z nią — poczęła, z przyciskiem wymawiając ostatni wyraz — chcą wyprawić na Litwę... a ja? A mnie?

August głową potrząsnął.

— Ach, nie, — odparł — król jest temu przeciwny,

matka mnie obronić potrafi. Litwa się oddawna domaga w. księcia, ale polscy senatorowie obawiają się rządów osobnych. Kraje, połączone napozór, ciągle się rozdwarzają... trzeba unikać wszystkiego, co je rozdziela.

— Co za życie! — ręce podnosząc i zakrywając twarz niemi, przerwała Włoszka. — Drzę na myśl jej przybycia, tego wesela, tej niewoli. Widziałam jej portret u królowej, piękna jest i młodsza ode mnie!

— Nie! — gwałtownie zawołał August — ani krasy twojej, ani duszy twojej nie ma, dziecko trwożliwe... matka powiada, że chora i że słabość jej wstręt obudzić musi.

Ale dlaczego ty mnie zmuszasz — dodał — karmić się tą rozmową okrutną? Poco przewidywać? naco zawczasu goryczą się poić... Zaśpiewaj, marzmy!

I głowę złożył na jej kolanach.

— A, nie! To nie jest śpiewu godzina, — odezwała się, rzucając lutnię, Włoszka — ja nie mogę śpiewać, gdy w duszy mam lzy... ani nakazać sobie pieśni, gdy mi się serce ściska... nie, nie...

Król nie nalegał.

W milczeniu ujął jej rękę białą i całując palce po jednemu, lubował się tak, marzył, uśmiechał. Dżemma schyliła się nad skroń jego i złożyła pocałunek na niej.

Tak byli zatopieni w sobie, że żadne z nich ani dosłyszało, ani spostrzegło, jak cichutko podniosła się w drzwiach sypialni zasłona i ukazała się twarz Bony z oczyma iskrzącymi.

Królowa patrzyła na nich długo z radością jakąś, ostrożnie opuściła kurtynę i znikła.

W nieszczęśliwą godzinę biedny Petrek Dudycz podniósł oczy swe i serce swe skłonił ku Włoszce. Zdawało mu się, że dla ubogiej sieroty, która nic oprócz łaski królowej nie miała, jego osoba i majątność były czemś bardzo pojętnem.

Karykaturalnej postaci Dudycz, którego wyszukane stroje czyniły brzydszym i śmieszniejszym jeszcze, na wiele rzeczy był ślepym... a im dłużej się tak spóźniona

miłością rozgrzewał, tem mocniejszego nabierał przekonania, że ona mu piękną Dżemnię zjednać musi.

Przystęp do niej, jak do innych panien fraucymeru, wprawdzie napotykał trudności i przeszkody, lecz Petrek wiele ich podarkami i groszem umiał zwyciężać.

Nad polskim fraucymerem królowej miała naówczas dozór zwierzchni ochmistrzyni wdowa, niemłoda już jejmość, Klara Zamechska. Winna ona była to miejsce jedynie temu, że zamłodu obracając się w kołach mieszczan i kupców włoskich w Krakowie, których za Kazimierza dosyć tu napłynęło, nauczyła się nieźle po włosku.

Otyła, ociężała, ale zdrowa i silna Zamechska chodziła namarszczona, udając surową, starała się królowej przypodobać, ale ani Bona jej polubić, ani ona królowej pokochać się nie nauczyła. Obawiała się i nienawidziła jej.

Lecz, że obyczaj wymagał ciągłych zapewnień miłości, wierności, poświęcenia, ochmistrzyni miała je ciągle na ustach.

Dudycz, który znał dobrze dwór, nie znalazł sobie lepszego nad nią sprzymierzeńca. Wiedział, że Zamechska chciwą była, począł od obsypywania ją podarkami.

Baba kuta doskonale wiedziała, o co chodziło, śmiała się w duszy z poczwarnego eleganta... ale go nie odrzuciła. W zbliżeniu się do niego nie było niebezpieczeństwa, bo Dudycz miał pewne zachowanie u królowej.

Petrek znalazł wreszcie raz wieczorem zręczność rozmówienia się sam na sam ze starą ochmistrzynią.

— Jejmościuniu, — rzekł — śmiej się ze mnie, jeśli chcesz; powiesz może, że w starym piecu djabeł pali, ale com ja temu winien, że oczy mam i serce w piersi. Zakochałem się...

— We mnie? — odparła, biorąc się w boki, Zamechska.

Dudycz począł się śmiać i w rękę ją pocałował.

— W Dżemnie — szepnął.

Zamechska ręce załamala.

— A toś się wybrał! — rzekła. — Prawda, że późno, ale ci się zachciało smacznego kaska. Na całym dworze piękniejszej niemasz.

— Pewnie, — odparł z dumą Petrek — bo ja smak mam; ale ta piękność uboga jest, a ja, dzięki Bogu, węzelek sobie przysposobiłem. Sądzę, że królowa, pani moja najlaskawsza, nie będzie przeciwną.

— A dziewczyna? — spytała ochmistrzyni.

— Kto ją zgadnie? — począł Dudycz. — Raz patrzy, jakby się gniewała, czasem, jakby się litowała.

— No... a jakby się kochała — przerwała Zamechska — he?

Dudycz głową potrząsnął.

— Nie, — rzekł — ale toby może czasem przyszło. Jabym ją złotem obsypał, jabym.. — nie mógł dokończyć, ręce jego wyrażały tylko, że gotów był dla niej poświęcić wszystko.

Stara Zamechska miała czasem poruszenia dobrego serca. Żał się jej zrobiło tego człowieka śmiesznego, brzydkiego, który całe życie pracował na to, aby dla jednej dziewczyny, wyśmiewającej się z niego, patrzącej wysoko, wszystko, a może nawet i życie wkońcu stracił. Zbliżyła się do siedzącego i położyła mu rękę na ramieniu, litościwie spoglądając na niego.

— Słuchaj, Dudycz — rzekła — chyba oczów nie masz. Żyjesz na dworze, a nie widzisz tego, co wszystkim wiadomo... Dżemnę kocha młody król, ona szaleje za nim... nasza pani na to przez szpary patrzy. Gdzież tobie z nim się mierzyć.

Petrek słuchał nawpół osłupiały.

— Przecie się z nią nie ożenił — dodał, pomilczawszy.

Ochmistrzyni się rozśmiała. Dudycz dodał, spuszczać oczy:

— To co? Albo się ludzie z wdowami nie żenią?

Upór był nie do przełamania; Petrek począł dalej ciągnąć rzecz swoją.

— No, tak, pracowałem życie całe, uciulałem gro-

sza. Chodziłem w prostej opńczy dziurawej długo, a teraz widzicie, jak się stroję. Otóż na to pracowałem, żeby mieć wszystko, jak drudzy. Bławaty, aksamity, łańcuchy, woźniki, kolebki i żonę taką, aby mi jej ludzie zazdrościli. Innej nie chcę, jak ta, a tę muszę mieć, niechaj będzie, co chce...

I pięścią uderzył się w kolano.

— Cóż z tobą mówić — odparła ochmistrzyni. — Ja ci nic nie pomogę, ona teraz na ciebie patrzeć nie zechce.

— A potem? — zapytał Dudycz, podnosząc oczy.

Śmiała się Zamechska, patrząc na śmiesznie wystrojonego, brzydkiego, niezgrabnego człowieka; razem litość i śmiech ją porywał.

— Mam ja ci to tłumaczyć, — rzekła — czegoś się powinien sam być domyśleć? Królowej ona teraz potrzebna, aby młodego króla od tej żony, którą dla niego przywieźć mają, odciągała. Młody pan i stara pani nasza obsypują Włoszkę podarkami, ona teraz pierwsze oko w głowie... cóż ty możesz przeciwko nim?

Dudycz wstał z krzesła i zbliżył się do ucha prawie Zamechskiej.

— Nie takim ja głupi — odparł, zniżając głos i ręką osłaniając usta. — Królowa i młody pan będą ją pieścili, bo im potrzebna, ale stary król także coś znać: ks. Samuel, hetman, podskarbi także ręce mają... Oni pewnie się zechcą pozbyć Włoszki... he?

— A ty myślisz, że oni wszyscy, ilu ich jest, naszej starej Włoszce i młodej podolają? — odparła ochmistrzyni.

— Młoda królowa także coś będzie znaczyła — rzekł Dudycz.

— Więc żonę chcesz wziąć na upartego? gwałtem? a co ci potem będzie z niej? — spytała Zamechska. — Dasz jej radę?

Gburowata, głupowata twarz Dudycza przybrała na chwilę jakiś wyraz dziki i dziwny, błysnęły oczy, i Zamechska zrozumiała, że w tym człowieku, który się

układał na dworaka, był drugi ukryty... z wolą żelazną i nielitościwym uporem.

Petrek, milcząc, spuścił oczy.

— To moja sprawa — rzekł. — Mówilem jejmości: chcę mieć piękną i okazałą żonę... jak ją dostanę, to ją sobie ułożę.

— Znalazłbyś przecie łatwiej drugą — przemówiła Zamechska.

— Kiedy mi ta w oko wpadła — rzekł Dydycz. — Ja wiem, że niełatwo ją przyjdzie uchodzić, alem na wszystko gotów... na wszystko!

To mówiąc, z kieszeni płaszczyka Petrek zaczął dobywać coś starannie obwiniętego w jedwabną chusteczkę. Ochmistrzyni przypatrywała się tym przygotowanym z ciekawością.

Powolnie, systematycznie Dudycz rozwinął węzełek i dobył naprzód piękny pierścień z okiem, który, milcząc, sam włożył na palec ochmistrzyni. Nie opierała się temu i podziękowała mu skinieniem głowy i uśmiechem. Stara lubiła klejnoty, które wówczas zresztą wszyscy, mężczyźni i kobiety, nosili i cenili daleko więcej, niż dzisiaj.

W chustce było jeszcze jedno pudełko, które Dudycz otworzył niemal z poszanowaniem. W niem na dnie atlasowem leżała spinka, w złoto oprawny rubin duży, który sam przez się był cenny, ale wartość kamienia nikła przy cudnej oprawie. Poznać było łatwo w robocie tej rękę włoskiego mistrza, który z miłością i zapalem rzeźbił to dzieło. Kamień obejmowały dwie figury kobiet, które się go dźwigać zdawały. Ciała ich, lekkie draperje, wieńce kwiatów, oblatujące dokoła ramię, były z różnobarwnego złota, srebra i emalji.

Zamechska patrzyła zdumiona, a Dudycza twarz uśmiechała się triumfem.

— Myślicie, — rzekł — że tę fraszkę łatwo za psie pieniądze kupić było? Ho! ho! wioseczkęby może dostał za to, co mnie ona kosztowała. Królowaby się nie powstydzila jej nosić.

To mówiąc, z wolna zamknął pudełko i wręczył je ochmistrzyni.

— Znajdźcie sposób oddać to ode mnie pięknej Dżemie — rzekł. — Ja o nic wzamian nie proszę, nic a nic, nawet o spojrze nie. Chcę, żeby przyjęła i no siła.

— A jak nie przyjmie? — spytała Zamechska.

Rozśmiał się Dudycz.

— Nie byłaby Włoszką — rzekł. — Naprzód jej pokażecie, niech się przypatrzy, potem...

Dudycz wydał się ochmistrzyni nie tak głupim, jak wprzód.

— Nawet Bóg zapłać nie żądam — dodał. — Nie, tylko żeby czasem to cacko włożyła. Są klejnoty, które mają czarodziejską siłę...

Stara, która święcie wierzyła w czary, pudełeczko bojaźliwie postawiła na stole.

Petrek się uśmiechnął.

— Będę wam bardzo wdzięcz en, gdy jej to oddacie i powiecie tylko, że ode mnie, który jestem i będę jej sługą i niewolnikiem.

Ochmistrzyni milczała, nie miała już co mówić z upartym, który wszystko przewidywał, a niczem zrażać się nie dawał.

Dudycz też, jakby spełnił to, poco się tu wcisnął, pożegnał zaraz Zamechską. Miał już na myśli co innego. Otworzyły mu się oczy. Zamiast protekcji starej królowej, potrzebniejszą mu była daleko więcej pomoc tych ludzi, którzy przy starym królu stali, bo tym Włoszka miała się stać zawadą.

Dudycz miał stosunki z niektórymi, a szczególnie z Bonerem, który w sprawach żup solnych jako doświadcz onego radził się nieraz. Oprócz tego łączył ich z sobą stosunek inny, wąty wprzód, lecz teraz dla Petrka nabierający wagi.

W milczeniu, niepostrzeżenie prawie reforma Lutra szerzyła się w Polsce. W tej dobie, zwłaszcza na oddalonych krańcach, miała ona charakter wcale różny od tego, jaki przybrała później, gdy jawnie wybuchnęła.

W historii nowych religijnych idei za mało zwracają uwagi na ten perjod, który pierwsze symptomata prądu reformatorskiego dzieli do stanowczego zerwania z Rzymem.

Można śmiało powiedzieć, że w początkach trzy czwarte tych, którzy chwyтали chciwie idee nowe, jak je u nas zwano, nowinki, nie przypuszczało nigdy, ażeby one do zupełnego rozbratu z papieństwem i katolicyzmem doprowadzić mogły. Bardzo wielu duchownych, którym ciężyło narzucenie kortegjanów z Rzymu do beneficjów, rząd poza granicami, nadużycia różne, bardzo wielu marzycieli, którym religja zdawała się wymagającą oczyszczenia, uproszczenia, uczynienia popularną językiem i t. p., bardzo wielu humanizmem doprowadzonych do niewiary i teizmu; na koniec ogromny lik ludzi, co nie rozbierając nowości, na wędkę się ich pochwyć dają, cisnęło się do nowatorów. Nikt jednakże, rozprawiając o tem, dając schronienie apostołom reformy, z kościołem nie zrywał. Wielu ograniczyć się chciało na tem, co nazywało puryfikacją. Żądano wiele, lecz ograniczyliby się gardlując i mniejszemi ustępstwami.

Gamrat, który spaleniem Malcherowej i ustanowieniem inkwizycji zatrwożył nowatorów, na kilka lat wstrzymał jawne ukazanie się protestantyzmu... Spiskowano pocichu, wielu na dwu stołkach siedziało, Boner, Decjusz sprawiali urzędy syndyków przy kościołach katolickich, a w domach swych dawali gospodę apostołom, przybywającym z Niemiec.

Znaczna część duchowieństwa młodszego, zwawszego umysłem, a nie mającego nic lub niewiele do stracenia, biegła słuchać predykantów i żwawo roztrząsała zasady, przez nich głoszone.

W poufałych kółkach, szczególnie niemieckiego pochodzenia mieszczan krakowskich, było modą rozprawiać o bałwochwalczej czci obrazów, o spowiedzi, o obrzędach, o bezżeństwie księży i t. p.

Prąd ducha czasu jest jak owe burze wielkie, które obalają gmachy, ale podnoszą też tumany kurzu.

Tak samo i wielkie umysły porywają idee i najpłytsze zawracają. Niejeden idzie wprost za drugimi przez naśladownictwo, tak samo, jak sprawia czapkę i pas nowym krojem.

Dudycz, który nagle został elegantem i nosił włoskie suknie, chcąc się do przyzwoitych ludzi zbliżyć, począł szukać nowatorów i z nimi zawiązywać stosunki. Propaganda ich czyniła przystępnymi.

Człowiek majątny, który w swoich dobrach na wsi mógł dać schronienie jakiemu zbiegowi, pobudować zbór, postarać się o druk księgi, był pożądaną zdobyczą. Dudycz miał wszystkie te warunki, a w dodatku zdawał się dosyć ograniczonym, tak, że nim zawładnąć było można.

Przez któregoś z dworaków, bo tych wielu chadzało na reformatorskie koncyljabuła, Dudycz się wcisnął pomiędzy spiskujących. W istocie nie można ich było wówczas nazwać inaczej. Kryli się jeszcze, przysposabiając umysły starego króla, ale nadewszystko Zygmunta Augusta.

Lismanin, którego suknia mnisza długo od podejrzeń broniła, mający wstęp do starej królowej, przez nią się wwiódł do młodego pana, umiał mu przypodobać, stał się potrzebnym i przygotowywał go do uznania wolności sumienia, jako dopełniającej swobody prawami poręczonemi narodowi.

Dudyczowi wiadomem było, że w domu Bonera przy Florjańskiej ulicy, za wielkiem pierwszym podwórce, na tyłach, w miejscu mniej dostępnem i widocznem, w izbie bardzo przestronnej zbierali się pozyskani w nowej wierze uczniowie. Odbywały się tu ciche modlitwy, narady i rozprawy, tu zwykle przybywający z Niemiec stawiali gospodą, albo się o nią dowiadywali.

U Bonera, który napozór katolikiem był i miał nawet wziętość u ks. Samuela, a unikał rozmów drażliwych, ogniskowały się wszystkie zabiegi protestantów, przygotowujących do lepszej, jak sobie obiecywali, przyszłości.

Kamienicę tę znał Dudycz, ale pewna obawa wstrzymywała go dotąd od uczęszczania na nowe nabożeństwa, a w rozprawach chyba jako słuchacz mógł uczestniczyć — i naprawdę niewiele go one obchodziły. Człek praktyczny myślał tylko o tem, jak z każdej sposobności dla siebie skorzystać.

Tym razem nie do zboru, ale do pana Seweryna Bonera zbliżyć mu się było potrzeba. Obrachował, że jako sprzymierzeniec mógł służyć tym, co popierali sprawę młodej królowej. Rozumował po gburowsku, zprosta, i szedł też prosto do celu.

Zmierzchało już, gdy znalazł się przy ogromnych wrotach kamienicy, w której się mieściły kancelarje czynnego Bonera, jego dwór, rodzina, domownicy i skarbiec. Ruch tu zawsze był wielki, bo Boner miał niezmiernie rozgałęzione stosunki, interesy ogromne i rozliczne, a zajmował stanowisko wyjątkowe. Szlachta go miała za swego, mieszczenie widzieli w nim brata i wodza, bo z ich stanu wyrosnął. Był to zarazem pan, majątkiem magnatom równy, urzędnik skarbowy, mający zaufanie króla, kupiec i handlarz, a jak na owe czasy i bankier, bo przez niego najpewniej przesyłały się pieniądze w najdalsze kraje. Mało który cudzoziemiec zawitał do Krakowa, nie mając do niego listu polecającego, karty na odebranie pieniędzy.

Wszystkim wiadomem było, że ta potęga stała po stronie króla Zygmunta Starego, ks. Samuela i hetmana. Boner nie wojował jawnie z Boną, czynił jej nawet małe przysługi, lecz tak się ujął, jak ona chciała, nie dawał.

Dudycz potrzebował się z nim rozmówić. Wchodził właśnie we wrota, gdy spotkał młodego, znajomego sobie mieszczanina Krieglera, który, spojrzawszy nań tylko, ujął go pod rękę i z sobą poprowadził, nie pytając nawet, poco i do kogo idzie.

Dudyczowi zdawało się, że i on pewnie Bonera szuka. Dopiero w połowie podwórza, gdy ciągle jeszcze szli dalej, dowiedział się od Krieglera, który mu to szepnął na ucho, iż właśnie miało się odbywać nabożeństwo

wieczorne. Ponieważ na niem spodziewał się zobaczyć Bonera, a przytomnością swą polecić mu i zyskać ufność jego, Dudycz się dał poprowadzić.

Izba, przeznaczona na ten zbór tymczasowy, znajdowała się w samej głębi drugiego podwórza na pierwszym piętrze, na które po ciemnych schodach drapać się było potrzeba. Szło z nimi razem osób kilka. Nie sprawdzał nikt, kto wchodził i czy miał prawo znajdować się tu, bo się zdrady nie obawiano. Czujność wielka, uspiona kilkoletnim spokojem pozornym, ustała.

Weszli do przyciemnionej sali, którą teraz dopiero kilku świecami zaczęto oświecać. W głębi stał stół, okryty kobiercem i białym obrusem, a na nim krucyfiks srebrny. Żadnego zresztą obrazu, godła, sprzętu zwykłego miejscom modlitwy widać nie było. Oprawna w skórę biblja leżała pod krzyżem.

W sali było już osób kilkanaście, które oczekiwać się zdawały — jedne siedząc na ustawionych we dwa rzędy ławach bez poręczy, drugie pocichu rozmawiając gromadkami. Twarzy przytomnych trudno było z początku rozpoznać w mroku, ale więcej, niż połowa przytomnych tu miała na sobie odróżniające ich od świeckich suknie duchownego kroju. Barwa czarna dla mężczyzn i kobiet była w tej epoce wielce używaną i modną, ona więc sama nie stanowiła różnicy... ale płaszcze, birety, pasy, sutanny, a nawet tonsury wskazywały duchowieństwo. W znaczniejszej części byli to ludzie młodzi, a buta i gorączka patrzyła im z twarzy. Oglądali się niespokojnie, zdradzając trochę obawy, nadrabiając miną zuchwałą.

Dudycz, którego Kriegler u drzwi opuścił, został sam, a wszedłszy niemal mimowoli i zbyttniej nie mając ciekawości, usiadł sobie na ławie.

Zwolna pusta izba napelniać się zaczęła, a rozproszeni goście zajmować miejsca na ławach. Petrek postrzegł zdala i Seweryna Bonera, i znanego wszystkim Justa Decjusza, i kilku innych przywódców.

Po upływie ćwierć godziny, w sposób bardzo prosty rozpoczęło się owo zapowiedziane nabożeństwo. Zanu-

cono psalmy po niemiecku, niebardzo jednak głos podnosząc. Czuć było, że się nie chciano zdradzać. Śpiewy szły niedosyć sforno i nie potrwałszy, ustały. Naówczas mężczyzna czarno ubrany, w sukni długiej, przypominającej krój duchownej, wystąpił za stół przed krucyfiks i mówić rozpoczął. Głos jego w początku był cichy, twarz blada, oczy nieśmiało biegały po słuchaczach, ale wnet rozgrzał się i własnymi słowy i okazywanem mu jawnie współczuciem. Oczy wszystkich chciwie były zwrócone ku niemu, niektórzy na palcach z dalszych ław do bliższych się przesuwali, aby lepiej słyszeć mogli. Kaznodzieja mówił po niemiecku, Dudyczowi język ten nie był całkiem obcym, lecz rzecz cała dla niego zbyt ponętną się nie wydawała — pozostał więc na swej ławie zdala, i z mowy ledwie kilka frazesów mógł pochwycić.

Predykant przybyły z Wittenbergji, gwałtownie występował przeciwko despotyzmowi Rzymu, powtarzał wszystko, co przeciw papieżowi naówczas głoszone, starając się je oczernić i uczynić wstrętnem. Mówił o Kościele Chrystusowym, o idealnym grodzie Bożym, o przyszłej szczęśliwości świata odrodzonego i oczyszczonego z bałwochwalstwa. Wkońcu jakiś szał proroczy nim owładnął i to, co mówił, stało się prawie niezrozumiałem. Apokalipsis, wyciągi z ksiąg proroczych, zastosowane do czasów nowych, fantastyczne obrazy ognistemi rysy piętnowały się w umysłach słuchaczów.

Wrażenie było ogromne, a gdy skończywszy, uznajony apostoł zamilkł... cisza zapanowała grobowa i choć inni mówcy zapowiedzeni byli, nikt się odezwać nie śmiał.

Po długich szeptach i naradach zanucono pieśń dziękczynną także po niemiecku i na tem skończył się ów obrzęd wieczorny.

Dudycz spostrzegł, jak potem kołem otoczono bladoego predykanta, który jeszcze będąc pod wpływem natchnienia, jakie mu kazanie jego dyktowało, ocierał czoło i ust prawie otworzyć nie mógł.

Niektórzy z duchownych zbliżyli się ku niemu. W sali poskupiały się gromadki. Wszyscy byli pod naciskiem tych wyrazów natchnionych, widocznie napęłniały ich one jak najlepszymi dla przyszłości tego kościoła nadziejami.

Petrek patrzył, słuchał, lecz naprawdę pragnął, aby się to wszystko jak najprędzej skończyło i żeby wychodzącego stąd gospodarza przyłapał. Ale ten był tak obłożony, że Dudycz wkońcu postanowił się wymknąć i czekać na niego w dziedzińcu.

Tu już tak się ciemno zrobiło, że po chwili przeniósł się do bramy i długo czekać musiał, nim nareszcie spostrzegł idącego Bonera, którego pośpieszył pozdrowić.

Roztargniony podskarbi niebardzo nań zważał i byłby pominął, gdyby Petrek nie szepnął mu, iż chce z nim mówić na osobności.

Boner, mąż w sile wieku, pańskiego oblicza, postawy pięknej, zmierzył go od stóp do głów oczyma, jakby pytał: co on, biedny człeczyna, z nim *privatim* mieć może do czynienia? Ale śnać przypomniawszy sobie, iż sam go kilkakroć używał do porady w sprawach żupy i kazał mu iść ze sobą do mieszkania.

Wewnątrz kamienica tego bogacza i możnego dygnitarza nie ustępowała najwspanialszym domom książęcym. Zbogaceni mieszczenie lubili okazywać, że razem z fortuną nabyli upodobania pańskie, więc przepych był wszędzie. A że stosunki dozwalały im z zagranicy, z krajów przemysłu i sztuki z łatwością i szybko sprowadzać wszystko, zaledwie nowości kosztowne gdzieś się zjawiały, wnet się tu znaleźć musiały.

Przeszedłszy szereg izb tak strojnych, że Dudyczowi jak obraz zaczarowanego jakiegoś pałacu mignęły przed oczyma, Boner wprowadził go do małej komnatki, która do poprzedzających ją izb wspaniałych wcale nie była podobną.

Tu oprócz stołu, kilku krzeseł i ław dokoła, a rzeźbionej szafy, nie było nic. Włoska lampka olejna czekała na gospodarza, stojąc na stoliku, zarzuconym kar-

tami papierów, listów i księgami wąskimi a długimi, zawierającymi rachunki.

Panu Bonerowi jawnie było pilno, wskazał siedzenie Dudyczowi, i z obojętnością wielkiego pana, który rad zbyć się natrętnego klienta, rzekł do niego:

— No, Dudycz, cóż ty mi przynosisz ze dworu? Masz co do mnie?

Petrkowi jakoś wytłumaczyć się narazie było ciężko; niewymowny, szukał po głowie, od czegoby miał począć.

— Ja do w. miłości w mojej własnej sprawie przychodzę — odezwał się nieśmiało.

— Mówże, proszę.

— Chciałbym, — dodał Dudycz niezgrabnie — chciałbym się żenić...

— A któż ci broni? — śmiejąc się, odparł Boner. — Jesteś pełnoletni oddawna.

Zaczerwienił się Dudycz.

— Ale bo — rzekł — idzie tu o pannę z fraucymeru królowej jnci.

— I chcesz, aby ci król jmc był swatem — począł wesoło Boner. — Ale, Dudyczu mój, to ci rychlej zaszkodzi, niż pomoże. Stara pani nasza dąsa się na nas.

— Ja to wiem, — począł Dudycz, widocznie skłopotany tem, jak przystąpić do sprawy — ale właśnie się tak rzeczy składają, że moje ożenienie królowi staremu będzie bardzo na rękę, więc myślałem, że mi do niego pomoże.

— Królowi? twoje ożenienie? — rozśmiał się Boner, zgóry spoglądając na biednego, zafrasowanego penta. — Nie rozumiem, mów jasno.

Dudycz zniżył głos i począł nieśmiało:

— Mówią, że młody król na tę samą pannę rzucił okiem i że królowa, aby go od przyszłej małżonki odstręczyć, patrzy na to przez szpary... hml...

Boner zrozumiał, ale się zmarszczył.

— Mówisz o pięknej Dżemie? — zapytał.

Głową potwierdził Dudycz, a uśmiech politowania prześliznęła się po ustach pana podskarbiego.

— Żal mi cię, mój Dudycz, — rzekł — ale na miłość, jak na śmierć, lekarstwa nie masz!

Poruszył ramionami i zamilkł.

— Czegoż tedy właściwie chcesz? — odezwał się po dość długiej przerwie, w czasie której Dudycz nie zebrał się tłumaczyć jaśniej. — Król nie ma mocy nad fraucymerem żony; jeżeli Bona sobie tego nie życzy, Włoszka owa także pewnie młodego króla będzie wołała, niż starego dworzanina... w czymże my ci pomóc możemy?

Petrek podniósł oczy.

— A jeśli staremu panu dokuczy to, że młoda królowa, przybywszy, źle będzie przyjętą... bo młody król, gdy się rozkocha, nie zechce do niej przystać? Juści-byście się Włoszki pozbyć radzi zawczasu, a ja ją gotów jestem wziąć!

Boner słuchał, ale obojętnie i dumnie.

— Wiesz, Dudycz, — rzekł wkońcu — rachunek twój niegłupi, to prawda, ale przeciwko nam, to jest przeciwko najjaśniejszemu panu naszemu, może kto chce używać broni intryg nikczemnych, podstępów i zdrady, on nigdy, nawet w obronie najświętszych praw, tej podłej broni nie użyje. Stara królowa niech czyni, co chce, spodziewamy się ją zwyciężyć w sposób bardzo prosty i jasny, młode małżeństwo usuwając z pod jej wpływu. Naostatek, mój Dudycz, łowisz ryby przed niewodem, wszystko to tylko projekty i domysły.

Przykro było Dudyczowi taką obojętną odpowiedzią zbytemu z niczem odchodzić... siedział jeszcze zadumany. Boner tymczasem z innego tonu, poufalej rozpoczął mówić do niego.

— Żal mi cię, mój stary, — rzekł — bo wcale już młodym nie jesteś, że się ważysz na prawdziwe szaleństwo... Poco ci to? Padniesz w każdym razie ofiarą.

— A kiedy komu to miło! — odparł Dudycz. — Dziewczyna mi się haniebnie podobała... chcę mieć taką piękną, żeby mi jej wszyscy zazdrościli. Na to całe życie pracowałem, abym miał za co szaleć na starość!

Rozśmiał się Boner.

— Znałem takiego — odparł — co widząc człowieka, zarzucającego sobie pętlę na szyję, aby się powieścić, stał, patrzył i ani się ruszył, a powiadał potem: wolna wola jego, kiedy mu życie obmierzło!... Jabym ci też to powinien rzec!

Dudycz skłonił się niezmiyszany.

— Wątpię, abyś Włoszkę miał za sobą, jeżeli młodemu panu w oko wpadła — odezwał się podskarbi.

— Teraz pewnie na mnie patrzeć nie będzie, ale poczekawszy — rzekł chłodno Dudycz i na chwilę zamilkł, kończąc potem:

— Poczekawszy, panie podskarbi... jam nie prorok, ale powiem panu, że i król stary, i wszyscy wy będziecie radzi, że ja ją sobie zechcę wziąć. Otóż ja zawczasu się polecam...

To mówiąc, skłonił się.

Boner, który go znał i nigdy o nim wielkiego nie miał wyobrażenia, teraz taki był zdumiony i miłością tą, i cierpliwą jej rachubą, i przewidywaniami Dudycza, że stał moment, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Zwierzyłeś mi się, — rzekł wkońcu — ja ci za to nie mogę inaczej zawdzięczyć, jak dobrą radą: nie rozplataj zawczasu niepotrzebnie, co wkońcu sam może później będziesz musiał porzucić i zaniechać.

Energicznie podniósł głowę Petrek.

— Nigdy w świecie — odparł stanowczo; — ja co sobie raz postanowię, panie podskarbi, to muszę dokonać. Mało nie trzydzieści lat o chlebie i wodzie pracowałem, żeby się dorobić grosza... no, mogę lat kilka starać się o taką żonę, jaką sobie mieć zapragnąłem.

Skłonił się, mówiąc to, i wziął za beret włoski, który był na krześle położył.

Boner patrzył za odchodzącym w milczeniu. Poruszył ramionami i tak się rozstali.

W znanej nam pięknej komnatce z oknem na szerokie błonia za Wisłą siedziała następnego poranku piękna Dżemma, ale dnia tego wyglądała całkiem inaczej. Twarz miała świeżą, rozweseloną, odmłodzoną,

uśmiechającą się, dumną... promieniała zwycięstwem. W rękę trzymała robótkę, jedwabną chustkę, którą wyszywała we wzory, ale myślała o czem innem, a wzrok jej niekiedy zwracał się na komnatę, w której widać było rzuconą na poręcz krzesła sztukę atlasu różowego, cudnej barwy, i wiązkę złotych forbotów, przeznaczonych do jej przyozdobienia. Tuż na stoliku leżał przepiękny różaniec z koralów, oprawny misternie w złoto. Były to, jak się łatwo domyśleć można, dwa świeżo otrzymane podarki. Ale nie one może tę wesołość na lica wywołały, coś więcej miała w duszy, gdy tak zwycięsko na świat patrzyła. Kiedy niekiedy srebrnym głosem, ale zcichą próbowała nucić włoską jakąś piosenkę, lecz myśli jej przerywały.

Wtem zaszeleściło od strony drzwi, które do sypialni prowadziły, i weszła młoda, piękna, ze śmiałym czarnym oczu wejrzeniem dziewczyna. Rysy twarzy świadczyły, że Włoszką była i choć młoda, już postradała przedwcześnie tę dziewiczo-dziecięcą świeżość i urok, jakim Dżemma czarowała. Namietny wyraz tłumaczył prędkie rozstanie się z młodością. Pomimo to była i czuła się jeszcze bardzo piękną, a wdzięk stracony zastąpiła pewnośc siebie i jakaś zuchwałość, która też ma wielką siłę. Szła na palcach, jakby Dżemkę pochwycić na czemś chciała...

Typ to był zupełnie odmienny, a najpospolitszy pod włoskiem niebem; bujny włos kruczej czarnośc, nieco kędzierzawy, oczy jak węgle, brwi bujne, usta koralowe, pełne, owal twarzy wdzięczny, formy bogate, i już rozwinięte nieco zanadto może. Biała, bez rumieńców prawie, w twarzyczce miała wypisaną nieustraszoną odwagę, energję i jakby urąganie się ze świata. Usta i oczy piętnowały usposobienie namietne.

Po chodzie musiała ją Dżemma odgadnąć, rzuciła robotę, podniosła oczy, czekała...

— Pracowita pani z ciebie — zawołała szydersko przybywająca, której oczy padły na różowy atlas i koralową koronkę i usta się uśmiechnęły. — Trzebaż było choć te dary pochować.

— Chcę się niemi nacieszyć — odparła Dżemma — a kryć się z niemi nie myślę.

— Szczególniej przede mną — szydersko i ze śmiechem zawołała czarnooka, która już w białych paluszkach trzymała atlas, a wejrzeniem pożerała złote forboty. Szczególniej przede mną, — powtórzyła — która to wszystko wiem na palcach, bo... bom i ja to przeżyła, opłakała...

Dżemmy brwi się ściągnęły.

— Bianco moja, — odezwała się dumnie — nie wiem, czy to, coś ty przeżyła, czeka mnie, ale mi się zdaje, że między tobą a mną jest wielka różnica.

Blade lice Bianki zarumieniło się nieco.

— Sądzisz? — podchwyciła — a! zobaczymy wkrótce, moja droga! Naco ci mam krótkie dni szczęścia zatruwać...

Wypuściła z rąk atlas.

— I ja odbierałam takie podarki, atlas tylko był innej barwy, a różaniec z kamieni...

Rozśmiała się szydersko, lice Dżemmy powlokło się chmurą.

— Zazdrościsz mi! — szepnęła.

— Nie, już teraz nie, — rzekła Bianka — bo wiem, że te rozkosze nie mogą trwać i że je potem łzami zapłacić potrzeba, a raz płakałam już długo, długo... i ze łzami poszła miłość!

Ręką w powietrzu pokazała, jakby ptaszek uleciał.

— On był naówczas młodszy — poczęła po małym przestanku — a taki namiętny!... Zaprzysięgał kochać mnie całe, całe życie... a jam wierzyła w to święcie... Tymczasem Carita dorastała i wypiękniała, a na koniec i tyś, najpiękniejsza z nas, zakwitła... Jam była zawsze pewną, że ten los cię spotka...

Dżemma, słuchając z początku cierpliwie, wkońcu rzuciła robotę ruchem namiętym.

— Nie mów mi tego — zawołała. — On wie, że z mojem sercem tak, jak z waszemi, igrać nie można... Ono raz tylko w życiu może kochać...

— Dżemmo, — odezwała się spokojnie Bianka — moje też kochało raz, a teraz się bawi.

— Mojeby pękło, gdybym miała być zdradzoną — przerwała Dżemma.

Bianka spojrzała na nią z politowaniem, zbliżyła się do niej z powagą starszej, objęła w pół i lekki pocałunek złożyła na jej czole.

— Siadaj, — rzekła — uspokój się; jestem niepo-czcziwa, że cię poję tą goryczą, lecz tak mi żal biednej Dżemmy zawczasu!

Włoszka siadła znowu w oknie jak wprzód i spara-ła się na rękę zadumana. Tymczasem Bianka kręciła się po komnatce, zaglądając wszędzie, przypatrując się wszystkiemu. Na chwilę rozmowa została przerwana.

Bianka Giorgi miała już rozpocząć ją na nowo, gdy ciężki chód dał się słyszeć u drzwi od korytarza, uchyliły się one ostrożnie i okrągła, rumiana, rozlana twarz ochmistrzyni Zamechskiej w nich się ukazała.

Dżemma, jako Włoszka, nie należała do jej wydzia-łu, mało widywała i niebardzo lubiła... Domyślała się więc jakiegoś szczególnego powodu tych odwiedzin, które przyjęła dość zimno.

Ochmistrzyni mówiła wprawdzie po włosku.

— Tak dawno, dawno nie widziałam Dżemmy — rzekła, wchodząc, — iż mijając jej drzwi, nie mo-głam się oprzeć pokusie... Pozwolisz się pozdrowić?...

Ulubienica młodego króla i starej królowej była te-raz tak z pochlebstwy oswojoną i do dworowania sobie przywykłą, że ją to nic nie zdziwiło. Przyjęła wymu-szonym uśmiechem ochmistrzynię.

Bianka, której brwi się ściągnęły, bo musiała mieć jakiś wstręt szczególny do Polki, zakręciła się tylko i wyszła.

Zamechska usiadła na pierwszym krześle, najbliż-szem okna.

— Ślicznie mi wyglądasz dziś, moja królowo — odezwała się do Dżemmy — choć ty zawsze jesteś tak piękna!

— A wy tak łaskawi! — szepnęła kwaśno Włoszka.

Nie wiodło się z rozmową. Ochmistrzyni wspomniała o kilku dnia tego wypadkach, o tem, co królowa rozkazała, co na jutro się gotowało, o pannach, wyznaczonych na służbę... Dżemma milczała, główką potrząsając.

Tymczasem zwolna, jakby odniechcenia, Zamechska poczęła z bocznej dobywać kieszeni pudełeczko, które zwróciło na siebie uwagę Dżemmy.

— Ty, co piękną będąc, lubisz i umiesz cenić wszystko, co piękne, — poczęła zwolna ochmistrzyni — powinnaś zobaczyć to cacko... Właściwie zaszłam do ciebie tylko, aby ci je pokazać. Co też ty powiesz na nie?

I zwolna otworzywszy pudełko, Zamechska na kolanach Dżemmy położyła ową spinę z rubinem, którą jej wręczył Dudycz.

Włoszka nie się pewnie nadzwyczaj pięknego nie spodziewała, zwróciła oczy obojętnie, lecz po chwili uchwyciła pudełeczko i wpatrzyła się zachwycona w maleńkie arcydzieło. Klejnot ten na chwilę ją rozchmurzył.

— Prześliczna — zawołała, kładąc na kolanach pudełko.

— A! ja się na tem nie znam tak, jak wy — odparła ochmistrzyni — ale i mnie się zdawało, że to klejnot, godzien królowej.

— I zapewne należy też do najjaśniejszej pani — przerwała Dżemma.

Zamechska głową potrząsnęła.

— A czyż to jest? — spytała ciekawie.

Uśmiech jakiś niewytłumaczony dla Włoszki przebiegł po szerokich wargach Zamechskiej.

— To moja tajemnica, — rzekła — ale że u mnie niema gdzie nawet schować tak drogich rzeczy, tymczasem zostawię spinę u ciebie. Będziesz mogła przypatrzeć się jej i nacieszyć.

Wejrzenia ich spotkały się, podziwienie się odmalowało na twarzyczce Dżemmy... — Milczała.

— Co to ma znaczyć? — zapytała.

Namyślała się Zamechska z odpowiedzią dość długo.

— Hm! — rzekła — toby mogło znaczyć, że ktoś się w tobie kocha gorąco, szalenie i radby bóstwo swoje przystroił, ale się lęka przystąpić do niego.

Dżemma natychmiast pochwyciła pudełko, zamknęła je i, milcząc, położyła na rękach ochmistrzyni.

— Ja podarków nie przyjmuję — rzekła sucho.

— Nawet gdy za nie dziękować nie trzeba? — dodała, uśmiechając się, Zamechska — możesz nawet nie pytać, kto ci to przesyła.

— Nie jestem ciekawa — odezwała się Dżemma.

Pudełeczko leżało zamknięte, stara jejmość otworzyła je znowu, wyjęła spinkę i podnosząc ją w palcach przeciwko światłu, całą jej piękność starała się ukazać. Zwolna oczy Dżemmy spuszczone zwróciły się na prześliczne cacko i spoczęły na niem długo.

— Bądź co bądź, — mówiła Zamechska, składając nazad spinkę na atlasowe posłanie — będę cię prosiła, piękna Dżemmo, abym spinkę mogła przynajmniej zostawić u ciebie. U mnie tyle się ciekawych dziewcząt kręci, a ja tak zapominam zamykać, otwieram tak często...

Dżemma nie mówiła nic, ale usta się jej skrzywiły dumnie.

— Królewski podarek — szepnęła ochmistrzyni i, wstawszy z krzesła, położyła pudełko na stole obok różańca.

Oczy Włoszki szły za nią, nie zaprotestowała przeciwko temu. Starej zdawało się, że, o ile mogła i umiała, spełniła, co jej zlecono. Nie obiecywała więcej. Klejnot miał w rękach Dżemmy pozostać, i czarowna jego siła powoli działać na kobietę, dla której był przeznaczony.

Uśmiechem i poruszeniem głowy pożegnawszy siedzącą, zadumaną Włoszkę, Zamechska z pośpiechem, nie dając jej czasu na odpowiedź, wyniosła się za drzwi.

Zaledwie się one za nią zamknęły, gdy Dżemma wstała ze swego w oknie siedzenia. Zbliżyła się żywo

do stolika, pochwyciła pozostawione pudełko, dobyła z niego spinę i powróciła z nią do okna.

Teraz dopiero mogła się przypatrzeć ze wszelkimi szczegółami temu arcydziełu nie złotnika, ale rzeźbiarza, który maleńkim figurkom taki wdzięk i takie umiał nadać życie. Zapomniała pewnie o pochodzeniu tego tajemniczego podarku, cała była przejęta zachwytem. Spinka wydawała się jej niezrównanej piękności.

Po długiem obracaniu jej na wszystkie strony szła już złożyć do pudełka z westchnieniem, gdy w otwartych nagle drzwiach ukazał się powracający z przejażdżki Zygmunt August, w czarnych, włoskiego kroju, sukniach, w płaszczyku na ramionach... piękny, a tak królewsko wyglądający, iż w nim każdy musiał domyślać się pana.

Nim Dżemma miała czas schować spinę, król młody już ją zobaczył. Był on miłośnikiem wielkim drogich kamieni i wytwornych, kunsztownych robót złotniczych, których później ogromne po nim zostały zbiory.

Widok klejnotu w ręku tej, której on tylko teraz miał prawo przynosić podarki, zdumiał go i zaciękał. Postąpił żywo i pochwycił spinę, a uśmiech po ustach mu przeleciał.

— Nieprawdaż? cudnie piękna! — zawołał. — Znam ją, bo mi przynoszono na sprzedaż, ale była za droga, a ja bez pieniędzy. Więc dobra matka moja kupiła, aby kochaną Dżemmę w nią ustroić. O! jakże wdzięczem jestem...

Włoszka się zarumieniała mocno, lecz nie śmiała, czy obawiała się zaprzeczyć odrazu... milczała; August trzymał w ręku spinę i oczy mu się do niej śmiały.

— O! ci Włosi, — zawołał — ci Włosi... co są za kunsztmistrze; żaden naród w świecie nie pochlubi się takimi, jak oni, malarzami, rzeźbiarzami, rękodzielnikami. Ani Francuzi, którzy piękne też robią cacka, ani Hiszpanie, których broń bywa cudną, walczyć z Włochami nie mogą.

Król położył spinę na stole, a oczy zwrócił na

Dżemmę, która spragniona wejrzenia tego czekała. Obejrzał się dokoła, przyciągnął ją ku sobie i pocałunek złożył na ustach...

— Czekają na mnie, — szepnął — dowidzenia, wieczorem...

Aż do progu towarzyszyła mu Włoszka... jeszcze jedno pocałowanie, i sama wróciła do — nie do okna i siedzenia, ale do spinki zaczarowanej. Wzięła ją w ręce. Dziwne myśli płątały się po główce...

— Dla młodego króla spinka była za drogą! — mówiła sobie — a ten ktoś nieznany kupił ją... dla mnie!

Któż to być może! Bogaty więc. Może który z książąt, co na dworze bywali, co ją widywali przy królowej? Ostrogski jaki? śląskie książętko, czy niemieckie?

W myśli przebiegała ich wszystkich, ale obojętnie, szydersko, bo sercem i duszą była z Augustem. Naco jej byli ci wszyscy panowie, ci rozmiłowani książęta, miała jego jednego, a ten starczył na całe życie... Była pewną jego serca, kochał ją mocno.

Wtem na myśl przyszła jej Bianka i zarumieniła się z gniewu i dumy.

Jak ta dziewczyna śmiała swoje płochy miłości z młodziuchnym królewiczem porównywać do tej miłości wielkiej, poważnej, poprzysiężonej, która ją, Dżemmę, łączyła z królem, która nigdy ustać nie mogła!

Co ją to obchodziło, że go ożenić miano. On nigdy kochać nie mógł, ani żyć z żoną. Narzucono mu ją, zadano gwałt — był królem, musiał to uczynić dla korony, dla starego ojca.

W Bonie miała Dżemma taką opiekunkę, matkę, obrończelkę. A potrzebaż jej było innego sprzymierzeńca nad własny uśmiech i wejrzenie, nad siłę, jaką miała?

Piosenka wyrywała się z piersi wesoło...

Patrzyła na spinę jednakże i mówiła sobie, ot tak przez ciekawość pustą — ktoby to mógł być taki?

Zgadywała, ale odgadnąć nie mogła.

Potrzeba było spytać Zamechską, która tajemnicy czynić z tego nie potrzebowała.

Zaczęła klejnot układać znowu na jego atlasowem posłaniu, chciała zamknąć, ale się go napatrzeć nie mogła, taki był śliczny.

Wypadałoż go zatrzymać? Trzeba go było oddać?

Nie żądano zań nie a nic... więc dlaczego nie miała zachować podarku. Wejrzenie jej padło razem na piękny różaniec koralowy, który się wydał pospolitym i ubogim. Nie mógł iść w porównanie z rubinem, który miał w sobie coś gorącego, jak ludzkie spojrzenie.

Dobłą godzinę przemarzyła Dżemma sam na sam ze spinką, i tak jakoś z nią się poprzyjaźniła, tak się do niej przywiązała, że się już wydawało niepodobieństwem ją zwrócić.

August król był tak roztargniony, tak mało zazdrosny, że pewnie już ani mógł spytać o pochodzenie podarku tego. Wyobraził sobie, że był ofiarą starej królowej, i więcej się pewnie o to nie troszczył. Tylko przy Bonie spinkę wziąć i pochwalić się nią nie było można. Oko starej królowej widziało wszystko i wiedzieć musiała wszystko, co się tu działo. Onaby się nie dała zbyć domysłem, spytałaby i doszła, kto przysłał, a może pogniwiała się? Ale czyż królowa sama podarków nie brała?

Wieczorem miał przyjść król, jak zwykle, ale przed tą godziną spodziewała się Dżemma Zamechskiej, którą wypytać chciała. Coś jej mówiło, że przyjdzie.

W istocie przed zmrokiem wsunęła się stara z uśmiechem na szerokich wargach.

— A co, królowo moja — rzekła. — Przypatrzyłaś się tej śliczności?

Dżemma nie tuiła zachwycenia.

— Prawda! — zawołała — cudnie ładne cacko, ale gdybym nawet miała ochotę je zatrzymać, cóż powiem królowej, królowi? Zwróć na nie oczy.

Ochmistryni się zadumała.

— Mnie się zdaje, — rzekła — że byleś chciała

i umiała, król pomyśli, że to dar matki, a królowa, że dar syna... Nie zmuszą cię do tłumaczenia...

Czulej, niż zwykle, Włoszka zbliżyła się do Zamechskiej, wdzięcząc się do niej, jak dziecię pieszczone.

— Ale wy powiecie mi, od kogo ten dar pochodzi? — szepnęła.

— Siądzmyno, — odparła ochmistrzyni — ja jestem ociężała, cały dzień na nogach i stać mi trudno. Mam z tobą mówić otwarcie?

Dziewczę głową rzuciło co żywo.

— A, proszę cię!

Pochyliła się ku niej Zamechska.

— Miarkujesz, że taki podarek książęcy wielkiej miłości dowodzi. Czy ona tobie miła czy nie, czy za nią zapłacisz, lub nie dasz nic... co ci ona szkodzi? Mieć w zapasie miłość mężczyzny, choćby dla przyszłej zemsty... zawsze rzecz dobra. Kochanek może nie podobać się wcale, ale zda się dlatego!

Westchnęła ochmistrzyni.

— Tobie dziś o tem mówić, wiem, że cię oburzy, — dodała — ale jam stara, przeżyłam wiele. Wierz ty mi, królów miłość nie trwa długo...

Dżemma się oburzyła.

— Miłość nie równa miłości! — zawołała.

— Tak, moja droga, ale i najgorętsze się kończą, a która z nich najżywiej się pali, tem się prędzej w popiół obróci... Króla młodego ożenią.

Włoszka potrzasała głową.

— Przysiągł... nie opuści mnie!

Zamechska zamilkła.

— Powiedz mi tylko, kto przysłał ten podarek? — zapytała Włoszka.

Stara się mocno zakłopotała.

— Jeżeli, sądząc z niego, będziesz go szukała wysoko, — rzekła — to się omylisz srodze. Człowieczek mały, biedny, ale cię kocha okrutnie.

— Mały! biedny! — powtórzyła Dżemma, i brwi się jej zmarszczyły, a usta dumnie wyduły.

— Mały, biedny... i śmiał oczy podnieść na mnie! —

zawołała zcicha, wlepiając wzrok w posadzkę, jakby w niej szukała słowa zagadki.

Ochmistrzyni przestała mówić.

— Któż taki? kto? — nalegała Dżemma — ja trafić nie mogę.

— Bo nie wiem, czyś nawet kiedy na tego biedaka spojrziała, a jednak zawróciłaś mu głowę. Cóżby to było, gdybyś chciała go sobie pozyskać? Naówczas nie spinę dałby dla ciebie... życie. Mieć człowieka tak odanego sobie... a! Dżemmo! to coś warto.

Włoszka podniosła się z siedzenia z powagą królowej.

— Dla mnie? — odparła dumnie — ale, zapominasz, że ja mam za sobą królowę, która tu jest wszechmocna, i młodego króla, który, jeśli nie ma jeszcze w ręku berła, to jutro je mieć będzie! Nacóż mi inni pomocnicy?

— Jeśli ty nie przewidujesz, aby ci byli potrzebni, — odezwiała się Zamechska — cóż ja ci mam mówić?

— Chcę jednak wiedzieć, kto mi spinę przysłał — nalegała Dżemma.

— Dobrze, z jednym warunkiem, — rzekła ochmistrzyni — jeśli mi dasz słowo, że ją, bądź co bądź, zatrzymasz... On żadnej nie żąda wdzięczności, nie, nie!

— Zgoda — wesoło odpowiedziała dziewczyna. — Co mi tam! Klejnot bardzo ładny, choćby człowiek, co go ofiaruje, był brzydki.

— Zgadłaś — odparła, śmiejąc się też, stara. — Juściż musisz wiedzieć o Petrku Dudyczu?

Krzyk wyrwał się z piersi dziewczyny, która załamała ręce. Ten śmieszny, niezgrabny, wystrojony na pokaz i pośmiewisko, stary, gburowaty dworzanin, z którego dwór cały drwił sobie... ten śmiał na nią podnieść oczy!

Gniew i oburzenie nie dało jej mówić. Chciała biec po pudelko, aby je rzucić pod nogi Zamechskiej, która patrzyła na nią cierpliwie.

— Nie gniewajże się! — rzekła. — Słońce i żabom świeci! Śmieszny jest, ale pan całą gębą. Niejeden

z tych, co tu paradyją, jak magnaci, nie wyrówna mu zamożnością. Możesz z podarku wnosić, że o pieniądze nietrudno.

— Ale ja nie chcę znać ani jego, ani bogactw tych— zawołała Włoszka zrozpaczona. — Nie zniosę, aby się miał zbliżyć do mnie, nie pozwalam, aby na mnie pa-trzył! nie, nie...

— Tego trudno mu zabronić, — przerwała Zamechska — ale od ciebie on nic nie żąda.

To mówiąc, ochmistrzyni, która za pierścień się wy-placiła, wstała, nie chcąc dłużej przedłużać rozmowy. Poszeptała coś cicho Dżemmie i wyszła, a spinka zo-stała.

Co się później działo z Dżemmą, aż do tej godziny uroczystej, gdy wystrojona z lutnią w rękę przyjęła wchodzącego pocichu młodego króla, ile razy wzdry-gnęły się jej białe ramiona na wspomnienie Dudycza, jak sobie obiecywała przy pierwszej zręczności wzro-kiem go spiorunować... jak postanowiła zniechęcić i odstręczyć, opowiadać nie będziemy.

Nazajutrz Petrek wiedział już, że podarek przyję-ty został i zatarł ręce wielce szczęśliwy, jakby mu nie szło o nic więcej.

Ochmistrzyni razem nie kryjąc się przed nim, opo-wiedziała, jak go przyjęto, jak dziewczę było dumne, nieprzystępne, i jak mało mógł się po niem spodziewać.

Wszystko to na Dudycza zdawało się bardzo małe czynić wrażenie. Miał jakieś własne swoje pojęcia, pla-ny i rachuby. Dziękował ochmistrzyni, jakby mu naj-większą wyświadczyła łaskę.

Z jednej strony rachując na zachowanie dobre u sta-rej królowej, z drugiej na pewne stosunki z ludźmi otaczającymi króla... mając obietnicę umieszczenia u boku młodego pana, wahał się teraz, do jakiego obo-zu przystać było najkorzystniej. Sympatji szczególnej nie miał do nikogo, przedewszystkiem kochał siebie.

Iść pod wodzą pana Bonera przeciwko Bonie i mło-demu królowi mogło coś obiecywać, ale Włoszki się

obawiał. Z Boną trzymać, znaczyło, że musiał długo czekać, nimby Dżemma jej stała się niepotrzebną.

W tej niepewności jak dawniej tak i teraz pozostał na stanowisku neutralnem, aby wypatrywać, czekać, a pierwszą zręczność nadającą się zużytkować.

Wiedział, że za kilka miesięcy przybyć miała młoda królowa... Walka rozpocząć się musiała natychmiast po jej przyjeździe, a pociągnąć długo nie mogła, bo Bona powoli działać nie umiała... Król był stary i coraz słabszy...

Nie tał przed sobą, że ciernistą drogę miał do przebycia; ale gdy spojrzał zdala na to cudo piękności, które miało być trudów nagrodą, powiedział sobie: Będzie moja!... i żadna ofiara nie zdała mu się za wielką!

Wszyscy mieli Dudycza za człowieka bardzo ograniczonego; trudna i niezgrabna, jak on sam, mowa jeszcze mocniej przekonanie to utwierdzała, żartowano sobie niemal z jego głupoty. On sam nigdy się za rozumnego nie miał, ale czuł, że teraz jakaś gorączka, napół ambicji, pół miłości, nadawała mu siły i rozum, jakich nie miał nigdy.

Patrzył na ludzi i zdawało mu się, że ich nawskroś widział i rozumiał, obmyślał plany i czuł, że nie były najgorsze. Nie odznaczały się one wymysłami zbyt skomplikowanymi: proste były niezmiernie, lecz znajomość pospolitej natury człowieka służyła im za podstawę. To pewne, że kto na słabości ludzkie, miłość własną i próżność, chciwość, pragnienie zemsty i t. p. rachuje, ten się rzadko myli.

Dudycz też nie był teraz tak głupim, jak go sądzono.

Parę razy pokazał się przy dworze starego króla, do którego zawsze jeszcze się liczył, nawijał się na oczy Bonerowi i innym, ale nikt go tu nie potrzebował, ani nawet raczył na niego spojrzeć. Poszedł więc na przesmyku czatować, ażali stara królowa okiem na niego nie rzuci, nie powie mu dobrego słowa... To mu się powiodło lepiej.

Bona wiedziała wszystko i zdaje się, że miłość śmie-

sznego Dudycza dla pięknej Dżemmy nie była dla niej tajemnicą, może więc już teraz rachowała na niego, gdy się Włoszki pozbyć będzie potrzebowała.

Znała syna, przewidywała, że miłości te ostygną i skończyć się muszą. Naówczas Dudycz służyć mógł na to, aby się pozbyła ciężaru. Czy z tego powodu, czy że potrzebowała sług wielu, a oderwać ich chciała przeciwnikom, królowa okazała Petrкови twarz łaskawą.

Przechodząc w parę dni potem około niego, stanęła.

— Masz tam co do czynienia przy królu? — spytała.

— Tam mnie nie potrzebują — odparł Dudycz.

Bona głową skinęła i poszła, ale upłynęło sporo czasu, a zapytanie to żadnych nie wydało owoców. Petrek regularnie przychodził na zamek, najdziwniej ubrany, jakby śmiechy chciał wyzywać, stawał to tu, to owdzie w oczekiwaniu rozkazów, nikt mu ich nie dawał. Do wieczora męczył się tak, błędząc po antykamerach, przysiadując na ławach, ofiarując posługi, których nie przyjmowano; najczęściej późno powracał do miasta, kogoś sobie potrzebnego zaprosiwszy na wino.

Unikano Dudycza, bo jego towarzystwo ośmieszało ludzi, co z nim trzymali, lecz ci, co potrzebowali pieniędzy, przypochlebiali mu się. Dudycz, gdy wyrachował, że datek się opłaci, dawał, choć oszczędnie.

Od czasu ofiarowania pięknej spinki Dżemmie, chociaż Włoszka wzgardliwie, ostro, dumnie patrzyła na niego i widocznie unikała, Petrek, niezrażony, uparcie się jej nastęczał.

Łajała go czasem; — kłaniał się — a nazajutrz miała znowu przed sobą tę niezgrabną postać z małym nosem, szerokimi ustami i chudym wąsem na przestronnem polu. Wielce ją to niecierpliwiło, gniewała się, a wkońcu Zamechskiej powiedziała, aby Dudyczowi zakazała tego prześladowania. Mówić do niego o tem było to groch rzucać o ścianę, słyszał, ale nie słuchał.

Spinka była przyjęta.

Dudycz łamał głowę, coby teraz miał posłać takiego, tak pięknego i ponętnego, ażeby Włoszka na żaden sposób odmówić przyjęcia nie mogła.

Wiedział, że drugi podarek trudniej daleko będzie jej narzucić, niż pierwszy, a stał przy swoim, że ujmie piękną dziewczynę książęcemi podarkami.

Sam on nie znał się tak dalece na wyrobach kunsztu i nie umiałby być może odróżnić włoskiej roboty od domowej, ale miał Włocha artystę, którego ujął był sobie. Kazał mu szukać znowu co najprzedziwniejszego klejnotu. Nie zbywało naówczas na nich w Polsce, bo stosunki z Włochami i handel wszelkiego rodzaju wyrobami ożywiły. Z Wenecji i Genui płynęły tak misterne filigranowe łańcuchy, pasy, naszyjniki, pierścienie. Zwyczaj dawania podarków przedaź ich zapewniał; wielu możnych miało takie w klejnotach upodobanie, że niemi całe skrzynie zapelniało.

Łatwo więc przyszło Dudyczowi, który na to pieniądze nie żałował, napatrzyć pas filigranowej roboty, tak piękny, iż się ludzie oglądać go zbiegali. Był bardzo drogi, ale Petrek nie dbał o to, chodziło mu, aby nie miał równego. Zkolei więc z dziesiątek uproszonych znawców prowadził, aby pas ocenili i powiedzieli, jak się im wydaje. Wszyscy uznawali go arcydziełem. Dudycz potargował się trochę, zapłacił i zabrał. Łamano sobie głowy dla kogo? A że niemłody był i niezgrabny, wyśmiewano się z niego.

Jednego ranka Zamechska zobaczyła go wchodzącego znowu. Zaczął od tego, że po przywitaniu złożył jej w ofierze kilka par drogich naówczas, szytych misternie, wonnych i bardzo ozdobnych rękawiczek. Poznała zaraz, że czegoś od niej żądać będzie.

— W. miłość jużś raz mi okazała łaskę swoją... ja znowu cisnę się pod jej skrzydła...

— A! panie Pietrze, — żywo odparła stara — skrzydeł nie mam, a co się raz udało, to drugi już pewno się nie powiezie.

Dudycz głową potrząsnął i dobył z pod płaszczyka pudelko; nie mówiąc słowa, otworzył je i pokazał zło-

cisty pas — istne cudo. Zdawał się z cieniuchnych jak włos nici upleciony, wydzierzgany, wyhaftowany. Każde kółko, każde ogniwo, każda cząstka tyle miała w sobie splotów, zgięć misternych, fantazyjnych linii, że oko się w tem gubiło. Jakiej to pracy i cierpliwości, ile czasu było potrzeba, aby z tych cząsteczek, tak ślicznie i starannie wykonanych, utworzyć dzieło tak bogate i rozwinięte szeroko!

Zamechska stanęła osłupiała i zamyślona.

— Jak ten człowiek ją kocha! — myślała sobie.

Dudycz uśmiechał się.

— A co? — rzekł. — Albo dar niewart królowej? Niech się nim zabawi, ja nic za niego nie chcę, nic... nawet, żeby na mnie spojrzała; niechaj tylko wie, żem uparty...

— Ale do czegoż ci to — rzekła zafrasowana Zamechska — kiedy tem sobie serca nie pozyskasz?

— Co waszej miłości szkodzi, że się głupi człek durzy? — odparł pokornie Dudycz. — Byle przyjęła. Byle się nim opasała, ja więcej nie chcę nic...

— Toć ludzie zobaczą! — zawołała Zamechska.

— Pomyślą, że ją król tak stroi — odparł Dudycz.

— A król?

— Król na to zważać nie będzie.

Ochmistrzyni się wahała jeszcze, gdy Petrek w rękę ją pocałował, pudelko porzucił i poszedł.

Stara nie miała odwagi iść z tym darem. Dumiała i namyślała się długo.

W południe, gdy panny wszystkie były przy królowej, stara ochmistrzyni ostrożnie się wkradła do komnaty Dżemmy, pudelko położyła na stole i wysliznęła się niepostrzeżona.

Wkrótce potem piękna Włoszka wróciła do swego mieszkania. Siadła w oknie odpoczywać, była smutna i nierychła, szukając roboty na stole, spostrzegła pudelko.

Z niecierpliwością otworzyła i krzyknęła z podziwu i radości. Takiego właśnie życzyła sobie; filigranowy ów pas — było to jej marzenie!

— Król był i musiał go zostawić! — zawołała, kładząc w dłonie.

Ubrała się natychmiast. Tak przypadał jej do pasa, do sukni, do miary, jakby robiony był dla niej. Chciała w nim wieczorem przyjąć Augusta.

Lecz jakież było zdumienie pięknej Dżemmy, gdy August zimno, a nawet trochę gniewnie oświadczył jej, że nie on ten pas tu położył, że wcale nie wiedział o nim.

Królowa dać go nie mogła, był zanadto kosztowny, a ona zwykle małemi podarkami zbywała nawet najulubieńszych sobie.

Późno już niespokojna pobiegła do Zamechskiej. Ochmistrzyni była do tych odwiedzin przygotowaną.

Włoszcę twarz paliła się z gniewu... może nie, żeby ją podarek obraził, ale że musiała go odrzucić, nie przyjąć, a tak szkoda było pozbyć się tej ozdoby, którą przez chwilę miała już za swoją.

Zamechska się zaparła. Nie wiedziała o niczem.

— Może być i najpewniejsze to, że on ci go przysłał, — rzekła — nikt inny, ale nie przeze mnie. Użył kogo innego... Ja o tem nic nie wiem, a ty siedź cicho. Schowaj go i nie łam sobie głowy.

Rozprawiwszy się burzliwie z ochmistrzynią, Włoszka z pasem wróciła do siebie. W nocy myślała i przeżywała długo. Bona, która wiedziała o wszystkim — prędzej, później i o tem się dowiedzieć musiała. Nie pozostawało nic, tylko wyznać prawdę i poddać się rozkazom. Ona miała osądzić winowajcę.

Codzień prawie rano królowa sama obchodziła mieszkania żeńskie dworu swojego, gdzie nic jej oka nie uchodziło. U Dżemmy siadała czasem odpocząć chwilę, ta była w łaskach teraz.

Zaledwie królowa zajęła miejsce zwykle, gdy Dżemma u kolan jej uklękła. Miała skargę, żal wielki do powierzenia swej pani. Opowiedziała otwarcie o zabiegach Dudycza, o tem zuchwałem narzucaniu podarków, prosiła o karę na przestępcę.

Zimno wysłuchiwała opowiadania Bona, i kazała so-

bie naprzód pokazać klejnoty, na których widok okrzyk zdumienia z ust jej się wyrwał. Umiała doskonale ocenić ich wartość. Potrząsała głową i uśmiech szyderski zakończył wykrzykniki i pochwały.

Gniewu nie okazała najmniejszego.

— Schowaj to; — rzekła — nigdy podarków, zwłaszcza tak pięknych i kosztownych, odrzucać nie należy. Co ci to szkodzi, że stary szaleje za tobą!

— To mi dokucza! To niemal mnie śmieszną czyni! — odezwała się Dżemma. — Ściga mnie oczyma, chodzi za mną, miłość jego mi uwłacza!

Bona słuchała zimno.

— Chcesz się go pozbyć na czas jakiś?

— A! radabym na zawsze! — odparła Dżemma.

Dziwnie spojrzała na nią królowa.

— Nie zważaj na niego — dodała; — tymczasem ja się postaram o to, abyśmy z Krakowa się go pozbyli. Naganić mu nie mogę, że się w tobie kocha... miłość wszelką przebaczyć potrzeba. Szkoda, że taki brzydki i stary!

Łzy stanęły w oczach Dżemmie.

— A ja żadnej miłości nikogo na świecie nie potrzebuję — odezwała się.

Bona wstała, nie odpowiadając jej na to, przeszła w milczeniu komnatę i zostawiła ją samą.

Wieczorem Dudycz stał na przesmyku, aby się królowej pokłonić i przypomnieć, i sądził, że go pominie, jak zwykle, gdy Bona zatrzymała się i skinęła, aby się zbliżył.

— Przyjdiesz do mnie jutro rano!

Miałoli to oznaczać łaskę, czy przeciwnie, skarce nie może, Dudycz nie odgadł. Twarz starej Włoszki nie zdawała mu się zbyt gniewną. Łamał sobie głowę domysłami i raniuteńko był w przedpokoju.

Tu czekać musiał dosyć długo, nim go po innych wielu wpuszczono.

Bona siedziała w swem krześle ogromnem rannem, poduszkami obstawionem, z głową zawiniętą czarną chustą koronkową, z nogami wyciągniętymi na wysła-

nym wysoko podnóżku, w rękach przebierając papiery, któremi stół, przy niej stojący, był zarzucony.

Szydersko popatrzyła na sirwożonego nieco Dudycza, który na to ranne posłuchanie ustroił się również pretensjonalnie i dziwacznie, jak zwykle na pokoje. Strój ten od fizjognomji zestarzałej i brzydkiej odbijał w sposób rażący, czyniąc ją śmieszną.

W chwili, gdy się spodziewał napomnienia może, Petrek usłyszał głos dosyć łagodny.

— U króla nie masz pono co robić, — rzekła — jest ich tam bez ciebie dosyć; a mnie trzeba pewnego posła. Prosiłam, aby mi cię użyć pozwolono. Pojedziesz z listem.

Tu królowa jakby naumyślnie się wstrzymała. Pojedziesz z listem, mogło oznaczać zarówno kilkomilową podróż i najdłuższą w świat wędrówkę. Dudyczowi opuścić teraz Kraków było tak okrutnie trudno. Lecz królowej się sprzeciwić, starać wymówić nie było sposobu.. Najmniejsza rzecz ją obrażała... Dudycz się skłonił.

— Pojedziesz z listem — powtórzyła po chwili.

I znów nastąpiło drażniące niepewnością milczenie. Stał biedny, jak na żarzących węglach.

Dokąd miał jechać?

— Przygotuj się do podróży — dodała Bona — a potem przyjdź po list. Pojedziesz do Wiśnicza, do Kmity, lub gdziekolwiek on jest, bo i w Przemyśle może przyjdzie go szukać. Musisz mi przywieźć odpowiedź.

To powiedziawszy, królowa wzięła papier inny, a Dudycz wyszedł, oddychając wolniej. Podróż do Wiśnicza była bardzo małą przejażdżką, a w każdym razie Kmity nie mógł być daleko.

Cały dzień ten Dudycz poświęcił swemu wyborowi w drogę. Nadchodziła zima, czas był do jazdy niezbyt miły, ani też wygodny, ale odległość niewielka. O Kmicie, gdzieby on nie był, naówczas w Krakowie z pewnością się dowiedzieć nie mógł. Mówiono różnie.

Dudycz w każdym innym razie mógł śmiało wycieczkę tę odbyć z jednym konnym sługą, ale jako poseł królowej i jako możny człowiek, pragnął wystąpić przyzwoicie. O ile dotąd skąpił i latał stare opończe (które zamknawszy się sam na sam i teraz donaszał), o tyle jako zbogacony ziemianin ziemi krakowskiej, a przyszły mąż pięknej Włoszki, pragnął świetnie się okazywać, aby nikt nie wątpił, że do możnych należy. Jak cię widzą, tak cię piszą, powtarzał sobie.

Zamiast więc jednego pacholka, brał jezdnych pięciu i rodzaj jednostajnej barwy, jednakie rzędy na konie, oręż i t. p. musiał im obmyśleć. Na rzeczy szedł wóz, okryty skórą, w którym mieściło się, co było potrzebnem do podróży i dla wystąpienia na pokojach.

Kmitę znał dotąd Dudycz z tego wielkiego rozgłosu, jaki miało jego imię, z opowiadań, które o nim krążyły, zdaleka go widując, gdy w Krakowie przebywał. Chociaż z listem tylko od królowej jechał do niego, przystęp do człowieka takiego, jakim głoszone Kmitę, wcale tak prostą rzeczą, jak się wydawało, nie był.

Kmita już naówczas był jedną z osobistości najwybitniejszych, najgłośniejszych w Polsce, którą jedni wynosili pod niebiosa, drudzy czynili warcholem zuchwałym i niebezpiecznym. On i hetman Tarnowski, nieprzejednani wrogowie, wiedli z sobą walkę, która, o ile hetmanowi była obrzydłą i nieznośną, o tyle Kmicie dogadzała, bo go podnosiła.

Można powiedzieć o tym panu, że on pierwszy w nowych dziejach wewnętrznych Polski uosabiał całą butę zuchwałą magnata-szlachcica ze wszystkiem, co ona miała w sobie szlachetnego i zgubnego. Nienasyconej ambicji, niezrównanej dumy, wszędzie i zawsze pragnący być pierwszym, Kmita nie wzdragał się torować sobie drogę do tych stopni, których chciał dosięgnąć mieczem i krwią. Gdzie nie mógł dojść godziwymi środkami, gotów był dobijać się sposobami najniegodziwszymi. Miał czy nie słusność, kto mu się

opierał, tego zwyciężyć musiał, bodaj to nie wiem co kosztować miało.

Dla rozgłosu, dla sławy, dla potęgi tak samo ponosił ofiary, czyniąc dobrze, pomagając ludziom, zakładając klasztory, wyposażając duchownych. Lecz z drugiej strony, po nadaniach dla kościołów i zakonów, nazajutrz przez chciwość, bo był żądny grosza zawsze, zabierał dziesięciny, zajeżdżał pola, grabił majątki duchownych. Pieniądze jednego dnia rozrzucił z marnotrawnością niezmierną, nazajutrz rabował najcyniczniej.

Czysta, wspaniała, bohaterska postać spokojnego hetmana Tarnowskiego, górująca ponad innemi tego czasu, ten ideał wodza i obywatela, był dla niego solą w oku. Postawiony obok Tarnowskiego, w istocie musiał się wydawać Kmita przy całej swej potędze magnata, jakim został po śmierci brata, warchołem tylko i awanturnikiem.

Gdyby nawet zmienił obyczaj na potrzebne umiarkowanie, wspomnienie wybryków młodych lat ciążyłoby na nim i prześladowało go. Ale ani temperament wiekiem nieposkromiony, ani nałogi nabyte, ani naostatek ludzie, którymi się otaczał, nie pozwalali mu się odmienić.

W Przemyślu drżało cokolwiek z nim sąsiedowało i teraz, a dwór Kmity, złożony z ludzi po większej części wywołańców, znano niemal jako szajkę rozbójniczą. Nie było między nimi ani jednego, któryby głośnym nie był z kilku popełnionych morderstw, ni jednego, któryby opuszczony przez Kmitę, nie godził się pod miecz katowski. Protekcja i osłona marszałka dawały im jednak bezpieczeństwo. Rozumie się, że on, życie ich trzymając w swem ręku, rozporządzał też nimi, jak chciał, i że na rozkaz jego musieli być gotowi na wszystko.

Dla pokazania mocy swojej Kmita tak samo teraz dawał na dworze schronienie wszystkim, co byli w walce z władzą duchowną i Kościołem. On się opiekował Orzechowskim ożenionym, on wychowywał Marcina

z Opoczna i Krowickiego. Nie zrywał z katolicyzmem jednakże, liczył się do gorliwych nawet, lecz gdy szło o popis potęgi, gotów był na wszystko. Jemu bezkar- nie uchodziło najpoczwarzniejsze urąganie się z prawa.

W człowieku tym, jak w wielu jemu podobnych, było dwu ludzi: jeden gładki, okrzesany na cesarskim niegdyś dworze, postacią piękną i pańską, słodką mo- wą ujmujący, drugi rozpasany, dziki, niepohamowany.

W Krakowie, w pośród magnatów i książąt, oto- czony świetnym dworem, który żadnemu innemu nie ustępował, Kmita należał do tych wybranych wycho- wańców zachodu, ówczesną Polskę czyniących równą i podobną najwytworniejszym dworom europejskim. Tu tylko olbrzymia duma mogła go odróżnić od ucz- niów akademij włoskich, od dworzan królów rzym- skich i cesarzów, bo miała w sobie coś dzikiego niemal.

Zupełnie innym znowu był Kmita u siebie w domu w Wiśniczu, na łowach, we dworach swoich w Prze- myśkiem, gdy go otoczyli owi osławieni Szczerbowie, Pełkowie, Rozborscy, Kumelscy i Odolińscy. Z nimi Kmita zapominał się, zrzucał swe dostojęństwo i roz- pasywał w ucztowaniu, które się często krwawo koń- czyło.

Pamięć tych biesiad pozostała długo... On sam mo- że ich się wstydził, lecz wyrzec się nie umiał. Skąpy, nienasycony w chciwości złota, przy stole, gdy się na- pił, rozsypywał je, rozdawał ziemie, marnotrawił, co wczoraj wydarł, i w towarzystwie zbójów dziczał a sza- lał. Następowало potem obrzydzenie ich i samego sie- bie, lecz kto się raz związał z takimi ludźmi, temu po- zbyć się ich, mimo ohydy, trudno. Kmita zresztą po- trzebował ich tak, jak oni jego, bo ambicja, współza- wodnictwo z Tarnowskim pokojiu nie dawały. Musiał się bronić, gwałt jeden wywoływał drugie.

Dudycz, wybierając się do Wiśnicza, myślał o tem wszystkim, co kiedykolwiek słyszał o Kmicie, nie był bez pewnej trwogi tego spotkania się z faworytem i po- wiernikiem królowej, a byłby daleko mocniej się fra-

sował, gdyby mógł przeczuć, co wioził pod pieczęcią w liście Bony.

Było w nim pozdrowienie, kilka słów niełatwych do zrozumienia i żądanie do marszałka, aby przywożącego list starał się przez czas jakiś zatrzymać u siebie choćby pod pozorem odpowiedzi.

Królowa, chcąc Dżemnę oswobodzić od natrętnego wielbiciela, wyprawiła go, a do instrukcji należało, jeśliby Kmity nie znalazł w Wiśniczu, jechać za nim tam, gdzie się mógł znajdować.

Z osławionej gromady Kmitowczyków Dudycz znał kilku. Pelka, Janko i Piotr Biały gościli u niego niegdyś wpobliżu Wieliczki i był z nimi dosyć dobrze. Na stosunki z dworem marszałka liczył też Petrek wiele.

Nie dojechał jeszcze do Wiśnicza, gdy na nocleg zaciągnąwszy do gospody we wsi kościelnej, gdy konie wierzchowe zobaczył u żłobu, a rozpytywać począł czyjeby były, dowiedział się, że w izbie u Żyda w betach leżał właśnie ranny Pelka, którego znał dawniej.

Na rękę mu było dowiedzieć się coś od niego, wszedł więc do alkierza, z którego gwałtem wyrzuciwszy rodzinę gospodarza, rozgospodarował się w nim Jacek Pelka. Z poduszek i pierzyn, w które się zaszył słynny rębacz i zbój, ledwie wyglądała wąsata a wygolona twarz i oczy w niej krwią zabiegłe. Nie poznał go zrazu jęczący od ran sługa Kmity, dopiero, gdy mu się Dudycz przypomniał, spojrzał nań łagodniej.

Drugi dzień temu na popasie Pelka zjechawszy się tu z dwoma ziemianinami, gdy o postawienie koni do sporu przyszło, dobywszy szabli, głowę mając zaproszoną, tak się zaciął z nimi, że padł na ziemię, krwią zlany. Uciekli oni, wiedząc, z kim mieli do czynienia, a Pelka musiał, czekając na wóz, położyć się w gospodzie, ledwie rany poobwiązawszy.

Zaczął więc rozmowę od opowiadania i wyklinania tych, co się ośmielili napaść odeprzeć, i kłął się, że oba dwory popali, a ich popowiesza.

Nierychło się Dudycz mógł od niego coś dowiedzieć,

oznajmując, że jedzie z listem od królowej do Kmity do Wiśnicza.

— Darmo go tam nie szukaj — odparł Pelka. — Wybrali się z Rozborskim nad San, ziemian uczyć rożumu. Kupa ich pociągnęła duża, i że zwycięsko wyjdą, a na swem postawią, wątpliwości niema; ale potem triumfy obchodzić będą i jak ucztować poczną, nie rychło się wytrzeźwią, by do Wiśnicza mogli powrócić.

Dudyczowi nie smakowało wcale gonić za tą wyprawą, do której czynnie się mieszać nie chciał, bo z Kmitą idąc, mógł też łatwo za niego oberwać. Wolałby był oczekiwać na marszałka w Wiśniczu, lecz rozkaz królowej był wyraźny.

Wątpić o tem, co Pelka powiadał, nie miał najmniejszej przyczyny, nikt nad niego lepiej wiedzieć i przewidywać nie mógł, gdzie się Kmita obraca. Trzeba więc było ciągnąć nad San, dalej, a choć rad był spełnić polecenie królowej jak najrychlej, iść w ogień nie miał ochoty. Postanowił więc ciągnąć dalej, nie śpiesząc zbytecznie, opiece Opatrzności polecając się.

Pelka, któremu w betach żydowskich z ranami tęskno było, zmusił go niemal dzień z sobą pozostać i musiał z nim warcabami się zabawiać i na rybie po żydowsku poprzestać.

Zato dalszą drogę mu tak dobrze wytknął Jacek, iż nie potrzebował już rozpytywać nikogo. Pelka bywał w tych wyprawach przemyskich nieraz, znał drogi, był pewnym, że Kmita innemi się nie udał. Zyskał więc Dudycz zawsze na spotkaniu, a że nazajutrz i wóz po Pelkę nadciągnął, pomógłszy go w nim umieścić, kabłaki przymocować i okryć — sam w imię Boże ruszył tropem Kmity ku Sanowi.

Jechał Dudycz smutny bardzo, choć miał raz w życiu tę przyjemność, że po drodze go dla towarzyszącej pokaźnej kawalkaty i wozu z pewnem poszanowaniem przyjmowano.

Drogi były okropne, pora najprzykrzejsza w roku. Przejdziecie z jesieni do zimy, z zimy do wiosny, zwłaszcza w tych latach, gdy zima nie ostrą ma być i nie-

łatwo się ustala, w naszych krajach nieznośnem się staje. Mróz naprzemiany z wilgocią, błoto z grudą, śnieg z deszczem, wichry gwałtowne czas ten najmniej sposobnym do podróży czynią. A że Dudyczowi nie tyle może siebie (zahartowanym był), ile koni paradnych żał było, włókł się więc opieszale.

Zbliżając się ku teatrowi owej wyprawy na krnąbrnego sąsiada, Dudycz dostał wczesnie języka o Kmicie. Głośnym on był na dalekie przestrzenie, bo się nie obeszło, aby i sąsiadom sąsiada, i powinowatym a przyjaciółom nie dostało się, gdy Kmita moc swą chciał okazać. Drżeli więc i dalsi, obawiając się, aby mu droga kędy nie padła około nich.

Jak się spodziewać było można, głoszone, iż Kmita, a raczej Rozborski, bo marszałek wyprawił go ze Szczerbą tam, gdzie trzeba było ścinać i wieszać a palić, sprawiedliwość już sobie uczynił, że dwu ziemian ubito, nowe granice pozarąbywano i kopcami obsypało, i że wkrótce wszystko miało być skończone.

Naostatek prawie do miejsca krwawych tych zajęć dotarłszy, nazajutrz Dudycz spodziewał się spotkać z Kmitą — dzieliło go od niego parę mil tylko.

Drugiego dnia, gdy z noclegu ruszył, niespodzianie zerwała się śnieżna zawieja, i Petrek tak dobrze pobłądził, że gdy się z południa rozjaśniło, znalazł się w tem samem oddaleniu od Kmity, jak był z rana. Złożyło się więc, że go albo wieczorem chyba w jego własnym dworze w Sanicy znajdzie, lub przybycie do rana odłoży. Tymczasem nocować z końmi nie było gdzie, pod noc więc ciągnąć musiał.

Po drodze już widome były ślady Rozborskiego i Szczerby... Tam, gdzie stał dwór szlachcica sąsiada, około którego przechodził gościniec, natrafił Dudycz na świeże jeszcze dymiące zgliszcza, a nad samą drogą leżało kilka trupów. Wilcy je nocą poszarпали okrutnie. Widok był przerażający, bo oprócz tego na dwu drzewach wiatr okręcał trupy wisielców. Ze wsi ze dworu, wszystko, co żyło, w lasy zbiegło, psy tylko były w pustkach i opalonych płotach i ścianach.

Dudycz wiedział bardzo dobrze, iż tak srodze pokarany ziemianin innej winy na sobie nie miał, oprócz że własności swej przeciwko silniejszemu panu bronić próbował.

Petrkowi nader było niemiłym zawsze, gdzie się dwu za łby brało, ze swoim przybywać, którego bronił i szczenił, i tu po nim ciarki przeszły, myśląc, czy aby ta rzecz była skończona, a do nowych zapasów nie przyjdzie?... Lecz do Sanicy, bądź co bądź, zdążyć na nocleg musiał.

Na noc się zbierało, gdy chłopiek powracający z lasu wskazał Dudyczowi wieś dużą i dwór zdala światłami gorejący, w którym miał się znajdować Kmita. Podjechawszy bliżej, okazało się jakby naprędce we dworze rozbite obozowisko, moc wielka wozów, koni, ludzi i spędzonego bydła.

Zaledwie tętent koni Dudyczowych tu posłyszano, czy się lękano napaści, czy odwetu, ruszyło się wszystko z wrzaskiem ogromnym i możeby z bronią w ręku przywitano gościa, gdyby Dudycz jednego ze swoich nie wyprawił przodem z oznajmieniem, że jechał poseł od królowej z listem, nie kto inny.

Uspokoił się tedy upojeni i rozpasani żołnierze Kmity, a Dudyczowi na podwórze wrota otwarto. W niem jednak i dokoła w zabudowaniach, szopach, pod opłotami, gdziekolwiek daszek był, taki tu ścisk znalazł, iż ani się było myśleć umieścić.

Dwór cały stał rześisto oświecony, a gwar, śpiewy i brząkanie dzikiej muzyki słyhać z niego było. Z ludzi, którzy naprzeciwno przybywającemu wyszli, ani jednego Dudycz trzeźwym nie znalazł. Wpadłszy w ten wrzątek, niedobrze wiedział, co miał począć, gdy naprzeciwno niemu wyszedł znajomy jego, Piotr Biały.

Biały był jednym z najzapamiętańszych zbójów u boku Kmity. Małego wzrostu, krępy, z krzywymi nogami, zajadła bestja, który ani swojej, ani cudzej krwi nie żałował, słynął z tego, iż z okrucieństwem łączył dzikie szyderstwo i zabijając, ryczał ze śmiechu. Kto Białemu popadł w ręce, nie mógł się litości spodzie-

wać. Potrzeba było kata, Biały się ofiarował męczyć i uśmiercać.

Wychodzący w przedsień, gdy Dudycz zsiadał z konia, poznał go Biały i krzyknął z podziwu:

— Co! Tyś się tu zawieruszył?

— Królowa mi listy zwierzyła i kazała szukać z niemi marszałka!

Biały się zadumał.

— Toś go znalazł, — rzekł — ale chyba dziś do niego nie przystąpisz. My do przyjmowania posłów nie gotowi. Pan nasz odpoczywa, a nie lubi, żeby mu dobrą myśl przerywano.

— Dajcież mi aby posłanie gdzie w cieplej izbie i gdzie konie postawić, — odparł Petrek — jam też zmęczony, poczekam chętnie do jutra.

Skinął na niego Biały. Weszli wewnątrz dworu, którego wszystkie izby pełne się być zdawały, a wrzawa w nich i krzyki panowały takie, jakby żaden dygnitarz tu się nie znajdował, ale rozpojone żołdactwo tylko. Nikt na nowoprzybywającego nie spojrzał.

Przez sień przeprowadził go Biały do ciemnego ganku, a z niego do pustej komory, podobno jedynej, w której nikogo nie było, bo ciasna nie nadała się do ucztowania. Przytykała ona jedną ścianką niebardzo szczelną do ogromnej izby, w której Kmita ze swymi ulubieńcami już drugi dzień za stołami siedział.

Przez szpary Dudycz nie tylko mógł słyszeć, ale widzieć, co się tu działo. Na spoczynek i nocleg kąt był nieosobliwie dobrany, lecz gdy innego nie miał, musiał się Petrek nim zaspokoić. Biały mu tu obiecał przysłać wszystko, czego mógł potrzebować, aby głodnym nie był i położyć się miał na czem. Oprócz tego zapewniał, że o ludziach, służbie i koniach mieć będą staranie. Nakoniec rzekł:

— Kto z obcych naszego pana zobaczy takim, jakim on teraz jest, temu on tego, póki żyw nie daruje i nie zapomni. Jutro, gdy go widzieć będziecie, strzeżcie się mu dać poznać, żeście cokolwiek tu widzieli lub słyszeli.

To mówiąc, Biały palec podniósł i pogroził Dudyczowi, który i bez tego już był dość nastraszony.

Nocleg wprowadzie miał pod dachem i w dosyć ciepłym kącie, a wkrótce potem przyniesiono mu kawał pieczeni sarniej, misę klusek i spory dzbanek wina; ale to, co go otaczało, nie dawało spokojnie się posilić. Dwór drzeć się zdawał od tego, co się w nim działo. Tuż przez cienką ścianę Kmita dokazywał ze swymi, a Dudycz, który zamłodu był nawykły nieraz się znajdować wśród pijanego tłumu robotników z żup w Wieliczce, parobków, woźnic i najdzikszej gawiedzi, choć oswojony z tem, bladł ze strachu, takie wrzaski, śpiewy, klótnie i krzyki o uszy się jego obijały. Było to istne piekło.

Ostrożnie i z obawą Petrek wyszukał sobie szparę, przez którąby mógł przypatrzeć się temu sabatowi zbójów, i przyłożywszy oko do ściany, już go nie mógł oderwać.

Sala, a raczej szopa prosta była wielka, na grubych słupach drewnianych sparta, oświecona pochodniami, których płomień dymiący czerwonym światłem oblewał biesiadujących u ogromnego stołu, zastawionego w pośrodku niej.

Kmity zrazu spostrzec nie mógł. Siedział w końcu nad stołem biesiadników, na podwyższeniu okrytym suknem szkarłatnym, w krześle nakształt tronu, mając przed sobą stolik osobny, bogato zasłany obrusem szytym złotem. Na dwu mniejszych stołach po bokach ustawione były naczynia srebrne i beczułki także, konwie, dzbany i kubki.

Rozparty w krześle swem, napół leżąc, marszałek, okryty delją, futrem podbitą, w kołpaku sobolim z kitą, którego nie zrzucił z głowy, zwrócony był ku biesiadnikom.

Twarz jego piękna, szlachetnych rysów, ale płonąca ogniem, zaczerwieniona, lśniąca od potu, z oczyma, jakby łez pełnemi i iskrzącemi się razem namiętnością, miała wyraz niesłychanej dumy i siły. Ręką jedną trzymał się w bok i zgóry spoglądał na swych współbie-

siadników. Dwóch z wygolonemi głowami wyrostków stało tuż za podniesieniem, gotowi do spełniania rozkazów; stary, chudy, bogato odziany z łańcuchem na szyi marszałek jego dworu za nimi na straży.

Kmita nie spoczywał na jedną chwilę. Rzucił się na siedzeniu, rękami w powietrzu ciągle coś wskazywał, krzyczał, dawał rozkazy, zrywał się, padał na siedzenie, pił, dawał nalewać kubki i to je rozsyłał współbiesiadnikom, to sam spełniał, a raczej pochłaniał żarłocznie. Lice mu się paliło, ręce drżały, oczy rzucały wejrzenia piorunowe, był jakby w gorączce jakiejś szalonego wesela i rozpasania...

Dudycz słyszał nieraz o tych ucztowaniach Kmity, najczęściej krwawo się kończących, lecz nie podobnego nie mógł sobie wyobrazić. To, co widział, przechodziło jego pojęcie.

Strach go ogarniał, patrząc, i choć ściana dzieliła go od Kmity, obawiał się oczów podnieść ku niemu, zwłaszcza, gdy dostrzegł miecz obnażony, który miał tuż pod ręką.

Niżej nieco przy stole zasiadali wodzowie i ulubieńcy Kmity, posługacze jego zemsty, katy i zbójce, dla których nic świętego nie było.

Każdy z nich, jak mówił Rozborski, na rodzonego ojcabym się rzucił, gdyby go mu Kmita wskazał. Twarze też tych ludzi, oprócz Kumelskiego, powiadały odrazu, co zacz oni byli.

Na każdej z nich wycisnęły się długie lata życia tego, pomiędzy mieczem kata a zbójectwem, bez nadziei powrotu do spokoju i do pospolitego trybu ludzi. Wiedzieli oni wszyscy, że żaden z nich śmiercią swą w łóżku nie umrze, ale gdzieś padnie w walce, albo na dnie wieży zgnije. Żaden z tych wodzów nie miał domu, w którymby mógł choć jedną noc przepędzić bezpiecznie. Ci, którym Kmita dawał u siebie schronienie, nie mogli stąpać bez broni i bez straży; ci, co jak Rozborski mieli własne wioski, gośćmi się w nich tylko ukazywali.

Kumelski różnił się od nich powierzchownością,

mogącą oszukać, choć od innych lepszym nie był. Natura dała mu pozór osobliwy pieszczonemu papinka, eleganta, człowieka, co na dworaka grzecznego wyglądał, choć zbój był srogi, a okrutnik od innych gorszy.

W ręce Kumelskiego się popaść znaczyło dostać się człowiekowi, który męczył dla przyjemności znęcania się i wyciskania krzyków bóleści. Czynił on to z udaną grzecznością, z szyderstwem, z zaciętością szatana. Ale kto go widział wystrojonego na dworze Kmity, z rękawiczkami u pasa, z beretem na uchu, we włoskich kosztownych sukniach i łańcuchach, z ustami, słodczą namaszczone, wątłego napozór i delikatnego, brał go za stworzenie bezsilne i przeżyte. Tymczasem żelazną wytrzymałością, tak samo, jak okrucieństwem, Kumelski innych przechodził.

Był to ulubieniec Kmity, robił z nim marszałek, co chciał, bo ten każdą rolę odegrać potrafił.

Inni, począwszy od Białego, dwaj Szczerbowie, Pełka, Baranowski, Odoliński, Jurko na policzkach posiekanych krwawymi bliznami pozapisywane mieli lata swej służby u Kmity.

Za nimi dalej zajmowali miejsca wychowawcy, młodzież, która się pod wodzą tych nauczycieli usposobiła na toż samo życie zbójckie. To także była okrutna i nieublagana gawiedź, na wszystko gotowa, aby dowieść, że już była dojrzała i że na własną rękę puścić ją było można.

Ogromne płótnem poobwijane deski, na których leżały pieczone mięsiwa, poobrzynane ze wszystkich stron przez biesiadników, zajmowały stół, zastawiony oprócz tego misami z polewką, kaszą, kluskami, owocami, serem w dużych gomółkach i twarogiem. Dzbany gęsto przy każdym prawie z biesiadników stały pod ręką, a oprócz nich Kmita to temu, to drugiemu posyłał od siebie nalany przedniejszem winem kubek srebrny, bardzo kosztowny, który, spełniwszy, biesiadnik, śmiejąc się, chował pod ławę i nie oddawał już więcej.

Niektórym rozochocony Kmita, dowodząc, jak im

wdzięczeń był, posyłał dzbany i misy. Przed jednym nawet stało półmisię, pełne złotych pieniędzy.

Skąpy pan, gdy się przy biesiadzie rozraczył, nie-rzadko tysiące rozposażał, czego potem żałował. Zbóje umieli z tego upojenia jego korzystać i po całych dniach i nocach go wstrzymywali u stołów.

Kmita, który w towarzystwie dostojniejszym, z cu-dzoziemcami umiał się znaleźć po pańsku, dobierać słów i okazać, żeć przecie niedarmo dworował przy ce-sarzu, tu się zdawał lubować w mowie rozpustnej, dzi-kiej, bezwstydnej. Najpospolitsze łajania witał uśmie-chem, a gdy się gbury z sobą waśniły i porywały do siebie, przyklaskiwał im, jątrzył, pokaleczonych dopie-ro każąc rozrywać; przy stole też co chwila powsta-wały takie pojedynki słów i grożono sobie pięściami, a na pokrwawionych twarzach nie zbywało.

Dudycz, przyległszy do ściany, z początku ani wy-raźnie nic rozeznąć nie mógł, ani w tej wrzawie coś dosłyszeć. W oczach mu się ćmiło i w głowie zawracało.

Gdy hałas zbyt był wielki, naówczas marszałek, stojący za Kmitą, z jego rozkazu podnosił laskę swą białą do góry i po kilkakroć uderzał nią silnie o zie-mię — cisza wracała powoli.

Biały właśnie przystąpił do pana z doniesieniem, ale Kmita nic posłyszeć nie mógł. Nakazano uciszyć się wrzawie. Dudycz naówczas mógł wyraźnie usłyszeć rozmowę.

— Przybył dworzanin z Krakowa od starej królo-wej — odezwał się.

Namarszczył się Kmita.

— Aż tu? — krzyknął — potrzeba mu było mnie gonić? Nie mógł to czekać w Wiśniczu?

— Pono miał takie rozkazy! — rzekł Biały.

— Czego to stare babsko chce ode mnie? — zapy-tał pogardliwie marszałek. — Spokojnie chwili usie-dzieć jej trudno. Cóżście z tym posłańcem zrobili? kto on taki? — zapytał Kmita.

— Dworzanin starego pana, Dudycz, stary też.

Marszczył się Kmita.

— Dać go było na folwark gdzie, aby mnie tu nie podpatrywał. Sługi królewskie mają pyski rozpuszczone.

— Schowałem go do kąta, zmęczony jest, — dodał Biały — nie macie się miłość wasza co troszczyć o to. Rad, że spocznie.

— A list królowej? — zapytał kwaśno na pół podnosząc się Kmita.

— Mówił mi, że go do własnych tylko rąk miłości waszej zdać może — odezwał się Biały.

Wiadomość o przybyciu Dudycza, która ochotę przerwała, nie w smak była marszałkowi. Twarz jego przybrała wyraz posępny i prawie gniewny.

Chciał już Biały odchodzić, gdy zwrócił się ku niemu.

— Mówileś z tym posłańcem? — spytał — nie przywiózł on jakiej wiadomości?

— E! nie tam nowego pewnie niema, — rzekł Biały — oprócz tego, co nam wiadomo, że małżeństwo młodego pana postanowione, i że stara królowa się niem gryzie.

— He! — krzyknął Kmita — ona się gryzie? Powiedz lepiej, że zagryzie młodą owieczkę tę, gdy ją tylko szponami swemi dosiąć potrafi. Och! dostać się w ręce Boniel...

I rozśmiał się dziko.

— Kumelski jej nie zrówna! — dodał, spoglądając ku podpartemu nieopodał wystrojonemu młodzieńcowi. Ten przybrał skromną postawę.

Przymusowa cisza, trwająca około stołu, gwałtowne to zamknięcie ust wszystkim powiało jakimś chłodem po biesiadnikach i odbiło się nim na Kmicie, któremu ta przerwa dała się czuć dotkliwie.

— Katby ją porwał tę starą babę — zawołał — z jej listem i posłańcem... nie daje mi spocząć tu nawet i zażyć uciechy, jaka mi należy.

Nieuszanowanie, z jakim się Kmita odzywał o królowej, choć był jej sługą i liczył się do zaprzędanych

zwolenników, zdumiało bardzo Dudycza. Zdało mu się niepojętem takie lekceważenie tej potęgi, — osłupiał.

— Zabawną komedję będziemy mieli na dworze — począł Kmita głośno. — Dwie królowe. Stara, jak szatan zła, zazdrosna jak on, z trzosem nabitym, z Gamratem i całem wojskiem sług i służek z jednej strony; z drugiej stary król zmęczony i młoda dzierlatka, obcetu, nieoswojona... a po której stronie stanie młody król August, hej! któż go zgadnie?

Śmiał się Kmita.

— Hm — dodał — my żołnierze, a gdzie wojna się toczy, choćby między babami, zawsze się coś upiecze dla wojska.

Gdy to Kmita mówił, wrzawa, która była ustała, w drugim końcu stołu na nowo się powoli wszczyniała, a że biesiadnicy wszyscy nietrzeźwi byli, wkrótce rosnąć i wzmaczać się jąta tak, że Dudycz reszty słów Kmity dosłyszeć nie mógł.

Dolatywały go tylko nadzwyczaj zuchwałe wykrzyki przeciwko Bonie i Włochom i wyśmiewanie się ze starego króla, które go zgorszyło wielce.

Cóż to się dziać musiało gdzie indziej, gdy tu na dworze przyjaznego Bonie pana, który stronę jej trzymał jawnie, tak sobie pozwalano?

Dudyczowi, przypatrującemu się biesiadnemu stółowi, jeść i pić się odechciało; o spoczynku, którego tak pragnął, zapomniał. Prawda, że o ścianę od tych burzliwych biesiadników sen był trudny. Krzyki ich, tupanie, bicie kulakami o stoły, szczęk naczyń, padających mis i dzbanów, tłuczonych kubków i szklaniec, śpiewy, dzikie śmiechy, do ryczenia podobne, zlewały się w jeden chór szatański, który uszom Kmity wcale się nie zdawał dolegać. Nie bronił swoim przyjacielom tak się tu znajdować, jak się im zachciało. Dopiero, gdy do bójki przyszło na dobre, występowali rozjemcy i gwałtem rozrywali pobitych, bo nigdy wcześniej nie zapobieżono porywającym się do siebie.

Noc była bardzo późna, gdy naostatek stojącemu u szpary Dudyczowi nogi się uginać poczęły, i musiał

rzucić się na przygotowane mu posłanie. Była to garść słomy, siana i wytarta skóra niedźwiedzia.

Znużony, wylekły legł Petrek, nie zapomniawszy pacierza, gdyż niebardzo się czuł tu bezpiecznym i Bożej opiece się chciał polecić.

Położył się, myśląc, że mimo hałasu ze zmęczenia zasnąć potrafi, ale czy ono nie było tak wielkie, czy wrzawa tak okrutna, oczu zamknąć nie mógł, kleiły mu się stokroć do snu, ale natychmiast łomot jakiś lub krzyk przerażający budził, a gdy naostatku drzemać zaczął, dostał jakby gorączki, i zdawało mu się, że zbójcy go napadają, a on bronić się im musi. Rzucał się i krzyczał też wniebogłosy, ale nikt go szczęściem posłyszeć nie mógł.

Przez całą noc do białego dnia trwało to uctowanie szalone i głos Kmity towarzyszył mu do końca. Zwolna wreszcie uciszać się zaczęło, Petrek zasnął.

Gdy się obudził, zobaczył Białego, stojącego nad sobą z palcem na ustach.

— Wstawaj, a żywo; — rzekł do niego — odzież się, bo przyjdę po ciebie, aby do pana zaprowadzić.

Pacholę Dudycza stało już z wodą, ręcznikiem i wodę miało przygotowaną. Zerwał się więc poseł co żywo i, nie tracąc czasu, ubierać się począł, w co miał najlepszego.

W sali obok, która wczoraj całą noc trzęsła się od wrzasków, panowała cisza grobowa. Dudycz zajrzał przez szparę; stała pustą, a na stołach wałyły się niezbrane części wieczerzy. Mroczno wyglądała i brudno.

Zaledwie czas miał wdziąć na siebie strój włóski, list królowej w jedwabną chustę zawinąć i włożyć za suknię, gdy wszedł Biały.

Dziś tu i on, i wszystko wyglądało do wczorajszego dnia niepodobnie wcale. We dworze panował spokój, cisza, a nawet pewien porządek.

Biały wyprowadził gościa drugimi drzwiami w podwórze, na którem był rozłożony obóz; nie tu nie było rozpasanego, poza wrotami chodziły straże. W pośro-

ku na drągu wysokim powiewała chorągiew Kmitów ze Szreniawą.

Marszałka mieszkanie było w drugim skrzydle rozległego dworu. Tu u drzwi, oprócz straży zbrojnej, w barwie bogatej, stali dworzanie i urzędnicy możnego pana, utrzymujący karność. Ci, co wczoraj dokazywali u stołów, dziś tu chodzili wytrzeźwieni, jak inni ludzie, ledwie śmiejąc pociechu szeptać do siebie.

Przeszedłszy sienie pełne służby, dostał się Dudycz do antykamery, w której byli zebrani co dostojniejsi dworzanie, poubierani wytwornie, z twarzami blademi, ale poważnemi i surowemi.

Kazano czekać Dudyczowi, na którego oczy wszystkich się zwróciły. Dopiero, gdy ze drzwi, zapuszczonych kobiercem, wyszedł jakiś dorodny mężczyzna w sukni księżej, marszałek skinął na Petrka i drzwi mu kazał otworzyć.

W izbie bogato przystrojonej stał za stołem z papierami Kmita, jakby inny człowiek; postawa pańska, dumna na czole, powaga wielka, ani go było poznać.

Dudycz się tak zdumiał, iż języka w gębie zapomniał i dwakroć do niego musiał się odezwać marszałek, nim zebrał się na odpowiedź. Dobył chustę z listem i papier wręczył Kmicie, który z uszanowaniem wielkiem wzięwszy go w ręce, spytał tonem łagodnym:

— Jakże się ma miłość jej, królowa nasza? jak król stary? Nic złego mi, spodziewam się, nie przyniesicie?

— Sądzę, że niema ani złego, ani zbyt nowego nic, — odparł Dudycz — ale królowa j. m. radaby wiedzieć zawsze o tych, których liczy do przyjaciół swoich.

Spojrzał, Kmita skłonił głową. Zwolna rozwarł list i poszedł z nim do okna.

Petrek śledził go oczyma, usiłując odgadnąć, co pismo zawierało; ale twarz Kmity to tylko zawsze okazywała, co chciała, i dowiedzieć się z niej tajemnicy trudno było. Czytał list, zmarszczywszy brwi, powoli, parę razy zukosa popatrzył na Dudycza, powrócił do pisma, zatopił się w niem na nowo, zamyślił. Nie ruszył

się od okna, choć widocznem było, że dawno skończył czytać list.

Zadumany potem przeszedł się po komnacie, jakby nie wiedział jeszcze, co pocnie. Nie było mu pisanie to zbyt milem, tego Dudycz zdawał się dorozumiewać.

Zbliżył się wreszcie ku stojącemu u drzwi.

— Masz waszmość kogo znajomego na moim dworze? — spytał Kmita.

Kilku, między innymi i Biały mi zdawna z Krakowa znany.

— To dobrze — przerwał, nie dając dokończyć, Kmita. — Niechże on waść i tu przyjmuje i ugaszcza, bo ja mam na głowie spraw wiele ważnych, pilnych, a to, co królowa życzy sobie, bym jej doniósł, trzeba wprzód zbadać. Potrzebuję czasu na to. Czekać musisz.

Dudyczowi się chłodno zrobiło.

— Al gdyby wasza miłość raczyła mnie nie wstrzymywać; — zawołał — bardzo mi pilno zpowrotem.

Bystro mu spojrzał w oczy Kmita i zmarszczył się.

— Aleś waszeć sługą królowej i nie o was tu idzie, ale o jej sprawę — zawołał. — Czy wam pilno czy nie, to mi wszystko, zaprawdę, jedno. Gdy mówię, że się zatrzymać potrzeba, niema odpowiedzi.

Dudycz zamilkł.

— Prosiłbym miłość waszą — odezwał się po chwili milczenia — przynajmniej o tę łaskę, abym wiedzieć mógł, jak długo to czekanie potrwać może.

Kmita się zżymnął.

— Ciekawym jesteś do zbytku — odrzekł dumnie i kwaśno. — Ja sam nie wiem, jak długo to trwać może. Nie jesteście tu z woli własnej i nie rozporządzacie sobą.

Zbladł Dudycz, z człowiekiem tym nawet się rozmówić było trudno. Złął się nieco, obawiał się go więcej zniechęcić. Cekał już tylko odprawy.

Kmita, przeszedłszy się po izbie, klasnął w dłoń. Weszło pachole.

Nie mówił nic do Dudycza, a nawet nie patrzył na

niego. Po małym przestanku wtoczył się na swych krzywych nogach Biały.

Kmita wskazał mu Dudycz.

— Jest to posłaniec królowej jmcí, który tu ma oczekiwać na odpowiedź moją, a ta nierychło być może daną. Znasz go, jak powiada, weźże w opiekę. Proszę, aby mu na niczem nie zbywało, rozumiesz?

— Masz z sobą ludzi? — zapytał.

— Pięciu — rzekł z dumą Dudycz.

Kmita ramionami ruszył.

— Ludziom i jemu niema zbywać na niczem, — mówił Kmita do Białego — ale bez mojej wiadomości niema się stąd oddalać.

— Widzę, — dodał — że mu się bardzo czekać nie chce.

— Ale gdy miłość wasza rozkazuje... — przerwał Dudycz.

Kmita dał znak jakiś Białemu.

— Umieście go, karm i pój, i niech czeka... niech czeka!

To mówiąc, rozśmiał się marszałek dziwnie, przypatrując się szyderczo Petrkowi, który, jak zawsze, w swym stroju jaskrawym włoskim dosyć pocieszenie wyglądał.

Skłonił się Dudycz pokornie.

Wyszli razem z Białym, nic nie mówiąc, aż w podwórze. Po namyśle krótkim opiekun poprowadził posła do dworku, o kilkanaście kroków odległego.

— Nasz pan w liście musiał coś niedobrego wyczytać — rzekł Biały.

— Najgorsze to, że ja tu muszę siedzieć, — zawołał Dudycz — bo mi pilno do Krakowa. Mówilem o tem panu.

— Toś niedobrze zrobił, — przerwał Biały — bo on na przekorę czynić lubi. Będzie was naumyślnie trzymał.

Załamiał ręce Dudycz.

— Ale zato, — rzekł, śmiejąc się, Biały i klepiąc po ramieniu gościa — mogę wam zaręczyć, że głodu ni

pragnienia nie doznacie. Nie wiem, czy was do stołu wzywać będą, rozumie się do dworu marszałka, bo Kmita pospolitego czasu sam jada lub tylko z równymi sobie... no, ale ja w tem, że nie poskarżycie się na nas.

— A wy tu długo siedzieć myślicie? — zapytał Dudycz, któremu Biały wskazywał nowe mieszkanie.

— Było się spytać Kmitę — śmiał się krzywono-gi, — byłby ci tak odpowiedział, jak na pierwsze pytanie. Możemy tu siedzieć pół roku, albo nagle wyruszyć wieczorem.

Nie było już co pytać więcej. Dudycz rzucił się na ławę i rzeczy swoje znosić kazał do izby. Zdało mu się, że go w niewolę wzięto.

Do stołu dworzan Kmitę dnia tego nie powołano go, ale obesłano wszystkiem, czego mógł potrzebować, w obfitości.

Zjadłszy, Dudycz z rozpaczy spać się położył, a że wczorajszą noc spędził w gorączce i bezsenności, teraz mu się sen tak udał, że noc była, gdy się przebudził na wieczerzę.

Nikt tu do niego nie zajrzał, nawet Biały.

Na zapytanie, co się działo we dworze, ludzie mu odpowiedzieć nie mogli. Wysłano jakiś oddział zbrojny, Kmita siedział zamknięty.

Z biesiadowania nocnego, jakby ono marzeniem jakimś było, nie pozostało teraz nic, ani wspomnienia, ni śladu. Nikt się nie ważył mówić o niem. Pomiędzy dworem, strażą, ludźmi panował znowu rygor i porządek największy.

Dla Dudycza, który nie miał się do kogo przyczepić, a prawdę rzekłszy, nie śmiał, pobyt dłuższy zapowiadał się bardzo ciężkim. Nie wiedział, co robić z sobą.

Wyjść się lękał, aby nie pomyślano, że podpatrywał i szpiegował, coby pana Kmitę rozgniewać mogło.

Biały nie zjawił się aż nazajutrz rano. Znalazł Dudycza milczącym i przybitym.

— Wyspałeś się? — zapytał.

— Cóżem miał robić?

— Najedz się teraz, — śmiał się Biały — a gdy nie stanie zajęcia, pij. Co wolisz? Miód jest dobry, piwo niczego, wino nie pochwałę się.

Dudycz wzdychał. Biały, już zapewne wtajemniczony przez Kmitę, uśmiechał się. Zawadjaka do wybitej doskonały, bo niczego się i nikogo nie uląkł nigdy, tajemnicy żadnej ukrywać nie umiał. Popatrzył na zbiedzzonego, milczącego Dudycza.

— Powiedz mi, — odezwał się nagle — co ty królowej przewiniłeś, że cię tu za karę wysłała do nas?

— Jakto za karę? — obruszył się Dudycz. — Ależ ja u miłościwej pani mam wielką łaskę.

Biały począł się śmiać, spoglądając z politowaniem na towarzysza.

— Tak ci się, nieboraku, zdaje — odezwał się. — Kto tę Włoszkę zrozumie i spenetruje. To djabeł jest, nie kobieta. — Uśmiecha ci się, a — tu się w piersi ogromną pięścią uderzył — ja powiadam, tyś coś przekrobał.

Dudycz aż się z ławy pochwycił.

— Skądże tobie to przyszło? — krzyknął.

— Tego nie pytaj, — rzekł Biały — tylko powiadam ci, porachuj się dobrze z sumieniem.

Zamyślił się Dudycz głęboko.

— Nie może to być; — odparł — gdybym nawet chciał, czemże ja, mały człeczyna, mogłem tej miłościwej pani, która u nas wszystkiem trzęsie, zawadzić, albo się narazić? Naostatek, ja jej łaski potrzebuję, służę jej... nie... to być nie może!

Biały walczył z wielką chętką wygadania się.

— Nie zdradzisz mnie? — szepnął.

Petrek palec na palec założył i krzyż z nich zrobiony pocałował.

— No, to ci powiem, — szepnął Biały — że w liście do marszałka nie stoi nic więcej nad to, aby ciebie starał się jak najdłużej zatrzymać przy sobie, nie dając ci odpowiedzi.

Zbladł, słuchając, biedny Dudycz, bo rozkaz ten nie mógł mu się w ciasnej głowie pomieścić. Nie pojmował,

co mogło tę banicję spowodować. Siadł zrozpaczony na ławie.

— Żle ci u nas nie będzie, — dodał Biały — Kmita swoim poskapi czasem obroku, ale obcym nigdy, bo chce być wielkim panem w oczach ludzi. Tylko się tu zamęczysz, no, i kto wiedzieć może, nuż przyjdzie do jakiej rozprawy, i guza gotówes oberwać!

Nie odpowiadał Dudycz, tak był w sobie zatopiony. Biały, który przez okno zobaczył w podwórzu jakiś nieład, nie żegnając go, wybiegł. Został tedy z ciężkimi myślami sam na sam.

Niepodobna mu się było dorozumieć, co znaczyło postępowanie królowej, bo że ono było w związku z Dżemną, tego się wcale nie domyślał. Pozostać tu długo było dla niego męczarnią niewysłowioną, właśnie z powodu Włoszki, której oblężenie podarkami rozpoczął.

Narozmyślawszy się długo, postanowił wkońcu napisać do kogoś list do Krakowa, prosząc o ratunek, ale nie umiał wymyśleć, komuby się mógł powierzyć.

Nierychło dopiero przyszedł mu na pamięć pan kasztelan biecki, Boner, bo wyrozumował, że kiedy królowa chciała go mieć daleko, to może właśnie dla króla dobrzeby było, gdyby się znajdował blisko?

Napisanie listu było myślą szczęśliwą, bo jeden z pięciu ludzi, co mu towarzyszyli, mógł go zawieźć cichaczem do Krakowa; szło tylko o to, jak list napisać.

Dudycz nie odebrał żadnego prawie wychowania. Wprawdzie przypomniawszy sobie, że chodził do szkółki w Wieliczce przy kościele, nauczył się tu czytać drukowane, a co do pisania, do tego nie mając zdolności, później dopiero, gdy rachunki trzymać musiał, nauczył się sam gryzmolić, naśladowując litery drukowane. List więc jego, sam on czuł, wiele musiał zostawiać do życzenia; ale posłużyć się na tym dworze kimkolwiek bądź nie było bezpiecznie. Westchnął na to, że nie przewidział, jak się pisanina w życiu na wiele przydać mogła.

Następnych dni nie było co robić. Biały, chociaż

nie zapominał o gościu, nadto był zajęty, ażeby przy nim godzinami siedział. Najadłszy się, napiwszy, wypawszy, dowiedziawszy do koni, pogawędziwszy ze starym sługą, Dudycz zostawał sam i nie miał co innego do czynienia, oprócz, że na ławie siadłszy, w podwórze patrzył.

Ta zaś część jego, którą miał przed oczyma, zbyt urozmaiconego nie dawała widoku. Przeprowadzano tedy konie do wodopoju, przenoszono siano i obroki do stajen, szli parobcy, przeciągali żołnierze, a pod wieczór wiatr zamiętał rozsypane siano i śmiecie lub resztki suchego śniegu, który już prószyć zaczynał.

Biały, niewymowny, prawie codzień jedno powtarzał, przyszedłszy:

— Najadłeś się?

— A jakże.

— Napileś?

— Dziękuję.

— Połóżże się spać, bo więcej do roboty nie masz nic.

Nierychło bardzo Dudycz wpadł dopiero na myśl, że może miłość jego dla pięknej Włoszki mogła być przyczyną tego wygnania.

— Ochmistrzyni mnie zdradziła! — mówił sobie.

We dwa tygodnie dopiero ruszył Kmita nazad do Wiśnicza, a z jego dworem i ów niewolnik, o którego odprawieniu do Krakowa mowy nawet nie było.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE—Tom XL

J. I. KRASZEWSKI

DWIE KRÓLOWE

(BONA I ELŻBIETA)

CZEŚĆ II



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

Zbliżała się wiosna i umówiona pora przybycia młodej królowej do Krakowa.

Po dosyć ciężkiej do przebycia zimie król Zygmunt Stary, jakby odżywiony nadzieją ożenienia, którego tak bardzo pragnął dla syna, czuł się i powiadał silniejszym. Doktorowie znajdowali, iż w istocie zdrowie jego się poprawiło. Biskup Samuel, który codziennie starego swego pana widywał, przypisywał to zarówno zbliżającemu się weselu, którego król wielce sobie życzył, jak zmianie, zaszłej w obejściu się z mężem starej królowej. Niczyjej ona baczności nie uszła, ale ją sobie tłumaczono różnie.

W czasie, gdy między Wiedniem, Pragą a Krakowem toczyły się układy ostateczne o owo małżeństwo z młodziuchną Elżbietą, Bona wszelkimi sposobami przeszkodzić mu się starała. Pochlebiała sobie, że potrafi zamiast tego wyjednać dla syna księżniczkę francuską, córkę Franciszka I. Nienawiść jej dla cesarza i dla ojca Elżbiety, przyszłej synowej, podsycana tem, że jej robiono trudności w sprawach posiadłości neapolitańskich, nienawiść bezsilna, podbudzała do bezrozumnego szału. Obawiała się wystąpić jawnie przeciwko cesarzowi dla Baru, przeciwko ojcu Elżbiety dla Izabeli, lecz tem zajadlej starała się męża zmusić do zerwania z nimi.

Stary król musiał znosić codziennie wyrzuty, sceny ze łzami i krzykami — wybuchy takie, że Bonę często kobiety wynosiły na rękach, a król po przebyciu takiego kryzysu kładł się do łóżka.

Gdy, pomimo wszelkich przestróg lekarzy, powtarzały się ciągle te utrapione waśnie, a Zygmunt po raz pierwszy może nie dał się złamać, bo mu szło o cześć, o słowo dane i o piastowaną dawno mrzonkę: ożenienia syna z wnuczką brata — choroba i osłabienie króla znacznie się wzmogły, stały niemal groźnemi.

Później nieco, kiedy już termin ślubu i wesela został naznaczony nieodwołalnie, listy wymienione, warunki wszystkie postanowione, Bona nagle prawie złagodniała, zamilkła, poddała się nieuchronnemu następstwu zobowiązań i zaprzestała zupełnie napaści i wymówek.

Pokój ten niespodziewany wydawał się rzeczą tak nienaturalną dla tych, co znali upór Włoszki, iż co chwila spodziewano się powrotu wojny.

Tymczasem królowa pozostała całkiem spokojną. Przychodziła codziennie do męża ze sprawami różnemi, troszczyła się wielce o jego zdrowie, sprawy małżeństwa nie poruszyła nigdy, a jeśli wypadkiem potrącono o coś, będącego z nią w związku, zaciniała usta, zmuszała się do milczenia.

W prostocie ducha król Zygmunt, niezmiernie uradowany tą poprawą, przypisywał ją jedynie okazanej stałości charakteru. Wdzięchen był niewymownie żonie, że wojny zaprzestała i doznany zawód starał się jej wynagrodzić, ulegając we wszystkich innych sprawach, czyniąc jej chętnie ustępstwa, a nawet przeciwko Maciejowskiemu często skłaniając się na jej stronę.

W istocie Bona teraz chodziła tak spokojna, zrezygnowana, jakgdyby z myślą tego związku zupełnie się przejednała.

Jedni z królem razem się cieszyli z tego, drudzy, jak Maciejowski i Boner, niedowierzali pokojowi. Pan kasztelan biecki powtarzał księdzu Samuelowi:

— Mówcie, co chcecie, to podstęp... ja się go boję. Najstraszniejszy mi nieprzyjaciel, kiedy się przyczał. a znając naturę Włoszki, można się spodziewać, że nie darmo wymogła na sobie tę pokorę. Mota ona coś i czeka...

— Ale cóż? — odpowiadał ks. Samuel. — Gdy się raz pobiorą, co ona zrobić im może.

— Nie wiem, — mówił Boner — ale o tem przekonany jestem, że królowa nie dała za wygraną. Trzeba się więc, nie zaniedbując, mieć na baczności i nie otrąbywać zawczasu zwycięstwa.

Podskarbi miał pewne oznaki, z których wnosił niepłonne, że to, co się nazywało spokojem i zgodą, było tylko rozejmem, służącym do zebrania sił i przygotowania oręża.

Z obowiązku swojego codziennie bywając w zamku, ocierając się o ludzi, których sprawy pieniężne czyniły zależnymi od niego, Boner miał sposobność dowiadywać się więcej, niż inni. Bystrzejszym też był może w rozpoznawaniu czynności, które drudzy obojętnymi sądzili.

Wiedział dobrze, iż królowa zwykle tylko pobłażająca miłośkom syna, gdy one nie wychodziły za obręb jej fraucymeru, ale zachowująca pewne *decorum* i niemieszająca się do nich czynnie napozór, teraz prawie jawnie opiekowała się Dżemmą i posilkowała synowi do zawiązania z nią w przededniu ślubu stosunków jak najściślejszych.

Do tych nie tylko że przeszkód najmniejszych nie było, ale matka je widocznie osłaniała jak najtroskliwiej, a miłość jej dla pięknej Włoszki rosła tak, że w całym dworze obudzała zazdrość.

Chociaż miłośki były niby okryte tajemnicą, wiedział o nich cały dwór, — a Dżemma, dumna przywiązaniem Augusta, nie wstydziła się wcale okazywać, jakie miejsce w sercu jej zajmowała.

Uderzało i to, że skąpa zwykle królowa dla Włoszki nie żałowała nic, obsypywała ją darami, stroiła, okrywała klejnotami, a synowi dostarczała pieniędzy dla zaspokojenia najdziwniejszych fantazyj ukochanej.

Wszystko to w pierwszych miesiącach 1543 r. stało się tak bijącem w oczy, iż Boner, zebrawszy dużo wiadomostek na poparcie swego twierdzenia, jednego dnia,

widząc króla zdrowym i silniejszym, odważył mu się o tem napomknąć.

Z twarzy Zygmunta, która się bardziej jeszcze, niż zwykle, zasepiła, mógł się przekonać, że dotknął przedmiotu wielce niemiłego. Król wysłuchał, chociaż dawał oznaki niecierpliwości, a gdy Boner dokończył — rzekł, że wszystko to uważa za wielce przesadzone.

— Wszyscy wy niedowierzacie królowej, — mówił dalej — a ja wam powiadam, iż nic złego na myśli nie ma. Słaba dla syna, bo go kocha, ale małżeństwu przeszkadzać nie będzie, bo się przekonała, iż wszystko to byłoby napróżnem.

Boner, spełniwszy obowiązek, nie nalegał, ale król, choć oświadczył mu, że nie wierzył doniesieniom, wziął rzecz do serca, gryzł się jakiś czas; naostatek trzeciego dnia rano, gdy Bona przyszła go pozdrowić, wystąpił z tem, ażeby swoje dziewczęta miała na oku i trzymała surowo, gdyż chodzą plotki, że młody król miłostki tam zawiązuje, a gdyby o tem wieści doszły do królowej Anny, w chwili, gdy tu córkę wysyłać miała, mogłaby się niepokoić.

Bona, która długi czas była spokojną, wybuchnęła nadzwyczaj gwałtownie, obwiniając swych nieprzyjaciół o potwarz, męża o łatwowierność i wybiegła, płacząc i trzaskając drzwiami.

Zarządziła natychmiast poszukiwania, kto w tych dniach bywał u króla i mógł mu donieść o Dżemmie. Podejrzenie padło na Bonera.

Zapisaniem mu to zostało zapewne na jego rachunek, lecz dalszych następstw nie miało. Król milczał, Bona stłumiła w sobie gniew, a w postępowaniu młodego króla z Włoszką na włos nie się nie zmieniło.

Zygmunt nie wznowił niemiłego tematu. Codzień zato sam dawał coraz nowe rozporządzenia, dotyczące się przyszłego wesela, które chciał mieć wspaniałem i świetnem.

W mieście i na zamku wiedziano o tem, że stojący przy królu starym, w myśl jego wcześniej starali się na uroczysty wjazd młodej królowej przygotować pocz-

ty jak najświetniejsze. Ks. Maciejowski, hetman Tarnowski, pan Andrzej z Górki, pan kasztelan biecki, nie licząc innych, teraz już zakupywali barwy, szyć kazali, aby wystroić swe dwory z okazałością niewidzianą. Zbroje i rynsztunki sprowadzano z zagranicy.

Na przekorę temu przepychowi, królowa chciała, aby jej przyjaciele jak najskromniej i wcale się nie wysilając, tylko z konieczności wzięli udział w tym zjeździe, który chciano uczynić tak świetnym. Ale tu stanął na przeszkodzie Gamrat.

Nowy człowiek, który trzymał zarazem dwie najbogatsze stolice biskupie, z ich dochodami, nie mógł na to pozwolić, aby go inni zaćmili, iżby on przy nich stał ubogo i skromnie.

— Nie może to być — zawołał, przybywszy do królowej. — Wojna wojną, a tam, gdzie tysiące oczów patrzeć na nas będzie, nie możemy się wystawić na pośmiewisko.

Niech inni czynią, co chcą, ja oświadczam miłości waszej, że nietylko postawię jak największy poczet, ale go wystroję jak najkosztowniej, choćby mi moje srebra zastawić przyszło. Nie dam arcybiskupa-prymasa na urągowisko... Kmita sobie postąpi wedle myśli swej, chociaż sędzę, że i on się tu zatrzeć nie dopuści... ja nie mogę! Zowią mnie tu wszyscy plebejuszem, co bez butów przybył z Podgórza, choć Gamratowie są starą szlachtą, niegorszą nad innych. Otóż im pokażę, że i potrafię, i nie pożałuję wystąpić.

Taka była powaga Gamrata i wiara królowej w słowo jego, że Bona się nie sprzeciwiała.

Nigdy może w Polsce, jakeśmy już mówili o tem, stroje nie były bardziej urozmaicone, jak w końcu XVI wieku i począwszy od tej epoki. Właśnie ten wjazd dla cudzoziemców miał być powodem podziwienia razem i szyderstwa, bo poczet każdego niemal pana inaczej strojono.

Gamrat swój miał ubrać po polsku. Inni silili się na ubiory najniezwyczajniejsze, od stradjotek począwszy, do długich opończy moskiewskich i kołpaków, do

przybrań tatarskich, tureckich, hiszpańskich, niemieckich, węgierskich.

Barwa czarna była w wielkiej modzie, lecz na urozystość tę jak najjaskrawiej się stroić miano, a szkarłat miał górować nadewszystko. Oprócz sukni i zbroi, które musiały być szmelcowane i złożone, a tych trzeba było szukać zagranicą, bo ich mało w kraju robiono, same konie i sprzęże poszóstne a poczwórne, które dobierać musiano, stanowiły i trudność wielką, i wydatki niemały. A że koń każdy musiał iść pod bogato szytą deką, zawczasu więc dniem i nocą haftowano je złotem i perłami, tak, że niektóre z nich niemal równie bogato, jak ornaty kościelne wyglądały.

Tylko Bona jedna najmniejszych przygotowań niezwykłych nie czyniła. Chłubić się nawet nie chciała swą sławną kolebką srebrną i nie myślała jej światu okazać. Tłumaczyła się tem, że ona i król, na synową oczekując w zamku, wcale się o wjazd troszczyć i uczestniczyć w nim nie potrzebowali.

Co się tyczy młodego króla, szczodra dla niego w innych razach matka ścisnęła dłoń.

— Ci, co cię żenią gwałtem, niech do wesela pomogą — rzekła. — Ja go sobie nie życzyłam, nie chcę i nie myślę się na to ekspensować.

Gdy podskarbi Boner doniósł o tem królowi, Zygmunt mu polecił, aby, nie skąpiąc, dostarczył Augustowi wszystkiego, czego mógł potrzebować, aby wystąpił godnie siebie i jak najwspanialej.

Miano na ten cel pożyczyć i klejnotów ze skarbcza, i zakupić, co było potrzeba.

Podskarbi poszedł sam w tym przedmiocie się poradzić z młodym panem, ale znalazł go tak nieśmiałym, niepewnym, wahającym się i widocznie z obawą oglądającym na matkę, iż sam musiał obmyśleć większą część niezbędnych przygotowań.

August nie sprzeciwiał się, ale stawiał z obojętnością uderzającą i nieustannie odwoływał się do matki. Był widocznie pod silniejszym jeszcze jej wpływem, niż zwykle.

Boner, dobrze to zrozumiałwszy, nie wahał się wziąć na siebie wiele. Jak zwykle, Bona wiedziała o wszystkim, co mówiono i postanowiono u męża, co przygotowywano, kto był najczynniejszy, ale nie stawiała przeszkód. Osłoniła się najdziwniejszą obojętnością pozorną, jakby ją to wszystko nie a nie nie obchodziło.

Ci, co z twarzy młodego króla chcieli czytać wróżbę jakąś przyszłości, niewiele mogli w niej znaleźć. Zawsze będąc wobec obcych panem siebie, milczący i dosyć zamknięty, młody król okazywał się ostyglym, zimnym, jak matka.

Powolywany często do ojca, który starał się go ożywić i natchnąć tą miłością dla Elżbiety, jaką on sam miał dla niej, August słuchał go z poszanowaniem, oświadczał się z gotowością spełnienia rozkazów, ale nie zmieniał w niczem.

Wszystkie wieczory dopóźna spędzał zwykle sam na sam z Dżemną lub u matki. Naówczas Włoszka wystrojona powolywaną była na pokoje i gdy Bona rozmawiała z Gamratem, ze swymi przyjaciółmi i protegowanymi, młody król mógł swobodnie w drugiej komnacie siedzieć z Dżemną, której towarzyszyło parę panien, ale miały rozkaz stać na uboczu.

Czasami wieczorem sprowadzano włoskiego lutnistę, śpiewaka jakiego, lub jedna z panien popisywała się, nucąc pieśni włoskie. Czas więc upływał tu mile i bardzo szybko, a dla Bony może za prędko, bo potrzebowała się przygotować do wojny. A choć pożądała jej i uważała za nieuniknioną, wiedziała, że będzie upartą. Gromadziła więc sprzymierzeńców, gdzie i jak tylko mogła.

Plan postępowania zawczasu był osnuty: Bona postanowiła syna trzymać jak najdalej od żony, nie dozwolić mu ani się z nią poznać lepiej, ani pokochać. Miłość dla Dżemmy służyć miała dla odparcia tej, której się obawiała.

Znała bardzo dobrze syna, iż łatwym był do zajęcia się kobietami, że nowość dla niego stanowiła ponętę, obawiała się więc Elżbiety, o której wiedziała, że była

młodziuchną, najpiękniejszą z córek królowej Anny, bardzo starannie wychowaną i pełną uroku.

Unosił się nad tym jej wdziękiem wielki znawca niewieściej piękności, Dantyszek, świadczyły przywołane portrety, które Bona rzuciła precz z gniewem.

Jeden z nich, przeznaczony dla syna, nie mogąc mu go odebrać, Bona zakryła tak, aby nie miał go na oczach.

Wybór Dżemmy z pomiędzy mnogich dziewcząt Polek i Włoszek fraucymeru królowej dowodził bardzo trafnej znajomości serca ludzkiego. Włoszka była rozmarzoną, rozkochaną w istocie w królu i namiętnie mu oddaną. Kochała go nie jako przyszłego mocarza i pana, ale jako młodego, pięknego chłopca, a nie tak nie przywiązuje, jak miłość. Ani piękność, ani talenta, ani żaden urok w świecie nie ma tej potęgi, jaką władza uczucie. Ono wywołuje wzajemność.

Dżemma od lat wielu, dorastając, patrzyła na królewicza, jak na ideał, rozmiłowaną w nim była daleko wcześniej, niż on to spostrzegł, gdy bawił się jeszcze z Bianką i innymi dziewczętami, które wprędce rzucił dla coraz nowych. Dżemma nie miała ambicji, nie rachowała na żadną przyszłość, potrzebowała być kochaną...

— A potem? — pytała ją szydersko Biana.

— *E poi? morir!* (a potem umrzeć!) — odpowiadała Dżemma, mężnie patrząc w jej oczy.

Miłość tę swą pierwszą wzięła Włoszka z pieśni, z poetów, z powieści, z własnego wreszcie serca i temperamentu.

Nie była nigdy ani płochą, ani zalotną. Lubiała wszystko, co piękne, co wielkie, szlachetne — lubiała wytworny strój i starała się być czarującą, ale tylko dlatego, aby była godną wyboru Augusta.

Teraz, gdy ją nareszcie spotkało to szczęście niewysłowione, że on ją kochał, — reszta świata, wszystko znikło z jej oczów. Widziała tylko jego jednego i siebie, nie więcej ją nie obchodziło! Gotową była cierpieć,

być prześladowaną, byle on jeden nie zmienił się dla niej.

Zygmunt August, za wcześniej zużyty miłostkami, które dla niego spowszedniały, w tem nowem przywiązaniu odżył i odmłodniał. Nie był to stosunek podobny do żadnego z poprzedzających, tak, jak Dżemma do żadnych z dziewcząt zapomnianych podobną nie była. Pomiedzy niemi, z tym diademem miłości heroicznej na czole, występowała jak królowa. Nie kryła się, nie wstydzila, nie rachowała z niczem.

August też, choć wystygły, chwilami przy niej czuł powracającą młodość i miłość jego rosła razem z doznawaniem szczęściem niespodzianem.

W początkach kwietnia nadzwyczajny ruch tych przygotowań zaprzętał całe miasto; nie mówiono o niczem innem, nie widać było nic innego nad tę gorączkę popisu, z jaką Kraków chciał wystąpić. Wiedzano dobrze, iż na dworze cesarskim zawiadomieni będą o przyjęciu królowej z najmniejszymi szczegółami — szło o to, aby stolica Polski i monarcha, który tak wysoko stał w szacunku powszechnym, nie zostali upośledzeni.

Nie mógł naówczas gród podwawelski iść w porównanie z Wiedniem, a nawet z Pragą, ale mieszczaństwo tutejsze uboższem od innych nie było i barbarzyńskim okazać się nie chciało.

Na ratuszu rozprawiano i rozglądano się w podarkach dla młodej królowej, gdyż miasto nie mogło się obejść bez nich, a ubogo się okazać wstyd było. Klejnotów ofiarować nie mogło, zgodzono się na kosztowne wyłaczane naczynia i misy, których robota więcej od kruszców warta była. Podskarbi sam je wybierał.

Całe to tak żywe zajęcie rozbijało się, jak fale morskie o skałę, o wyrachowaną oziębłość Bony. Nie chciała nic widzieć, choć o wszystkim była zawiadomioną, udawała obojętną, głuchą i ślepą.

Ilekróć przyszła do króla i trafiła tu na rozmowę o przygotowaniach, bo stary Zygmunt tak się niemi zajmował, że nawet suknię syna, jaką miał włożyć na po-

witanie żony, sam chciał oglądać i rozkazał, aby niemieckim krojem była, choć August życzył sobie włoskiej — ilekroć trafiła na taką rozmowę, Bona rozpoczynała o czem innem, a spytana o zdanie, zbywała je, potrząsając głową, milczeniem.

Zygmunt August też, aby się przypodobać matce, która mu teraz szczególną okazywała miłość, a może zajęty mocno Dżemmą, zachowywał się zimno i obojętnie. W tem usposobieniu utrzymywał go przy boku będący Opaliński, który służył interesom Bony.

Ten, ilekroć sam na sam był z królem, rozpoczynał się użalać nad losem jego, nad narzuconem mu małżeństwem z chorowitą i dziecinną królowną, z którą pożycie szczęśliwem być nie mogło. August słuchał najczęściej, nie odpowiadając, lecz powtarzane te ubolewania powoli czyniły na nim wrażenie.

Im bardziej zbliżał się czas naznaczony na przybycie królowej, tem Bona niepostrzeżenie starała się podsycać miłość ku Dżemmie i uczynić ją namiętną.

Nie występowała czynnie, używała ku temu najrozmaitszych sprzymierzeńców, najczęściej takich, którzy sami może nie wiedzieli, iż narzędziem jej byli.

Mieszkanie Włoszki stało się dla panien dworu, dla ochmistrzyń obu prawie niedostępnem; August w każdej porze mógł tu przyjść, nie obawiając się spotkać z nikim — Dżemma wymykała się często wieczorami do pokojów młodego pana. Opaliński pilnował, aby się tu z nikim nie spotykała.

Cóż dziwnego, że w młodej parze miłość ta, dla Dżemmy pierwsza w życiu, dla króla najgorętsza z tych, jakie prześnił, dosięgła do błogiego jakiegoś szału i zapomnienia. Z takim uczuciem w sercu któż myśli o przyszłości? kto pamięta o jutrze?

Gdy August smutniejszy czasem przychodził do matki, Bona tłumaczyła natychmiast smutek ten ożenieniem i pocieszała go zapewnieniami, że tę natrętną małżonkę potrafi trzymać zdala od niego.

— Panowie polscy dla swoich jakichś rachub mogli ci narzucić niemłą małżonkę.. niechaj się nią na-

zywa, ale żyć z nią nie masz obowiązku; a przywiązać się do chorej, do ciągle zagrożonej, ciągle potrzebującej leków, niepodobna. Szczęście możesz znaleźć gdzie indziej...

Miedzy Krakowem a Wiedniem trwała ciągle prawie korespondencja, tycząca się ożenienia, z obu stron pełna najuroczystszych zapewnień przyjaźni, szczerza ze strony starego Zygmunta, który w istocie Elżbietę, wnuczkę po bracie, kochał sercem ojcowskiem. W Wiedniu jednak przez tych, którzy do Krakowa jawnie i potajemnie dojeżdżali, przez Herbersteina i innych wysłańców doskonale wiedziano, jak na dworze polskim rzeczy stoją. Cesarz i król ojciec nie wyobrażali sobie tylko, ażeby Zygmunt mógł względem żony być tak słabym i rachowali zbyt na jego opiekę.

Gdy się to działo w Krakowie, nieszczęśliwy Dudycz, o którym zupełnie zapomniano, siedział na pokucie w Wiśniczu i byłby może tam pozostał nie wiedzieć, jak długo, gdyby wkońcu nie odważył się drukowanemi głoskami najdziwaczniejszego wystylizować listu do Bonera, o litość go prosząc.

Podskarbi wpół żartem szepnął o tem staremu królowi i prosił go, aby spytał Bony o dworzanina swego, a o powrót się dopomniął. Boner dodał, śmiejąc się, że zesłano Dudycza dlatego, aby miłośkom Augusta nie był na przeszkodzie.

Zygmunt, choć powierzchowność Dudycza nie zdawała mu się dla nikogo niebezpieczną, przy pierwszym spotkaniu zagadnął królowę o dworzanina i dodał:

— Jest mi potrzebny...

Bona teraz dopiero go sobie przypomniała, a że wcale już się natręctwa z jego strony nie obawiała, posłała do Kmity, aby jej gońca napowrót z listem odprawił.

Groziło już Petrkowi na tem wygnaniu, że się na piwie marszałkowskiem mógł rozpić, bo nie mając nic do czynienia, zimnego i grzanego nadużywał, gdy szczęściem Biały przyszedł do niego z wesołą nowiną, że dziś otrzyma list i do Krakowa powracać może.

W godzinę niespełna Dudycz był gotowym i w podróżnych sukniach poszedł do Kmity z pożegnaniem i podziękowaniem za gościnne przyjęcie. Niebawem też, ścisnąwszy rękę Białemu, który choć z niego drwił, ale się nim opiekował — był już Petrek na koniu i w drodze.

Komu innemu możeby to przetrzymanie w Wiśniczu i długie oddalenie od ulubionej z głowy ją i z serca wyrugowało, bo się domyślał, że go od niej chcą odsunąć. Dudycz miał naturę upartą, a jego miłość cała w głowie mieszkała. Włoszka mu była potrzebną dla popisu przed światem, a że, zdaniem jego, żadna inna jej pod tym względem zastąpić nie mogła, trwał więc uparcie w zamiarze wzięcia jej w spadku po młodym królu.

Roił zapewne, że Zygmunt August nim i żoną jego opiekować się będzie, a może nawet robi go żupnikiem. Wszystko to wzmagало jego upór i najmocniejsze postanowienie zabiegania, aby mu kto Włoszki nie pochwycił.

Jak teraz miał postępować, kogo się trzymać: czy Bonera i króla, czy starej królowej, — tego nie umiał rozwiązać jeszcze.

Zaledwie powróciwszy do Krakowa, gdzie się czuł tak szczęśliwym, jakby się na nowo na świat narodził, pobiegł naprzód szukać którego z dworzan dla rozpytania się, co się tu działo.

Nikt prawie mówić z nim nie chciał, tak wszyscy byli zajęci i roznamiętnieni tym wjazdem, w którym mieli brać udział.

Stawił się więc do Bony z listem. Stara królowa nie przypuściła go do swego oblicza nawet, list kazała oddać na ręce swojego kanclerza, a Dudycza odprawiła z niczem.

Od niej pośpieszył do Zamechskiej, która na widok jego załamała rękę.

— Wróciłeś więc żyw! — zawołała.

— Dzięki Bogu! — rzekł Dudycz.

— Patrzajże, daj pokój Włoszce, aby cię za drugim razem dalej jeszcze nie zesłano.

Petrek chudego wasa pokreślił.

— Wybili ci ją z głowy? — zapytała Zamechska.

— Nie! — stanowczo odparł Dudycz.

Ochmistrzyni się przeżegnała.

— Trwasz przy swoim? — zawołała zdziwiona.

Kiwnął głową Petrek.

— Cóż myślisz?

— To się okaże, — rzekł po namyśle stary, przybierając oblicze zagadkowe — o jedno proszę miłość waszą, raczcie mi zachować łaskę swą.

— Ja więcej w tę twoją niedorzeczną sprawę rąk nie umoczę — odezwała się Zamechska. — Nie dokażesz tu nic, a ja się mojej pani narażać nie myślę.

Przystąpiła bliżej do Petrka i szepnęła:

— Król młody nazabój rozkochany w niej, ona w nim... gdzież tu dla ciebie nadzieja jaka?

— Żeni się — rzekł Dudycz.

Ochmistrzyni ramionami ruszyła.

— To co? — zapytała.

Niewymowny Petrek nie chciał się szerzej tłumaczyć, pocałował ją w rękę i poszedł.

Tegoż dnia dano mu w zamku zajęcie, bo teraz potrzebowano wielu ludzi i nawet taki Dudycz mógł się zdać na coś. Rozumie się, że go do żadnego orszaku nie zaciągnięto, ale na pokojach powierzono pod komendę pacholęta i wyrostków posługujących, część kredensów i sreber do dozoru.

O! te dni wiosenne, te dni młodości, jak to do siebie podobne! Najpiękniejsza pogoda z rana, słońce obmyte rosami u wschodu błyszczy złotem, ani jednej chmurki na niebie lazurowem. Nagle, jak plamka niedostrzeżona, zjawia się obłoczek, rośnie i rozciąga się, czernieje, pół niebios objął, zasłonił i zaciągnął całe, burza wre ponad ziemią przeleciała, pioruny biją, wichry obala bory... a z za rąbka chmury widać już szafir pogody —

wszystko przeleciało i przesumiało, słońce śmieje się znowu!

Nie tak li w młodości zakochanych pogoda z uraganem się mieniają, lzy z uśmiechami krzyżują ciągle...

Dżemma, choć wychowana pod niebem północy, miała w sobie krew włoską, gorącą, niemogącą spocząć i ostygnąć. Miłość jej była, jak ona; niespokojną, do szału szczęśliwą, do rozpacz w chwilę potem roznamietnioną. Najmniejsza rzecz starczyła, aby śmiech jej w krzyk się przemienił, szczęście obróciło w zwątpienie. Gdy wieczorem słowy słodkimi ukołysał ją August, a pozostała potem samą, przychodziło marzenie, nie dające usnąć i w miejsce obrazów szczęścia przynosiło z sobą groźby i postrachy. Wyobrażała sobie opuszczenie, zapomnienie, zobojętnienie, pogardę. Wszystko to tak żywo stawało przed jej oczyma, że się zrywała z pościeli, płacząc, jakgdyby dokonało się już to, czego się lękała.

Nazajutrz rano król znajdował ją z oczyma zapłakanemi, z głową na piersi zwisłą, jak zwiedły kwiatek, pół żywą. Potrzeba było nowych, orzeźwiających pocałunków, przysiąg i długiego rozpraszania ciemności, które noc w jej sercu nagromadziła. Wracala pogoda, przychodziły uśmiechy, odzyskiwała wiarę, rzuciła mu się na szyję, była szczęśliwą — na jak długo?

Czasem szczebiotanie ptaszka, niekiedy paplanie Bianki, przypomnienie słowa jakiegoś nagle brwi jej ściągało, sprowadzało niepokój i burzę.

Wszystko to August znoślił z uśmiechem cierpliwym, bo w tem widział dowody przywiązania, które niekiedy bywało jarzmem, ale słodkiem.

W miarę, jak kwiecień upływał, Dżemma stawała się coraz niespokojniejszą, słoneczne dni rzadszemi. Biana, która tu często przychodziła, znajdowała ją jakby skamieniałą jakimiś myślami i starała się odpędzić chmury, dowodząc, że jej nie były do twarzy. Czasem dawało się tak dobrze rozbawić Dżemmę, że swawoliły jak dzieci, i August je znajdował szalejące po

komnatach, co mu się bardzo podobało, bo potrzebował, aby jego smutek coś rozpędziło.

Jednego wieczora Dżemma była przy starej królowej, gdy August wszedł do jej mieszkania, a spodziewając się rychłego powrotu, zasiadł na zwykłym swem miejscu i zapatrzył się w okna, na siną dal pól i lasów. Wtem uchylono zasłonę i zamiast Dżemmy, stanęła we drzwiach Bianka, wspomnienie młodości swawolnej, dziś już obojętne. Bianka zawahała się czy wniknąć miała, wiedziała, że Dżemma była straszliwie zazdrosną, ale mogłaż ją posądzać?

Od tych lat, gdy trzpiotowata czarnooka Włoszka dawała się ścisnąć i całować ledwie dorastającemu Augustowi, upłynęło czasu wiele. Teraz było to dziewczę bardzo dojrzałe, śmiało aż do cynizmu, lekceważące sobie przyszłość, niewiele ceniące ludzi, ale na dnie serca noszące wiele zawiedzionych nadziei i trochę miłości dla istot wybranych.

Taką Bianka była dla Dżemmy, nad którą miała politowanie, bo przewidywała dla niej los taki, jaki ją samą spotkał — okrutniejszy może, bo w inny ufała i wierzyła. Ostrzegała często biedną, ale ona słuchać nie chciała.

August, zobaczywszy ją, gdy się spodziewał kogo innego, niebardzo rad był może, lecz śmiała Bianka weszła.

— Dżemma jest przy królowej, — a gdym w. miłość tu zastała — odezwała się, podchodząc — bardzom rada, bo dawno noszę na ustach słowo, prośbę, której nie mogłam wypowiedzieć.

August podniósł oczy, był pewny, że chodzi o jakiś podarek, który śmiała dziewczę w imię dawnych wspomnień chce wyłudzić.

— Cóż chcesz, moja Bianco? — zapytał.

— Nie dla mnie — odparła, zatrzymując się w pewnem oddaleniu, — coś dla Dżemmy-bym wyjednać chciała.

— Dla niej? Cóżby to mogło być, czego ona nie chce zażądać sama?

— Al! ona tego nie może ani żądać, ani się domyślać — dodała poważniej Bianka.

I spojrzała królowi w oczy smutnem a surowem wejrzeniem.

— Miłość wasza gotujecie Dżemmie los straszliwy — poczęła powoli. — Ona wierzy w miłość wieczną i ani się domyśla, jak prędko się te nici pajęczce zerwą. Ze mną było co innego, jam nigdy bardzo nie ufała nikomu, nawet w. miłości, gdyś mi poprzysięgał kochanie, które w trzy miesiące rozwiało się i znikło... ale Dżemma rozkochana, rozmarzona Dżemma... ją straszny czeka los! Ona może sobie odebrać życie, oszaleć... ja nie wiem. Jeżeli ją kochacie, przygotowujcie ją lepiej zawczasu do tego, co nieuchronne. Biedne dziecko!

Bianka westchnęła. Młody król słuchał zmieszany nieco, przestroga z ust dziewczyny była tak dziwna, że odpowiedzieć na nią nie umiał.

— Ja wierzę, — dodała Bianka — że wy ją dziś kochacie szczerze, że milujecie gorąco, że nie chcecie przewidywać, jak się to skończy... ale może się to inaczej skończyć jak — opuszczeniem? Wam przywiozła żonę młodą, powoli zyska ona wasze serce. Dżemma znudzi ciągłemi skargami i samą swą natarczywą miłością. Ze mną było wam łatwo, odwróciliście się ode mnie do Marji, a ja śmiałam się wkrótce do kogo innego, bo mam taką naturę... ale Dżemma kocha inaczej! Ona nie da wam spokoju, bo go sama nie odzyszcze więcej... może umrzeć. Jej bogato wydać za mąż nie potraficie, bo ona niczyją po was być nie chce. Nie rozżarzajcie tego pożaru, w którym ona spłonąć może. Nie będzie wam żal tej istoty, tak stworzonej do szczęścia i do uszczęśliwiania!

— Kocham ją — odparł król zasepiony. — Wierz mi, Bianco, że się wcale z nią rozstawać nie myślę.

— Ale wasza miłość wiesz dobrze, że to trwać nie może — rzekła pośpiesznie Bianka. — Kochaliście, nie mówię mnie, ja byłam może dla was zabawką... a Marietta, a Giuletta, a Rosa...

Podniosła rączki trochę duże, ale kształtne do góry.

— Królu mój, któż zdobył wasze policzki! — zawołała. — Przypomnijcie Mariettę! Nie kochaliście jej jak Dżemmę, a przecież...

Nie dokończyła, August oczy spuścił.

— Nie rozumiem, czego chcesz ode mnie — rzekł sucho.

— Ale mnie się trudno wytłumaczyć jaśniej — szepnęła Bianka. — Biedna Dżemma, ona tak wierzyła! tak ufała! tak jest pewna!

Mówiła jeszcze Włoszka, gdy król dał jej znak; posłyszał, a raczej przeczuł nadbiegającą Dżemmę, która, posłyszawszy zdała rozmowę, przyspieszyła kroku, leciała zadyszana, zarumieniona, rzuciła się wprost na Biankę, która, krzyknąwszy, uciekła, a potem podbiegła do króla. Brwi się jej strasznie ściągnęły.

— A! ta podła Bianka! — krzyknęła. — Korzysta z tego, że mnie nie było, aby się zalecać!

Rozśmiał się August, wstając i podchodząc do zagniewanej, którą objął, chociaż odpychać go chciała.

— Bianka, przysięgam ci, mówiła tylko o tobie! — rzekł, łagodząc ją.

— O mnie? To zapewne, aby mnie, tak jak ona umie, uczynić śmieszną, aby serce ostudzić? — zawołała.

— Mylisz się, nie masz lepszej nad nią przyjaciółki, brała twoją stronę!

— Przeciwno komu? — krzyknęła Dżemma.

— Przeciw własnym przywidzeniom, — dodał król — zdało się jej, że ja cię nie tak kocham, jak powinienem.

— Żartujesz ze mnie — rzekła nadąsana Włoszka, łagodniejąc.

— Mówię prawdę, — potwierdził król — wierz mi, Bianka jest płochą, ale dobrego serca dziewczyną.

Wolnym krokiem odstąpiła od niego piękna Włoszka i poszła usiąść na swem krześle. Twarzyczka jej się nie rozjaśniała, milczeli dosyć długo, spoglądając ku sobie.

— Al — poczęła wreszcie, nie mogąc się dłużej utrzymać, Dżemma — co ja cierpię! Zazdrość mnie spali!

— O kogóż jesteś zazdrosną?

— O tę, która przybywa — mówiła Włoszka. — Nie chcieliście pokazać mi jej wizerunku, chociaż wiem, że go macie. Alem widziała u królowej. Młoda, bardzo piękna!

— Nie tak, jak ty!

— Ale ja... żoną nie jestem! — westchnęła Włoszka. — Ona mieć będzie wszystkie twoje godziny, ja — kradzione. Przez ten czas, gdy ani widzieć, ani słyszeć was nie będę, zazdrość mnie zadławi. Umrę...

Porwała się z siedzenia.

— Nie, nie, tak pozostać nie może — dodała. — Mam do was prośbę; mylę się, mam żądanie, które spełnić musicie. Noszę się z niem.

Spojrzała mu w oczy.

— Spełnisz je? — zapytała.

— Jeżeli jest w mojej mocy — rzekł August.

— Nie, choćby nie było w mocy waszej, musicie wszelkimi sposobami postarać się u matki, aby się stało tak, jak ja chcę.

August czekał, aby się jaśniej wytłumaczyła.

— Naznaczone będą panny do dworu młodej królowej, — rzekła — ja muszę być w ich liczbie, być przy niej i stać na straży.

August ramionami poruszył.

— Abyś siebie i mnie swoją niecierpliwością zdradziła! — zawołał. — Co za myśl dziwna! Stałabyś się niewolnicą...

— Wolę to, niż stać zdaleka, nie widzieć i zagryzać się domysłami — rzekła Dżemma.

— Ja o to królowej prosić nie mogę, — odezwał się August — wątpię, ażebyś ty potrafiła, a matka moja nigdy na myśl tę nie wpadnie.

— Nie wiem kto i nie wiem, jak się to ma zrobić, — odezwała się Dżemma — ale wiem, że ja tego chcę,

pragnę, że wszystkom uczynić gotowa, aby się to stało i stać się musi.

Nogami uderzyła w podłogę, śliczne oczy jej spojrzały ogniście.

— Ja się zamęcę domysłami, ja roić będę... i łzami się zalewać — mówiła znowu. — Będąc przy niej, będę patrzyła, będę się poila trucizną, ale ona nigdy tak gorzką być nie może, jak moje marzenia. Któż wie, przy boku królowej patrafię może odstręczyć was od niej.

— Ja jej nie kocham, Dżemmo, — rzekł August spokojnie — wiesz o tem...

— Ale ona o twą miłość starać się musi i będzie, temu ja chcę przeszkadzać...

— Dziecko — odezwał się młody król, pomilczawszy — z twoim temperamentem, niecierpliwością, narażać się na to, aby twoją i moją tajemnicę natychmiast odkryto.

Dżemma ruszyła ramionami.

— Jaką tajemnicę? — odparła. — Ja nie mam żadnej, i wasza, jeżeliście z waszej miłości dla mnie czynić ją chcieli, dla nikogo nie jest zakrytą. Wiedzą wszyscy, że ja was kocham. Chcę, aby to na cztery strony świata otrąbiono na krakowskim rynku... Co mi tam! Tak, jestem niczem więcej, jak kochanką młodego króla, ale mam jego serce, a tamta będzie żoną i nie dostanie nic... oprócz pierścionka i zimnej dłoni.

Gdy to mówiła, król wsparty na rękę milczał, słuchał i może przychodziły mu na myśl przestrogi Bianki. Dżemmę trudno było pohamować, a on, łagodny dla niej, słaby, bo rozkochany, mniej mógł to, niż ktokolwiek inny.

Nie otrzymując odpowiedzi, Dżemma zbliżyła się do siedzącego, położyła mu obie ręce na ramionach, zbliżyła usta do czoła, starała się dobyć słowo, wyjednać obietnicę.

August milczał.

— Mów, dopomożesz do tego? — szeptała. — Królowa teraz robi dla ciebie wszystko... a ona może, co

zechce. Stary król, aby ją zaspokoić, na wiele się zgodzi, a wielkaż to rzecz jedną dziewczynę we fraucymetrze pomieścić?

— Z ręki mojej matki? Obawiać się jej będą — rzekł król — tem bardziej, gdy, jak sama powiadasz, wszyscy wiedzą, że ja ciebie kocham. W ostatku królowa Elżbieta prowadzi z sobą Niemki swoje, ochmistrzynię własną, cały dwór.

— I wy ją zostawicie otoczoną temi obcemi, aby spiskowały? — zawołała Dżemma.

Przerwała nagle, odstąpiła kroków kilka.

— Powiedziałam wam, co mam na sercu; jeżeli mnie kochasz, uczynisz, postarasz się zrobić, co Dżemma pragnie, lub twoja Dżemma powoli wyschnie i umrze z zazdrości i gniewu, gdy nic widzieć, niczemu zapobiec nie będzie mogła.

— Gorzej jeszcze męczyłabyś się — odparł król — patrząc, widząc i nie mogąc nic...

— Ja lepiej wiem, czego i dlaczego żądam, — odezwiała się Włoszka — a od tego nie odstąpię! nie!

— Ale to jest niepodobieństwem!

Dżemma zatknęła sobie uszy i odbiegła kilka kroków.

August się zasepił, rozmowa przerwała.

Postrzegła wreszcie Włoszka, iż zły humor, który dziwaczne jej żądanie wywołało, potrzeba było rozpedzić... Siadła na podnóżku przy królu, położyła główkę na jego kolanach i oczyma szukała jego wejrzenia. Zaczęli szeptać pocichu.

Zapukano zlekka do drzwi. Zerwała się Włoszka gniewna. Od komnat wewnętrznych przychodziła Bianka, niosąc na srebrnej misie łakocie, wodę i wino. Podawano je zwykle w tej godzinie.

Bianka zmierzyła wzrokiem oboje, uśmiechnęła się do Dżemmy i szepnęła jej na pociechę, że sama królowa przysłała owoce i cukry.

Lecz dzień to był, w którym się krzyżowało wszystko i Bianka jeszcze nie wyszła z pokoju, gdy do drugich drzwi zapukano, a z samego uderzenia w nie do-

myślał się August, że ktoś przychodził do niego. Wyjrzał przez drzwi. Za niemi stał Opaliński.

— Stary król kazał was wezwać — odezwał się zcicha.

Godzina była niezwyczajna, — ale teraz tyle drobnych spraw nieustannie się nastęczało, że niczemu się dziwić nie było można. W istocie Zygmunt korzystał z tego, iż mu doniesiono, że Bona była z Gamratem na radzie i chciał z synem rozmówić się sam na sam.

Pomiędzy synem a ojcem stosunek nie był nigdy zbyt poufały; Zygmunt, pamiętny własnej młodości, znajdował obowiązkiem być dosyć surowym dla jedynaka, którego kochał, nad którym czuwał, ale obawiał się okazywać mu zbytnej czułości. Powaga ojcowska, którą starał się utrzymać, cierpiałaby na tem, zdaniem jego. Gdy przed nim zbyt wychwalano Augusta, najczęściej powtarzał to, co mu później w usta kładną:

— Zostawcie też co zganić!

Im bardziej pieściła go Bona, tem król był zimniejszym, lękał się zbytniego rozmiękczenia tam, gdzie męska siła i wola były niezbędne.

Gdy Zygmunt raz rozkazał i objawił, czego żądał, nie było żadnych wymówek. August musiał być posłusznym.

Domagano się teraz dla dwudziestokilkoletniego pana więcej swobody, jakiegoś udziału w rządach, ojciec się na to nie zgadzał. Obchodził się zawsze z synem jak z wyrostkiem.

W sercu Augusta poszanowanie dla ojca było wielkie, lecz miłość obudzić się nie mogła, zwłaszcza, gdy Bona tłumić się ją starała w zarodku, zawsze we własnym interesie, stojąc po stronie dziecka przeciw ojcu.

Idąc do ojca, przewidywał August, iż rozmowa dotyczyć się będzie tego, około czego teraz obracały się wszystkie rozmowy — małżeństwa, lecz szczegół najdrobniejszy ubioru, koni, powozu mógł być powodem do wezwania. Nie przywiązywał do niego zbytnej wagi.

Godzina była wieczorna, stary Zygmunt spoczywał

już na łożu swem i u drzwi stał jeden dworzanin, który na znak, dany przez króla, natychmiast zniknął.

August ucałował rękę ojca, który mu się przypa-trywał długo, bacznie, nim mówić począł.

— Dziś nadeszły listy z Wiednia — rzekł powoli, rzucając słowo po słowie. — Elżbieta wkrótce wyrusza w podróż. Jest to chwila w życiu twem ważna, o przyszłości stanowiąca. Bóg świadek, żem dla przyszłego szczęścia twojego uczynił, co było w mej mocy. Żonę mieć będziesz wychowaną pod okiem dostojnej matki, dziecię miłe, łagodne, posłuszne... kochać je i z miłością przyjać potrzeba.

Stary król westchnął.

— Matka ma uprzedzenia, nie lubi jej, nie życzyła sobie, — ciągnął dalej — wiem o tem, lecz spodziewam się, że się to odmieni. Nie dajże w siebie przelać tych uprzedzeń i niechęci.

August stał, słuchając niemy.

— Z tego dziecięcia, — mówił stary — bo to jeszcze jest niemal dziecko, uczynisz wszystko, co zechcesz... Bierzemy je i za szczęście jego jesteśmy odpowiedzialni. Rozumiesz?

Syn skłonił głowę.

— Nie daj się zniechęcić zawczasu — dodał ojciec.

Nie było odpowiedzi. Zygmunt Stary dużo mówić nie lubił, zamilkł, patrząc na syna, który stał ze spuszczonemi oczyma milczący.

— Miłostkom, które się młodości przebaczały — dodał ojciec — trzeba dać spokój... i o nich zapomnieć. Nie przystałyby dzisiaj, a zatrwały pierwsze początki waszego stadła.

I znowu chwila milczenia przykrego rozdzieliła mowę Zygmunta, który się namyślał, w syna wlepiając oczy.

— Matka się dąsa; babskie to są kaprysy — rzekł. — Wszystko to przejdzie, minie, zmieni się, gdy ty rozum mieć będziesz... Na tobie teraz wiele zależy. Nie mogła ci się Elżbieta nie podobać z wizerunku, ja kocham ją już, jak własną córkę. Nakłoń ku niej serce swoje.

— Nie znamy się jeszcze — szepnął August.

— Pisywaliście do siebie — odparł stary. — Piękna jest, młoda i jak najlepiej wychowana. Niemka, to prawda, ale my z niej zrobimy, co zechcemy, to od ciebie zależy. Taką była nieboszczka, matka nasza, a daj Boże, aby wszystkie takimi jak ona, były żonami i matkami przykładnymi. Nie kochał jej ojciec, gdy się żenił, ale przywiązał potem najczulej i znalazł szczęście w małżeństwie.

Zygmunt westchnął głęboko, przypomniawszy sobie, że on go nie miał, tylko przez ten krótki przeciąg czasu, gdy żył z Barbarą. Drżącą ręką nieznacznie otarł łzę z oka.

— Żądają ode mnie Litwini, życzą sobie i panowie koronni, abym się z tobą władzą podzielił i dał ci zakosztować panowania — mówił dalej powoli. — Chcą, abym patrzył i kierował. Zaczniјże od tego, byś u siebie w domu z żoną rządzić się umiał i znalazł po temu wolę własną.

August mógł zrozumieć aluzję do matki, ale podnosić jej nie mógł.

— Spodziewam się po tobie, że mi nie zatrujesz tych dni, które starość czyni ciężkimi do noszenia.

Milczenie przerwało znowu tę naukę ojcowską, która z piersi starego powoli i z trudnością się dobywała.

— Rozpuszczają fałszywe wieści, — rzekł ciszej — że Elżbieta jest słabowitą i cierpi na jakąś tam chorobę zmyśloną. Wszystko to są bajki tych, którzyby radzi serce twe od niej odciągnąć. Słyszałeś o tem? — zapytał.

Nie mógł August zaprzeczyć.

— Matka mi o tem wspominała — rzekł krótko.

— Nie lubi jej, więc przyjmuje wszelkie baśnie, które ją usprawiedliwić mogą — ciągnął dalej Zygmunt. — Ja mam lepsze wiadomości... Fałsze to są. Delikatna, wątła, pokrzepić się powinna, gdy się uczuje u nas miłością otoczona. Ja będę jej najczulszym ojcem... a ty?

Dał czas do odpowiedzi. Syn skłonił się.

— Zastosuję się do woli waszej — przebaknął zimno.

— To nie dosyć, nie dosyć, — żywo przerwał Zygmunt — musisz ją pokochać z własnej woli, bo na to zasługuje.

Po ostatnich słowach nastąpiło milczenie tak długie, iż August, sądząc rozmowę skończoną, już się chciał oddalić, gdy król rzekł jeszcze:

— Nie daj się powodować babskim intrygom. Staraj się matkę nawrócić, tego oczekuję i wymagam po tobie.

Wyciągniętą rękę ucałowawszy, syn powoli odszedł ku drzwiom i zaledwie je przestąpiwszy, znalazł w drugiej komnacie, jakby oczekującego na siebie biskupa Samuela.

Maciejowski przystąpił do młodego króla z wyrazem wielkiej uprzejmości i poszanowania i zatrzymał go, gdy chciał iść dalej.

— Król jmość — rzekł — uprzedził mnie o rozmowie, jakiej sobie życzył mieć z miłością waszą; zlecił mi też poufnie, abym w tym przedmiocie mówił z wami.

Spojrzeli sobie w oczy. August stał, biernie się zachowując i raczej gotów do słuchania, niż do mówienia. Jagielloński to był obyczaj, bo wszyscy, z małym wyjątkiem, skąpi bywali na słowa. Jeden Jan Olbracht i kardynał różnili się od braci.

— Król stary się tem niepokoi, — począł Maciejowski — iż was zawczasu starają się do młodej pani zniechęcić. Dla serca ojcowskiego byłby to cios bardzo bolesny, gdybyście jego miłości dla narzeczonej swej nie podzielali. Król ją kocha, jak dziecię własne.

— Wiem o tem, — rzekł August — ale ode mnie, który jej nie znam wcale, niepodobna wymagać wczesnego afektu.

— Tak, byleby wczesny i nieusprawiedliwiony wstręt go nie uprzedził — rzekł Maciejowski. — Na dworze, a dzieje się to na wszystkich dworach, krzyżuje się mnóstwo intryg, nie dajcie się w nie uwikłać.

— Ja ich nawet nie widzę dotąd — odparł August.

— To może tem gorzej, — rzekł biskup z uśmiechem — bo my, co je dostrzegamy, lękamy się ich dla was.

August poruszył nieznacznie ramionami.

— Królowa jmość ma żal do nas wszystkich, — mówił ks. Samuel — żeśmy związek z wnuczką króla Władysława popierali, lecz myśmy to uczynili, stosując się do woli pana naszego. Spełniliśmy czego najgoręcej żądał... Małżeństwo ze wszech miar rokuje się szczęśliwem.

August słuchał z oczyma spuszczone.

— Nie godzi mi się — dodał biskup — syna przeciwko matce jątrzyć, i niech Bóg mnie od tego uchowa, lecz królowa czuje się obrażoną, iż jej nie usłuchano... to wszystkiego przyczyną.

— Ale miłość wasza — przerwał August — zaprzeczyć nie możesz, że matka, równie jak ojciec, pragnęła dla mnie szczęścia; któż dziś może rozsądzić, czy się omylił ojciec, czy ona?

— Szczęście to, miłościwy panie, — żywo odpowiedział ks. Samuel — zależy zupełnie od was. Wszystko, co je dać może, znajduje się w osobie przyszłej królowej, nie trzeba tylko odtrącać.

— Alem nie zasłużył, aby mnie o to posądzano — odparł August — nie jestemże posłusznym?

Biskup skłonił głowę.

Zamienili jeszcze słów kilka, i gdy młody pan poruszył się, jakgdyby chciał odejść, ks. Samuel go nie wstrzymywał. Pożegnali się grzecznie, lecz zimno.

Królowa Bona już wiedziała o synu; na drodze zastąpił mu dworzanin, wzywający go do niej.

Nie była samą, wieczorni goście właśnie do *collazione* na sposób włoski zasiadać mieli. Komnata jadalna królowej była oświecona, stół zastawiony i goście już byli przy nim.

Bona była więcej, niż rządną, znano jej skąpstwo; nie było w podaniu zbytku ani dla oka, ani dla podnie-

bienia. Tylko ulubieniec Gamrat, o którym pamiętano, dostawał wino, jakie lubił, łakocie, które jadał i przysmaki, dla niego przeznaczone. Królowa nie lubowała się zbyt w jedzeniu, a wówczas już poczyniała być cierpiącą. Siedziała za stołem, mając u krzesła swego dwie panny, a jedną z nich była Dżemma, która, po chodzie poznawszy Augusta, odwróciła się ku wchodzącemu i pierwsza powitała go wzrokiem, śmiało zmierzonym ku niemu.

Obok Gamrata siedziało dwóch starszych urzędników. Biskup, od niejakiego czasu ponury i smutny, teraz też rozchmurzyć się jeszcze nie mógł i siedział posepny.

Bona przypisywała to Sobockiej, chociaż nikt właściwie przyczyny tej zmiany humoru odgadnąć nie mógł. Kto dawniej znał wielomównego, wesołego, ożywionego, aż nadto wesołości i zaufania w sobie okazującego Gamrata, teraz go ledwie mógł poznać w człowieku surowym i milczącym, nagle starzejącym i jakby strwożonym czemś. Wzrok jego zdawał się widm jakichś szukać dokoła.

Pobłażający dawniej dla duchowieństwa, stał się teraz nad miarę surowym i ścisłym w przestrzeganiu karności. Słowem, Gamrat to był inny. Przywiązanie jego tylko do królowej i wierna stałość w jej usługach pozostały, jak były. Trzymał stronę Bony we wszystkim.

Widząc wchodzącego młodego króla, podniósł się Gamrat; — miejsce obok matki oczekiwało na niego. Bona oczyma już w twarzy syna czytać się starała, co z sobą przynosił.

— Byłeś u ojca?

Tu się posypały zapytania, a biskup nachylony słuchał odpowiedzi razem z królową. Ale August zbył krótko, mówiąc, że ojciec zwykle mu powtórzył nauki i przestrogi.

Z zaciśniętymi ustami i szyderskim wyrazem twarzy słuchała Bona, zdając się mówić.

— Napróżno myślicie walczyć ze mną!

Dla Gamrata, a razem dla syna, którego smutek od dni kilku coraz się powiększał, Bona oprócz wieczery przygotowała rozrywkę.

Włoch Monti, sławny muzyk i śpiewak, miał przyjść z lutnią i kilka canzon odśpiewać. Monti odniedawna przybył do Polski, umyślnie na dwór królewski, spodziewając się czasu wesela dobrego żniwa dla siebie.

Było wówczas w obyczaju, że nie tylko ci, co śpiewaka w swym domu mieć chcieli, opłacali go, ale goście dostojni, którym się podobał, obsypywali go podarkami. A że próżność niejednego skłaniała do popisu z hojną ofiarą, śpiewak w ten sposób mógł się dobrze obłowić. Kilka, kilkanaście dni weselnych, turniejów, a po nich uczt zwykłych starczyły, aby długą podróż opłacić i do domu wrócić z zapasem. Dawano pieniądze, pierścienie, łańcuchy, kubki i inne kosztowności.

Monti, Włoch najczystszej krwi, o którego pochodzeniu mówiono różnie, bo go nawet do bardzo świetnych koligacyj z lewej ręki liczono, odebrał był wychowanie staranne i miał wszystko, co go zalecać mogło, w dodatku do pięknego głosu. Przedewszystkiem śmiałość i brawurę w występowaniu, wiarę w siebie, a przytem zamiłowanie w stroju i elegancji. Był to mężczyzna mający lat około trzydziestu, urody pięknej, brunet z czarnymi oczyma ognistemi, z włosami kuczemi, w puklach spadającemi na barki. Każdy ruch jego, krok, sposób, w jaki wdzięcznie powyginanemi palcami lutni dotykał, ukłon, uśmiech, wszystko było obrachowane zalotnie. Stroił się kosztownie, a obcisłe suknie uwydatniały budowę ciała posagową. Oczy też wszystkich, nade wszystko dziewcząt, zwróciły się na czarodzieja, który, lutnię niosąc w rękę, krokami tancmistrza zbliżał się do królowej.

Czarny ubiór czynił go smuklejszym jeszcze, niż był w istocie i płeć białą podnosił. Na szyi miał łańcuch, dar cesarza, kosztowny, a na stradlotce krótkiej rzucony lekki płaszczyk. Na palcach błyszczały piękne pierścienie.

Królowej Bonie podobał się nietylko z głosu i postawy, ale z pochlebstw, któremi ją obsypywał. Zauważała mu się uśmiechała.

Cisza nastała w salce, gdy Monti się zbliżył, a gdy na rozkaz królowej podano mu taboret, którego odmówił zająć, ustał szelest najmniejszy tak, że pryskanie palących się świec woskowych usłyszeć było można.

Monti, chociaż na taborecie byłby może równie malowniczo wyglądał, wolał przecie stać, bo tym sposobem piękna jego figura jeszcze się zręczniejszą wydawała i ruchy, któremi towarzyszył pieśni, miał swobodniejsze. Można było powiedzieć, że nie śpiewał, ale odgrywał swe pieśni, tyle było mimiki w wejrzaniach, w podnoszeniu i spuszczeniu głowy, w wyrazie ust, w gestach rąk, które lutnią to szarpały namiętnie, to dotykały jej zaledwie.

Nie dziw, że namiętny śpiew i gra na słuchaczach czyniły wrażenie ogromne. Gdy pierwsza pieśń przebrzmiała, pochwałą nie było końca, a artysta, wodząc oczyma po przytomnych, odbierał nieskończone dzięki w ognistych spojrzeniach kobiet.

A on, choć nie gardził i najskromniejszą sympatją, zdawał się głównie dbać o to, aby się starej królowej i stojącej za nią Dżemmie podobał. Ścigał ją, oblegał swym ognistym wzrokiem, a piękna Włoszka, choć jej to pochlebiało wielce, wkońcu czuła się obrażoną i surową ukazała twarz, odwracając od niego oczy.

Po pierwszej canzonie poszła druga i trzecia, po smętnej wesole, po tych figlarne, a w żadnej z nich, jak przewidzieć łatwo, nie zbywało na motywie miłosnym.

Monti był szczęśliwie usposobiony. Gamrat podał mu kubek wina, który on, przyklękawszy, spełnił za zdrowie królowej.

I August nieco się rozweselił, słuchając ślicznych śpiewów, które go przenosiły w jakiś lepszy, jaśniejszy świat.

Kwiecień upływał. Gdy w Krakowie sposobiono się na przyjęcie królowej, matka i ojciec jej z trwogą oczekiwali dnia rozstania, gdy młodziuchną, słabą, wylęklą istotę mieli oddać w ręce obce.

Spodziewano się wiele po starym królu Zygmuncie, lecz wiadano też zawczasu, jak była usposobiona i co tu znaczyła Bona. Król ojciec tem siebie i matkę pocieszał, że losy córki Bony, Izabeli, i jej syna miał w swych rękach, że cesarz brat jego mógł neapolitańskie księstwa podległe mu, jeśli nie odebrać królowej, to zagrozić jej prawom do nich.

Spodziewano się więc tutaj, że młoda pani, mając opiekę ojca i stryja, musi na dworze polskim być dobrze przyjętą.

Matka, która najczulej do tego dziecka była przywiązaną, obmyśliła też środki, aby młodziuchne dziewczę, nagle się przenosząc w ten świat nieznany, miało u boku troskliwą piastunkę i służbę własną, do której była przywykłą.

Elżbieta w istocie potrzebowała tej opieki i czuwania; był to kwiatek, zaledwie się rozwijający, ale wątły, blade i trwożliwy. Pieszczoszka i ulubienica matki, ciągle przy niej, nawykła do objawów miłości wielkiej rodziców, potrzebowała jej, jak powietrza do życia. Nie zbywało jej na piękności, a nadewszystko na niewinnym, dziewiczym wdzięku, któremu nieśmiałość dodawała wyrazu. Chód jej, wejrzenie, każde słowo zdradzały duszę łagodną, potrzebującą, aby ludzie w obejściu się z nią poszanować ją umieli. Pragnęła się wszystkim podobać, a nikogo nie chciała zaćmić, tak była pokorną i skromną.

Matka napróżno chciała jej wmówić, aby nabrała więcej odwagi, a mniej się korzyła przed ludźmi, odpowiadała jej uśmiechem i naiwnem słowem:

— Kiedy nie umiem być inną!

I podnosiła oczy ku matce, która jej rozczulonym odpowiadała uściskiem.

Elżbietka taką była od dzieciństwa. Więcej energii życzyli jej rodzice, wiedząc o losie, jaki ją czekał, ale

z wiekiem, nie zmieniła się łagodność, nie ustąpiła bojaźliwość. Miała jakby przeczucie swych przyszłych losów. W Polsce czekały na nią złota korona Jadwigi, cierniowy wieniec i męczeńska aureola... Wszystkiego byłaby się chętnie wyrzekła, lecz los ją czynił ofiarą — musiała iść jako zakładnik pokoju, przymierza, jako węzeł dwu rodzin panujących.

Z Polski i Herberstein i inni przywozili wieści zatrażające. Ale tu im wierzyć nie chciano, sądzono je przesadzonemi.

Młoda królowa miała za sobą oprócz króla najdosjniejszych mężów w Polsce. Matkę jej zastępować miała ochmistrzyni, kobieta, na którą liczono najwięcej, energiczna, rozumna, mężna Kätchen Hölzelinówna.

Ochmistrzyni ta, na której rękach wychowała się Elżbieta, pochodziła z rodziny, której kilka pokoleń już służyło na dworze, a przywiązanie jej do wychowanki było macierzyńskie. Niezamężna, sama na świecie, Hölzelinówna nie miała na nim nikogo, oprócz Elżbietki swej i dla niej gotową była poświęcić życie.

Silnie zbudowana, zahartowana latami, czynna, pracowita, Kätchen miała ten spokój siły i ten takt zimny, który w boju szczególnie jest niezbędny. Wiedziała ona dobrze, co ją w Krakowie czekało i zawczasu się zbroiła. Poprzysięgła wcześniej królowej matce, że w żadnym razie, postrachem ani intrygą nie da się odciągnąć od Elżbiety i na krok jej nie odstąpi. Wszystkie zresztą sługi, mające towarzyszyć młodej pani do Polski, z równem były dobrane staraniem. Matka na ich wierność i poświęcenie rachować mogła.

Cesarz Karol V powtarzał z dumą trwożącej się bratowej, że przecież synowicy jego nic się złego stać nie może.

A jednak w chwili rozstania, wyjazdu, gdy potrzeba było ruszyć w tę podróż przeznaczenia, połały się łzy bolesne. Król ojciec, oprócz tych, co otaczali córkę, należąc do jej orszaku, potajemnie wysyłał ludzi, aby zasięgnąć wieści, jak tam ją przyjmować się przygotowywano. Wszystko brzmiało jak najpomyślniej.

Ze strony króla Zygmunta nie zaniedbano nic, aby młodej pani na pierwszym kroku dać jak najlepsze wyobrażenie o kraju, który miał być dla niej nową ojczyzną. Wybór nawet pory roku zdawał się mieć na celu, by w majowej zieleni, w wiosennych szatach, Polska wydała się młodej królowej uroczą.

Zajęcie przybyciem Elżbiety, z przykrością dla Bony, tak powszechnie opanowało umysły, tak się stało gorączkowem, tyle współzawodnictw wywołało, iż ona, która chciała je ignorować, pozostać zimną, bierną, wśród tego poruszenia znalazła się odosobnioną i czuła, jakby straciła na znaczeniu i powadze.

Kmita, Gamrat, Opaliński, inni jawni i potajemni sprzymierzeńcy królowej w tej chwili razem z jej nieprzyjaciółmi pracowali tylko, aby przy wjeździe uroczystym nie dać się zaćmić.

Codzień niemal przybiegali postąńcy, oznajmujący o podróży Elżbiety, o zbliżaniu się jej ku granicom.

Na przyjęcie tu, oprócz wysokich dygnitarzy, król Zygmunt Stary uprosił dwie najdostojniejsze niewiasty, które do ulubionych Bonie nie należały. Jechała z dworem liczny żona hetmana Tarnowskiego, Szydłowiecka z domu, i siostra jej, księżna na Oleśnicy.

O tem wszystkiem mówiono codzień wszędzie, i w otoczeniu Bony, która słuchała zimno i dosadnie starała się okazywać, że ją to bynajmniej nie obchodziło. Kosztowało ją to wiele, bo zbliżała się walka, do której z namiętnością tem większą, iż gwałtem tąjoną, przysposabiała się Włoszka.

Przyszły dwór królowej młodej i króla, do którego wyboru Bona się mieszać nie chciała, przez samego króla został wyznaczony.

Dżemma, która postanowiła się wcisnąć do orszaku młodej pani, z zaciętością starała się przyprowadzić do skutku myśl dziwaczną, ale spotykała nieprzełamane do tego zapory.

August nie mógł się wstawić za nią, Opaliński się nie ważył. Ochmistrzynie obie lękały się o tem napomknąć Bonie, rozdrażnionej i nadąsanej, nielubiącej

najmniejszej wzmianki o Elżbiecie i tem, co się jej tyczyło.

Dżemma rzucała się próżno na wszystkie strony, i wkońcu musiała, padłszy do nóg Bonie, sama się ważyć na to, aby ją prosić o zalecenie młodej królowej do jej orszaku.

Pani wybuchnęła naprzód gniewem i nierychło się uspokoiła, dając przebłagać. Dżemma mogła jej być pomocną, lecz razem niebezpieczną. Nie chcąc mówić nawet o tem dłużej, odprawiła ją rozplakaną z niczem.

Ostatnia wiadomość zapowiadała przybycie Elżbiety, po rozstaniu się z matką w Kornenburgu, do Ołomuńca.

Tu na nią czekali posłowie polscy. Panie orszak przygotowany spotkać miał w Oświęcimiu.

Seweryn Boner w pięknym swym dworze w Balicach gotował się pierwszy pokłonić młodej pani, której sprawą gorliwie się zajmował.

W Balicach, czwartego maja, była już tak jak w Krakowie i tu zatrzymano się tylko, aby ów wjazd, co tyle pracy i zabiegów kosztował, urządzić i zgotować na dzień następny.

Z wyjątkiem pokojów Bony, na których pusto było i cicho, na całym zamku wieczorem, przez noc całą, ruch nie ustawał. Młody król temi przygotowaniami tak był ciągle zajęty, iż do matki nawet zbiec nie mógł, a Dżemma zaplakana próżno czekała na niego do późnej nocy.

Na każdy szelest w korytarzu zrywając się i biegnąc ku drzwiom napróżno, wracając potem, zawiedziona Włoszka naprzemiany płakała i przeklinała.

Było już blisko północy, gdy weszła do niej litościwa Bianka. Ta już była rozebrana, jak do łóżka i narzuciła tylko lekki płaszcz łaziebny na siebie, a czarne długie włosy, których związać nie miała czasu, spływały jej na białe ramiona.

Dżemma sukni nawet dotąd nie zdjęła.

Zobaczywszy ją z chustką przy oczach, w sznurów-

ce, w pasie i całym stroju, Bianka rozgniewana, podszedłszy ku niej, uderzyła w ręce.

— Dżemmo moja! — zawołała z macierzyńską troskliwością — co się z tobą dzieje! Dziecko nieszczęśliwe, oczy wypłakujesz nadaremnie, gdy ci właśnie najpiękniejszą być potrzeba! Ale porzuć te łyzy Arjadny, bo nie jesteś opuszczoną! Królowej starej będziesz teraz najpotrzebniejszą, na rękach cię nosić każe.

— Przez cały dzień nie był u mnie! — wykrzyknęła Dżemna, ręce łamiąc. — Ostatniego dnia, gdy mogliśmy jeszcze być sami.

Bianka słuchała z uśmiechem.

— Bądź pewna, że go za to zobaczysz jutro, bo zatęskni za tobą, ale dziś on sobą nie władał. — Zrzuć te suknie, połóż się, spocznij, abyś była piękna; my dwie musimy gdzieś sobie wyszukać miejsce, z którego byśmy wszystko, wszystkich jak najdoskonalej widzieć mogły. Nieprawdaż? Stara królowa z zamku się nie ruszy krokiem, a my otrzymamy łatwo pozwolenie.

— Ja nic widzieć nie chcę! — zawołała Dżemna — nic, nic!

— Jakto! Nawet twojego króla, gdy będzie taki śliczny paradował na koniu?

— Przy jej kolebce! — zawołała Włoszka.

— A tak! I jej powinnaś być ciekawą, jak blada i strwożona jechać będzie na te królewskie gody, które dla niej staną się męczarnią królewską!

Dżemna podniosła się.

— Ostygnij i pomyśl — dodała Bianka. — Co ci pomoże siedzieć tu w kącie, gdy możesz pokazać oblicze i triumfować, bo niema wątpliwości, że jesteś od niej piękniejszą. — Tomek, dworzanin króla, właśnie z Balic powraca, widział ją, jak wysiadała do dworu drżąca, iż pod boki musiano ją trzymać, bo się ślaniała biedna. A była blada, jak ściana, i wydawała się chorą, strwożoną, zmęczoną. To dziecko, a ty...

Słuchała Dżemna z zajęciem.

— Wiesz, — mówiła Bianka, zwolna poczynając ją rozbierać — musimy się wyprosić na miasto. Znaj-

dziemy dworzan, co nas wyprowadzą zawczasu i znajdą w kamienicy pomieszczenie, z którejby widać było dobrze orszak cały. Monti, piękny śpiewak, który się w tobie kocha...

Dżemna ręką białą zamknęła jej usta. Śmiała się Bianka.

— Nie rozumiem ciebie, — rzekła — nie chcesz nawet pozwolić na to, aby się w tobie kochano! Lecz cóż ci to szkodzi? Płacić za to nie potrzebujesz. Ja zaś zawsze rada jestem, gdy ich jak najwięcej około mnie biega i oczyma się modli. To obudza zazdrość i miłość jedyną wzmacnia.

Dżemna rozbierała się machinalnie, zadumana i smutna.

— Jedziemy jutro patrzeć na wjazd, czy nie? — zapytała Bianka. — Mów, bo ja nie wytrzymam. Ja wszystko widzieć muszę. Na zamku mieszkają się pocztę, nie zobaczyć nie będzie można. Królowa nam pozwoli. Mówiłam z ochmistrzynią. My tu jutro nie będziemy potrzebne.

Bianka napróżno czekała odpowiedzi; zatopiona w myślach Dżemna nie słyszała może jej szczebiotania. Nagle zwróciła się, drgnąwszy, ku niej.

— Masz słuszość! — rzekła żywo. — Potrzeba nie tylko widzieć jutro, ale się pokazać. Niech August widzi mnie wesolą, aby go zabolalo serce! Przez cały długi dzień na jedną chwilkę nie wpadł do mnie!

— Rano więc na miasto? Nieprawdaż? — odparła Bianka uradowana. — Ja wszystko przysposobię, przygotuję, urządzę i będziemy miały okno najlepsze.

Zaczęły szeptać. Dżemna z gniewem i namiętnością gotowała się do zemsty.

— Uśmiechnę się szydersko, gdy spojrzę na mnie! — szeptała ciągle zajęta miłością swoją — bo że spojrzę, choćby nie chciał, ja tego jestem pewną. Ja czuję zdaleka wzrok i myśl jego, on mój gniew i wejście musi przeczuć.

Bianka ruszyła ramionami.

Musiała wziąć w opiekę towarzyszkę, nad którą się

litowała. Zaryglowała drzwi od korytarza, na którym ciągle słychać było ruch, zgasiła światło, przeprowadziła Dżemmę do łóżka, położyła ją, okryła, pocałowała w czoło i wesoło pobiegła sama odpocząć.

Ale tej nocy mało kto zasnął na zamku. Bianka musiała wstać rano, ażeby sobie i Dżemmie zapewnić pomieszczenie w jakiej kamienicy w Rynku, dla widzenia orszaku. Nie wątpiła, iż stara królowa na prośbę swojej teraźniejszej faworyty pozwoli na to. Lecz trzeba było użyć kogoś, coby stosunkami lub pieniędzmi okienko od ulicy wyjednał i to takie, którego by się panny królowej wstydzic nie potrzebowały.

Bianka szukała w głowie, kogoby użyć do tej spóźnionej negocjacji, gdy jej na myśl przyszedł pocieszny Dudycz, o którego pasji dla Dżemmy wiedzieli wszyscy.

Nie miała nikogo pod ręką, komuby z większą pewnością skutku powierzyć to mogła.

Petrek miał nadzór części kredensów i służby, ale co to obchodziło zuchwałą Włoszkę? Powinien był usłużyć, bądź co bądź.

Dniało zaledwie, gdy przyodziawszy się, pobiegła tam, gdzie się spodziewała znaleźć Dudycza. Spał on jeszcze na garści słomy w komórce, w której część sreber była złożona, ale, ponieważ go w nocy nawet budzono, napół ubrany odpoczywał.

— Wstawaj, śpiochu! — krzyknęła, drzwi uchylając, Bianka. — Przychodzę z rozkazem. Nie od króla ani od królowej, ani od marszałka, ale od signory Dżemmy. Jej piękność i moja brzydkość chcemy doskonale się przypatrzeć wjazdowi, a wasza usłużność powinienes w Rynku dla nas wyprosić lub kupić okno, z którego byśmy mogły i patrzeć, i być widziane. A masz wiedzieć, że w ładajakiem towarzystwie i u małego okienka pannom królowej pokazać się nie godzi! Nogi za pas, panie Dudycz! W drogę, i za godzinę masz się stawić z odpowiedzią: że okno w wieńce ustrojono, a ławki dla nas kobiercami obleczono.

Petrek, zaledwie przebudzony, słuchał oszołomiony, niewiele rozumiejąc w początku — naostatek wi-

dząc, o co chodziło, wstał się ubierać, aby zdawszy na towarzysza srebra i ludzi, natychmiast biec na miasto.

Rzecz napozór łatwa do wykonania, z powodu opóźnienia mogła się stać bardzo trudną; lecz Dudycz gotów był zapłacić, byle rozkaz ubóstwianej został spełniony.

Jakoż w godzinę potem powrócił spotniały i przez Zamecką oznajmił Biance, że w kamienicy naprzeciwko św. Wojciecha na rogu, na dole dostał osobną izdebkę dla panien.

Nie przyszło mu to łatwo, lecz o tem nie mówił. Najwięcej dolegało biednemu, że on sam z powodu służby pannom towarzyszyć nie mógł. Na to jednak chciał poradzić, potajemnie kogoś zostawując na miejscu swoim. Dla Dżemmy ofiara żadna nie była za wielką.

Rankiem więc, gdy na zamku wyciągano pozłociste, aksamitem purpurowym i suknem szkarłatnem wybijane kolebki, gdy ubierano konie, ściągano ludzi, gdy orszaki księcia Albrechta i księcia cieszyńskiego ściągały z miasta dla towarzyszenia młodemu królowi, który naprzeciwko narzeczonej miał wyjechać, Dudycz, okupiwszy swobodę, w komórcie się z pomocą chłopca przystrajał najdziwaczniej. Wiemy, że stroić się lubił, ale dnia tego, gdy wszyscy się zmagali na najwspanialsze ubiory, niełatwo było Petrkowi tak się wyelegantować, aby na siebie oczy mógł ściągnąć.

Skutkiem nadzwyczajnego wysiłku na najosobliwszy strój włoski, uczynił się jeszcze śmieszniejszym, niż kiedy. Nie patrzył bowiem na to, jak się pojedyncze części stroju zgadzać będą z sobą, ale dobywał, co miał najwytworniejszego. Zawiesił aż dwa łańcuchy na szyi, do beretu przypiął pióro najkosztowniejsze, a suknię i płaszczyk, choć się klóciły z sobą, wziął najdroższe. Pstro wyglądał, jak papuga starej królowej, a twarz znużona jeszcze się dnia tego wydawała starszą, niż zwykle.

Dżemma tymczasem ubrała się naumyślnie całkiem czarno i w tej żałobie cudnie jej było.

Ponieważ z zamku na Rynek wkrótce, dla natłoku i nieustannie przybywających i odpływających wozów i ludzi, przecisnąć się mogło być trudno, dwie panny musiały zawczasu dostać się do miasta. Dudycz w całej paradyzie czekał na nie w korytarzu, spodziewając się przy tej zręczności otrzymać choć wejrzenie jako zapłatę.

Bianka, jakby dla kontrastu, ubieliwszy się i uróżnowawszy, jasne i młodsze, niż jej przystało, wdziawszy sukienki, zawczasu była gotową.

Nielatwo przyszło jej wyciągnąć Dżemmę. Spodziewała się raz jeszcze tu na zamku zobaczyć choć przechodzącego Augusta i ledwie jej Bianka mogła wybić z głowy oczekiwanie.

Zapuściła czarny kwef na twarz, tak, aby twarzy jej nikt rozpoznać nie mógł i naostatek wyciągnąć się dała.

Dudycz, stojący na straży, poszedł na przywitanie, lecz ani słowa ni wejrzenia nie zyskał, a co gorzej, w tejże chwili, nie wiedzieć skąd dowiedziawszy się o tej wyprawie rannej Monti (może Bianka się z nią wygadała), o kilka kroków przyłączył się do idących.

Piękny śpiewak w nader smakownem ubraniu zupełnie zaćmił nieszczęśliwego Petrka, którego zaledwie raczył poprosić o pozwolenie towarzyszenia paniom.

Dudycz gniewny, chciał za pośrednictwem Bianki wytłumaczyć mu, że miejsca dla niego brakło, ale Monti nie słuchał i nie słyszał.

Dżemma nie milszą była dla tego drugiego adoratora, jak dla pierwszego, jednakże przynajmniej się obejrzała ku niemu. Chciał rozpocząć rozmowę, zbyła go milczeniem.

Bianka mówiła za dwie.

W podwórzu cudowny widok już się oczom ich stał, bo właśnie orszak młodego króla gromadził się tu i wypełniał. Nie był on zbyt liczny, może, lecz świetnością, przepychem, różnobarwnością zachwycał. Składali go nie zwykli dworzanie, lecz młodzież najpierwszych, najmożniejszych rodzin w kraju; a że każ

dy chciał i popisać się z bogactwem i ze smakiem, a nie było prawidła i granicy żadnej w doborze sukni i zbroi, jeden więc drugiego starał się zaćnić, a wszyscy razem składali obraz osobliwej piękności, który w świetle pogodnego majowego poranku wywoływał zdumienie i okrzyki.

Nie było może stroju i narodowości, któraby tu reprezentowaną nie stała w najwyższym blasku i przepychu. Przeróżne węgierskie, tureckie, włoskie, hiszpańskie, polskie, niemieckie suknie, nakrycia głowy, zbroje, tarcze, rzędy, okrycia na konie, pancerne skrzydła, szyszaki z piórami i godłami grupowały się prześlicznie, a ci, co przywdzieli ubiory wspaniałe, nie mniej się odznaczali urodą, postawą, młodością kwitnącą lub powagą.

Wesołe uśmiechy i wykrzyki przelatywały nad temi gromadkami, którym właśnie w tej chwili z otwartego okna na dole stary pan się przypatrywał z radością na licu i dumą.

Augusta jeszcze tu nie było, giermek jego tylko przywiódł królowi na okaz ślicznego gniadego konia, przeznaczonego dla młodego króla, okrytego białą deką, szytą złotem i perłami, które, jak krople rosy, zdawały się spływać we wzory misterne.

Cała przestrzeń pomiędzy zamkiem a Rynkiem tak samo mrowiła się ludem, poubieranym świątecznie, wesołym, ożywionym, pomiędzy którym krążyli przekupnie z koszykami przekąsek i napojów.

Ulice miasta przystrojone były świątecznie. Z okien powywieszano kobierce, makaty, drogie tkaniny wzorzyste, wieńce zielone i wiązanki kwiatów. A choć do wjazdu długo jeszcze było potrzeba czekać, teraz już ulice, okna, drzwi i wrota pełne były ciekawych.

Kiedy niekiedy przez te tłumy przedzierał się spóźniony jeździec strojny ze skrzydłem na barkach; lud sykał, a wskazywał go, ustępując mu z drogi.

Straże miejskie, wiertelnicy i dozorczy z trudnością utrzymać mogli wśród ciżby porządek. Ponad tem górą

wesoło grały dzwony kościołów, a w niektórych z nich odzywały się organy i śpiewy.

Miasto widocznie gotowało się do obchodu jednego z tych dni pamiętnych, o których pokolenia potem opowiadają, jako o uroczystościach, co się w ich pamięci wyryły więcej uczuciem, jakie wzbudziły, niż wielką świetnością swoją.

Młoda królowa dla wielu, jeśli nie dla wszystkich, była zwiastunem lepszej przyszłości, wybawicielką, tą, która z pod despotyzmu Włoszki chciwej, przewrotnej oswobodzić miała. Zygmunt Stary obudzał poszanowanie i miłość, lecz ona, towarzyszka jego, co go obezwładniła i w sromotnej trzymała niewoli, oprócz garści swoich służalców, nikogo za sobą nie miała.

Elżbieta mogła przynieść wyswobodzenie — i dlatego radość wszystkich zauszniczy Bony przyjmowali chmurno i niespokojnie. Ona sama patrzeć na nią nie chciała, czując, że przeciwko niej wymierzona była.

Na całej drodze do kamienicy narożnej naprzeciwko św. Wojciecha ciągle się przedzierać było trzeba nie bez trudności. Dudycz i Monti szli przodem, bo Dżemma żadnemu z nich ręki podać nie chciała.

Wkońcu stanęli u wrót i Petrek z kluczem pobiegł przodem drzwi komnatki najętej otworzyć.

Staraniem jego była ona wykadzona, ukwiecona i jedyne jej spore okno opatrzone siedzeniem wygodnem z podnóżkami, tak, że kobiety mogły się stąd doskonale przypatrywać ulicy, gdyż pod oknem zbity tłum stał niżej i widoku nie zasłaniał.

Dudycz, który wpuścił rad nierad Włocha, nie życzył sobie już tu więcej nikogo i gotów był drzwi zamknąć za wchodzącymi, gdy w progu ukazał się mężczyzna, nieznamy mu, ale natrętny do niepozbycia.

Średnich lat, słuszny, suchy, bardzo ciemnej pści i rysów twarzy wcale niepięknych, ale ożywionych i wyrazistych, ubrany przyzwoicie, lecz niejaskrawo i jak wiekowi poważniej zemu przystało, chwycił za rękę Petrka i żywo począł po łacinie, potem po włosku

coś mówić — czego on niebardzo chciał słuchać i rozumieć.

Nieznajomy był upartym, nie puszczał go, a oblicze jego wyrażało zniecierpliwienie. Szeptał mu coś na ucho. Dudycz, który się opierał wpuszczeniu do izby, po chwili, mruczając, zrobił mu miejsce.

Natręt z gibkością na swój wiek szczególną, wyłamując się i wyginając, jak wąż, wsunął do środka i w progu jeszcze długo coś Peirkowi szeptał do ucha, ukazując karteczkę, na którą gdy Dudycz rzucił okiem, schował ją zaraz do kieszeni.

Monti, który zdawał się temu przypatrywał, chwilę stał jakby niepewny i zdumiony. Zwrócił wzrok natrętcywy na obcego tego, ale spotkały się ich wejrzenia i nieznajomy oczy natychmiast odwrócił.

Kto i jakiego stanu to mógł być ten człowiek, trudno było odgadnąć. Typ twarzy wskazywał Włocha, a suknie kogoś, co zarówno mógł należeć do dworu, i do bogatego mieszczaństwa. Twarz nie piękna, nadzwyczaj była rozumną, wejrzenie bystre, wyraz oblicza pelen przebiegłości i energii, która się w zręczność umiała przestroić.

Monti tak patrzył na przybysza, jakgdyby szukał w nim kogoś dawniej znanego lub przynajmniej widzianego, co zdawało się nie podobać natrętowi, odwracającemu oczy w inną stronę.

Ponieważ Dżemma z nikim, oprócz Bianki, mówić nie chciała, Monti mógł swobodnie odstać nieco i zbliżyć się do przybysza. Dudycz korzystał z tego, chcąc Biankę przynajmniej wciągnąć w rozmowę, a przez nią się przypomnieć Dżemie.

Monti tymczasem z wolna się przysunął do nieznajomego.

— Signore — rzekł — zdaje mi się, że się nie mylę.

Czarnemi oczyma obcy zmierzył go z wyrazem surowym.

— Jeśli się pan nie mylisz, — odparł śmiało — to powinienś pamiętać, że gdy kto chce i na powody nie dać się poznać, uszanować to potrzeba. Mógłbyś, pa-

nie, źle się zalecić tam, gdzie pewnie chcesz być dobrze zapisanym.

Ostatnie słowa dodał z naciskiem.

— Rozumiecie mnie — powtórzył ciszej.

— Doskonale — odparł śpiewak — możecie być pewni, że jesteście dla mnie nieznanym, którego widzę pierwszy raz, ale to nie przeszkadza dwom Włochom, spotykającym się w kraju obcym, mówić z sobą.

— Tak, — rzekł nieznajomy — lecz, jeżeli mnie zdradzicie, pamiętajcie, że ten, na którego dworzeście widzieli kogoś podobnego do mnie, będzie wiedział i nie przebaczy.

— A! bądźże signor spokojny! — dodał śpiewak. — Lecz przebacz, kim chcecie tu być?

— Jestem kupcem z Wenecji — rzekł żywo przybysz — a może wysłańcem rzeczypospolitej; — to mi obojętne.

Dudyczowi rozmowa z Bianką nie powiodła się bardzo. Tymczasem dwaj Włosi przeszli ku dalszemu kątkowi izby, Petrkowi straż nad kobietami pozostawwszy.

— Kto są te dwie signoriny? — zapytał nieznajomy, wskazując na Dżemmę, która, odsłoniwszy czarny kwef, ukazała się w całym blasku swej piękności.

Monti pochylił mu się do ucha.

— Bellissima jest terazniejszą kochanką młodego króla, a druga — przeszłą!

Mówiąc to, uśmiechał się.

Kupiec marszczył czoło, a oczy ciekawe zdały mu się z powiek wyskakiwać, tak Dżemmę niemi pożerał.

— Ta więc jest! — szepnął.

Ponieważ miejsc było niewiele, a dwie panny królowej twarzyczkami wabiły przechodzących, zaczęto się dobijać do drzwi. Natychmiast Monti porzucił kupca, a Dudycz poszedł bronić najętej izby. Ale to się okazało nader trudnem i Petrek musiał wyjść do sieni, aby tam walkę stoczyć, broniąc progu i przystępu do Dżemmy.

Panowie, bywający na dworze, cudzoziemcy, któ-

rzy mieli protekcję Bonera, Decjusza i innych znajomych Dudycza, cisnęli się gwałtem. Petrek nie wiedział, jak się opierać. Jakkolwiek go to wiele kosztowało, kilku starszych ichmościów wpuścić musiał.

Piękna Włoszka na żadnego z wchodzących nawet oczu nie zwróciła. Bianka zato wesola, trzpiotowata, rada, gdy ją kto wyzywał, śmiała się i odpierała zaczepki po włosku i po polsku z odwagą wielką. Kilka razy zamknęła usta Montiemu, który zamilkł nadąsany, bo śpiewał lepiej i prezentował się pokaźniej, niż dowcipkował, a upokorzonym być nie lubił.

Wśród tego gwaru upłynęło dosyć czasu, i w ulicach nagle ruch się zwiększył, tłum, stojący w porządku, począł się ścisnąć pod domy.

— Jada! jada! — wołano ze wszech stron.

Był to ów orszak młodego króla, którego część kobiety widziały na zamku, wyciągający właśnie naprzeciw Elżbiecie.

Dżemma wstała, poszła do okna, wychyliła się, wsparła na niem i oczy wlepiła w ulicę. Ale nierychło ukazał się ten, którego szukała, którego wzrok, jak jej się zdawało, powinien ją być tu przeczuć i znaleźć.

Naostatek, w towarzystwie ks. pruskiego i cieszyńskiego, Zygmunt August ukazał się w sukni białej srebrzystej, niemieckim krojem, na gniadym rumaku w perłowej dece.

Jechał piękny, zadumany, poważny, szlachetnem obliczem królewskim tak się odróżniając od wszystkich, co go otaczali, iż twarze wyraziste, dumne, ale pospolitszych rysów dwóch książąt, jadących u jego boku, wydawały się dziwnie barbarzyńskie... Postawa, wejrzenie, wszystko w nim króla znamionowało...

Dżemma zbladła, a Bianka mogła dostrzec drżenie, którem poruszał się każdy mięsień jej twarzy.

Oczy nadjeżdżającego Augusta, który dotąd patrzył chłodno przed siebie, nie zdając się widzieć, jakby pociągnięte jakąś siłą tajemniczą, nagle zwróciły się ku narożnej kamienicy, i, tak jak przeczuła Dżemma, padły na nią.

Spotkały się te dwa wzroki i na chwilę utonęły w sobie; gniady wierzchowiec króla, jakby usłuchał drżenia ręki, zatrzymał się chwilę i żywiej poskoczył.

Dżemma natychmiast opadła na swe siedzenie. Więcej już nie widzieć nie chciała.

Bianka, Monti i inni widzowie wskazywali w orszaku przejeżdżających, mianując ich po nazwisku. Dudycz o niektórych miał do powiedzenia rzeczy ciekawe, lecz Włoszka nie słyszała.

W ulicy też, po przejeździe króla, znowu się wszystko rozsypało, rozluźniło, bo wiadano, że August za ledwie za kilka godzin będzie powracać, towarzysząc narzeczonej, z którą miał się spotkać za miastem w namiotach rozbitych.

Dudycz, ponieważ wiele czasu zostawało jeszcze na oczekiwanie, przygotował się na przyjęcie swych gości. Chciał wystąpić przed Włoszką, ale nie potrzebował ugaszczać nieznajomych i natrętów. Wysunął się więc i sam osobiście przyniósł na tacy wina i słodycze.

Dżemma ręką białą odepchnęła tacę, Bianka zagarnęła wszystko...

Ożywiona rozmowa zawiązała się pomiędzy dziwnie tu zgromadzonemi osobami, mało lub wcale nieznajomemi. Monti mówił dużo, choć nie miał wiele do powiedzenia, kupiec wenecki tak samo pilnie i gorliwie słuchał. Zdawało się, że lękał się stracić słowo i uszami był wszędzie. Pochylał się, wciskał, łapał wyrazy latające, rzucał pytania, a sam tak się umiał obwarować, aby mu ich nawzajem nie zadawano.

Nikt nie miał powodu zważać na przybysza, który wśród bardzo licznych naówczas w Polsce Włochów, codziennie przybywających, nie był żadnem zjawiskiem osobliwym.

Oczekując na widowisko spodziewane, obie Włoszki pozostały na swych miejscach. Bianka ciągle niezmiernie ożywiona, zaczepiająca mężczyzn wzrokiem i słowem, zalotna, wesola — Dżemma w sobie zatopiona i milcząca.

Ci, co ją znali, łatwo sobie tłumaczyli smutek, z którym się nie kryła.

Żartobliwe, nieustające szczebiotanie towarzyszki niekiedy widocznie przykrem było Dżemmie; krzywiła się, odwracała, ale miejsca swego opuścić nie chciała.

Monti, parę razy spróbowałwszy z nią zawiązać rozmowę nadaremnie, nie odebrawszy odpowiedzi, został na miejscu milczący, pożerając ją oczyma.

Była tego dnia cudnie piękną w swoim czarnym stroju, z tym smutkiem tragicznym na twarzy, który wśród wesela ogólnego odbijał tem wyraziściej.

Dość długi czas upłynął, a przed oknem się nic nie odmieniło; lud przepływał, gwarząc, niektórzy stawali, aby się Włoszkom przypatrzeć — znajomi podchodzili, pozdrawiając je. Od czasu do czasu w Rynku, na drodze do zamku zjawiał się jezdny, głośno opowiadając, co słyszał. Gdzie był młody król, gdzie orszak prowadzący narzeczoną; a że w ścisku i tłumach nie obchodziło się bez wypadków, ukazywały się to prowadzone napowrót do zamku skaleczone konie, to ludzie, którzy szwankowali i musieli się wycofać z pocztów.

Już dobrze z południa znajomy Dżemmie i Biance, ulubiony sługa młodego Augusta, dworzanin Merło, który do orszaku jego się nie liczył, ale był do posyłek na zamek przeznaczony, ukazał się, czwalem pędząc ku Wawelowi.

Przystrojony był, jak wszyscy dnia tego, z wielką elegancją, ale bez ciężkiej zbroi, bo się musiał ciągle kręcić. Był to chłopak żywy, śmiały, wesoly i ulubiony młodemu panu, bo dla niego na wszystko gotów.

Dla Merły, gdy szło o usłużenie królowi, nie było niepodobieństw i trudności. Nieraz już też dla niego naraził się i krew przełał, królowi staremu stał się nie miłym, ale wszystko to przetrwał i służył mu wiernie, jak nawykł od dzieciństwa.

Zobaczywszy Merłę, Bianka śmiała wychyliła się, chustką dając mu znaki, domyślała się bowiem, że musiał mieć wiadomość o spotkaniu. Możeby jej nie wy-

słuchał, na zamek śpiesząc do starej królowej, ale zobaczył razem Dżemnę i konia zawrócił pod okno.

Zaledwie tu stanął, kupą ścisnęli się około niego ciekawi.

— Mów — krzyknęła Bianka — widziałeś młodą panią?

Merło z konia się pochylił ku oknu.

— Wracam stamtąd; — odparł — jadę od namiotów. Królowa już przybyła, ale to biedactwo wątłe i blade, że nie wiem, jak ten dzisiejszy dzień wytrzymać potrafi. Gdy ją od powozu do namiotów prowadzili margrabia Jerzy z księciem lignickim, zdało się, że co chwila nogi się jej zachwieją i padnie. Ubrana cała w złotogłów, okryta klejnotami, ugiwała się pod ich ciężarem. Nie królową się wydawała, ale nieszczęśliwą ofiarą, aż litość brała.

Dżemma rzuciła na Merłę okiem gniewnem, a ten ciągnął dalej:

— Narzeczoną spotkał August, nasz pan, na pół drogi i tu się sobie pokłonili, ująwszy za ręce. Dopieroż rozpoczęły się mowy i nie wiem, kiedy temu będzie koniec, bo z obu stron oratorów dosyć, a kto się do mowy przygotował, ten jej nie podaruje!

— A król młody? król? — zapytała Bianka.

— No i ten, jak skazany, stoi — rzekł Merło — blady i umęczony. Złota narieczona, a srebrny pan! — dodał, śmiejąc się. — Gdyby u nas wiedziano, że panią całą w złoto oprawia, mybyśmy też może naszego pana choć w szkarłat wystroili. a tak się on ubogo im wydał.

— A prędkoż się wjazd pocznie? — zapytała Bianka.

— Widzicie, jak się tam ściągają na zachodzie chmury? — rzekł. — Otóż nie potrzeba na to proroka, aby zgadł, że nim oni, powoli ciągnąc od namiotów, do miasta nadążą, niezawodnie deszcz zacznie kropić i naszym paradnym ufcom atlasy i aksamit pomoczy!

Merło śmiał się wesoło.

— Jeżeli oracje się skończyły, — dodał, koniowi cugli popuszczając — musieli już ruszyć z miejsca, ale choćby deszcz wisiał nad nimi, nie pośpieszą, bo ta-

kiej uroczystej kawalkacie nie przysłało inaczej, jak stępią.

To mówiąc, przyłożył rękę do beretu, pozdrowił kobiety i krzyknawszy na tłum, aby mu się rozstał, puścił się dalej ku zamkowi.

Znowu tedy dobry kawał czasu upłynął, nim od bramy Florjańskiej przez ściśnięte tłumy doszedł szmer, oznajmujący, że pochód uroczysty przybliżał się. I, jak przepowiedział Merło zawczasu, w istocie chmura wiosenna nadciągnęła powoli, niebo się oblokło szaro, deszczyk powoli kropić zaczął, a że się to działo ku wieczorowi, starzy ludzie wróżyli, iż się zaśłoci.

W ulicy lud się rozstał naostatek i pierwsze ufce pokazywać zaczęły. A było patrzeć na co! Każdy z panów pierwszym chciał być, pocztę więc nietylko wspinałością ale i liczbą mieć okazałe; zatem ludzie jechali po dwu, najwięcej po trzech, aby każdy oddział wydawał się liczniejszym i dłuższym.

Przyjaciele i nieprzyjaciele, radzi nieradzi, wpośród wszystkich tych dworów pańskich, które królowę młodą otaczały, musieli przyznać pierwszeństwo arcybiskupowi prymasowi Gamratowi. Człowiek ten nowy wyprzedził okazałością i przepychem, a nawet mnogością ludzi, i Tarnowskich, i Kmitów. Szło mu o to. Zadawano mu nieustannie plebejuszostwo, tu on się większym panem okazać chciał od najmożliwszych panów. Lud jego dobrany był z nadzwyczajnem staraniem, chłop w chłopu urodziwi, silni, postawy pięknej. Większa część po polsku była ubrana w szkarłatne żupany i kontusze z tkaniny barwy złocistej, ale czoło składali pancerni arcybiskupi — srebrne zbroje, czerwone czamary, a u bark skrzydła z białych piór strusich w srebrnej oprawie.

Co to wszystko kosztować mogło Gamrata! Z przekazem mówili nieprzyjaźni mu, że się pewnie srebrom kościelnym dostać musiało, a drudzy szeptali, iż u kupców się zadłużył srodze.

Obok tego pocztu arcybiskupiego, który na oko

licząc, mógł do trzechset głów wynosić, jeden tylko, ale liczbą mniejszy, hetmana Tarnowskiego wytwornością, mógł stać na równi. Lecz stary pan z panów nie potrzebował się wysilać, nie myślał popisywać, gromadka jego była nie tak wielka i odziana na sposób hiszpański; przystroiłby ją pewnie po polsku także, lecz dowiedziawszy się o Gamracie, nie życzył sobie iść z nim o lepszą. Tu też najpiękniejsze konie były, a ludzie nie tak młodzi, ale zato wielkiego animuszu, prawi rycerze, którzy niejednego bój zwycięski przebyli.

Kasztelan poznański, Andrzej z Górki, z włoska sam się ubrał i ludzi poubierał. Książęta Radziwiłłowie rotę wiedli polskie, którym dla osobliwości Tatarów litewskich w żółtych atłasach przydali, a do prowadzenia koni czterech murzynów, strojnych paradnie. I tu przepych był wielki, książęcy, z jakim ród ten lubił występować zawsze.

Chodkiewicz, podczaszy litewski, nierad im i innym Litwinom ustąpić, urozmaicił swoje poczty, postroiwszy je różnie. Sam jechał przodem w zbroi całej złożonej przedziwnego kunsztu i szyszaku podobnym, z tarczą misternie rzeźbioną. Za nim naprzód czterech w szkarłatnym adamaszku, dwa małe poczty po pięciu ludzi w jedwabnych sukniach białych, dalej ośm w srebrnych zbrojach ze srebrnymi przyłbicami, na których herbowe siedziały gryfy.

Lecz kto to policzy i opisze? Kościeleccy, Rozdrażewski, nawet p. Seweryn Boner, który gorszym od innych być nie chciał, odznaczali się wśród tego nieobrachowanego, długiego orszaku, ciągnącego zwolna ku zamkowi i poprzedzającego młodą królowę.

Patrzący, którzy w początkach cisnęli się, wydając okrzyki podziwienia, znużyli się wkońcu, gdy się królowej doczekać nie mogli. Szedł poczet jeden za drugim, mieniały się barwy, coraz nowe stroje następowały po sobie, ale powozów nie było i nie było. Deszcz zacząwszy kropić zrazu, padał już teraz spokojnie, ale tak jakby nie myślał ustać rychło.

Dopiero po przeciągnięciu tych hufców szmer i krzy-

ki zwiastowały powóz królowej. Dżemma podniosła głowę. Obok niej musiał jechać August. Tak było w istocie.

Młoda pani blada, zmęczona siedziała w kolebce złocistej, wybitej aksamitem szkarłatnym, którą ciągnęło ośm siwych koni cudnie dobranych, a przy niej szło piętnastu paziów po włosku strojnych i sześciu pacholków w aksamitach czerwonych.

Przy drzwiach otwartej kolebki widać było jadącego Augusta, któremu ks. pruski i ks. Jerzy towarzyszyli. Młody pan w białym srebrzystym stroju wyglądał pięknie i pańsko, ale twarz jego nie promieniała wcale radością wesela, a oczy się nie zwracały ku narzeczonej, ale wlepione były w tłumy, przed siebie.

Dżemma podniosła się, zbliżyła się ku oknu, żebrząc i wyzywając wzroku — lecz z gniewem opadła na siedzenie. August przejechał i pominął kamienicę, nie obróciwszy wejrzenia, zapomniawszy, że ją tam widział przed paru godzinami.

Włoszka nie mogła utaić gniewu swojego. Chciała natychmiast, zerwawszy się, na zamek powracać, ale było zupełnie niepodobieństwem przez ulice się przecisnąć. Orszakowi królowej nie było końca, a ciżba wszędzie tak wielka, że ani Dudycz z Montim, ani kilku służby, gdyby ich w pomoc wzięto, nie zdolaliby utorować drogi. Kobiety więc musiały czekać, aż tłumy się cokolwiek rozrzedzą.

Tymczasem powozy szły jedne za drugimi, bo teraz na nie kolej przyszła. Za królową naprzód w takiejże pozłocistej kolebce z aksamitem czerwonym, w sześć koni pod dekami aksamitnemi, jechały Krystyna z Szydłowieckich księżna Oleśnicka i siostra jej, żona hetmana, które na spotkanie młodej pani wysłane były. Dwie siostry, nie chcąc się z sobą ubiegać o wspaniałość, wozy i woźniki miały zupełnie podobne. Za kolebkami ich w kolebkach mało co skromniejszych, siedziały panie i panny fraucymeru młodej pani, Niemki po większej części, dwór niewieści hetmanowej i księżnej.

Co dalej szło, to już do orszaku uroczystego nie na-

leżało i na to ciekawy tłum, który się począł rozplýwać, nie zwracał uwagi.

Wszyscy teraz pragnęli się dostać na zamek, aby tam być świadkami przyjęcia młodej pani, ale podwórca były przepełnione, kościół, do którego naprzód wstąpić miała przybyła pani, mógł zmieścić tylko wybranych; gawieź więc miejska, zatoczywszy się jakby falą, u wrót zamkowych strzymana, postawszy, nazad ku miastu powrócić musiała.

Włoszka niecierpliwiła się dawno, usiłując wyrwać; chciał i Dudycz powrócić do swych obowiązków, lecz nierychło można było próbować nawet dostać się na Wawel. Szczęściem Merło, który to przewidywał, a szło mu o Dżemnę, ulubienicę pańską, znalazł woźnicę i krytą kolebkę dworską niezajętą i kazał jej jechać do kamienicy zabrać panny królowej. Monti i Dudycz wybierali się już na piechotę z niemi, gdy zbawcza kolebka nadciągnęła. Woźnica, nie mający polecenia zabrania nikogo oprócz kobiet, gdy te siadły, ruszył, nie czekając na nikogo więcej.

Porzuciwszy Montiego, Petrek, który konia sobie szukać dla pośpiechu nie mógł, puścił się pieszo na zamek.

Wszyscy zgromadzeni wypadkiem na dole w kamienicy naprzeciw św. Wojciecha, rozstali się, nie żegnając, tylko ów Włoch gibki i żwawy, który dał odprawę Montiemu, do Dudycza dobrowolnie przystał i wybrawszy go sobie jakimś szczególnym afektem, ofiarował się go ku zamkowi przeprowadzić. Ujął go nawet dla bezpieczeństwa pod rękę i, począwszy wesołą rozmowę, okazywał wielką chęć bliższego z nim poznajomienia się.

Dowodziło to niepospolitej trafności oka w nieznanym kupcu weneckim, bo pocziwy, ale niedaleko widzący Dudycz, do którego ludzie nie zwykli byli lgnąć, przez wdzięczność dla tych, którzy mu okazywali jakąś sympatję, łatwo do nich przystawał. Raz zaś z kim zawiązawszy stosunek, dobroduszny człek dawał i z siebie ciągnąć, co kto chciał, i był dla takiego cie-

kawego cudzoziemca skarbem nieocenionym. Powiadano o nim żartobliwie, że niekiedy od niego o tem się było można dowiedzieć, czego on sam nie wiedział.

Gadatliwy, żwawy, wesoły, Włoch naprzód się wyspowiadał Dudyczowi, iż dla handelku tu przybył czasu wesela, a handel wymagał stosunków i znajomości. Życzył więc na dworze się rozsluchać. Nawzajem ofiarował nowemu przyjacielowi usługi swe, chociaż, czem one być miały i jakie, trudno było wyrozumieć. Dudycz nie odepchnął Włocha. Powiedział mu gdzie mieszka, kiedy i jak się z nim spotkać można.

Tak razem doszli aż do zamku, a z czasu tego doskonale skorzystać umiał ów nieznajomy, gdyż Dudycz ust prawie nie zamykał, na coraz nowe odpowiadając pytania. Wszystkie one tyczyły się, naturalnie, osób, do dworu należących, gdyż kupiec zapewne z towarem najwięcej rachował na nie.

Gdy pożegnawszy Włocha u wrót, Dudycz wcisnął się na zamek, już pierwsze spotkanie i powitanie w kościele na Wawelu, błogosławieństwo duchowieństwa i modlitwy były skończone.

Stary król, który się niezmiernie o to troszczył, aby młoda pani nadto zmęczoną nie była, cały dzień zmuszona w stroju niewygodnym jechać, stać, kłaniać się, słuchać, uprosił duchownych, aby ceremonia kościelna niedługo się przeciągnęła.

Dudycz dowiedział się w podwórzu, iż królowa Bona, która z początku słabą się uczynić chciała, aby nie wyjść na spotkanie do kościoła, wkońcu zmuszoną została stawić się tu razem z mężem i trzema córkami swemi.

Na wszystkich młoda przybyła pani uczyniła jedno wrażenie: obudzała politowanie i sympatję i wydawała się biedną, a łagodną i dobrą. Staremu Zygmunutowi uśmiechała się z naiwnością dziecięcia, czując w nim ojca i opiekuna.

Zato królowa Bona ani słowem, ani twarzą nie okazała dla niej najmniejszego uczucia, nic, oprócz zimnej i dumnej obojętności.

Dwór, którego oczów nic nie uszło, szeptał, że król August też bardzo zimno się zachowywał względem przyszłej małżonki, oprócz tego, co ceremonjał dnia mu nakazywał, nie dając najmniejszego dowodu rodzącej się życzliwości.

W ciągu powolnej jazdy od namiotów na zamek oczy młodej pani szukały ciągle narzeczonego, zwracając się ku niemu z ciekawą a serdeczną sympatją, ale król nie odpowiadał na te wejrzenia. Nie przemówił do niej nawet, gdy, do powozu prowadząc, miał czas i sposobność do tego.

— Wszystko się to rychło odmieni — mówili jedni. — Pani piękna i dziwnie dobrą być musi, król przywiąże się do niej.

Drudzy przewidywali inaczej i potrzásali głowami.

Na zamku po powrocie z kościoła wprędce goście dostojniejsi zasiedli do stołów. Posadzono przyszlą parę obok siebie, lecz naprzeciw siedzący stary Zygmunt więcej się synowej przypatrywał, częściej do niej przemawiał, czulej o nią troszczył, niż August, który prawie oczów podnieść na nią nie śmiał.

Królowa Bona siedziała też milcząca dumnie, z zakąszonemi wargami, nie ukrywając gniewu swego, a ile razy spojrzała na przyszlą synową, oczy jej nabierały blasku złowrogiego.

Tylko ojciec weselem i humorem i kółko jego przyjaciół, dwie panie towarzyszki, Tarnowska i Oleśnicka, ożywiały towarzystwo.

Znużenie podróżą, po której nazajutrz miały nastąpić ślub i koronacja, zmusiły przez wzgląd na wątłe siły Elżbiety do rychłego odpuśczenia jej na spoczynek.

Biedna ofiara, upadająca pod ciężarem sukni i znużenia dnia tego, uśmiechała się do końca, usiłowała mężnie wytrwać, bladła i rumieniła się, ale nie okazała po sobie, że dobywała ostatek sił.

Gdy się to działo w komnatach wielkich, oświetlonych i strojnych, w całym blasku i przepychu królewskim, mieszkanie, tymczasowo przeznaczone dla Elż-

biety, fraucymer jej śpiesznie przygotowywał tak, aby w niem spocząć mogła.

Niespokojna, blada, ale mężna ochmistrzyni, przyjaciółka, zastępująca matkę, Kätchen Hölzelinówna, w mgnieniu oka usłała łożę, dobyła suknie i bieliznę, i chodziła, modląc się, niespokojna w oczekiwaniu na swą biedną panią. Znała ona ją i jej siły lepiej, niż ktokolwiek w świecie, bo była przy niej od dzieciństwa, bo ją jak matka kochała. Dlatego taki niepokój ogarniał Kätchen teraz, gdy rozważała, czy dziecku starczy mocy na podolewanie wszystkim wrażeniom i ciężkim trudom, jakie ją tu czekały.

Kätchen nie chciała nic jeść, nie usiadła, nie mogła się uspokoić, ażby swej pani się doczekała. Co chwila podbiegała ku drzwiom, przysłuchiwała się szmerom, dochodzącym tu od pokoiów, i łamała ręce, gdy coraz później się robiło, a pani jej nie przybywała. Czas wydawał się jej nieprzebytym. Naostatek kroki ciche dały się słyszeć w korytarzach, Hölzelinówna porwała świecę i wybiegła.

Odprowadzano jej nieszczęśliwą ofiarę, która szła blada z uśmiechem na ustach, ale jedno wejrzenie starczyło piastunce, by się przekonać, że ostatkiem sił już wlokła się do niej znużona.

Szczeńciem nie nalegano, gdy Kätchen wprowadziła ją do sypialni, na dłuższe dworowanie młodej pani, i ochmistrzyni mogła natychmiast drzwi zaryglować. Elżbieta padła na krzesło blada, bez tchu, w oczach jej łzy się kręciły, ale uśmiechała się jeszcze.

Z pośpiechem wielkim piastunka poczęła ją sama rozbierać, odpinać suknie, zdejmować łańcuchy, uwalniać od pasa, zrzucać obuwie. Dwoje dziewcząt pomagało, nikt nie odzywał się słowa. Skinęła nareszcie Kätchen na nie, aby odeszły, i narzuciwszy nocny płaszczyk na Elżbietę, chciała ją zaraz położyć w łóżko, gdy biedna ofiara podniosła ręce, zawiesiła jej na szyi piastunki, wybuchnęła płaczem stłumionym; twarz jej okryła bladość śmiertelna, oczy się zamknęły—omdlała.

Byłóż to omdlenie? Hölzelinówna знаła pewnie ten

stan wątego swego dziecięcia, gdyż, pomimo przestachu, jaki doznała na widok jego, pozostała nieruchoma, nie tknęła jej palcem, nie usiłowała obudzić gwałtownie.

Białe ręce młodej pani stężały, całe ciało wyprężyło się boleśnie, oddech zdał ustawać w piersi, a na zbladłych wargach ukazała się biała pianka, którą cierpienie dobyło z piersi.

Kätchen stała nieruchoma, ale nie tracąc przytomności. Złożyła chorą zwolna na kraju łóżka i dała jej woń jakąś do oddychania, zaczęła lekko ocierać skronie. Nie odzywała się do niej, nie śpieszyła z przywróceniem przytomności, jakby wiedziała z doświadczenia, że ten stan musi trwać pewien czas i że go gwałtownem niczem przerywać się nie godzi.

Twarz Elżbiety była marmurowo bladą, ale wyraz jej łagodny cierpienie zmieniło niewiele. Przykrzejsze nad nią wrażenie czyniły wyprężone, zeszywniałe ręce i ciało.

Hölzelinówna, stojąc nad nią, modliła się ze złożonymi rękami, łzy ciekły jej po policzkach, a wzrok ze strachem biegł ku drzwiom, bo lękała się, aby ktoś obcy nie wparł się nagle i nie zobaczył chorej w tym stanie, który dla wszystkich musiał być tajemnicą.

Królowa leżała długo nieruchoma z wyprężonymi rączkami, jakby umarła, a piastunka stała nad nią niema i drżąca, gdy nareszcie z ust jej dobyło się lekkie tchnienie, odrętwiałe członki poczęły się uginać i bezsilnie opadać, powieki podniosły się nieco. Kätchen zlekka ocierała skronie i przygotowany już napój ostrożnie do ustek przybliżyła. Niedostrzeżony prawie rumieniec ożywił lica zbladłe, życie powracało.

Elżbieta poruszyła się, powieki otwarły się całe; zobaczyła stojącą nad sobą Kätchen, wyciągnęła ku niej ręce i zarzuciła na szyję. Uśmiech łagodny, dziwny, jakgdyby ze zwykłego snu przebudzonej przebiegł po jej ustach. Nie zdawała się rozumieć ani pamiętać, co się z nią działo. Wracała do tej chwili, w której siły ją opuściły.

Czuła się tylko słabszą i straszliwie zmęczoną, ale napój podany ją orzeźwił.

— Kätchen, — szeptała — bardzo, bardzo to wszystko trwało długo! Nieprawdaż? Widziałaś go? mojego króla narzeczonego? Nieprawdaż, że piękny jest bardzo? Takim go sobie wyobrażałam z obrazka, przysłanego matce. Co za szlachetne rysy, jaka postawa pańska! I strój dla mnie wdział niemiecki. O! ja to zrozumiałam dobrze. Nie śmiał spojrzeć na mnie, abym ja bardziej się jeszcze nie zmieszała. Nogi się uginały pode mną, émiło mi się w oczach! Z jaką wspaniałością oni mnie przyjmowali, z jaką serdecznością. Stary król ścisnął mnie jak własne dziecko. Widziałam i czułam łzy jego. A! będę go kochać, jak ojca!

Hölzelin słuchała, nie odpowiadając, trzymała szklanekę w ręku, przykładając jej napój do ust. Smutny wyraz twarzy malował duszną trwogę.

Elżbieta półgłosem mówiła ciągle:

— Prawda, że on bardzo piękny? O! ja go kocham oddawna i on też kochać mnie musi. Nieśmiały jest. Spoglądałam często na niego, gdy jechał przy mnie, ale rzadko zwrócił oczy w tę stronę... obawiał się! Tyle tysięcy ludzi na nas patrzyło. Z tych tysięcy, prawda Kätchen? on najpiękniejszy, on najpierwszy? O! jak ja go kochać będę!

Hölzelin milczała, niekiedy ruchem głowy nieznacznym to potwierdzając, to dając czuć, że słuchała bacznie.

— A starą królowę — szepnęła — widziałaś?

Elżbieta uśmiechnęła się, jak wprzód.

— Patrzałam na nią ciągle — rzekła. — Mówiono mi, że zazdrosną jest o serce syna, którego kocha bardzo, ale się przekona, że ja, ja pomagać mu będę do kochania jej... musi być łaskawą na mnie. Oblicze ma surowe, groźne, ale się ono rozjaśni dla mnie, gdy pozna, jak dobrą będę dla niej córką.

Zamilkła nieco i myśl wróciła znowu do narzeczonego.

— Kätchen, uważałaś ty, jak mu na tym koniu

przy moim powozie było pięknie? Ani książę pruski, ani ten drugi z nim się mierzyć nie mogli. Wyglądali, jak pacholłowie.

Roześmiała się.

Hölzelin pochyliła się nad nią.

— Jutro — poczęła cicho, starając się ją w łóżku położyć wygodnie — jutro dzień ciężki dla ciebie, moje dziecko, królowo, zmęczona jesteś bardzo, bardzo. Spocznij już!

— A! tak! — westchnęła młoda pani, — ale w głowie tyle obrazów, przypomnień, myśli się płaczą. Nie wiem, czy zasnę. I raduję się, i lękam, Kätchen, i śmiaćbym się chciała, i płakać.

Wyciągnęła ku niej rączkę białą.

— Siedź nade mną, moja ty piastunko droga — poczęła — tak, jak niegdyś u mojej kolebki; gdy czuję cię przy sobie, spokojniej mi, bezpieczniej jestem.

Powoli oczy jej zaczęły się przemykać, ale nagle podniosła powieki.

— Kätchen — rzekła — prawda? On mnie będzie kochać? Ja go tak już kocham teraz, a stanę się dla niego tak łagodną, posłuszną, tak miłą. Wygląda smutnie, ale będzie musiał być szczęśliwym i wesołym.

— Śpijże i nie marz! — rzekła, otulając ją, Kätchen. — Zbudzą cię z rana i męczyć będą znowu dzień cały.

Nie dokończywszy, westchnęła. Posłuszna Elżbieta przymrużyła powieki, ciągle uśmieszkiem zwodząc piastunkę, chociaż czuła się straszliwie znękaną. Hölzelinówna nie odstępowała od łóżka, aż ją zobaczyła naprawdę uspioną — otarła łzy i, siedząc, modlić się poczęła.

Gdy się to działo w sypialni młodej królowej, dalej w głębi, na korytarzach pustych i ciemnych nie było widać żywej duszy. Dwór jeszcze ucztował na dole. Królestwo tylko i dostojniejsi goście rozjechali się i rozeszli.

Królowa Bona w sypialni swej zrzucała z siebie szaty i klejnoty, nie kryjąc gniewu i zniecierpliwienia. Panny służebne stojące i klęczące około niej drżały od

jej wzroku i ruchów gwałtownych, któremi je potraçała. Łańcuchy z brzękiem opadały na ziemię, zrywała zasłony, szarpiąc, pilno jej było z tego stroju, jak z kajdan, się oswobodzić. Żadna ze sług słowem się odezwać nie śmiała.

Zaledwie rozebrana Bona padła na krzesło, gdy August jeszcze w sukni paradnej dnia tego ukazał się w progu. Matka wyciągnęła ku niemu ramiona, a gdy się zbliżył, uściśnęła go namiętnie.

Przytomność sług odezwać się jej nie dozwalała, lecz na widok młodego króla natychmiast wszystkie pierzchnęły.

August siedział ze spuszczonemi oczyma, z pomieszanym smutnym wyrazem twarzy.

— Ojciec twój — poczęła Bona — zmusza mnie, abym ją przyjmowała, jak synowę... Ja jej nienawidzę! Ona mi chce wydrzeć serce twoje, ona jest nieprzyjaciółką! Bądź mężczyzną, oprzej się uczynionemu nam gwałtowi. Niech weźmie koronę, ale serca twego, miłości twej mieć nie będzie. To dziecko jest, a jak wąta! Choroby wzięła po rodzicach... miłość jej, życie z nią może być trucizną. Ja nie chcę, abyście żyli z sobą, ja muszę cię bronić!

Mówiąc tak przerywanym głosem, Bona chwyciła syna za ręce, natarczywie ścigała jego wejrzenie, starała się odgadywać myśli. August siedział zimny i nieodgadniony. Niezmierne jakieś znużenie tylko poznać w nim było można.

— Idź już, — odezwała się wkońcu Bona — idź, nie chcę, by cię widziano u mnie. Doniosą staremu, że ja cię buntuję i podmawiam.

August się schylił do pocałowania ręki matki, która ucałowała go w czoło i powtórzyła: Idź!

W małej komnatce swej Dżemma, w wieczornym stroju zaniedbanym, z rozpuszczonemi włosami złotemi, które ją jakby płaszczem okrywały, siedziała na ziemi, z twarzą w dłoniach i płakała. Była samą. Zwykle blada, miała teraz policzki, gorączką spalone, oczy zmęczone, usta zaschłe.

Najmniejszy szmer w korytarzu ją poruszał, jakby ku drzwiom bieć chciała.

Usłyszała zbliżające się zwolna kroki, rękę przyłożyła do serca i, dech wstrzymując, czekała.

Chód powolny zdawał się zwracać ku progowi jej mieszkania, zatrzymał, ucho pochwyciło szelest u klamki — drzwi uchyliły się zwolna. Przed nią stał August.

Obie ręce wyciągnawszy ku niemu, Włoszka chciała porwać się z ziemi, lecz nim się poruszyła, on siedział już przy niej, objął ją wpół i całował. Wśród uścisku odepchnęła go nagle od siebie.

— Nie! Ty jej kochać nie będziesz! — krzyknęła — powiedz! Ty mnie dla niej nie zdradzisz? Ja jej nie zazdroszczę korony... będzie królową, ja pozostanę kochanką!

August odpowiedział uściskiem.

— Uspokój się, Dżemma, — dodał, głaszcząc ją po twarzy — powinnaś mi wierzyć i być cierpliwą. Muszę spełniać wolę ojca.

— Ale ona za kotarę waszego łóża, w tajemnice życia sięgać nie może! — zawołała namiętnie Dżemma. — Okaż jej zawczasu, że narzucona na serce i miłość rachować nie powinna. A! zgniotłabym ją i zdusiła to pisklę niemieckie, gdyby ręce moje jej dosięgnęły. Nienawidzę jej. Z jakim słodkim uśmiechem patrzyła na ciebie, bezwstydną!

Dżemma zakryła oczy sobie. Po chwili milczenia odsłoniła je, twarz pałała.

— A! mamy królową matkę za sobą — rzekła — ta nie dopuści, aby ona tu panowała, ta rozdzieli was, bo jej nienawidzi! Królowa jest tu wszechwładną... król musi ulec wkońcu. Byleby przeszły te uroczystości weselne, byle się to raz skończyło, byleśmy zostali sami.

August wstał. Godzina była spóźniona. Dżemma próżno, zawisłszy mu na szyi, wstrzymywała go: służba z Opalińskim czekała na niego, a wkrótce o przygotowaniach do ślubu i koronacji myśleć było potrzeba.

Następny dzień byłznaczony na ślub i koronację młodej pani i od wczoraj już w katedrze przysposabiano trony, zawieszano makaty i szpalery, wyścielano kobierce. Korona Jadwigi ze skarbcza koronnego dobytą na aksamitnem wezgłowie, pokrytą kosztowną zasłoną, czekała na wielkim oltarzu na tę wstążę główkę, która pod jej ciężarem ugiąć się miała.

Stary król od rana naglił z gorączkowym pośpiechem, aby się obrzęd rozpoczął wcześniej, troskliwym będąc o synową, której bladość i lice delikatne obudzało w nim niepokój.

O świcie posłał się dowiedzieć, jak spała, a gdy nadeszła godzina, gdy do kościoła udać się było potrzeba, chciał, aby go co prędzej wyniesiono na spotkanie z Elżbietą.

W wielkiej sali, do której go na krzesła, na ramionach wnieśli paziowie, Elżbiety jeszcze nie było. Zamiast niej stała Bona z córkami, z twarzą rozplamioną i przystąpiła natychmiast, nie zważając na przytomny dwór i urzędników.

— Najjaśniejszy panie — rzekła oburzonym głosem, z ironicznym poszanowaniem. — Słyszę, że młoda wasza synowa ma mnie poprzedzać w pochodzie i zająć przede mną miejsce... To nie może być!

Zygmunt zwrócił się do marszałków.

— Takie jest prawo i obyczaj — rzekł jeden z nich.

— Prawo i obyczaj mnie starszą, mnie matkę oddzieliłoby chciało od boku męża i zepchnąć gdzieś...

— Uspokój się — szepnął król cicho po włosku. — Zmienić tego nie możesz, a dasz się ludziom na urągawisko...

Królowej oczy zaświeciły blaskiem krwawym, cofnęła się dumna.

W chwilę potem wszystko się ustawiło w takim porządku, jaki ceremonjał dworski wyznaczał.

Młoda królowa blada, z oczyma zmęczonemi, ale z uśmiechem na ustach weszła, a Zygmunt Stary powołał ją naprzód ku sobie.

Na czele orszaku postępował młody król, u którego

boku szedł książę pruski; za nim niesiono na krześle, bo pieszo iśćby nie mógł, starego Zygmunta. Tuż za nim szła młoda królowa Elżbieta z rozpuszczonemi na ramiona włosami, z wyrazem dziewiczym, smutnym, czystym, jak Włosi się wyrażali — Madonna starego mistrza z Fiesoli. W istocie przypominała ją wdziękiem, słodyczą, czemś anielsko-dziecięco-panieńskim.

Za nią dopiero zajęła miejsce wyznaczone Bona, której pieś podnosiła się oddechem gwałtownym, a usta ścięły spazmatycznie. Trzy córki i cały szereg pań i panien fraucymeru ciągnął za Boną. Na przedzie umyślnie za panią Solm, ochmistrzynią, postawiono Dżemnę, pięknoscią swą uderzającą, świetną, chwytającą za oczy, przeznaczoną na to, aby biedną osłabioną Elżbietę zgasiła i uczyniła chyba tylko godną politowania.

W przepelnionym kościele, w którym od tłumy, od świece, mimo pootwieranych okien, panowało gorąco nieznośne, na tronie, w chórze ustawionym, zasiadł August w koronie na głowie. Narzeczona stanęła naprzód u boku jego. Ceremonje rozpoczęły się ślubem. Książęta pruski i lignicki wiedli Elżbietę do ołtarza.

Wszystkich oczy zwrócone były na nią, obawiano się, że może osłabnąć — ale lice jej teraz nabrało wyrazu energii i siły, który piastunkę, zdaleka śledzącą ruch każdy, wprowadziło w zdumienie. Elżbieta zdawała się zmienioną, wzrok jej podnosił się śmiało i ruchy stały żywsze. Prostowała się i zdawała rosnać u ołtarza.

Stary ojciec patrzył na nią ze łzami w oczach, a gdy korona ciężka spoczęła na jej głowce, szepnął stojącemu przy nim Herbersteinowi:

— Gdy na tronie usiądziesz, pójdziesz powiedzieć jej ode mnie, że może zdjąć koronę. Wiem, że to ciężar nad jej siły. Położą ją na poduszce pod ręką.

W istocie, gdy Elżbieta po koronacji z tą koroną, zapowiadającą męczeństwo, z jabłkiem w jednej, z berłem w drugiej dłoni siadła na majestacie przy mężu, Herberstein przecisnął się przez tłum i szepnął radę, a raczej rozkaz starego króla.

Elżbieta spojrzała na męża, nie chciała się okazać słabą w oczach jego i odpowiedziała:

— Nie, korona mi nie ciąży, wytrwam tak do końca!

Po trzykroć w czasie nabożeństwa Herberstein wracał nadaremnie z tem posłannictwem do Elżbiety. Na próżno zdala błagała ją oczyma piastunka; młoda królowa nie zgięła się pod tem brzemieniem.

Przebrzmiały wreszcie pieśni ostatnie, młody król wstał z tronu i szedł pierwszy ku zamkowi, za nim młoda królowa, król stary, Bona i córki strojne wspaniale na końcu.

Obrzęd i nabożeństwo przeciągnęły się tak długo, a Zygmunt Stary sam już był tak znużonym i wątłą swą synową chciał zaoszczędzić, iż oprócz uczyty na zamku dla dostojniejszych gości, nic na ten dzień zapowiedzianem nie było.

U stołu, oprócz Zygmunta, który wesołość obudzić się starał i rozmowę ożywić był rad, dając znaki swoim, aby milczeniu ogarnąć się nie dopuszczali, na niczyjej twarzy nie widać było wyrazu swobodnego. Spoglądano na siebie badająco, niespokojnie, Bona nie przemówiła słowa, August siedział przy żonie martwy z oczyma spuszczone. Niekiedy głośniejsze odezwanie się ks. Samuela, uśmiech wymuszony hetmanowej Tarnowskiej przerywały milczenie uparte, które natychmiast wracało brzemieniem ołowianem. Na licu młodej królowej nie widać było smutku ani zafrasowania; choć może polykała lzy, zmuszała usta do uśmiechu, oczy zwracała na męża. Powtarzała sobie w duszy:

— O! on mnie kochać musi!

Dla wszystkich, nie wyjmując Zygmunta, czas ten przebyty u stołu wydał się nieznośnie długim, a gdy w ostatku dano znak wstawania, ciężar wielki zdawał się spadać z piersi wszystkich. Skinieniem ręki ojciec powołał ku sobie młodą królowę i odezwał się do niej po niemiecku:

— Kochane dziecko moje, tyś znużona, ja stary także... dziś potrzebujesz spoczynku, idź więc spocząć sa-

ma, swobodna, abyś na dni następne, na turnieje, na uczty, na skoki sił nabrała!

Schyloną pocałował w głowę.

Posłuszna młoda pani skierowała się natychmiast ku wyjściu, napróżno próbując pożegnać królową matkę, która zdala głową zaledwie skinęła, na jej pokłon odpowiadając.

August stał w niepewności jakiejś, postąpił kroków parę, lecz już panie, które młodej królowej towarzyszyć miały, wzięły ją między siebie. Spojrzała tylko na męża, wzrokiem go żegnając, chociaż nie była pewną, czy się wejrzenia ich spotkały.

Natychmiast cały dwór się rozsypywać począł i komnaty opróżniły. Miano dosyć do czynienia, gotując się na jutro i dni następne.

Dudycz, który ze swym oddziałem dworzan i sług zajęty był od rana i ledwie zdala miał zręczność spojrzeć na swe bóstwo, gdy szła do kościoła i powracała z niego, nad wieczór nareszcie mając chwilę na spoczynek swobodną, wydostał się z murów zamkowych, aby odetchnąć powietrzem wiosennem. Maj dotąd dosyć laskawy nie był ani zbyt slotnym, ani tak zimnym, jak w kilka dni później.

Myśląc ciągle o Dżemmie, bo mocniej, niż kiedykolwiek trwał w postanowieniu dobijania się o nią, sam nie wiedział, jak znalazł się u wrót zamkowych. Machinalnie jakoś skierował się ku miastu. W chwili, gdy już miał wniknąć w bramę, usłyszał pozdrowienie i z nader uprzejmym uśmiechem powitał go natarczywie wczorajszy kupiec wenecki.

— Jakże się to szczęśliwie stało, — rzekł — że ja was spotykam. Znajomych nie mam, błąkam się dzień cały, nie przemówiwszy do nikogo słowa. Nigdzie się docisnąć nie było można!

— A! jakże chcecie? — odparł Dudycz. — Dziś był dzień najcięższy ze wszystkich; dzięki Bogu, że po stole stary król dał nam i sobie spoczynek.

— A młodzi państwo? — zapytał kupiec ciekawie. — Poszli zapewne razem?

Uśmiechnął się Dudycz i potrzęsnał głową.

— Młoda pani ma być bardzo zmęczona — rzekł — a królowi Augustowi podobno nieśpieszno do żony.

Szli chwilę, milcząc, ku wrotom. Kupiec ujął Dudycza pod rękę, jakgdyby go puścić nie chciał, a zależało mu wielce na przedłużeniu rozmowy.

— Od czasu jak tu jestem w Krakowie — odezwał się po chwili — ciągle się spotykam z różnemi półsłówkami i aluzjami, których niedobrze rozumiem. Bodaj czy nie dzieli się i dwór, i kraj na dwa obozy?

Dudycz, który obszernie się rozgadywać o tem nie lubił, głową tylko kiwnął potwierdzająco. Kupiec uśmiechnął się.

— A wy, czcigodny panie, do którego się obozu liczycie?

— Ja? ja? — odparł Petrek, zamyślając się — prawdę rzekłszy, trudno mi to oznaczyć. Jestem dworzaninem króla jmości starego, miałem zamiar wpisać się do dworzan młodego, a u królowej starej jestem też zapisany niezgorzej.

I po chwili namysłu dodał naiwnie:

— Ja trzymam przedewszystkiem z sobą samym.

Zdawało mu się to dowcipnem i uśmiechnął się zadowolony z siebie, patrząc w oczy kupcowi, który dał mu aprobatę.

— Macie słuszość, to najbezpieczniej — rzekł.

— Jeśli się nie mylę — dodał Weneta, po małym przestanku — przyznajcie się, ta wczorajsza Włoszka piękna bardzo, co tak dumnie siedząc, do nikogo się odzywać nie raczyła, nieprawdaż — wpadła wam w oko?

Dudycz się nie zaparł, był z tego dumny.

— Ha! nieprawdaż? na królowę wygląda? Taką panią w domu posadzić, byłoby się czem pochwalić?

— Alem słyszał — przerwał kupiec — jakoby młody król też się do niej zalecał?

Petrkowi nie czyniło najmniejszej przykrości przyznanie tego. Rozśmiał się.

— No, to co? — spytał. — Młody król żeni się

z piękną i młodą królową, będzie więc musiał Włoszkę pożegnać. Na to czekam i rachuję.

Kupiec przyjął wyznanie z wyrazem współczucia.

— Można wam będzie powinszować — odparł. — Uważałem ją wczoraj, przypatrywałem się pilno: piękna, młoda, pełna uroku, a król przecie o niej i o jej mężu pewnie będzie pamiętał.

— To się rozumie, — rzekł Dudycz — choć ja na to nie rachuję wiele. Stanie mnie na zaspokojenie wszystkich fantazji jej, byłem się jej ręki dobił.

— Sądziecie, że wam to teraz przyjdzie bez trudności? — zapytał Włoch niepomiernie ciekawy.

Petrek zaczął dziwnie głową kręcić.

— Ale, ale! — rzekł zwolna — nie tak to łatwo, jak się zdaje... Włoszka wysoko patrzy, a co gorzej, starej królowej ona potrzebna, więc ją niełatwo puści.

— Potrzebna? naco? — badał Weneta.

Szli tymczasem ku miastu; Dudycz był w takim usposobieniu, że pytający mógł z niego łatwo wydobyć wszystko.

— Między nami mówiąc, — odezwał się Petrek, z miną poważną, jakby zdradzał wielką tajemnicę stanu — królowa Bona, niewiasta nadzwyczaj przebiegła i zacięta, gdy co raz postanowi, niecierpi młodej synowej, którą jej narzucono gwałtem. Zatrzyma więc kochankę, aby nie dopuścić syna do żony.

— A czyż stary król na to dozwoli? — mówił Włoch.

— Pewnie, że nieradby, ale czy starowina podoła? — rzekł Dudycz. — On i jego pomocnicy idą drogą prostą, a królowa przez manowce i naprzelaj; rychlej więc ona, niż oni, celu dosięgną.

— Zatem wasza sprawa źle stoi! — westchnął Weneta.

Dudycz wtórował mu westchnieniem.

— Nie desperuję, — odezwał się — nie desperuję! Nadzwyczaj uprzejmy kupiec wenecki, w tej chwili doszedłszy do Rynku, obejrzał się po kamienicach.

— Ja tu mieszkam u Montelupich, — rzekł — bo

mnie gościnnie przyjęli. Nie zechcecie na chwilkę zajść do mnie?

Dudycz się skłonił, a kupiec wprowadził go do mieszkania na dole, które zajmował. Tu w progu zaraz spotkała ich służba, odziana po włosku, skromnie ale z pańska; i z gospody też poznać było można, iż Włoch, acz prosty kupiec, musiał być chyba zamożnym bardzo. Dziwna rzecz tylko, w jego mieszkaniu nie stanu, do którego się liczył, nie zdradzało. Na stole leżały książki, w kącie stała piękna broń, dokoła widać było dostatek. Lecz że wielu naówczas handlujących zajmowało w społeczeństwie stanowiska wysokie, Dudycz to nie zdziwiło. Siedli, podano na skinienie wino doskonałe, łakocie wytworne, a i podróżny sprzęt wyglądał bardzo okazaźnie.

Gdy słudzy się oddalili, kupiec zawiązał na nowo rozmowę zerwaną.

— He! — rzekł — wyście ludzie północy, u was tu wszystko idzie inaczej, powoli i nieśmiało. U nas na południu, ktoby, jak wy, chciał poślubić pannę, a kochał się gorąco, zamiast długo czekać, urządziłby sobie porwanie jej. Potem, gdy to królowi na rękę, wziętoby was w opiekę i wszystko skończyłoby się gładko i prędko.

Dudycz głową potrząsał.

— Jeszcze nie czas, owoc nie dojrzał — rzekł. — Królowi staremu niedosyć dokuczyła kochanka, mało się o nią troszczy. Trzeba czekać aż poczuje, że mu zawadza i młodej królowej serce męża odbiera.

— Ale nie dawajcież się zrazić i odbić — przerwał Weneta, — bo ją wam pochwyci kto inny.

— O to się niema co obawiać — rzekł Dudycz. — Mówilem wam, uparty jestem. Tymczasem staram się sobie Włoszkę podarkami pozyskać.

— Przyjmuje je?

— Umialem prawie gwałtem narzucić — uśmiechnął się Dudycz — ale takie były zaprawdę, żeby i królownie żal było je odtrącić; kosztowały też niemało.

— Nie żałujcie na to — dodał Włoch. — Oplaci się później!

Po chwili kupiec znowu rozpoczął badanie.

— Cóż na jutro się zapowiada?

— Jutro młodej królowej składać będą podarki wszyscy — rzekł Dudycz — no... i nareszcie młode małżeństwo z sobą się połączy. Dano dziś słusznie spożąć królowej młodej, bo wczoraj strasznie się wydała zmęczoną.

— Ale nie chorowała? — zapytał Włoch, niespokojnie oczy wlepiając w Petrka.

— Nie słyszałem o tem — odparł Dudycz. — Wydaje się delikatną i słabowitą, w istocie, a ma przed sobą jeszcze kilkanaście dni tych festynów, któremi dobrze się umęczyć musi. Na turnieje choć z galerji będzie zmuszoną patrzeć, a potem rozdawać nagrody. Wieczorem od tańca się nie uwolni.

— I myślicie, że to potrwa aż dni kilkanaście? — zapytał Włoch.

— Tak mówią — potwierdził Dudycz.

Zaczęli potem ogólną rozmowę o osobach, do dworu wchodzących, o które się Weneta pragnął poinformować. Zdziwił tem prostodusznego Petrka, że odniedawna dopiero przybywszy do Polski, zdawał się już tu większą część ludzi znać nie tylko z nazwiska, ale ze stosunków i położenia.

Rozmowa przy jednym i drugim kubku wina przedłużyła się dopótna, i Dudycz siedział tu jeszcze, gdy właściciel domu, poważny, bogaty Montelupi, którego znał zdaleka, wszedł odwiedzić swojego gościa.

Obejście się z Włochem możnego i w kupiectwie zajmującego stanowisko wysokie Montelupiego dało Petrkowi do myślenia. Był bowiem z Wenetą jakby z osobą wyżej od siebie położoną i o której łaski mu chodziło, z wielkiem poszanowaniem i względami.

Dudycz stąd ten wyciągnął wniosek, iż nowy jego przyjaciel przynajmniej bogatym być bardzo musiał, ale z rozmowy całej niepodobna się było domyśleć ani czem handlował, ani jakie tu miał interesy; wprost zaś

o to dopytywać się Petrek nie śmiał, i widząc, że noc nadchodziła, pożegnał go.

Wygadał się tak ze wszystkiem, co miał na sercu i w pamięci, iż wyszedłszy z domu Montelupich, poczuł sam, że może nadto był otwartym i gadatliwym. Ale obcy zdradzić go nie mógł.

Powrócił na zamek dosyć zmęczony. Tu wszystko spoczywało napozór. Po korytarzach i galerjach było cicho, ale w oknach wszędzie migaly światła i przysłuchując się, szmer wszędzie pochwycić było można.

Dudycz śpieszył już do swej izdebki przy kredensach, myśląc odpocząć, bo na jutro wiele miał do czynienia, gdy mijając jedne ze drzwi, wiodących do mieszkań królowej Bony, zetknął się w nich z Zamechską.

Szła pośpiesznie i byłaby go pominęła, nie zdając się mieć ochoty do rozmowy, gdy Dudycz, który dawno jej nie widział, a chciwy był zbliżyć się, pozdrowił ją.

— Sto lat, jakem do miłości waszej nie mógł przemówić słowa! — zagadnął.

— Bo też na swobodną gawędę nie pora — odparła ochmistrzyni kwaśno. — Daj mi pokój.

— Chwileczkę! — błagał Dudycz, ścigając ją do jej mieszkania.

— Czegoż chcesz?

— Czyż się pani moja nie domyślasz? — zawołał rozmiłowany. — Słodko jest choć pomówić o niej!

Weszli do komnaty ochmistrzyni, która szydersko się rozśmiała.

— Co ci w głowie? Wybijże to sobie; — rzekła — przekonać się mogłeś przecie, że ona ani na ciebie chce patrzeć!

— A ja czekam, aż się zmiłuje — dodał Dudycz — i właśnie myślę, że czas na trzeci podarek, który dwa poprzedzające zakasuje.

— I po nim królowa cię znowu pośle do Kmity — rozśmiała się ochmistrzyni.

— Nie, teraz już nie — rzekł wesoło Dudycz. — Zmieniło się położenie.

Ochmistrzyni litościwie na niego spojrzała. Zamechskiej, która zmęczona usiadła, w istocie żał być musiało biednego Dudycza.

— Szkoda mi cię — rzekła tonem protektorskim. — Może kiedy się co zmieni, nie wiem, ale do tej pory ja nie widzę nic takiego, co by wam było korzystnem.

— Ależ król się ożenił? — odparł Dudycz — jasna rzecz!

Zamechska spojrzała w stronę ku pokojom Bony i wskazując je ręką, szepnęła:

— Tak, ożenił się, ale na przystęp do żony i poznanie się z nią bliższe pozwolenia stamtąd nie ma. Nasza stara zła, zła i roznamiętniona przeciw staremu panu, przeciw młodej królowej, przeciwko wszystkim. Nigdy ją taką nie widziała. Długo się powstrzymywała, teraz wybucha. Przy koronacji dano jej iść za młodą panią... tego darować nie może. Jest upokorzona, poprzysięgła zemstę. Przy pierwszej zrzeczności starry pan będzie miał co słuchać. Szczęściem teraz pełno gości i sam na sam się z nim nie spotykają, ale nie minie go chłosta. A tymczasem na młodej będzie zemstę wywierać.

Zamechska pochyliła się ku niemu.

— Wiesz, gdzie jest teraz młody, świeżo ożeniony pan?

Petrek podniósł głowę ciekawie.

— A gdzieżby być miał? U siebie!

Zamechska się śmiać zaczęła.

— Siedzi u kochanki, a matka pilnować każe, aby mu tam nie przeszkadzano — mówiła dalej ochmistrzyni.

Skrzywił się, słuchając, dworzanin.

— Jeżeli tak jest — rzekł — no, to stary król przecież dowie się o tem i tem prędzej zechce pozbyć się Włoszki. To na moje koło woda!

— A! a! — przerwała Zamechska. — Starego króla, chorego, zmęczonego, nikt takimi doniesieniami trapić nie zechce. a gdyby nawet się dowiedział, myślisz, że on może Bonie pannę z jej fraucymeru odpra-

wieć i że ona na to zezwoli? Na przekorę ją przy sobie trzymać będzie.

Petrek ręce podniósł do góry.

— Gdzie dwóch się klóci, — rzekł pocichu — tam trzeci korzysta. Życzę dobrej nocy miłości waszej.

Na zamku w wielkich salach była uczta zapowiedziana, lecz wprzód jeszcze urządzono z polecenia króla Zygmunta w izbie, złotej zwaną, uroczyste oddawanie darów młodej królowej.

Pierwsze naturalnie miejsce i tego dnia zajmowała młoda Elżbieta, której twarzyczka zmęczona, blada, oczy sińcami podbite odbijały dziwnie od uśmiechu, na który się siłiła. Spoglądała na siedzącego obok męża i jakby z niego siły czerpać chciała, szukała wzroku jego, który unikać się jej zdawał.

I tego dnia Hölzelinówna, wzdychając, czując, jak pani ciężko będzie to dźwigać na sobie, musiała ją przybrać jak najkosztowniej, obwiesić klejnotami, aby przy wszystkich tych kosztownościach, jakimi ją obsypać miano, nie wydawała się zbyt ubogo.

Bona z nietajoną radością i ironją widoczną przypatrywała się zmęczonej, zżółklej biednej ofierze.

Stary król nie widział nic, był szczęśliwy. Zdawało mu się, że odniósł już zwycięstwo.

Naprzód tedy wniesiono dary męża, które stary sam w jego imieniu z własnego skarbcza przygotować kazał. Były to trzy przepyszne naszyjniki: diamentowy jeden, z rubinów i szmaragdów drugi, trzeci z szafirów z perłami. U każdego z nich zawieszony był klejnot rodzaju medaljonu, który duże wiszące perły kształtu gruszeczek zakończyły. Osiemdziesiąt par czarnych soboli i na okrycie ich złotogłów wschodni dopełniały ślubny podarek.

Za nim szedł dar ojca, Zygmunta, znowu trzy naszyjniki, jeden w kształcie łańcucha do kołnierza diamentowy cały, dwa z innych kamieni drogich z perłami, z wiszącym klejnotem i krzyżem. Ostatni był jakby błogosławieństwem.

Cesarz Karol V przez margrabiego brandenburskiego słał swoje godło zwykłe, aby dawcę przypominało. Był to wielki dwugłowy orzeł cesarski z diamentów i rubinów, zawieszony na dziesięciu łańcuszkach diamentowych. Z drugiej strony jego stały dwie dumne kolumny diamentowe, z godłem *Plus ultra!* Karol V prześcigał Herkulesowe słupy! Drogi klejnot do noszenia na szyi, z diamentów i rubinów, odznaczał się perłą ogromną, gruszczką na hiszpańskim łańcuszku.

Były to zaprawdę piękne klejnoty, lecz drobne ich po większej części kamyki wysokiej wartości nie miały. Wydawały się jednak wspaniałe.

Królowa Izabela węgierska złożyła u stóp synowicy cesarza cztery rostruchany pozłacane roboty Niemców siedmiogrodzkich, łańcuch szmelcowany i kilka drobiazgów innych.

Od siebie Jerzy brandenburski, mąż Jadwigi, córki starego króla, Ludwik palatyn, Otto Henryk, książę palatyn neuburski i kilku innych książąt niemieckich, a naostatek i Piotr, wojewoda multauński, każdy przez posła osobnego składali w ofierze po większej części srebra, kunsztownie trybowane i złożone.

Z miast królestwa celowały Kraków z trzema rostruchanami złożonemi pięknej roboty, z których jeden z herbem miasta i Gdańsk z misternem naczyniem podobnem, na którem wyrażoną była Judyta. Elżbieta wcale do niej nie wydawała się podobną.

Żydzi także nieśli rostruchan złożony.

Mijamy wiele pomniejszych podarków.

Gdy po królu starym w początku zaraz kolej się zdawała przychodzić na Bonę, zatrzymał się na chwilę margrabia brandenburski z podarkiem cesarza. Zygmunt obejrzał się niespokojnie. Bona siedziała z zaciśniętymi wargami, z wyrazem ironji na twarzy, nie patrząc ani na synowę, ani na męża, zimna, obojętna. W istocie od niej nie było podarku żadnego, nie!

Uderzyło to wszystkich, szczególnież może posłów cesarza i tych, co z Elżbietą przybyli.

Stary król spuścił oczy, drgnął, poruszył się, spoglądając na Maciejowskiego, potem z wyrzutem na Gamrata, który, rozparty w arcybiskupiem krześle swem, w inną stronę spoglądał.

Młoda królowa, dziękująca ciągle oczyma i ukłonami, nie zdawała się ani czuć, ani widzieć tego braku. W zgromadzeniu jednak czynił on wrażenie wielkie, które się dawało rozpoznać po nieśmiałyach spojrzeniach, jakie przytomni rzucali ukradkiem na swych przyjaciół i na dwór Bony.

Włoszka odniosła wprawdzie chwilowy ten triumf, bo w gniewie postanowiła okazać synowej swą niechęć, ale nadto była przebiegłą, ażeby wnet po fizjonomjach posłów cesarza i króla, po twarzy pani Solm i innych nie poznała, że się to w Wiedniu i Pradze odbije, a na Izabeli w Węgrzech i na jej posiadłościach neapolitańskich czuć dać może.

Widać było pewne pomieszanie na jej twarzy i jakby chęć zatarcia zbyt śmiałego kroku. Trudno jednak było to, co się stało, odmienić.

Przy uczcie potem Bona, która siedziała obok męża; kilka razy usiłowała go wciągnąć w rozmowę. Zwracał się do niej chmurny, z twarzą pogardliwą i dumną, lecz nie odezwał się ani słowa. Milczenie to wprawdzie u Zygmunta nie było dziwnem, ale w dniu tym miało znaczenie wielkie. Nie spoglądał na żonę nawet i zajęty był synową a gośćmi.

Zygmunt August, jak sądzić było można z jego fizjonomji, miał matce za złe wystąpienie publiczne, którego dobra polityka nie doradzała.

Bona czytała potępienie w oczach wszystkich. Wprawiało ją to w gorączkę jakąś. Gniewać się na siebie nie umiała, zła była na wszystkich.

Dzień ten, zatruty od rana fałszywym krokiem Bony, ciągnął się długo niby na zabawach, a w istocie w męczących ceremonjach. Królowa stara usiłowała zapobiec, aby małżeństwo młode nie zbliżyło się i nie połączyło dnia tego, ale Zygmunta rozkazy, zgóry oznaczony ceremonjał nieublagany zmusiły ją ulec — i kró-

lowę Elżbietę wraz z mężem odprowadzono do ich sypialni.

Zaledwie się to dokonało, a król stary kazał się zanieść do swojego mieszkania, potrzebując wielce spoczynku, Gamrat z sali jadalnej pośpieszył za Boną do jej komnat.

Włoszka szła poruszona, zarumieniona gniewem i nie spostrzegła, gdy się zbliżył do niej. Dopiero, gdy się zwróciła w mieszkaniu swem do towarzyszących jej panien, zobaczyła idącego za nią arcybiskupa. Miał czoło zmarszczone i twarz zaszępioną.

Królowa rzuciła się na krzesło, odpinając łańcuchy i ściągając klejnoty, które na stół ciskała z gniewem. Arcybiskup stał przed nią.

— Miłościwa pani, — odezwał się — pozwólcie powiedzieć sobie: źle się stało! zaprawdę źle!

— Cóż się stało? — wykrzyknęła Bona, podnosząc się.

— Jedna tylko matka nie dała nic synowej! — rzekł Gamrat — a stało się to wobec posłów, którzy jutro, jeśli nie dziś, doniosą o tem cesarzowi i królowi ojcu. Pomszczą się oni, nie daj Boże, na Izabeli, na waszych księstwach.

Włoszka trzęsła się z gniewu prawie konwulsyjnie.

— Milcz! — krzyknęła groźnie, nie mogąc się pohamować. — Tak chciałam i tak uczyniłam... źle czy dobrze, stało się. Gdy zechcę, wynagrodzę to!

— Nigdy! — odparł Gamrat — żaden dar publicznie wyrządzonej krzywdy nie opłaci. W. miłość, co gorzej, zdradziliście się!

— Nie czyni mi wyrzutów! — przerwała królowa. — Stało się, stało się!

— A! lecz stało się bardzo źle.

Królowa nogą uderzyła o podnózek i syknęła. Gamrat skłonił głowę i zamilkł. Bonie łzy bezsilnego gniewu zakręciły się w oczach.

Wtem szmer we drzwiach dał się słyszeć — marszałek wzywał pokornie najjaśniejszą panią, aby się udać raczyła do króla imości.

Znaczenie tego wezwania łatwo było odgadnąć. Bona się musiała przygotować na srogie gorzkie wymówki. Przewidywała to zgóry i gotową była raz długo odciągana wojnę rozpocząć.

Gamrat, szepcząc coś, starał się ją napróżno uspokajać; — wstała, coraz się mocniej burząc i rzucając. Nie odpowiedziała mu nawet, szła szybkim krokiem wprost przez puste komnaty wewnętrzne do sypialni Zygmunta.

O tej porze stary król zwykle w łóżku już bywał; zastała go siedzącym w krześle jeszcze, a kapelan, który się z nim do odmówienia wieczornych modlitw odroczonego gotował, stał u drzwi drugich i, pod pachę ująwszy książkę, zniknął.

Nim Bona przystąpiła bliżej, nie śpieszacy się zwykle z mową król, wybuchnął tak gwałtownie, jak od dawna już nigdy mu się nie trafiało.

— Przed całym światem potrzeba ci było okazać te rany, które nam zadajesz, tę truciznę, którą nas poisz, kobieto bezrozumna!

Bona stanęła dumnie, wyciągając rękę.

— Przyprowadziliście mnie do ostateczności — poczęła wrzaskliwie. — Chcieliście ze mnie lalkę jakąś zrobić, która tak skacze, jak jej każą. Taką nigdy nie byłam i nie będę. Syna mi odbierają!

Zygmunt po włosku, cicho, pojedynczemi wyrazy, przerywanemi, poprostu już łajał królowę.

— Nie krzycz, — zawołał wkońcu — potrzeba ci, aby na całym zamku wiedzieli wszyscy aż do pacholców, że u nas zgody niema, ani między małżeństwem, ani w rodzinie. Chciałaś uderzyć Elżbietę, a własną córkę swoją, najukochańszą Izabelę, raziałaś. Myślisz, że ci to cesarz przebaczy?

Bona, słuchając, rzucała się i płakała razem, a przeklinała.

— Miałam ja jej dawać podarki? Za co? Za to, że mi się tu wparła między mnie a syna, między mnie a ciebie... ta blada, wynędzniała, schorowana dziewczyna, która chorobę może przynieść jednemu syno-

wi memu! Miałeś się o co dobijać! Nawet lichych trzydziestu tysięcy złotych, na które ze stu zeszło, nie mają czem za nią wiana zapłacić! Ja tu przecie coś przyniosłam i coś znaczyć powinnam. Wy mnie chcecie pognać, odsunąć, zaćmić dać tej niemieckiej...

Mówiła ciągle, a Zygmunt jedno powtarzał, równie gniewny, jak ona.

— Milcz! milcz!

— Nie będę milczała! będę głosić całemu światu; — wołała — jestem matką, jestem królową, mam tu prawa, których sobie wydrzeć nie dam. Potrafię się zemścić...

Sceny podobnych wyrzutów, kłótni, które dochodziły niekiedy do tego, że Bona się na podłogę rzucała, jak bezprzytomna, powtarzały się bardzo często! Zygmunt był do nich nawykły i wiedział też, że nigdy z nich nie wychodził zwycięsko. Złamany, osłabiony musiał ustępować wkońcu. Dnia tego jednak zbyt mocno czuł obelgę, uczynioną synowej, by mógł uznać się winnym i zwyciężonym. Wejrzeniem groźnem mierzył Bonę, ręką uderzając o poręcz krzesła.

Włoszka lamentowała, jak zawsze, z tego samego wiekuistego tematu, który się ciągle przez długie powtarzał lata.

— To wasza wdzięczność za to, żeś tobie staremu i twojemu barbarzyńskiemu krajowi poświęciła moją młodość, żeś was mojem złotem ratowała, żeś tu prześladowana, nieszczęśliwa zmarnowała się, otoczona wrogami.

Łzy i przekleństwa przerywały te wykrzyki, Włoszka konwulsyjnymi ruchami rąk to rwała na sobie odzienie, to na starego króla zdawała się godzić, który siedział nieruchomy, zaszepiony, ale nieprzebragany.

— Ty i twoi — wtrącił — nie daliście mi nigdy spoczynku. Czegom ja chciał, temuś się sprzeciwiała. Twoi zausznicy stawali mi na drodze. Przez ciebie u ludu mego i u świata straciłem poszanowanie. Twoje spiski...

Bona poskoczyła, mówić mu nie dając.

— Gdyby nie ja, — zawołała — gdyby nie pieniądze moje, nędzarzem-byś był. Musiałamłożyć na dzieci, wspomagać ciebie, zasiląć skarb.

— A te pieniądze nie z neapolitańskich twoich dzierżaw, ale z moich nadań i łaski ciągniesz — rzekł Zygmunt. — Milczże i upokórz się, niegodziwa!

Wyrzuty króla wcale do uspokojenia dopomóc nie mogły. Bona unosila się coraz więcej. Wysilona wreszcie, zamiast na krzesło, rzuciła się na ziemię i lkała, zanosząc się płaczem gniewliwym.

— Słuchaj, — odezwał się Zygmunt poważnie — jeżeli ci twoje szaleństwo rozumne słowa da pojąć. Nie sądź, ażebym uległ tam, gdzie idzie o przyszłość jedynego syna mojego i tej synowej, którą ukochałem, jak własne dziecko! Ty chcesz przed Bogiem poprzysiężone małżeństwo rozdzielić... ja tego nie dopuszczę. Okażę ci, że panem tu jestem i być potrafię.

Na chwilę ucichłszy, gdy mówił te słowa, Bona zerwała się z ziemi i rozśmiała szydersko.

Śmiech ten niespodziany, straszny biednego Zygmunta przeszył, jak najstraszniejsza groźba, pobladł, zatrzęsł się, zamilkł.

Nie mówiąc nic, Bona zmierzyła oczyma bezsilnego starca, dumnie się wyprostowała, podnosząc głowę, skrzywiła usta i rzekła obojętnie:

— Masz mi co więcej powiedzieć jeszcze? Grózb twoich wcale się nie lękam. Kocham syna mojego i póki żywa bronić go będę.

— Cóż mu to grozi? — przebaknął król gniewnie — co?

— Pożycie z nienawistną, z narzuconą, ze wstrętliwą kobietą, która tu będzie szpiegiem i sługą cesarza i swego ojca, nieprzyjaciół moich i Izabeli.

— Mogłaś ich pozyskać, jako sprzymierzeńców, a robisz ich sama wrogami.

— Bo oni nigdy niczem innem być nie mogą i nie będą — zawołała Bona. — Ciebie, zdziecinniałego starca, uwodzą, mnie nie potrafią.

Zygmunt nakazał znowu milczenie, a królowa odpowiedziała mu śmiechem.

Sprzeczką i waśń byłyby się przedłużyły pewnie, gdyby nie zaskrobano do drzwi. Gniewnym wzrokiem rzuciła królowa na nie, nie pojmując, kto mógł tak zuchwale dobijać się tu, gdy ona była na rozmowie z królem. Łatwo się wszakże Zygmunt domyślił, iż kto inny być nie mógł nad lekarza.

Co dziwna nie zwykły doktor króla, ale królowej, Nicolo Catignani, ukazał bladą, długą twarz, otoczoną włosami czarnymi, w prostych kosmykach spadającymi na ramiona i do królowej po włosku się odezwał, że Zygmuntowi potrzebnym był odpoczynek o tej godzinie.

Choć zwykle Catignaniego rady i rozkazów słuchała, Bona była nadto wzburzona tym razem, aby milcząc przyjąć przestrozę.

— A pocóż mnie tu zawołano? — odezwała się napół do doktora, wpół do męża. — Nie myślałam mu wcale przerywać spokoju. Kazano mi przyjść, jak dziecku, aby je skarcić.

Król syknął, nierad był tym zwierzeniom przed obcym, ale Bona dla niego tajemnic żadnych nie miała.

Catignani wszedł wcale niezemieszany, poklonił się Zygmuntowi, rękę kładąc na piersi, zbliżył się do Bony z poszanowaniem, ale nalegając szeptać jej coś zaczął i opierającą się, gniewną w ostateku swoją powagą potrafił nakłonić do wyjścia.

Trochę opodał ode drzwi czekali komornicy ze światłem, którzy Bonę, jeszcze całą poruszoną i ledwie oprzytomniałą, do jej pokojów odprowadzać mieli. Tak była zaślepioną gniewem, iż Catignani po kilkakroć wskazywać jej musiał kierunek, w jakim iść miała.

W pokojach czekał na nią Gamrat, który chciał wiedzieć, na czem się skończyła rozmowa ze starym. Pytać o to niebardzo potrzebował, dosyć było spojrzeć na wywróconą, zmienioną twarz Bony, istną głowę Meduzy.

Gamrat to wysłał Catignaniego, aby zbyt długi spór

i dla obojga królestwa niebezpieczne wybuchy poskromił.

Włoch, posadziwszy panią swą w krzesło, poszedł po lekarstwo na wzburzoną krew i nerwy. Przyniósł kubek zgotowanego napoju, część jego naprzód wypił sam, gdyż w obawie trucizny Bona nigdy inaczej lekarstw i pokarmów nie przyjmowała i otarłszy ręcznikiem kubek, podał go pani.

Wzdrygała się wziąć do ust.

— Lekarstwo? Co mi ono pomóc może? Jestem prześladowaną, upokorzoną, zagrożoną!

Gamrat przerwał uspokajająco.

— Miłościwa pani, — rzekł — więcej zagrożeni są nieprzyjaciele twoi. Potrzeba tylko, ażebyś zachowała tę zimną krew, którąśmy tak długo w tobie uwielbiali. Wrogom okazać, że ich pociski nas dosięgają, jest to dawać im zwycięstwo. Oni drżą teraz, a wasza miłość możesz się im uragać.

Zwolna mowa arcybiskupa razem z napojem lekarza poczęły działać na Bonę. Otarła łzy, zacięła usta, słuchała pochlebstw i dumala.

Catignani, sprawiwszy, co było jego obowiązkiem, usunął się do drugiej izby i siadł tam na zawołanie, przy pannach, które na służbę wyznaczone, jak on, skienienia czekały.

Ze stosunkowo szybkiego uspokojenia Bony wnosić było można, iż wybuch gwałtowny u króla starego był może umyślnym i gniew wymuszonym dla postrachu, któremu Zygmunt często ulegał.

— Postawili na swem — szepnęła Bona Gamrato-wi. — August musiał pójść tam... lecz tem gorzej, tem gorzej. Wiem, że ze wstrętem z nią pozostał. Na oczach Elżbiety zobaczycie jutro ślady łez. Od jutra potrafię ich rozdzielić. Catignani i inni lekarze mówią wszyscy zgodnie, że jej choroba może się przenieść na małżonka. Któż wie? Elżbieta ma starą Niemkę przy sobie. Ostrzegłam, aby w łóżnicy nic nie pił... Mogą mu dać filtr jakiś, mogą użyć czarów, aby go ku niej pociągnąć.

Gamrat nie odzywał się długo.

— Miłość wasza — rzekł w ostatku — trwożysz się zbyt. Król młody jest panem rozumnym, ostrożnym, włada sobą i nie dopuści się ani upoić, ani oczarować. Młoda królowa, dziecko, do tego nie jest zdolną, stara ochmistrzyni nazbyt tu obcą i onieśmiałoną, aby się ważyła.

— Rozdzielić, rozerwać potrzeba koniecznie to małżeństwo wstrętliwe — dodała Bona pośpiesznie. — Postaram się o to co najprędzej, aby Zygmunta wysłano.

— Dokąd? — zapytał Gamrat.

— Na Litwę — odparła Bona. — Król możeby mu dał rychlej Mazowsze, bo o swą Litwę zazdrosny, ale ja nie chcę, aby zawałdął Mazowszem. Mam inne zamiary.

Arcybiskup głową potrząsnął.

— Gdy go wyprawicie na Litwę, — rzekł — a posiedzi dłużej, doniosą o tem do Pragi, dopomni się groźno ojciec, aby żona jechała za nim. Oprzeć się temu będzie trudno. Straciecie ich z oczu oboje, a naówczas...

Bona rękami strzepnęła.

— Masz słusność, — zawołała — ja ich od siebie puścić nie powinam, ale oboje razem tu trzymając, zapobiec będzie trudno, aby się nie zbliżyli do siebie. Król stary jest uparty, August ma serce miękkie... może w nim litość obudzić. Trzeba ich rozłączyć, trzeba znaleźć środek jakiś...

Cesarz — ciągnęła dalej — ma zbyt wiele do czynienia w cesarstwie, aby się pilno dowiadywał, co się u nas dzieje. Listów potajemnych od niej nie dopuścimy. Gorzej będzie z ojcem, jest bliżej, a od niego zależy los Izabeli! Al! trzeba mi było tego, ażeby sprawa jednego dziecka z losem drugiego była w przeciwnieństwie! Izabelę i jej dziecię ratując, musiałabym Augusta stracić. Nie! nie!

— Mamy Turcję za sobą, — rzekł Gamrat — zyszcemy może króla francuskiego. Bądź co bądź, poganin jest z nami. Kołą nam tem oczy, że z nim się tajemnie znosimy.

Oburzyła się królowa tym zarzutem.

— Głupi tylko ludzie mogą mi to mieć za złe — wykrzyknęła. — W polityce niema pogan ani chrześcijan, są tylko sprzymierzeńcy i wrogowie.

Gamrat zdawał się być tegoż samego zdania, bo nie zaprzeczał.

— W tych dniach spodziewam się Greka, którego mi wysłać obiecano — dodała królowa. — Przekupię go, aby stanęli po stronie Izabeli i Węgrów sobie wydrzeć nie dali. Czy Francuz wyjechał z listami memi do Paryża?

Arcybiskup głową potrząsnął.

— Niepodobna go było odprawić — rzekł pocihu. — Treść listów trzeba dobrze rozważyć.

— Ale właśnie teraz — dodała królowa — wśród tego przekłętego zamętu weselnego, niepostrzeżenie najłatwiej było wysłać je. Pomyślcie o tem.

— Turnieje i zabawy potrważą jeszcze dni kilka — odezwał się Gamrat. — Mamy czas. Stary król zdaje się niemi bawić.

— On? — rozśmiała się Bona. — Zmęczony jest straszliwie, ale czyni to dla nienawistnej tej Niemki. Sądzi, że jej tą świetnością oczy zakryje, aby nie dostrzegła, jak ją tu nienawidzą wszyscy.

— Nareszcie kiedyś się to skończyć musi — przerwał Gamrat. — Książęta pruski i lignicki długo siedzieć nie będą. Porozjeżdża się to powoli, zostaniemy sami.

Zadumała się królowa. Gamrat dał jej tak ukoić się trochę i widząc uśmierzoną, rzekł powolnie:

— Powrócić wam trzeba, miłościwa pani, do dawnego trybu, do obojętności pozornej, do chłodu. Wiele rzeczy nie widzieć, nie słyszeć i nie rozumieć.

— Tak, uniosłam się, — odparła królowa — przyznaję to, ale nie wytrzymać już nie mogła, tak długo w sobie zmuszona ukrywać to wrzenie, które przybycie Elżbiety do wybuchu doprowadziło!

— Starego króla ukołyszcie! — dodał Gamrat. — Wnoszę z tego, coś miłość wasza tu z sobą przyniosła,

że burza musiała być niemała, a rozstanie bez pojednania.

Bona wstrząsła ramionami.

— Gdy zechcę, — odezwiała się — jednym skinieniem go uspokoję. Stary potrzebuje wypoczynku, ulegnie.

— I z tem będzie lepiej — dokończył, powstając, arcybiskup. — Wstępny bojem my tu nic nie poradzimy, ale podstępny tylko!

Uśmiechnął się, królowa rękę mu podała.

— Nie opuszczajcież mnie — dorzuciła szybko. — Ty, Kmita, Opaliński, na was rachuję. Opaliński teraz może wiele. Stanie na straży młodej królowej, krokiem od niej nie powinien odstąpić, — ani Augusta, ani jej nie spuszczać z oka.

— Na Opalińskiego miłość wasza rachować możesz, — odezwał się Gamrat — a on dobrze rozumie położenie.

— Powtórzcie mu, że na wdzięczność moją liczyć może. Jutro rano chcę się z nim widzieć.

— Ta noc! ta noc! — szepnęła Bona, wstając — a Augusta wyrwać stamtąd nie mogę!

Zaledwie drzwi się za Gamratem zamknęły, gdy w drugich ukazała się trupia, straszna twarzyczka mniszki Maryny, tej sługi królowej, która jak cień stała wszędzie i zawsze przy niej, za nią, gdy nikogo nie było, gdy wszystko stało zaparte, a żadne ludzkie oko ni ucho nie mogło się wcisnąć.

Gdy cała służba odchodziła, gdy zamki wszystkie zapadały, gdy Bona pozostawała samą, Maryna musiała stać przy niej. Szła tak, że słyhać jej nie było, a jednak królowa wiedziała, że ma ją za sobą. Skinęła ku szafie, nie mówiąc słowa. Maryna poszła ku niej powolnym krokiem, dobyła szkatułkę, przyniosła ją i postawiła na stole przed Boną.

Z brwiami zmarszczonemi, zwolna królowa wzięła kluczyk z woreczka u pasa, otworzyła zamek i wzrokiem niespokojnym poczęła się przypatrywać leżącym w niej klejnotom. Z głębi świeciły, błyszczały, promie-

niały różnobarwne drogie kamienie, rubiny krwawe, szmaragdy i szafiry, opasane brylantami; drżącą ręką chwyciła Bona dwa czy trzy kanaki, które z kolei rzuciła nazad, naostatek dobyła naszyjnik podobny do jednego z tych, które z rana ofiarowano Elżbiecie. Pochodził on zapewne z klejnotów wyprawnych królowej, gdyż z jednej strony stał wyemaljowany herb Sforzów, wąż ów pożerający dziecko, ale złotnik omyłką, zamiast dziecka, w paszczę smokowi rzucił gorejące płomień.

Bona obejrzała klejnot bacznie, jakby chciała wartość jego ocenić, i wzięwszy w ręce, zamknęła szkatułkę, którą Maryna na miejsce odniosła.

Podeszła kroków kilka, a służka, co jej każdą myśl tak doskonale odgadywać umiała, nie potrzebowała wskazówki, by wiedzieć, co ma czynić; wzięła w rękę świecę i szła, poprzedzając panią.

W korytarzach panowała cisza, i z dołu tylko od służby i dworu, który jeszcze się nie udał na spoczynek, dochodziły stłumione głosy. Bona szła długo za Maryną, a gdy ta stanęła u drzwi i uchyliła je, znalazła się w mieszkaniu Dzemmy.

Słabe światło stojącej w kątku lampki zostawiało komnatkę w półmroku. Nikogo widać nie było, tylko jęk jakiś stłumiony doszedł uszu Bony.

Dżemna z włosami rozrzuconemi leżała na podłodze z twarzą na kobiercu... nie wiedziała nic, nie słyszała wchodzącej. Królowa stanęła nad nią, długo się przypatrując, nim otwarłszy oczy Włoszka ją zobaczyła i poznała.

Zwolna podniosła się, ale ból, który ją rzucił obezwładnioną i bezprzytomną na podłogę, odebrał siły, wstać nie mogła.

A cóż dla niej znaczyła w tej chwili królowa i wszystkie w świecie królestwa, gdy ten jedyny, co dla niej był światem, porzucił ją, stał się jej niewiernym? Zazdrość odbierała jej przytomność — wpatrzyła się w Bonę, nie mówiąc słowa, jakby pytała wzrokiem, czego ona od niej chce może?

— Dżemmo! co tobie? — cicho zaczęła królowa,

łagodząc głos, w którym brzmiał gniew ranny i zburzenie — co tobie, *poverina*? Podnieś się, przyszedłam cię pocieszyć, dziecko moje. Ja tak samo, jak ty, cierpię... i mnie go odjębrano, ale to nie potrwa długo, my go mieć będziemy i nie dopuścimy, aby wydarto.

Jęknęła Dżemma, podnosząc się. Wstydziła się użalać i boleć przed królową, ale czyż cała jej postać, łzy, twarz, niemota nawet nie mówiły za nią?

Bona była dziwnie czułą i litościwą, pochwyciła ją za głowę, ścisnęła, zaszeptała coś i dobywszy klejnot z sukni, włożyła go w ręce Dżemie.

— Widzisz, — rzekła — wszyscy jej dziś przynosili podarki, ja nie dałam nic, umyślnie! A tobie, dziecko moje, którą serce mego syna wybrało, zawieszam na piersi ten stary mój paniński klejnot, który August zna dobrze. Możesz się w niego przystroić. Ale męstwa, Dżemmo, męstwa! Łzy nie pomogą, bo nikt się nie ulituje nad nami... trzeba walczyć zuchwale... w Augustcie znajdziemy sprzymierzeńca. Ja cię nie opuszczę.

Dżemma całowała, płacząc, ręce królowej.

— Oczu sobie nie wyplakuj, serca nie psuj... to chorowite dziecko oddamy doktorom; niema obawy, aby się w niej August rozkochał.

Poszeptawszy jeszcze na ucho Dżemie, Bona pogłaskała ją po twarzy, po głowie, obejrzała się dokoła, i wyszła, a mniszka Maryna w milczeniu, cicho stąpając, odprowadziła ją do sypialni.

Dniało, ale wiosenne niebo całe powleczone było gęstymi chmurami szaremi, które leniwo, powoli zdawały się z boku na bok obracać. Na wschodzie, tam, gdzie słońce ukazać się miało, z za oparów różowy, słaby blask przyświecał czasami i sine chmury przysłaniały go natychmiast. Nad rankiem dopiero w mieście i na zamku sen zmorzył nawet najzawziętszych opojów i kosterów, którzy korzystali z wesela, aby się upoić i szaleć. Wśród ciszy tej ledwie szmer jakiś z lekkim, jak westchnienie, wiatrem przeleciał powietrze.

W sypialni młodych królestwa otwarły się zeicha drzwi i ktoś kroki ostrożnemi wyszedł z niej. Lampka dopalała się zdala, za zasloną łoża drganie jej zdradzało życie.

Łoże stało napół opróżnione, a z drugiej strony jego siedziała, z rękami na piersiach złożonemi, z włosami rozpuszczonemi, młoda królowa zadumana.

Była sama. Uśmiechniętego owego dziewczęcia, które tak wdzięcznie przyjmowało dary i powinszowania, trudno było poznać w tej twarzyczce smutnej i głęboko zadumanej, jakby nagle dotknięciem różdżki czarodziejskiej dojrzałej. Oczy jej patrzyły przed się nieruchomie w mrok komnaty, ale nie widziały nic, nie dostrzegły nawet na palcach pocichu, ostrożnie zbliżającej się Hölzelinówny, która, uchyliwszy kotary, szukała dziecka swego macierzyńskiem, niespokojnem oczyma.

Piastunka nie śmiała się długo zbliżyć — z postawy chciała coś odgadnąć. Elżbieta postrzegła ją wreszcie i obie ręce chciwie ku niej wyciągnęła.

Zbliżyła się Kätchen, a królowa, wedle dawnego zwyczaju, objęła ją białemi rączkami za szyję, głowę złożyła na ramieniu i pozostała tak milcząca, przytknąwszy oczy, jakby potrzebowała spoczynku.

Westchnienie się jej z ust wyrwało.

— A! Kätchen — szepnęła — Kätchen... Co za noc okropna i jaka ona była długa. Kätchen, jak ja ją inaczej sobie wyobrażałam... On! on! ten, którego ja tak kocham od dzieciństwa, mój pan, mój król, miał raz pierwszy zbliżyć się do mnie, nieliśmy być sami. Przygotowałam się tak serdecznie paść w jego ramiona, i płacząc, powiedzieć mu wszystko, jak go kochałam, jak tęskniłam za nim, jak teraz jestem szczęśliwa. Kätchen... był taki zimny jakiś, zastygły, milczący, obojętny... nie wiem, może nieśmiały, może, jak ja, bojaźliwy, że usta mi zamknął. Kätchen... nie śmiał się nawet przybliżyć do mnie, jakże ja miałam zdobyć się na odwagę?

Westchnęła młoda królowa.

— Ale, nieprawdaż? To tak zawsze z młodeimi małżeństwami być musi?

Hözelinówna nie odpowiedziała nic, a królowa poczęła po małym przestanku:

— Może on mnie nie kocha? Może on się mnie lęka? Może on wie, że ja nagle czasem zapadam w ten sen, jakbym już była umarłą i lękał się, abym ze wzruszenia nie omdlała?

Kätchen przerwała nagle:

— Ani on, ani nikt z tych, co tu są, nie wie o tem, nikt wiedzieć nie powinien; powinnaś zapomnieć o tem, nie myśleć, aby się to nie powtarzało. To nie jest chorobą żadną, ale wprost zmęczeniem. Siły ci przybędzie, sny te ustaną.

Elżbieta zamyśliła się.

— A! żebyś wiedziała, — rzekła — jak się obawiałam ciągle, aby mnie to nie napadło przy nim teraz. Drżałam i modliłam się. Gdy wszyscy wyszli, zwrócił się do mnie, za ledwie siłę mając mi powiedzieć, że muszę być bardzo zmęczoną i potrzebuję odpoczynku. Patrzałam na niego, wzywając, aby się zbliżył... nie miał odwagi, stanął zdaleka. Wzrok miał roztargniony. Siadł na krześle przy łóżku, głowę pochylił na dłonie... ale napróżno udawał, że nie patrzy na mnie, spotykałam wzrok jego. Mnie pierwszej odezwać się, Kätchen, wszak prawda? nie wypadalo? Alem się nie kładła, siedziałam na łóżku zwrócona ku niemu.

Na starej, zasmuconej twarzy Hözelinówny malował się niepokój i trwoga, a łzy stawały na powiekach.

— A! on dobry jest, łagodny, — poczęła Elżbieta — tak szlachetną ma postawę, a tak mile, słodkie wejrzenie, ale nieśmiały bardzo! Wiem, na pewno, że tak, jak ja musiał szukać słów, chciał i nie mógł się odezwać, że czekał może, abym ja poczęła, a mnie biednej brakło tego czarodziejskiego słowa, coby jemu i mnie usta i serce otworzyło. Ale jutro, jutro! pójdzie już łatwiej... jutro będziemy starzy znajomi, ja spodziewam się być śmielszą, serce nie będzie mi tak bić!

W miarę, jak królowa mówiła, lice Hözelinówny

smutniało coraz, rozplakana poczęła drobne, białe, za-
stygle rączki dziecka swojego całować, położyła je na
poduszki, okryła.

— Zaśnijże teraz! — zawołała — spocznij, potem
cię znowu zbudzą na te festyny męczeńskie, a ty i tak
już wszystką wyczerpałaś siłę.

Kätchen chwilę pomyślała.

— Król młody — rzekła — postąpił sobie bardzo
rozumnie. Kazał odpoczywać, nie rozpoczynał nawet
rozmowy, aby cię nie męczyć, siedział na straży. Trze-
ba go słuchać!

— On mnie kocha, nieprawdaż? — zawołała kró-
lowa — on mnie kocha tak, jak ja jego?

— Kocha, kocha, dziecko moje, — potwierdziła
piastunka — ale miłość się musi ośmielać i objawiać
powoli, to prawo rycerskie! Daje ci czas, abyś się z nim
oswoiła, przywykła, spoufalila.

Elżbieta słuchała. Znała tak dobrze starą swą och-
mistrzynię, że ją zaczęła posadzać o trochę przesady,
o chęć pocieszania tylko.

— I miłość z początku jest zawsze taka zimna? —
zapytała królowa.

— Śpij, moja królowo, śpij, nabierz sił, abyś jutro
miała rumieńce — przerwała Kätchen. — Nie trwóż się,
nie myśl o niczem, wszystko będzie pomyślnem, pój-
dzie szczęśliwie, bo niema człowieka na ziemi, co by na
tobie, skarbie mój drogi, nie poznał się, nie ocenił cię,
nie pokochał.

Posłuszna młoda pani przyłożyła głowę do podu-
szki, ale oczy się jej zamknąć nie mogły, patrzyła na
piastunkę, siedzącą u łóżka na straży. Usta się mimo-
wolnie poruszać zaczęły.

— Miałam wczoraj cały gotowy w głowie obrazek
tego pierwszego spotkania; — rzekła — jak to nigdy,
nigdy nie odgadnąć niepodobna! Chciałam całe moje
życie, całe dzieciństwo mu opisać, opowiedzieć, mia-
łam mówić o matce, o tobie, o ojcu, o siostrach, o na-
szych zabawach, o tem, jak cesarz mnie na kolanach
posadził, jak bawiliśmy się w ogrodzie, jak jego obra-

zek pierwszy i drugi chowałam i przypatrywałam mu się, jakem go tu zaraz poznała, tylko mi się wydał piękniejszym nierównie od malowanego! Ja, proszę cię, Kätchen, ani słowa nie mogłam powiedzieć... nic, nic. Patrzyliśmy na siebie zdaleka, milczeli, aż do rana.

Hölzelinówna zagryzła usta.

— Królowo moja, uśnij, proszę — nalegała.

Elżbieta, uśmiechając się, zamknęła oczy. Cwierć godziny może trwało milczenie, zdawała się usypiać. Kätchen już na półkach oddalić się chciała, gdy przy-mrużone powieki nagle otwarły się szeroko, i jedna ręka królowej schwyciła piastunkę za suknię.

— Kätchen, powiedz mi! Czy on mnie kocha? Dlaczego by on nie miał kochać, kiedy ja tak w nim jestem rozmiłowana? Dlaczego on był tak strasznie zimny, tak okrutnie milczący, tak nielitościwie nieczuły?

— A! królowo moja! Zamiast usnąć, ty się dręczysz — schylając się nad nią, zawołała Hölzelinówna.

Elżbieta porwała się i usiadła.

— Gdyby mnie nie kochał, — rzekła — naówczas, co ja pocznę?

Uściskiem zamknęła jej usta Hölzelinówna i siadła przy łóżku.

— Gdyby cię nie kochał, byłby chyba ślepym i bezrozumnym! — zawołała. — Ale miłość, dziecko moje, nie przychodzi nigdy gwałtownie. Jeżeli on jest zimny, ty masz prawo przymilić się mu i poruszyć jego serce. Jeżeli jest on nieśmiały, ty bądź odważną.

Podumała chwilę piastunka, czy jej wszystko odrazu odkryć mogła.

— Nie zrozumiesz tego, — dodała cicho a poważnie — że matki bywają o synów zazdrosne. Zdaje mi się, że właśnie taką jest Bona, której się może zdaje, iż miłość syna dla ciebie coś serca jego dla niej odbierze.

— Bona? królowa matka? — szepnęła Elżbieta. — A! jak ja się jej lękam! jaka to straszna kobieta! Zdaleka, gdy spotkam jej oczy, zdaje mi się, że pożrełby mnie chciała. Ona mi słówka jednego nie powiedziała,

aby ośmielić i pociągnąć ku sobie. A ja ją będę musiała nazywać matką!

Zalamiała ręce Elżbieta.

— A tak! tak! Tyś doskonale odgadła wszystko; — poczęła żywo — temu winna ta królowa straszna, o której jeszcze w Pradze słyszeliśmy, że ona tu rządzi wszystkiem i królem samym. Zygmunt taki dobry dla mnie. Lecz czyż starej tej Włoszki niczem rozbroić, przebłagać nie można? Byłabym tak pokorną, tak posłuszną, byleby mi Augusta kochać i jemu mnie pozwolila?

Kätchen uśmiechnęła się.

— Przymilać się starej królowej — odezwiała się — byłoby napróżno. Zachowaj się poważnie i nie okazuj bojaźni. Masz za sobą powagę ojca, opiekę cesarza, których obu ona potrzebuje, nie waży się nic począć przeciwko tobie.

Nie trwóż się tylko i nie okazuj po sobie, gdybyś nawet miała cierpieć. Wszyscy tu oczy mają zwrócone na ciebie i wszystkie serca już pozyskałaś sobie. Stary Zygmunt lży ma na powiekach, gdy patrzy na ciebie, Tarnowska i jej siostra z uwielbieniem mówią o tobie, cały dwór unosi się nad twą pięknością i łagodnością. Bona nie dokaże przeciwko tobie nic i ludzie więcej tylko, niż dotąd, będą ją nienawidzili.

Młoda pani słuchała zamyślona.

— Bona, — rzekła pocichu — wiesz ty o tem, gdy wszyscy podarki przynosili, ona jedna nie dała mi nic, nic... Gdy przyszła kolej na nią, czekano... widziałam na twarzy starego króla zdziwienie i gniew, ale nie okazałam nawet, żem to zrozumiała.

— A! Boże mój, — dodała — czyż ja potrzebuje tych darów, tych bogactw, bylebym miała jego serce? Oddałabym Bonie, co mam, niech tylko kochać się nam nie przeszkadza.

Dzień już był biały. Na zamku ruch w początku słaby stawał się żywszym z każdą chwilą. Na podwórcach zamkowych, pomimo przejmującego chłodu, goto-

wano plac do turniejów, wysypując go piaskiem, bijąc koły, okrążając go łańcuchami i sznurami.

Do starego króla poczęli się zjeżdżać senatorowie, dla odprawienia co pilniejszem było, nimby się rozpoczęły zabawy, igrzyska i przyjmowanie gości cudzoziemskich.

Król Zygmunt, po stoczonym wczoraj boju z żoną, spocząwszy mało co, wstał znużony, spodziewając się przy pierwszej zręczności nowego wybuchu. Nie go tak nie dręczyło, jak te starcia krzykliwe, gwałtowne, które godności jego uwłaczały. Postanowił też unikać spotkania z Boną.

Zwykle dowiadywała się ona o zdrowie męża, gdy wstawał. Dnia tego nie spodziewał się jej Zygmunt, gdy drzwi się otworzyły, Bona weszła z twarzą pofałdowaną, zmęczoną, dumną, ale na oko spokojną. Za nią kroczył tuż Catignani, co zapobiegało kłótni. Król odechnął swobodnie.

— Daj mi siły, jeśli możesz, — rzekł do Włocha — widzisz, że ich potrzebuję. Człowiek zarówno, niestety, potrzebuje ich do zniesienia bóleści, jak do podolania szczęściu. Mnie już i zabawa ciąży.

Catignani wybuchnął narzekaniem na chłód majowy, naówczas, gdy we Florencji od skwaru już wytrzymać nie było można w mieście. Narzekał na kraj tak nieszczęśliwy, w którym przez ośm miesięcy najmniej marznąć było potrzeba.

Król odezwał się półgłosem:

— Signor Nicolo, błogosławić trzeba może ten chłód, jeżeli on nie dopuści szerzyć się morowemu powietrzu, o którym już słyhać, a upały je zwiększają.

Catignani zbladł i przeżegnał się.

— Bóg nas od niego uchowa! — szepnął.

Królowa stała milcząca, zagryzała usta, rzuciła kilka pytań i razem z doktorem wkrótce zabrała się do wyjścia.

Król odetchnął swobodniej; na resztę dnia mógł być spokojnym i zapewnionym, że burza nie nadejdzie. Jak poprzedzające, dzień ten cały upłynął na zabawach,

które w owych czasach zwykły były zawsze towarzy-
szyć każdej większej uroczystości.

W podwórcu zamkowym urządzono turnieje, cho-
ciaż przeraźliwy chłód, który zimę przypominał, przy-
strojonym rycerzom i giermkom, paniom, przypatrują-
cym się z galerji, dokuczał bardzo.

Królowa Bona pokazywała się mało; chciano wy-
czytać z jej twarzy, co czuła i zamierzała, lecz po gwał-
townym wybuchu trzymała się na wodzy. Gamrat i in-
ni zaklinali ją, aby przy obcych nie objawiała tak jaw-
nie niechęci dla synowej, o której natychmiast donieść
miano do Wiednia i Pragi. Zdaje się usłuchała tej rady.

Nie była wprawdzie uprzejmą dla Elżbiety, ale
w ciągu turniejów i następującej po nich uczty, rozda-
wania nagród i tańców nie okazała po sobie, co miała
w duszy i obracała się do otaczających, rozpoczynając
rozmowę.

Stary król przyglądał się żonie i dosyć rad był zmia-
nie. Pochlebiał sobie, że na tem wojna się skończyć
miała, a synowa swą dobrocią przeblaga Włoszkę.

Wieczorem Bona, nie mieszając się do niczego na-
pozór, potrafiła tak ułożyć wszystko, iż August nie zaj-
rzał nawet do małżonki, powiedziawszy jej sucho i zim-
no przy odprowadzaniu do sypialni, że powinna spo-
cząć i snem się pokrzepić.

Sam on, z pewną ostentacją od żony powrócił do
matki i u niej pozostał tak długo, do tak późnej godzi-
ny, iż nie widziano, gdy wyszedł.

Malo kto wiedział o tem, że przez pokoje królowej
matki było przejście niepostrzeżone aż do mieszkania
Dżemmy, do której August mógł się prześliznąć pod
opieką Bony, nie zwracając na to oczów. Pomiedzy ko-
bietami tajemnica ta ukryć się nie mogła.

Dżemma z wesołą, zwycięską twarzą, z ustami
uśmiechniętymi przesuwiała się znowu pomiędzy towa-
rzyszkami, które jej okazywały uszanowanie.

Król Zygmunt, przed którym utaić nie było można,
że młody król zaniedbał swą żonę, zmarszczył się, po-

dumał, nazajutrz czulszym się jeszcze okazał dla synowej, ale ani Bonie, ani Augustowi nie powiedział nic. Tylko w miarę, jak Elżbiecie starano się zatruć pierwsze chwile pożycia z mężem, on coraz o nią był troskliwszym.

W parę dni potem stosunki trwały jeszcze niezmiennie.

— A Elżbieta? Skąd ta słaba istota, której siły powinny były się wyczerpać po takiej próbie strasznej, brała je na dalszą walkę, jak mogła z wesołem prawie obliczem występować publicznie, uśmiechać się, tańcować, udawać, że nie słyszy i nie widzi, co by ją obrażać mogło? Jak to dziecię potrafiło, na chwilę nie okazując słabości, wahania się, podolać ciężkim obowiązkom tych uroczystości, — to wytłumaczyć trudno.

Być może, iż sama duma i uczucie ucisku dawało jej tę moc duszy, być może, iż rozumna Hölzelinówna dawała jej wskazówki, naostatek, że miłość dla Augusta natchnęła ją do wytrwania z twarzą pogodną.

Bona, która w początkach była pewną, iż tę biedną istotę osamotnioną tu, osieroconą, bez porady, łatwo znęka i zwycięży, nie mogła się wydziwić — burzyła się mocniej jeszcze na widok uśmiechów i pogodnych wejrzeń swej ofiary. Przechodziło to jej pojęcie.

Zygmunt August też może spodziewał się innego skutku swej oziębłości dla żony. Elżbieta wcale mu nie okazywała gniewu, witała go z rana z uśmiechem i grzecznem słowem, wesoło bez urazy żegnała go wieczorem. W ciągu dnia nie dostrzegał najlżejszej chmurki na jej twarzy.

Dwór podzielony na dwa obozy, ciekawy, mniej więcej wtajemniczony w rozpoczętą walkę, patrzył na to widowisko z najżywszem, można powiedzieć z gorączkowem, zajęciem.

Co było szlachetniejszego, stało naturalnie po stronie ofiary, obudzającej współczucie, politowanie, a umiejacej z taką godnością znosić cierpliwie przesładowanie niegodne.

Z zamku wieści o tem, co się na nim działo, prze-

chodziły na miasto, w którem tak dobrze, jak na Wawelu, miał swoich Zygmunt, miała i Bona.

Oprócz tego tłum dalej od pola walki stał neutralny, sądzący bez uprzedzenia. Tu wogóle wszyscy brali w obronę króla, Elżbietę, a sarkali głośno na Bonę, na Włochów i na Gamrata.

Wyraz ten publicznego sądu, dochodząc do Bony, raził ją. Obóz więc królowej nie mógł pokryć tego, że mu się nie po myśli działo.

Arcybiskup Gamrat przypisywał niepowodzenie temu, iż królowa stara zbyt jawnie okazała swą niechęć i wypowiedziała wojnę, gdy do niej nie miała słuszných przyczyn, żadnej wymówki.

Pomiędzy królową a jej doradcą powstały spory — w obozie Bony wszyscy czynili sobie i drugim wyrzuty.

Włoszka w końcu, wylajawszy Opalińskiego, spojrzawszy groźnie na Gamrata, krótko, nie tłumacząc się, zapowiedziała, że to wszystko naprawi sama, że niczyjego rozumu nie potrzebuje. Oczekiwano więc ciekawie tej naprawy.

Z królem nie wznowiły się kłótnie. Parę razy tylko Bona z przekąsem wyraziła się o posagu synowej, którego ani grosza nie splecono, a trzecią część jego dopiero obiecywano na przyszłe Boże Narodzenie.

Zygmunt w parę dni potem zdziwił się mocno, gdy Bona mu z rana zapowiedziała, że chce gości, synowę z synem i jego przyjąć u siebie wieczorem i gotuje im *collazione*.

Staremu się twarz rozjaśniła, a że chciwym był spokoju, upatrzył w tem oznakę jego i nawrócenia Bony. Przez cały dzień się tem radował, a ktokolwiek do niego przystąpił, pytał go, czy jest zaproszony przez królowę, lub oznajmował, że wieczorem młodzi królestwo będą u niej wraz z gośćmi.

W kołach Bony wiadomość ta sprawiła podziwienie. Zdania były podzielone. Gamrat wielce ten krok pochwalał, nazywając go dobrą polityką, inni naganiali, bo dawał napozór zwycięstwo nieprzyjaciółom.

Bona się wcale o te sądy nie troszczyła. Wydała

rozkazy na wieczorne przyjęcie, które nie różniło się od zwykłych podobnych, na jakie czasem zapraszała.

Dumna a skąpa, chcąc się okazać możną, a nierada do ofiar, Bona umiała połączyć u siebie pewien rodzaj przepychu z oszczędnością. Tak samo gotowano ową *collazione* na sposób włoski, przy której miały wystąpić srebra, naczynia, tuwalnie, szkła i przybory bardzo piękne, ale jadła i napoje bywały zawsze i teraz być miały oszczędnie, skąpo i nieobficie roznoszone.

Króla starego w krześle przeniesiono na pokoje żony, gdzie znajdowało się i młode małżeństwo. Wszyscy się nie mogli odchwalić postawy godnej, spokojnej, szlachetnej Elżbiety, która nie okazywała po sobie ani zbytńego upokorzenia, ani przesadzonej dumy, ani nadewszystko, że czuła się dotkniętą czemkolwiek bądź. Była tak spokojną i naiwną, jakby się tu znajdowała najszcześliwszą.

Zygmunt August, który z ciekawością śledził każdy ruch i wyraz żony, musiał też być zdumiony, choć nie dawał po sobie tego poznać. Pewien rodzaj niepokoju chwilami dawał się postrzegać na jego twarzy.

Bona dotąd tak prawie, jak nie mówiła i nie zbliżała się do synowej. W gościnie u siebie przyjęła ją tak samo zimno, a na pokorny ukłon odpowiedziała zaledwie skinieniem.

Jakież było mile zdumienie króla Zygmunta, gdy przed pójściem do stołu, choć może w sposób niezbyt czuły i grzeczny, Bona zbliżyła się do Elżbiety, niosąc w ręku alsbant (naszyjnik) z przepysznych kamieni, z klejnotem zawieszonym przy nim, i kilka niezrozumiałych słów rzuciwszy jej do ucha, włożyła go na szyję Elżbiecie.

Stary król czule spojrzał na żonę; — Bona triumfowała.

Wprawdzie spóźniła się z podarkiem, ale ten nie tylko wyrównywał innym, lecz może stosunkową wartością i pięknnością je przechodził. Posłowie cesarscy i króla nie mogli zarzucić Bonie okazania niechęci.

Dopelniwszy tego, Bona była zmuszoną udawać we-

solą — mówiła wiele, okazywała się uprzejmą dla gości. Sama niektórym przynosiła kubki słodkiego wina.

Hetmanowa Tarnowska, która należała do liczby zaproszonych gości, dostała też jakiś napój z rąk Bony, i szepnęła siostrze w ucho:

— Miałaby Włoszka wszystkich nas tu struć przez zemstę?

Półzartem to powiedziała, ale nie jej jednej przyszła na myśl trucizna, tak naówczas już sądzono Bonę.

Przy wieczerzy, która składała się z owoców, z słodczy, ciastek i win, wystąpił Monti ze śpiewem, dwóch cytarzystów z muzyką — ale niewielką to obudziło weselość.

Zmagano się na nią, nie mogąc przyjąć do istotnego rozweselenia. Oczy wszystkich zwracała umyślnie poza młodą królową postawioną przez Bonę strojna, przepysznie jaśniejąca pięknnością nadzwyczajną Dżemma.

Nie było tajemnicą, że król młody się w niej kochał. Mimowolnie porównywano tę Juno wspaniałą ze śliczną, ale słabiutką, delikatną królową, której lice blade zdradzało jakieś wewnętrzne cierpienie. Stary król jeden może ani jej nie spostrzegł, ani wiedział, dlaczego ją tu postawiono.

Dżemma była strojna, tak że wśród fraucymeru, dosyć jednostajnie ubranego, nawet suknią i klejnotami ściągała na siebie oczy.

Na szyi jej błyszczący alsbant, jakby naumyślnie włożony, miał takie podobieństwo do tego, który Bona dała Elżbiecie, iż w ich zbliżeniu myśli jakiejś dorozumieć się było można.

Zygmunt August spostrzegł to najpierw może, drgnął, zarumienił się i oczy spuścił, jakby go to nie-mile dotknęło.

Elżbieta, nie widząc stojącej za sobą, nie domyślała się niczego.

Gdy nadeszła godzina, w której się goście rozejść mieli, oznaczona tem, iż stary król kazał się odnieść do swej sypialni, goście królowej byli pozornie wszyscy rozgrzani, rozochoceni, uśmiechający, ale każdy z nich

wyniósł jakieś przykre uczucie z tego wieczoru, który się wydał długim, a zostawił po sobie uczucie niepokoju.

Jak innych dni poprzedzających, August powrócił do matki i pozostał tu dopótna. Nikt nie wiedział, co się z nim stało.

W sypialni królowa młoda siedziała sama ze swą powiernicą i piastunką, Kätchen Hölzelin, i obie po-cichu szeptały.

Lampka paliła się przez noc całą, można było się każdej chwili spodziewać młodego króla, lecz jak dni poprzedzających, tak tego, August nie pokazał się u żony.

Zrozpaczona ochmistrzyni potrzebowała całej mo-cy wypróbowanego charakteru, aby sama nie upadła i powierzzonej sobie młodej pani nie dała rozplnąć się we łzach.

Bezsenne noce upływały na naukach, na pociesza-niu, na rozmowach.

Hölzelinówna, przewidując i obawiając się najgor-szych następstw tej walki niegodziwej, nie mogła już nic taić przed Elżbietą, musiała ją uzbroić tak, aby na wypadek wszelki sama sobie poradzić mogła. Nie czas było się łudzić, uwodzić i pocieszać kłamstwami.

Mając do czynienia z dzieckiem prawie, nieprzygo-towanym do pojęcia wszystkich życia obrzydliwości i niegodziwości, Hölzelinówna była w najtrudniejszym w świecie położeniu. Potrzeba było nagle przed istotą nieświadomą, niewinną odstłonić niewidziane dotąd przepaście, natchnąć ją męstwem.

Samo wychowanie bogobojne, ciche, domowe czyni-ło przeszłość tak z teraźniejszością niezgodną, jakgdy-by nowy świat odkrywał się oczom królowej. W dzie-ciństwie jej wszystko wydawało się miłością, szlachet-nością, wszystko czystem i jasnem; tu na dworze mę-ża, w matce jego trzeba było ukazać potwora, w ojcu bezsilną ofiarę, w mężu słabą istotę, poddającą się despotyzmowi, czy czarom matki.

W końcu maja, gdy się to wszystko działo, goście

obcy powoli się rozjeżdżać zaczęli, zamek powracał do trybu życia zwykłego, ale królowa młoda, jak była, tak pozostała — samą.

Nic się nie zmieniało, stosunki tylko naprężały, a każdy czuł, iż pozostać nie mogą takimi, jak się ułożyły ostatecznie.

Niepodobieństwem było, aby August ożeniony nie żył z żoną, aby jawnie powrócił do kochanki, aby królowa odosobniona, otoczona coraz nieprzyjaźniejszymi i obcemi sługami, skazaną była na rodzaj niewoli. Jadała nawet zwykle sama z Hölzelinówną, która, przez poszanowanie usiąść nie śmiejąc, posługiwała swej pani. Młody król pokazywał się u niej bardzo rzadko. Z królową Boną spotykały się też nie codziennie i na krótko, a staremu królowi nawet umiano przeszkadzać i przystęp do synowej utrudniać.

Cudowną się okazywała Elżbieta wśród tego powolnego męczeństwa, chodząc z pogodną twarzą, spokojna, jakgdyby nigdy, na chwilę, nie zwątpiła o swej przyszłości. Malżonkowi nie okazywała żalu najmniejszego, uśmiechała mu się, witała go przyjaźnie.

Hölzelinówna obawiała się wielce, aby wzruszenia, jakich doznawała Elżbieta, nie wywoływały powtórzenia tych napadów choroby, którą starano się ukrywać przed wszystkimi. Dziwną sprawą natury zmuszona do walki Elżbieta zdobywała się na taką siłę, iż nawet chorobie, której podlegała zwykle, opierać się mogła.

O tych napadach omdleń długich Bona była zawiadomioną, rachowała na nie, aby one syna zraziły do żony; tymczasem nawet najsilniej podrażniona Elżbieta znosiła wszystko.

Tajemnicą siły tej była miłość dla męża!

Pocziwa Kätchen, choć sama może nie wierzyła w to, wmawiała swej wychowance, iż cierpliwością, spokojną zmoże nieprzyjaciół, a męża ku sobie nawróci i pozyszcze. Powtarzała jej to codziennie:

— Nie zrażaj się, on ma serce dobre, wszyscy mu to przyznają; matka go psuje, ale prędzej czy później

uczuje błąd, pokocha cię i będzie się go starał naprawić.

Elżbieta tę słodką nadzieję przyjęła — było to jedyną jej pociechę.

— Ale wtem nadeszła Włoszka — dodała — i roz-wiesz? On dziś trzy razy spojrzał na mnie ukradkiem, gdy Bona tego widzieć nie mogła. Uśmiechnął się nieznacznie. Gdyśmy stali razem w loggii, upadł mi wachlarz... zamiast go kazać podnieść paziowi, schylił się, wziął i sam mi go oddał. Stara rzuciła na nas okiem bazyliuszka, a ja wachlarz ten pocałowałam. Nie tak mnie teraz unika. Parę razy pocichu zamieniliśmy słów kilka. A! Kätchen! jaki on ma głos miły, jak słodko w jego ustach brzmi mowa nasza. On i stary król wcale dobrze mówią po niemiecku, ale Bona języka tego nie rozumie i boi się go, więc przy niej odzywać się boję. Gotowa posądzić, że coś się przeciwko niej knuje, tak, jak ona ciągle coś przeciw mnie knuje i wymyśla.

A w kilka dni potem, rzucając się na szyję piastunce, zwiastowała jej Elżbieta, że August, gdy byli sami, pytał się o jej rodzeństwo, że mogła mu odpowiedzieć o matce, o siostrach, o swem życiu, o tem, co jej było upodobanem.

— Ale wtem nadeszła Włoszka — dodała i — rozmowa przerwać się musiała.

Na dwór swój, z wyjątkiem Opalińskiego, młoda pani skarżyć się nie mogła. Jeden on, sługa gorliwy Bony, pilno przestrzegał, aby była jak najbardziej odosobnioną.

Hözelinówna spostrzegła, że i jej listy i te, które Elżbieta do rodziców pisywała, wszystkie przechodziły przez ręce Opalińskiego, a zatem pewnie przesuwwały się przed oczyma Bony i mogły albo ginąć, lub zdradzać.

Potrzeba więc było znaleźć jakąś drogę, którąby zwierzenia się poufne, opis wierny tego, co się tu działo, mogły dojść do rodziców i cesarza. Hözelinówna we dworze nie wierzyła nikomu, ale pod pozorem kupna dla siebie wykradła się na miasto, starając znaleźć ko-

gość z kupców, któryby w Wiedniu i Pradze miał stosunki.

Nie potrzebowała szukać długo — domyślny bardzo, a oddany całej młodej pani Seweryn Boner sam się jej nastreczył. Wiedziała, że jemu zaufać mogła, bo stał wiernie przy starym królu.

Do niego się więc udała. Podskarbi przyrzekł przysłać listy i zareczył za ich całość, ale trzeba było jeszcze pośrednika niepodęjrzanego, któryby przenoszenie potajemnie ułatwiał.

Boner wahał się długo; nie znalazł nikogo lepszego nad Dudycza, który miał w tem własny interes, aby pomóc młodej królowej. Dudycz niepozorny, nieposądzany, powszechnie za prostaczka uważany, nadawał się do tego doskonale.

Na wezwanie Bonera odpowiedział gotowością do usługi.

— Jeżeli ty młodej pani wiernie pomożesz, — rzekł Boner — możesz się tego spodziewać, że my ci pomożemy do twojej Włoszki, która nam już siedzi kością w gardle.

Petrek uśmiechnął się i pokłonił. Położył rękę na piersiach.

— W. miłość możesz na mnie polegać, — rzekł — nikogo nigdy nie zdradziłem. Dobrowolnie się podejmuję, wiem, co czynię. Ale miłościwy panie! miłościwy panie, za posługę tę pamiętajcie o mnie. Ja Włoszkę zaślubić muszę!

Boner śmiał się.

— Nieszczęśliwy człecze, — rzekł — ja ci pewnie nie przeszkodzę! Bierz ją! a wywieź jak najdalej, aby młody król za nią nie szalał!

Staneła tak ugoda i Dudycz został wskazany Hölzelinównie.

Drugi już miesiąc upływał od przybycia królowej Elżbiety do Krakowa. Czerwiec się miał ku końcowi. Ruch i życie, jakie tu panowały przez dni kilkanaście,

ustały, wracał zwykły tryb i porządek, cisza, pod której płaszczem wikłały się intrygi, toczyła walka, gorączkowo, ale ostrożnie prowadzona przez królowę Bonę.

Włoszka na chwilę w niej nie spoczywała, ale się jej zdawało, że potrafi omamić wszystkich, udając spokojną, napozór niemal beczynną.

Tymczasem widoczne skutki jej zabiegów wskazywały, że nie próżnowała. Jawnie stała ona na stronie, lecz młoda królowa, coraz bardziej odosobniona, opuszczona, ściśnięta, dozorowana, czasem tygodniami całami niewidująca męża, cierpliwie znosząca przesładowanie, obudzała we wszystkich politowanie. Skarga nigdy się z ust jej nie wyrwała, a łzy przychodziły w nocy, gdy była sama z Hölzelinówną i nikt ich ani posłyszeć, ani widzieć nie mógł.

Piastunka jej powtarzała:

— Wytrwaj tylko cierpliwie, a zwyciężysz! August powróci do ciebie. Znajdą się nareszcie tacy, co staremu królowi o intrydze doniosą i Włoszkę potrafi oddalić od dworu.

Z pomocą Dudycza pisała Hölzelinówna ciągle do ojca i matki, donosząc bez ogródki żadnej, co się tu działo, skarżąc na Bonę, wyświecając jej czynności.

Zygmunt Stary nie o wszystkim mógł być zawiadomiony. Chory i osłabiony, nie znosił wiadomości, które drażniły, musiano go oszczędzać. Maciejowski i inni przyjaciele znajdowali, że nawet interwencja gwałtowna starego króla przeciw knowaniom Bony niewieleby pomóc mogła, i oni więc wołeli nalegać na ojca i na cesarza, aby użył jedyne go środka, jaki obiecywał być skutecznym — zagrożenia Bonie pomstą na królowej Izabeli i na posiadłościach neapolitańskich.

Lecz wystąpienie stanowcze ze strony ojca musiało być na czemś oparte i trzeba było z umiarkowaniem poczynać, aby nie pogorszyć położenia Elżbiety. W Wiedniu i Pradze mówiono sobie, iż król jest stary i niedługowieczny, a z jego panowaniem wszystko się odmienić musi. Zwlekano więc.

Ośmielało to Bonę, chociaż nie zdobywała się dotąd

na środki gwałtowne. Szła powoli i zawsze w ten sposób, aby się mogła wycofać.

Zygmunt August korzystał z tego, aby z rozkochaną Włoszką, jak ona, niepomny jutra, spędzać dni na rozmowach i marzeniach. Oboje się upajali sobą. Dżemma nie zaglądała w przyszłość lub wystawiała ją sobie fałszywie w barwach najświetniejszych. August też unikał myślenia o następstwach.

Baczne oko, pomimo jego rozkochania się we Włoszce, która umiała miłość tę rozżarzać i utrzymywać, możeby dojrzało czasem politowanie nad Elżbietą, rodzące się jakieś zajęcie jej losem.

Najobojętniejszy człowiek nawet nie mógłby się był oprzeć współczuciu, jakie ta ofiara, znosząca tak cierpliwie swe męczeństwo, wzbudzała. Zygmunt August serce miał dobre, lecz był namiętny, a namiętność czyni samolubnym i zaślepia. Urzędowa miłość małżonki nie miała dla niego uroku tej zakazanej, kradzionej, a poetycznym wdziękiem jakimś przyodzianej. Nic tak nie wywołuje namiętności, jak przywiązanie, poświęcenie, miłość jednym słowem. Dżemma była szalenie rozkochaną. Powtarzała sto razy na dzień, że gdy ją August opuści, życie sobie odbierze.

Chociaż król młody nie okazywał najmniejszego uczucia dla małżonki tak, aby ono mogło obudzić zazdrość Włoszki, Dżemma była szalenie zazdrosną o każdą godzinę jego życia, spędzoną bez niej, podejrzewała, obrzucała wymówkami, płakała. Sceny te przykre kończyły się zawsze roznamiętnieniem z obu stron większem jeszcze.

Bona, Opaliński, wszystkie kobiety dworu starej pani stosunkom tym króla z Dżemłą starały się pośilkować, zabezpieczać je i ukrywać.

Z młodą królową nawet ci, co z nią sympatyzowali, nie byli w bliższych stosunkach, obawiali się dopomagać jej jawnie, bo na wszystko Bona miała baczne oko.

Dudycz jeden bardzo gorliwie służył Hölzelinównie, ale nikt go nie podejrzewał tak dalece, że się wyśmiewać poczęto, posądzając go o matrymonjalne zamiary,

choć Kätchen, niepiękna, miała lat przeszło czterdzieści. Nosił listy, chodził z wiadomościami i skargami do Bonera, z radami od niego powracał.

Jednego dnia czerwcowego właśnie z pismem ukrytem za suknią kroczył najdziwaczniej ubrany pseudo Włoch ku kamienicy Bonera, zboczywszy w Rynek dla jakiegoś sprawunku, gdy z kamienicy Montelupich, około której przechodził, usłyszał sykanie. Obejrzał się, bo nie było blisko nikogo i domyślał się, że się ono do niego stosować mogło. W oknie domu stał ów niemal już zapomniany kupiec wenecki, którego poznał czasu wesela, dając mu znaki.

Dudycz, przypomniawszy go sobie, zbliżył się. Włoch miał twarz nadto wyrazistą, aby ją zapomnieć, lub omylić się można.

Pospieszył do kamienicy i znajomego mieszkania, w którym odwiedzał był Wenetę. Stał on tu w progu, grzecznie i uprzejmie witając dawnego znajomego.

Petrek znalazł go jakoś innym. Coś w nim było zmienionego, nie tylko w postawie i twarzy, która miała wyraz poważniejszy i pewniejszy siebie, ale strój też, łańcuch na szyi, paradne ubranie czarne, mieczyk u boku — podobniejszym go czyniły do dworaka jakiegoś, do urzędnika, niż do prostego, choćby majątnego kupca.

Ta mała metamorfoza niezbyt jednak zdziwiła Dudycza — strój ten mogły wywołać okoliczności.

— Szczęściem to nazwać mogę, — odezwał się kupiec, biorąc za rękę Petrka i do krzesła go prowadząc — że mi się spotkać z wami nadarzyło. Potrzebowałem widzieć się z wami.

— Jestem na usługi wasze — odparł Dudycz.

— Tymczasem — mówił dalej Włoch — nic więcej od was nie potrzebuję nad to, ażebyście zapomnieli o tem, żeście mnie widzieli w Krakowie.

Dudycz się zdumiał nieco.

— Tak, — dodał kupiec — potrzeba, żebyście mnie nie znali, ani ja was. Tym razem przybywam tu do Krakowa nie jako kupiec, ale jako wysłany od cesarza

i ojca królowej Elżbiety, spodziewając się, że mi tu przy młodym królu zostać pozwolą.

Zamyślił się mocno Petrek.

— Życzę, aby wam się powiodło — odparł — ale nie wiem spełna, jak potrafcie ciężkiego dokonać dzieła.

— Starać się będę — rzekł Włoch z pewnością jakąś. — Królowa stara Włoszką jest, ja też Włochem, jedną bronią walczę z nią potrafię.

Dudycz milczał.

— Macie więc wiedzieć, — dodał kupiec — iż na teraz kupcem już wcale nie jestem, ale posłem króla ojca i zowie się, do usług waszych, Giovanni Marsupin.

To mówiąc, pokłonił się nisko.

— Przybyłem dzisiaj rano — mówił dalej po chwili — małom co miał czasu dotąd rozsluchać się i rozpatrzyć. Cóż się u was dzieje?

Dudycz zagadnięty znalazł się w trudnem położeniu; na zapytania pojedyncze byłby łatwo znalazł odpowiedź, do takiego ogólnego odmalowania położenia nie czuł się na siłach. Wymownym nie był, a myśli błakały mu się zwykle samopas po głowie.

Odparł poruszeniem ramion i miną skwaszoną:

— Młodą królowę Bona widocznie postanowiła zamęczyć — odezwał się Marsupin. — Co ona zrobiła z tego małżeństwa! Prawdaż to, że król August nie jada nawet z małżonką, nie widuje się z nią po dni kilka... nie odwiedza. Mówią mi, że jej zbywa niemal na wygodach do życia. Zrobiono z niej niewolnicę! Ale co oni sobie myślą, że król, pan mój i cesarz to zniosą, nie starając pomścić?

Milcząc, słuchał Petrek — miał jedno na myśli, że jego własna sprawa mogła w Marsupinie pozyskać waleznego sprzymierzeńca.

— Król młody ma kochankę — rzekł. — Widzieliście ją! przypomnijcie sobie... Wszystko polega na tem, aby ją od niego oddalić!

— Wiem — odezwał się, śmiejąc, signor Marsu-

pin — i to nawet, że wybyście się chętnie podjęli uwolnienia nas od niej.

Dudycz uśmiechnął się także.

— Ale kochanka, to... fraszka! — dodał Włoch.

— Jakto fraszka? — przerwał Petrek.

— Tak jest, — mówił Marsupin — weźmiemy mu tę, Bona potrafi dostarczyć drugą. Piękna dziewczyna jest narzędziem. Musimy złamać Bonę i nie dać jej znęcać się nad Elżbietą groźbą odwetu na ukochanej jej Izabeli.

— Ale Włoszka, — zawołał niespokojny o siebie Dudycz — wy ją lekceważycie, widzę.

— Bynajmniej! — rzekł Marsupin — piękna jest, rozkochana lub dobrze udaje rozmiłowaną, wszystko to prawda, ale poza nią stoi Bona. Na nią uderzyć potrzeba.

Po chwili milczenia Dudycz, choć nie krasomówca, jakając się, rozpoczął wywód:

— Pewna rzecz, że na Bonę trzeba tak czy owak działać, ale, miły panie, choć wierzę w to, że będziecie mieć poparcie, choć sędzę, że wam nie zbędzie na zręczności, powiem jedno tylko. Król Zygmunt od lat wielu, dwudziestu kilku bodaj ożeniony, a jeszcześmy nie widzieli ani jednego przykładu, aby z Boną on czy ktokolwiek inny walcząc, wyszedł zwycięsko.

Marsupin słuchał zmarszczony.

— Tak mi źle wróżycie? — szepnął; — no, ale ja męstwa nie tracę.

— A ja wam życzę powodzenia — dodał Dudycz — ale, wiecie, co powiem. Ja przysięgnę, że gdy my tu rozmawiamy z sobą, a o was w mieście i na dworze nikt nie wie, ona już o przybyciu, o listach, o wszystkim jest zawiadomiona. Na dworze cesarza ma swoich, ma ich w Pradze, ma wszędzie... sypie, gdy potrzeba, pieniędzmi, a ma ich więcej, niż król i skarb koronny. Za te pieniądze kupuje, kogo chce.

Marsupin położył mu rękę na ramieniu.

— Nie sędzę, ażeby na dworze polskiego króla wszyscy byli sprzedajni — rzekł; — ani biskup Samuel,

ani hetman, ani wielu innych kupić się nie dadzą, jak Kmita, Gamrat i Opaliński. Bona dokuczyła już wam, jest znienawidzoną, panowanie jej się kończy.

— Daj Boże! — westchnął Dudycz.

Wstał, nie mając już co dodać, a chcąc pośpieszyć do Bonera.

— Tak więc — żegnając go, dorzucił Marsupin, który do drzwi odprowadzał — pamiętajcie, że się nie znamy, a razem, że macie we mnie chętnego pomocnika w tem wszystkiem, co interesowi młodej królowej służyć może.

— Mam o was powiedzieć panu Bonerowi? — zapytał Dudycz.

— Wie on już o mnie — odparł Marsupin — a jutro z listami idę... do młodego króla naprzód.

Petrek, któremu zjawienie się tego posła zdawało się dobrą dla niego wróżbą, wesoło pośpieszył do podskarbiego; tu krótko zabawiwszy, ponieważ odebrał nowe zlecenie do Hölzelinówny, powrócił zaraz na zamek, wypatrzył chwilę dogodną i spełniając, co mu Boner rozkazał, oznajmił razem o przybyciu Marsupina.

Niemka wprawdzie tego lub innego posła spodziewała się, lecz wiadomość o przybyciu uradowała ją wielce. Pobiegła z nią do młodej królowej jako ze zwiastunką pomyślniejszego obrotu rzeczy.

Marsupin znanym był jej z wziętości, jaką miał na dworze króla ojca, który się nim oddawna posługiwał w sprawach, wymagających największej przebiegłości i wytrwania.

Przebrany pod rozmaitemi postaciami, nieraz Włoch wędrował do Węgier, do Turcji, do Włoch, po rozmaitych dworach, to jako kupiec, to jako uczony, to jak ciekawy cudzoziemiec.

Gdy potrzeba było coś odkopać, wysledzić, wyspiegować, Marsupin nie miał sobie równego. Nadzwyczaj zręcznie robił znajomości, wciskał się, podsłuchiwał, zyskiwał ludzi, i nie było przykładu, aby go pochwycono.

Najczęściej dawano mu misje takie, które wcale na-

jaw nie wychodziły; terazniejsza tem się od poprzedzających różniła, że Marsupin musiał oko w oko stawić się przed starą królową, przeciw której miał walczyć, zarazem starając się wywiedzieć o wszystkim, co się młodej królowej tyczyło.

Zuchwałem było nieco ze strony ojca królowej Elżbiety polecenie Marsupina na sekretarza i tłumacza Augustowi, gdy łatwo było Bonie przewidzieć w nim nieprzyjaciela. Czy w istocie rachowano na to, że się go tu umieścić uda, niewiadomo? Marsupin może sam niebardzo w to wierzył, ale bądź co bądź zaklinał się, że go stąd niełatwo wypędzić potrafią.

Wiadomem było, że Zygmunt August kochał się w ludziach wykształconych, znających świat, mogących utrzymać rozmowę o tem, co w danej chwili zajmowało umysły. Marsupin właśnie miał wszystkie przymioty takiego dworaka, umiejącego pana zabawić, zająć, rozerwać i dopomóc mu do obeznania się z tem, co świat na zachodzie zaprzętało.

Znał signor Giovanni wszystkie dwory, wielu panujących, wielu uczonych, czytał nowości, mówił doskonale kilku językami, a oprócz tego był niezrównanie giętki, zręczny i w potrzebie wymowny. Ani na energii, ani na chytrłości mu nie zbywało. Naostatek przywiązanie jego do rodziny króla było wypróbowane.

Na dworze polskim wcale Marsupina nie znano, bo się tu nigdy nie pokazywał, ale Włosi, otaczający Bonę, wiedzieli o nim.

Gdy nazajutrz ubrany paradnie signor Giovanni oznajmił się Opalińskiemu, jako przybywający z listami do młodego króla Marsupin, ostrożny marszałek przyjął go nader grzecznie, lecz do pana przypuścić jakoś nie chciał i zażądał listów na swe ręce.

Marsupin z wielką uniżonością oświadczył, iż miał polecenie tylko do rąk własnych Augusta je oddać. Prosił o posłuchanie.

Marszałek, który podejrzewał coś niemiłego dla Bony, pobiegł do niej.

Królowa już była nietylko zawiadomioną o przybyciu Włocha, ale wiedziała, kto on był.

— O! szpiega tu na mnie wysłali — zawołała. — Ta niegodziwa Niemka, Hölzelin, nie wiem, jakimi sposobami wysyła listy i doniesienia, opisała mnie w nich. Pomocnik dla niej przybywa. Moi ludzie go znają, najniebezpieczniejsza żmija. Okupić go nie można. Syna ja uprzedzę, posłuchanie odłóżcie do jutra, a bądź co bądź trzeba mu życie uczynić tak gorzkim, aby się niegodziwiec wyniósł co prędzej, Ja go tu cierpieć nie będę. Za nic, za nic!

Nazajutrz więc dopiero Marsupin mógł oddać listy królowi Augustowi, który go przyjął, ostrzeżonym będąc, grzecznie, ale zimno.

Włoch rachował, że w dłuższej rozmowie przypodobać się, ująć sobie potrafi króla, lecz Opaliński czuwał nad tem i nie dopuścił mu się rozgadywać, przypominając pilne zajęcia.

Przeciw wszystkim tym zawadom Marsupin musiał odegrywać obojętną pewność siebie, jakby się nie poznawał na tem, iż go się pozbywano.

Oznajmił Augustowi, iż miał listy do młodej pani, dodając również, iż mu zlecono je oddać do rąk jej własnych i przekonać się o tem, jak n. pani wyglądała i czy zdrowie jej na zmianie życia nie ucierpiało.

Zygmunt August odpowiedział nieokreśloną jakąś obietnicą.

Opaliński odprawił Marsupina co żywiej, zapowiadając, że postara mu się widzenie z Elżbietą ułatwić, a o dniu i godzinie doniesie.

Przyjazd Marsupina Bonę nieco poruszył, bo w nim widziała skutek doniesień, których się obawiała. Widocznie Włocha wysłano, jako szpiega, aby się przekonał na miejscu o tem, co dochodziło do Wiednia i Pragi.

Tegoż dnia rozpoczęły się narady, biegali posłańce, wszyscy doradcy i pomocnicy królowej zostali zwołani; a ponieważ wiele na starym Zygmuncie zależało, Bona postanowiła jego naprzód przygotować tak, aby

Marsupinowi pozostać tu nie dał, za uwłaczający sobie poczytując ten nadzór nad młodą królową, który dowodził braku zaufania.

Chwila do działania na króla była dosyć dobrze wybraną. Zmęczony walką Zygmunt Stary znajdował się w tym stanie i usposobieniu, które, pragnąc spokoju, łatwo się pozorami jego ludzi dawały.

Maciejowski i inni u boku króla będący, choć wiedzieli, jak się obchodzono z młodą panią, ażeby nie martwić Zygmunta, nie wszystko przed nim mówili, ukrywali wiele.

Bona wstrzymała swe wybuchy i udawała obojętną. Stary więc spodziewał się, że zwoła wszystko się ułoży najlepiej, bez uciekania się do ostatecznych środków, bez kłótni i wrzawy. Gotów był nawet do małych ustępstw żonie, byle go nie zmuszała do gniewu. Elżbietę widywał ciągle uśmiechniętą, z wypogodzoną twarzą, nie skarżącą się na nic, i łudził się, pochlebiał sobie, że syn przywiązać się do niej musi.

Przez parę tygodni Bona dawała królowi tak spoczywać, nie drażniąc go niczem, przychodziła dowiadywać się o zdrowie, mówić o swoich osobistych interesach, nie napomykając wcale o synu i synowej. Zygmunt ulegał łagodnie.

Wieczorem dnia tego, gdy Marsupin miał posłuchanie u Augusta, postanowionem zostało, iż Bona króla o nim uprzedzić musi.

Trochę wcześniej, niż zwykle, ukazała się w sypialni, a z twarzy jej poznał małżonek, iż niosła coś z sobą, że nie przysła z próżnemi rękami. Po kilku słowach obojętnych zasiadła naprzeciw męża.

— Zapewne ci już doniesiono — odezwała się — o przybyciu tego osobliwego posłańca od ojca Elżbiety?

— Nie wiem o żadnym — rzekł król.

— Przysłano z Pragi Włocha — mówiła, coraz się ożywiając, królowa. — Ma listy do Augusta, do was i, jeśli się nie mylę, do wielu innych. Chcą go tu nam posadzić, jak dozorcę, jak szpiega. To rzecz dla ciebie

obelżywa! Więc wiary w nas nie mają? Są więc ludzie, którzy im donoszą, że Elżbiecie się dzieje krzywda? Włoch chce się w jakikolwiek sposób wcisnąć tu i pozostać. Polecają go za tłumacza i sekretarza Augustowi, ale ani on, ani my nie potrzebujemy nikogo, mamy dosyć sług swoich.

— Włoch? któż jest ten Włoch? — odezwał się król.

— Nie znają go tu, ale ma sławę człowieka przewrotnego, niebezpiecznego, zuchwałego.

Bona wstała z krzesła.

— Nie powinienes dopuścić, aby ci go narzucono — zawołała.

Zygmunt milczał obojętny.

— Zobaczymy, — rzekł — rozsluchamy się i rozpatrzmy.

— Włoch będzie pewnie jutro lub wkrótce dobijał się o posłuchanie — dodała Włoszka. — Jeżeli go przyjmiecie, bo ks. Samuel pewnie go przyprowadzi, nie róbcieź mu nadziei, żeby tu mógł pozostać.

Królowa z początku dosyć spokojna, w miarę jak mówiła, coraz bardziej unosić się zaczęła.

— Wiedziałam dobrze, — rzekła — że, biorąc tu wnuczkę waszą, kupimy sobie podległość i niewolę, że nam cesarz i król tchnąć nie dadzą bez swojego pozwolenia, dlatego się temu związkowi opierała. Oto masz skutki! Listy potajemne biegają ciągle, skargi, obwinienia i król-ojciec waży się nam na nasz dwór wysłać dozorcę, który nad nami rozciągnie straż.

Poruszyła ramionami.

— Godności króla to uwłacza! — dodała.

— Uspokój się — odparł król — pomówię o tem z moją radą, a ujmy sobie wyrządzić nie dam.

— Jeżeli przyjmiesz tego Marsupina — dołożyła Bona, — zaklinam, abyś na słodkie jego słowa wziąć się nie dał, ani pokorą nie pozwolił omamić. Szpieg jest... złoczyńca!

Podniosła do góry pięść ściśniętą.

Zygmunt, unikając burzy, postanowił nie odpowiadać.

dać, dał się Bonie wyburzyć, wygadać i odprawił ją, nic nie przyrzekłszy. Lecz był już przygotowany.

Król nazajutrz spytał o posła biskupa Maciejowskiego, przybywającego z rana, który, nie przywiązując umyślnie zbytnej wagi do zjawienia się go, odpowiedział królowi, iż w istocie Włocha przysłano, lecz ten szczególnie polecony był młodemu królowi, a królowej przywiózł listy, pozdrowienia i podarki od matki.

— Nie napierał się on dotąd o posłuchanie u miłości waszej, — dodał Maciejowski — lecz pewnie o nie prosić będzie. Królowa jejmość zbytnią do tego posła przywiązuje wagę i nadaje mu znaczenie.

Uspokoił się król stary, bo mu nadewszystko pożądanym był spokój.

Marsupin bardzo zręcznie w istocie, zamiast napraszać się do Zygmunta, naglił na Opalińskiego, aby młodej królowej został przedstawiony, bo miał do niej listy i posłanie.

Sługa najwierniejszy Bony, Opaliński, znalazł się w położeniu bardzo trudnem, bo nie chciał zdradzić jak dalece tu wszystko od Bony zależało i było w jej rękach, nie życzył sobie, aby Włoch jasno widział stosunki. Tymczasem bez wiedzy i pozwolenia starej królowej nie mógł dopuścić Marsupina. Musiał się więc uciekać do tysiącznych wybiegów — królowa młoda nieco była znużoną, drugiego dnia nabożeństwo i posłuchanie zająć miały ją i t. p.

Marsupin kłaniał się, czekał, ale dokuczał, bo przechodził po kilka razy na dzień i nużył marszałka upartem stanieniem, jakby nie rozumiał, że się go pozbywano.

Opaliński pobiegł do Bony.

— Za nic w świecie nie dam mu się z nią widzieć na osobności! — krzyknęła stara. — Trzeba go pilnować.

Po dość długiej i burzliwej naradzie postanowionem zostało, iż dwie królowe, stara z młodą, nazajutrz z rana spotkać się mają i... o cudo! przechadzać razem po wirydarzyku, który był przez Bonę około zamku założony na wzór włoskich ogrodów.

Zajmował on przestrzeń niewielką, ale w nim było pełno kwiatów i wonnych roślin; ścieżki i małe labirynty, kilka kamiennych naczyń dla ozdoby, nawet wodotrysk, urządzony przez jakiegoś Włocha dla królowej. Widok stąd dość piękny zwabiał tu niekiedy młodą królowę.

Niemilo jej było spotykać się z Boną, która słowa się do niej nie odzywała zwykle, wybierano więc godziny takie, gdy stara pani zajęta była. Tego dnia Opaliński podjął się tak przechadzkę urządzić, zachęcić do niej, aby dwie królowe spotkały się, nim Marsupin na zamku się zjawi.

Opaliński rzeczy ułożonej za wcześniej miał nadać pozór przypadku i zaprowadzić posła a okazać mu, iż dwie królowe w najlepszej w świecie zgodzie obcowały z sobą, prawie się nie rozdzielając. Jeżeli sądził, że Włocha tem oszuka — mylił się. Bonie tylko zdawać się mogło, iż tak niezręcznemi wybiegami uniewinnić się potrafi.

Ranek czerwcowy był prześliczny, chociaż po chłodach majowych gorąca nadeszły szybko i dnie już były skwarne. Na Wawel wiatr z dolin od rzeki przynosił powiew orzeźwiający.

Królowa Elżbieta wyszła zaledwie z Hölzelinówną swą do wirydarzyka, gdy w drugim końcu jego ukazała się Bona z dwoma karłami swymi. Młoda pani cofnąć się chciała, lecz Opaliński przytomny podszeptał, że byłoby to wziętem za złe.

Powolnym więc krokiem nieśmiała młoda pani poczęła się przechadzać, nie odważając zbliżyć do Bony, gdy ta sama do niej nadeszła. Pozdrowienie było milczące. Zamiast odezwać się do synowej, którą tylko wzrokiem trzymała przy sobie, Bona poczęła rozmawiać z Opalińskim.

Elżbieta z tym uśmiechem obowiązkowym, który z ust jej nie schodził, z gałązką lawendy w ręku stała milcząca. Niestrwożona dawała patrzeć na siebie i spoglądała spokojnie na Bonę, która tem żywszą wiodła

rozmowę z marszałkiem, iż się co chwila Marsupina spodziewała.

Opaliński zawczasu tak ułożył wszystko, iż Włoch, przybywszy, miał tu być przez dworzanina przyprowadzonym.

Spełniło się wszystko, jak było obrachowane. Zdala ukazał się Marsupin.

Bona doskonale udała, że o nim nie wiedziała dotąd wcale i okazała nawet radość z jego przybycia. Mogło to uwieść patrzących z boku, ale nie Marsupina, który wiedział, po jakim stapał gruncie.

Z niewymowną radością, której ukryć nie umiała, ujrzała go Elżbieta, przypomniawszy sobie zaraz. Przyносł jej żywe wspomnienie rodziców, lat szczęśliwszych, był dowodem, że tam o niej nie zapomniano.

Postawa przebiegłego Włocha, który bił czołem przed starą królową i z pokorą jej się do kolan kłaniał, Bonę więcej przestraszyła, niż uwiodła. Czuła w nim nieprzyjaciela.

Nie odstąpiła ani na chwilę od synowej i niebardzo się posłańcowi dała z nią rozmówić, sama natychmiast zwracając się ku temu, że w interesie córki, Izabeli, rada była Marsupinowi dać zlecenia.

— Spełnię je — odparł Włoch — chociażby listownie, gdyż na teraz, stosując się do rozkazów pana mojego, czas jakiś tu zatrzymać się będę musiał.

Bona zagryzła usta.

Marsupin odprawy zrozumieć nie chciał. Zwrócił się do Elżbiety, dając jej wiadomości o rodzeństwie, ojcu i wręczając listy, jakie miał do niej.

Królowa młoda przyjęła je z radością, lecz nie rozpieczętowując, za suknię włożyła.

Pytaniom nie było końca — lecz uparta przytomność Bony, zmuszała Elżbietę i Włocha do ograniczenia się ogólnikami; otwarcie się rozmówić nie było podobna, Marsupin tylko wejrzeniem, oczyma dawał do zrozumienia, iż więcej przynosi, niż w tej chwili oddać może.

Nie okazał ani niesmaku, ani zakłopotania — udawał wesołego, tak dobrze, jak Bona.

Po krótkiej rozmowie, gdy Marsupin przekonał się, iż sam na sam z Elżbietą tym razem pozostać nie będzie mógł, nie chcąc być natrętnym, żegnał obie królowe.

Nieco opodal stała, oczekując na swą panią, Hölzelinówna. Do tej starej znajomej zbliżyć się nikt nie mógł zabronić. Signor Giovanni bardzo zręcznie z tej sposobności skorzystał.

Doskonale komedjant umiał zdala wcale co innego okazywać postawą, a co innego mówić ustami. Powitanie Kätchen mogło się Bonie wydawać niewinnem, a Marsupin, pewien, że głosu jego nie dosłyszają, pośpieszył, kłaniając się, rzucić jej:

— Nie dano mi się nawet widzieć na osobności z królową. To najlepszy dowód, że na sumieniu się nie czują czysti. Na miły Bóg, musimy choć my, panno Katarzyno, spotkać się gdzieś, abym wiedział całą tę prawdę, której już kawałki pochwyciłem.

Hölzelinówna tak była przestraszona, iż nierychłom mu odpowiedziała:

— Obmyśl sam środki, ja nic nie potrafię, siedzimy otoczone strażami, jak w niewoli.

— Królowa się uśmiecha — dodał Marsupin, podwajając fałszywe ukłony — ale także jej z twarzy patrzy męczeństwo!

— Twarz nie kłamie! — westchnęła Hölzelinówna. — Na Boga — dodała — nie opuszczaj nas, zostań tu, jeżeli można, bądź świadkiem tego, co się dzieje. Małżeństwo wcale z sobą nie żyje. Król młody ma kochankę, czy kochanki. Ta nieszczęśliwa wzgardzona jest.

Marsupin obawiał się mówić więcej, pokłonił jeszcze i za murem zniknął, nim dwie królowe, które już się zbliżały, nadeszły, bo stara chciała przeszkodzić podejrzanej rozmowie.

Pierwsze te kroki Włocha wśród dworu, dotąd mu prawie obcego, były ostrożne i baczne — pochlebiał sobie może, iż bez jawnego występowania przeciwko starej królowej potrafi się obejść. Bona też w początku sądziła, że łatwo go stąd wygna. Obie rachuby za-
wiodły.

Marsupin, dowiadując się coraz lepiej o stanie rzeczy, o pożyciu małżeńskim, o zabiegach królowej matki, przekonał się, że wystąpienie otwarte będzie nieuniknionem.

Większa część faktów biła w oczy, wszyscy byli o nich uwiadomieni. Wojna stała się nieuniknioną.

Po posłuchaniu w ogrodzie signor Giovanni naprzód zameldował się z poszanowaniem do starego króla. Boner lub Maciejowski mieli go tu wprowadzić.

Ale podskarbi przed posłuchaniem wziął do siebie Włocha.

— Przed królem starym nie występuj z zażaleniami, — rzekł — nie wytaczaj sprawy. Na nic się to nie przyda. Zygmunt nasz zgryzie się, oburzy, a nie uczyni nic. Działać musisz w inny sposób. Nie taj się z tem, że król-ojciec za córkę pomści się na królowej Izabeli. Jednym tym postrachem możesz Bonę zmiękczyć i zmusić do zmiany postępowania. Wy i my zresztą, wszyscy będziemy pracowali nad tem, ażeby młodego króla wraz z żoną wyprowadzić na Mazowsze lub do Litwy. Zdala od Bony, od kochanki, jaką tu ma, pozna lepiej Elżbietę i przywiąże się do niej. Króla starego nie drażnij, a wojny nie wypowiadaj za wcześnie.

Następnego dnia król Zygmunt przyjmował Marsupina, ale było to posłuchanie czysto urzędowe, grzeczne, zimne, na którem nie mówiono o niczem. Dowiadywał się stary o zdrowie króla, o rodzinę, pytał o nowiny dworu cesarskiego, rozmawiał o rzeczach obojętnych.

Nie dotknięto nic drażliwego, a Włoch po sobie nie okazywał nawet, jaką miał troskę na sercu.

Gdy tegoż dnia wieczorem Bona rozgorączkowana wpadła do męża, domagając się bez ogródki wypędzenia Włocha, zowiąc go szpiegiem i zdrajcą — król

Zygmunt przyjął to niechętnie. kwaśno i rzucił jej w oczy, że się ludziom okłamywać dawała.

— Włoszysko jakieś pokorne, o złem nie myśli — rzekł — i co go masz zniechęcać, lepiej pozyskać się staraj dla Izabeli. Niech, powróciwszy, popiera jej sprawę u króla Ferdynanda.

Napróżno usiłowała Bona króla nawrócić na swe obawy, Zygmunt słuchać nie chciał.

Marsupin siedział uparcie i ani myślał się ruszać z Krakowa; wypędzić go nie było podobna, a pobyt ten do najwyższego stopnia gniewał i niecierpliwił królowę. Mówiła tylko o nim, tylko o środkach pozbycia się.

— On tu wszystkie kłamstwa i potwarze pozbiera i będą nam niemi wykalać oczy.

Szpiegi nasadzone chodziły krok w krok za Włochem; donoszono, że przesiadywał to u Bonerów, to u Decjuszów, to u biskupa Samuela, to u Andrzeja z Górki.

Kilka razy spróbował wcisnąć się przebojem do królowej Elżbiety — Opaliński mu drzwi zamknął. Znajdował zawsze mniej więcej słuszną wymówkę, dla której teraz się z królową widzieć nie było można.

Marsupin dopytywał, kiedy mu to będzie dozwolone. Marszałek ubolewał, że czasu nie mógł oznaczyć. Z jednej strony opór, z drugiej naleganie nie ustawały z równą wytrzymałością.

— Mam czas — mówił, kłaniając się, Marsupin — będę czekał, aż się z królową rozmówić mi będzie wolno. Nie wyjadę przecie inaczej.

Gdy się to działo, dnia jednego nadbiegł zatrważający goniec z listami od królowej Izabeli. Błagała ona matkę, aby, korzystając ze stosunków z królem Ferdynandem, starała się opiekę jego i pomoc uzyskać dla wdowy i sieroty.

Ze wszystkich dzieci swych Bona może najczulej kochała Izabelę, najgoręcej się losem jej zajmowała. Cała miłość macierzyńska, na jaką się zdobyć mogła, przelewać się zdawała na to jedno swe dziecko, bo syn

pieszczony był tylko, dopóki go sobie podbić chciała i spodziewała się.

Odebrawszy listy, Bona pół dnia łamała ręce, nie wiedząc, co czynić. Jedno z dwojga: potrzeba było albo zmienić postępowanie z Elżbietą, lub poświęcić Izabelę.

Ale oddać Zygmunta Augusta, którego słabość znała, żonie znaczyło abdykować zawczasu! Miłość dla dziecka przeważył interes własny.

Królowa musiała chwilowo choć spróbować dwie nieprzejednane sprawy pogodzić z sobą.

Do późnej nocy trwały narady z Gamratem.

Arcybiskup, nie ten już, co był niegdyś (mówiła o nim Bona), smutny ciągle, ostygły, nie biorący nic do serca, skarżący się na zdrowie coraz gorsze, potakiwał, nie radził. Był jednak za tem, aby starać się pozyskać Marsupina.

— Mówią, iż ma ucho i wiarę u króla swego; — dodał — choć człek mały, lekceważyć go nie można.

— Ale wiem, że się kupić nie da! — wykrzyknęła królowa — a gdy to niemożliwe, to zdradzi!

Właśnie, gdy się toczyły te narady, Włoch poszedł za wskazówką Bonera i królowę Bonę o posłuchanie prosił. Oświadczył mu marszałek, iż chętnie przyjęty zostanie.

Królowa pragnęła wystąpić dosyć wspaniale, kazała się przystroić służbie, karłom, fraucymerowi. Sama wdziała najpiękniejsze klejnoty, komnatę obrała najokazalej przyozdobioną. Synowi naostatek poleciła, aby był przy niej czasu posłuchania.

Występowała z całą dumą królewską, w majestacie.

Marsupin, odziany czarno, z łańcuchem od cesarza, na którym był wizerunek złoty Karola V, przyszedł z tą pokorą i uniżonością przesadzoną, niezmierną, która Bonę gniewała, bo niemal w niej widzieć było można sztyderstwo.

Nieprzyjaciele zmierzyli się oczyma. Bona nie dopuściła w rozmowie ani dotknąć nic drażliwego, żad-

nych żalów, żadnych wymagań. Natomiast rozpoczęła o córce i o królu, którego sobie dla niej zjednać chciała.

Włoch przyrzekał, ale razem usiłował przypomnieć królowę Elżbietę, — lecz Bona ani słuchać nie chciała. Powtarzała jedno.

Zdawało się to jakby postawionym warunkiem targu i Marsupin w początku tak to rozumiał. Chciał ze swej strony też położyć za warunek inne obejście się z młodą królową. Bona nie rozumiała.

— Możecie zapewnić króla, że my nad powierzona nam córką czuwamy, jak nad własnem dziecięciem. Zdrowie jej niedobre, aleśmy temu niewinni, taką do nas przybyła.

I jak najprędzej, natychmiast zagaiła o królowej Izabeli, prosząc Marsupina, aby sprawę jej popierał.

Włoch wkońcu, przyrzekając donieść, co mu poleceno, dodał, że nie był upoważnionym do mieszania się w sprawę, do których innych pośredników użyćby należało.

Całe to posłuchanie upłynęło na próżnej szermierce słów, bo ani Bona sobie mogła pochlebiać, że pozyska Marsupina, ani on, że ją rozbroi. Zamiast zbliżenia rozmowa pozostawiła po sobie gorzkie wspomnienia.

Gdy po wyjściu Włocha królowa się znalazła sama z arcybiskupem, zawołała gniewna:

— O! król Ferdynand umiał dobrze wybrać posła! zaprawdę, życzyłabym sobie mieć takiego sługę, ale pozbyć się go jako szpiega, jako najniebezpieczniejszego intryganta... konieczna! Nie będziemy mieli pokoju, dopóki on tu pozostanie. Precz z nim! precz z nim! Co za wejrzenie bazyliuszka! Co za uśmiech, jaka podła pokora i udanie, a szyderstwo drga mu na ustach.

Wieczorem u króla Bona ciągle mówiła tylko o Marsupinie, — nie schodził jej z ust, aż Zygmunt musiał kazać milczeć.

— Dajże mi pokój z tym Włochem, robisz z niego większego, niż jest. U stracha wielkie oczy.

Po wszystkich tych audjencjach skończyło się na tem, iż Opaliński zakazał Włocha puszczać na zamek.

Jeżeli Marsupinowi udało się oszukać strażę i wśli-
zgnąć się między dworzan królewskich, którzy mu tak
sprzyjali, że go nie tylko chętnie przyjmowali, ale go-
towi mu byli pomagać, czujna Bona natychmiast za-
pobiegała przez kogoś ze swoich, aby dalej nad przed-
pokoje się nie dostał.

Młodą królowę, choć najmocniej życzyła spotkać
się z nim, tak trzymano, otaczano, zamykano, a Wło-
cha odpędzano, że jej nawet zdaleka nie widywał, chy-
ba w kościele, gdy w łoży mszy świętej słuchała.

Wszystek jego stosunek ograniczał się do tego, że
przez Dudycza posyłał listy i przez niego je odbierał.
Był więc doskonale uwiadomionym, co się działo na
dworze młodych państwa: że August zupełnie żonę za-
niedbrywał i że ją Bona, jak niewolnicę, strzegła, służy
jej mieniając, liczbę ich zmniejszając, w wielu rzeczach
skąpiąc i odmawiając wygód nawet, do których była
przywykłą.

Czas jakiś wytrwawszy na tem stanowisku poleco-
nego Augustowi za tłumacza i sekretarza — Marsupin,
widząc, że najmniejszej przyjęcia nie miał nadziei —
zrzucił wkońcu maskę i głośno mówił, że był posłem
króla Ferdynanda, przeznaczonym do pozostawiania
przy osobie królowej Elżbiety.

Bona i o tem słyszeć nie chciała.

— Tłumaczów mamy dosyć, Elżbiety dwór pełen,
nikogo ona nie potrzebuje, na donosicielach nie zby-
wa, Marsupin musi iść precz!

Tego znowu Włoch zrozumieć nie chciał i nie mógł.
Starano się go pozbyć, on ani się myślał ruszać. Mie-
szkał u Montelupich. Napadano na nich, aby mu wy-
mówili gospodę, czego oni uczynić nie chcieli. Wiele
osób, z obawy prześladowania Bony, unikało go, ale
przystęp do tych, do których miał listy polecające, do
Bonera, Maciejowskiego, Decjusza, Górki hetmana, zo-
stał mu wolny. Tym nikt zabronić nie mógł go przy-
jmować — a Bony łask wcale się nie starali pozyskać.

Dudycz, który wiele miał do stracenia i obawiał
się, unikał z nim otwartych stosunków, ale po nocy

chodził do niego i pomagał mu. Tak samo Boner się nim gorliwie zajmował.

Wszystko to na niewiele się przydać mu mogło, gdy do nikogo już przystępu nie miał. Opaliński szczególnie trzymał go na oku i przez swoich śledził kroki, a do zamku nie dopuszczał.

Marsupin począł tedy coraz się jawniej dobijać, jako sługa i wysłaniec króla, tego, czego mu odmawiano. Odzywał się bez ogródki z tem, iż czeka na nowe listy, a choćby rok tu miał siedzieć nadaremnie, odpędzić się nie da.

Donoszono Bonie, iż ciągle to powtarzał, że na Węgrzech królowej Izabeli oddadzą to, co tu Elżbieta cierpiała. Nie tał się i z tem, że do cesarza pisał, nalegając, aby księstwa włoskie odebrał Bonie, a komu innemu je nadał.

Choć napozór niby gardziła Bona temi pogróżkami, jednakże obudzały one niepokój. Lecz ustąpić dla nich nie pozwalała duma.

Całą więc siecią intryg opasano Marsupina, próbując, czy nie ma słabostki jakiej, za którąby go pochwycić można. Na pieniądze, na wdzięki kobiet, na inne takie przynęty Włoch się okazał zupełnie obojętnym. Miłość własna i przywiązanie do rodziny panującej dawały mu siłę i wytrwanie.

Krzętał się nieustannie, mówił głośno i otwarcie, a że każde jego słowo szpiegowie na zamek odnosili, Bona wiedziała, iż szerzył pogłoski o jej prześladowaniu synowej i zniechęcał ku niej ludzi.

Nie pozostawało nic, tylko jakimkolwiek kosztem pozbyć się Marsupina! Bądź co bądź! Niełatwo jednak było to dokonać.

Włoch naigrawać się zdawał z pogróżek, coraz żarliwiej zabiegając i dając się czuć wszędzie. Na zamek już mu się nawet pokazywać nie godziło.

Nieustraszony we wszystkim, Włoch miał jedną słabą stronę: jak inni współcześni, wierzył on w czary i obawiał się ich. Był przekonanym, że władza Bony

nad starym małżonkiem, nad synem i nad wielu jej zaprzędanymi nie inne miała źródło, tylko — czary!

Wiedzano, że się często naradzała ze swym doktorem, astrologiem, Włochem, który ciągle smażył w tyglach, a królowa do niego nawet późno w nocy z mniszką Maryną chadzała. Czyniono ją więc czarownicą, która napojami, pierścieniami, podarkami ludzi w moc swą zaprzęgała.

Marsupin za żadne skarby świata nicby był od niej nie przyjął; ostrzegał innych, aby unikali zetknięcia się z niebezpieczną czarownicą.

Na mieście pospolity ludność był skłonny w to uwierzyć. Widziano króla, ulegającego jej z dziecinem posłuszeństwem, syna, którego na sznurku jako chciała prowadziła. — Gamrata posłusznego ślepo, Kmitę dotąd nawet dającego się jej powodować, Opałńskiego naostatek, który jak ostatni ze sług czynił, co kazała.

Chociaż cały czar Bony stanowiła silna jej wola i środki bardzo proste, jakimi sobie zyskiwała ludzi, było w istocie coś zdumiewającego w tej kobiecie cudzoziemce, samej jednej tu, słabej napozór, której wszystko ulegać musiało.

Marsupin lękał się o życie nawet, bo od czarów do trucizny krok był tylko, a włoskim obyczajem, wiedział, że i w ten sposób się pozbywano zawadzającego wroga. Trwoga ogarniała go jeszcze niemal większa o młodą królowę, dla której obawiał się także trucizny, jeśli nie w pokarmach i napojach, to bodaj w perfumowanych rękawiczkach, w tem, co naówczas noszono na sobie.

Uspokajało go to jedno, że Elżbieta dotąd, z powodu choroby starego króla, jadła sama, osobno, — a choć mąż, który powinien był jej towarzyszyć, rzadko się pokazywał, ale podczaszowie i krajczy, podając, próbowali pokarmy.

Zalecał Hölzelinównie, aby na stół miała baczne oko, a podarków żadnych od starej królowej przyjmować nie dopuszczała.

Sama zresztą pocziwa piastunka, widząc się otoczoną nieprzyjaciółmi, czuwała dzień i noc nad swem dzieckiem ukochanem, nie mogąc wyjść z podziwienia nad tą siłą ducha, z jaką męczennica znosiła wszystko, nieprzyjaciółom nawet nie dając się ucieszyć wyrazem bóleści, bo cudnie udawała wesołą i spokojną.

— Anioł jest! — wołała stara Kätchen — a nie wiem, czy kiedy kobieta zniosła to, co ona, z takim bohaterstwem. Klękać przed panią moją!

.

Wśród tej walki, którą Marsupin wiódł z zażartością swego włoskiego temperamentu, niespodziany zwrot nadać jej miały wypadki, napozór żadnego z nią związku nie mające.

W drewnianem starem domostwie na Okolu była od wieków już gospoda bednarska. Zamożnemu cechowi temu zdawnaby było przystało wybrać sobie inną pokaźniejszą, bo budynek był napół w ziemię zapadły, podpierany ztyłu, a dach na nim wysoki i ciężki pogarbił się i powypaczał, lecz stary obyczaj trzymał tu towarzystwo. Nie chciało ono przez jakąś obawę niemal przesadną, przez przywiązanie do pamiątek, opuszczać tych progów, które powyżłabiały nogi wielu pokoleń.

W ogromnej izbie na dole, niskiej i ciemnej, mieściły się: tak zwany stół, skarb towarzyski i trunek. Tu się zbierano na rady, na wybory, na przyjmowanie czeladzi, wyzwalanie jej. Tu wędrowni towarzysze stawili się, aby ich wedle obyczaju przyjęto.

A kto „obyczajnie“ (to jest wedle zwyczajów i form) żądał, temu się „stawiał obyczaj“.

Obok izby radnej, w komorze mieszkała wdowa po bednarzu, Raczkowa, która się zwała Matką i sprawiała obowiązki gospodyni.

Niemłoda już, przygarbiona sciatyką, chadzała o kiju, stukając nim i butami kutemi, ale się poruszała żywo, a odpowiedzi na języku nigdy jej nie zabra-

kło i co do niej należało, trzymała pod kluczem, strzegąc pilnie.

W pierwszej izbie miejsce główne zajmował stół wielki, u przedniej ściany między oknami, nad nim był zawieszony krzyż Chrystusów i wielki obraz patrona cechu, ale dla starości na desce mało co, prócz złoceń, rozpoznać było można.

Oprócz stołu, przy którym nie wszystkim zasiadać było wolno, w kącie ławy były osobne dla trybownych, daclów i chłopców. Stały przy ścianach i szafy proste, w których różny sprzęt i znamiona zachowywano, była i skrzynia zamczysta, kuta, na przywileje, księgi i pieniądze, a na półkach stało kilka pyłem okrytych misternych drobnych wyrobów — owych majsterskich sztuk, któremi cech mógł się pochlubić, choćby przed obcymi. A było warto na nie popatrzeć, bo beczuleczki i barylki, choć drewniane, tak były wypieszczone, jakby je kunsztmistrz robił z czystego złota i obręczyki się na nich splatały, jakby ze lnianych plecionek, nie z drewnianych gałązek.

W cechu bednarskim, jak podówczas w innych też rzemiosłach, wyrobił się już był obyczaj towarzyski, pewne formy, które tradycją uświęcone, musiał każdy znać, nauczyć się ich i przez nie przechodzić ¹⁾).

Tu się towarzysz nowy, zarówno jak wędrowny dowiadywał, kogo miał czcić i szanować: naprzód Pana Boga z wszystkimi świętymi, Najśw. Pannę z aniołami Bożemi, dalej pana ojca domu tego z panią matką, dziatkami i czeladką jego, także gości przychodzących i odchodzących. Tu się on uczył, że przychodzących witać należało pełnemi, a odchodzących słowy dobrymi, że w miejscach u stołu jeden drugiego podsiadać nie powinien (pod winą), ścian u pana ojca nie podpierać (pod winą) — bo pan ojciec miał cieślę dobrego, co mu ściany dobrze pobudował; stołów szklaniami nie fygować, krzyżów na podnóżkach nie zakładać (pod wi-

¹⁾ Wszystkie szczegóły wedle rękopismów źródeł cechowych.

na), bo pan ojciec miał stolarza dobrego, co mu stoły dobrze pofugował — szklaniec też tłuc nie było wolno, bez czapek za próg pierwszy wychodzić, w fartuszkach z orężem na stół siadać.

Uczono tu za stołem ani po łacinie, ani po węgiersku nie rozmawiać; obiecywano, że w cechu sprawiedliwość najlepsza, bo sprawa u wójta do tygodnia, u pana burmistrza do dwóch niedziel, a u towarzyszków do zachodu słońca. Przestrzegano, aby wracając do domu po wesołej wieczerzy, bram nie wysiekiwać (bo ręka w tem), przez mury ścieżek nie czynić (bo gardło w tem), po bruku szablą ani podkówkami nie krzesać (bo wina w tem), wieńców, które wiszą nad winem i piwem, nie obcinać (ręka w tem), beczkom, które stoją na mieście na miejską potrzebę, obręczy nie rzezać i t. p. Takich, co po nocy chadzali, znajdowali się anieli stróże, którzy im oręż odebrawszy, do ciemnego raju zachowywali i t. p.

Tu przypominano naostatek, jak poczynać było potrzeba z trybowaniem kątek, szpontowaniem, frazowaniem, berowaniem, odbijaniem, z baryłkami, konwiami, konewkami, wanienkami, donicami, trunkalami, garncami i t. p.

Wieczór nadchodził, izba radna dosyć była pełną, a gwar z niej aż na ulicę dolatywał. Starsi ojcowie, kilkunastu towarzyszków młodszych i czeladź w kącie ciekawa zgromadzenie składała.

W pośrodku przed stołem wędrownik świeżo przybyły właśnie odbywał urzędową próbę, która poprzedzała przyjęcie do cechu.

Postawa jego, twarz, cera, wśród rumianych, żółtych, silnych a barczystych starszych, przy towarzyszach, na których policzkach kwitły zdrowe rumieńce, dziwnie smutno odbijała.

Słuszny, wyrosły bujnie, młody wędrownik, który z Wilekopolski powracał wyzwolony do Krakowa, stał zbiedzony, jak winowajca, niezmiernie blady, dysząc ciężko, za piersi się chwytając i za głowę, a mdłym, złamanym, chorym głosem odpowiadając na pytania.

Bladości tej i zmęczenia nie można było przypisywać tej próbie, jaką teraz przeżywał towarzysz. Widać było z wycieńczenia, że przyniósł z sobą chorobę, z którą walczył całą siłą woli i młodości.

Chociaż niektórym ze starszych ojców żal było może biednego towarzysza, zmuszonego przechodzić uciążliwy obrzęd przyjęcia, uwolnić go od tego nie mogli.

Siły biednego wędrownika coraz bardziej zdawały się wyczerpywać, tak, że zaledwie się już mógł utrzymać na nogach.

Znaczniejsza część pytań i odpowiedzi załatwioną została, ale pozostawały jeszcze niektóre. Ojciec zadawał pytania, słuchali towarzysze i matka odpowiedzi, głosem coraz słabszym dawanych, gdy prawie w chwili, kiedy go miano „ująwszy za boże poszycie na wannę posadzić“, biednemu wędrownikowi naraz zupełnie tchu i siły zabrakło. Zachwiał się na nogach i zatoczył jak pijany, choć wiadano, że nic w ustach nie miał. Dwóch daclów podbiegło go za ręce pochwycić.

Przerwano próbę, bo nie było już komu odpowiadać. Błady ów wędrownik, gdy go chciano do ławy odprowadzić, padł ciężko na ziemię całym ciałem i jęczeć począł.

— Panowie! ojcowie! księdza proszę! abym Bogu duszę polecił! Życie ze mnie uchodzi... Męki dalej nie strzymam! Szedłem, szedłem dopóki sił stało, przebojem się wlokąc, abym nie umarł nigdzie, jeno tu, gdzie ojciec leży i matka, i gdzie ja chcę spocząć, na swojej ziemi... na swojej! Tę kolebkę miał, tę grób mieć chcę... Uciekałem od moru, ale mnie niepocziwe dogoniło powietrze, bo taka snąć była wola Boża, której nic oprzeć się nie może.

Mówił powoli, cicho, jęcząc, a starszyzna z towarzyszami, porwawszy się z ław, obstąpili go, załamując ręce, bo nigdy, jak gospoda gospodą, podobny się tu nie trafił przypadek.

Lecz gdy posłyszano z ust wędrowca wychodzące złowrogie wyrazy: mór, powietrze, o których już z różnych stron wieści dochodziły, zaczęli się wszyscy bo-

jaźliwie usuwać i mieszała a struchleli. Towarzysz Sylwek, chwyciwszy drugiego pod rękę, rzucił się zaraz po księdza do franciszkanów, a ze starszyny jeden pomyślał o lekarzu, rachując, do którego bliżej było. Wszyscy zaś prawie mieścili się około zamku, bliżej Wawelu i przy św. Annie w akademji.

Choć wedle ustawy a obyczaju cechowego bez czapki nie było wolno za pierwszy próg wychodzić, nie zważał na to starszy Skalski, iż z włosami rozwianymi, łamiąc ręce, znalazł się w ulicy przeciw gospody.

Wtem właśnie, jakby go tu sam Pan Bóg zesłał, zjawił się ów sławny doktor Struś, powracający od choroego. A oka jego nigdy nic nie uchodziło. Przypadł więc ze swą powagą i odwagą doktora, za ramię chwytając Skalskiego.

— Człeczeli co ci jest?

Skalski, jako starszy cechowy, byłby może, choć w tak krytycznej chwili, zaprotestował, że go poprostu tak człekiem nazwano, ale poznał Strusia, a temu wiele było wolno.

— A! ojcie mój! — wykrzyknął. — Stało się u nas nieszczęście wielkie w gospodzie! Przyjmowaliśmy towarzysza wędrownika, który z Wielkopolski powracał. Krakowianin nasz jest, dziecko cechu. Wtem u przyjęcia zaniemógł, osłabł, padł i przyznał się, że od moru uciekał, więc mógł go przynieść ze sobą.

Struś, nic nie odpowiadając, jak stał, na bok odsuwawszy Skalskiego, nie oglądał się już i biegł żywo ku drzwiom gospody, u których stała cała gromada czeladzi i daclów.

Rozepchnął ich i wbiegł śmiało do radnej izby.

Właśnie promień zachodzącego słońca, z za chmur się dobywszy, przez okno wpadł i oświecił leżącego na ziemi, wijącego się w boleściach, posiniałego wędrowca. Leżał w pośrodku sam, bo się nikt nie śmiał zbliżyć do niego.

Spojrzał Struś, podszedł tuż, przykląkł nad chorym i wpatrywać się w niego począł pilno.

Dokoła stało towarzystwo, lamentując, szepcząc, stękając, ręce ku niebu podnosząc.

Struś po chwili ruszył się. Przypomniawszy sobie apteczkę u franciszkanów i na kawałku papieru nakreśliwszy coś, biec kazał po lekarstwo. Ale z twarzy jego widać było, że niebardzo ufał, aby ono na czas przyszło i pomóc miało.

Choremu jeszcze wyrazy urywane z ust się dobywały ciężko:

— Na swej ziemi umierać... na swej ziemi leżeć!

Potem zaczął wzywać opieki świętych i Matki Bożej, a ręką bezsilną chciał się w piersi uderzyć.

Nim z apteki lekarstwo przyniesiono, czeladź prowadziła księdza do franciszkanów. Szedł śpiesznie z wiatykiem, dzwonkiem poprzedzany, a wszyscy po drodze klękali i schylali głowy.

Do niego też doszło straszne to słowo: mór — a wiedział i pomniał Kraków dobrze, co ono znaczyło, bo straszna ta klęska już go kilkakroć nawiedzała i opustoszała.

Lecz kapłanowi, tak jak lekarzowi, nie przystała obawa, bo jeden z nich jest rycerzem Chrystusa, a drugi żołnierzem miłosierdzia ludzkiego.

Kapłan przykląkł u boku umierającego i spojrzawszy na twarz ostatnimi drgnieniami życia dogorywającego, pośpieszył z rozgrzeszeniem i komunią.

Odżył nieco zapowietrzony, oczy mu się podniosły i wnet jakby powłoka mglista zasnęła. Życie w tej chwili uszło w ostatniem tchnieniu, a głowa kamieniem na podłogę opadła.

Struś zbliżył się do trupa.

Oznaki moru zbyt były jawne, aby mógł powątpiewać o nim. Zwrócił się do starszych nakazująco:

— Ojcowie starsi, siebie i miasto ratujcie. Niech zwłoki nie leżą długo, aby domy, ulice, a może i całe uchowaj Bóg stolicy nie zapowietrzyły. Co rychlej ślijcie po trumnę, po wóz i wywieźcie go na najdalszy cmentarz, a pogrzebcie jak najgłębiej... odzież i rzeczy z nim!

Pod wrażeniem strachu, jaki mór sprowadzał, towarzystwo i czeladź poruszały się żywo, śpiesząc spełnić rozkaz doktora. Matka gospody w drżących rękach niosła już zapalone kadzidło, oczyszczając niem mieszkanie, otwierano drzwi i okna.

Wynosili się bojaźliwsi, ksiądz tylko modlił się jeszcze przy zwłokach, i Struś pozostał chwilę, smutnem, zadumanem wejrzeniem wpatrując się w umarłego. Zawrócił się potem ku miastu.

Tu wieść o wypadku w bednarskiej gospodzie błyskawicą obiegła już wszędzie, niosąc popłoch z sobą. Wieczorem przyniesiono ją na zamek do biskupa Samuela i na dworzec biskupi do Gamrata.

Nie pobiegł jednak nikt z tem ani do króla, ani do starej królowej. Po twarzach dworu, po cichych szepcACH i trwożliwem gromadzeniu się dworzan poznać było można, iż umysły zaniepokojone zostały, a ludzie radzić sobie nie umieli. Nazajutrz w bliskości gospody mówiono o chorych i umarłych.

Strwożeni mieszczanie spotykali się, jedno mając na ustach:

— Mór! mór! — dokąd chronić się przed nim?

KONIEC DRUGIEJ CZĘŚCI



POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XLI

J. I. KRASZEWSKI

DWIE KRÓLOWE

(BONA I ELŻBIETA)

CZEŚĆ III



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

Skwarne go dnia lipcowego, w jednej z izb kamienicy Bonera Seweryna, przy otwartem oknie stał pan podskarbi z młodym człowiekiem, po którego stroju poznać było można, iż załedwie z kurzu się otrząsnął po długiej podróży.

Oba zdawali się oczekiwać na kogoś, bo Boner, często się przez okno wychylając, spoglądał na ulicę, a młody jego towarzysz także niespokojnie śledził przejeżdżających nią ku Florjańskiej bramie.

Okno, otwarte dla wielkiego gorąca, niewiele powietrze ochładzało, a co gorzej wpuszczało do komnat dym gorzki, który się z wielkiej kupy liści nagromadzonych u wrót podnosił. Kraków bowiem, już zagrożony morem, ratował się od złego powietrza z przepisu lekarzy, paląc po placach i ulicach liście dębowe i piołunowe.

— Cóż się Marsupinowi stało, — odezwał się młodszy — iż dotąd nie przybywa?

— Nic zapewne złego, — rzekł Boner — ale pocciwy Włoch lata i pracuje niezmordowanie, mógł go posłaniec w domu nie zastać. A, ma co robić, zaprawdę, bo wypowiedział wojnę otwartą Bonie, która też, w środkach nie przebierając, odpięra dzielnie jego zamachy.

— Gdyby nad tą sprawą, biorąc do serca los młodej królowej, krwawemi łzami płakać nie było potrzeba, — dodał podskarbi — zaiste śmiaćby się można. widząc złość Bony i do jakiej wściekłości ją zuchwalstwo Marsupina doprowadza; ale czekajmy, on to wam sam rozpowie.

— Sprawilże co Marsupin? — spytał młody podróżny.

— Dotąd nic zaprawdę, — rzekł Boner — ale się położenie wyjaśniło i ucisk dawny nie jest dla nikogo tajemnicą. Zawsze to zysk jest oczywisty.

— Niewielki, — szepnął młody — a przyznam się wam, że i ja, tu na poparcie Marsupina przysłany umyślnie, wiele więcej zyskać się nie spodziewam. Niestety, panie mój! Smutna to rzecz, ale cała nadzieja nasza w tem, że król stary, że życie jego niedługie, zatem i panowanie Bony...

— Tak, — odparł podskarbi smutnie — ale do dziś dnia Bona panuje tak dobrze młodemu, jak staremu, synowi, jak ojcu. Marsupin widzi w tem czary! W istocie trudno pojąć, jak młody pan, tak wielkiego umysłu, tak szlachetnego serca, w tak ciężką i sromotną popaść mógł niewolę.

— U matki? — pochwycił podróżny.

— My mówimy u matki i przypisujemy to czarom zbrodniczym, — rzekł Boner — lecz ponoby właściwiej było rzec, popadł w niewolę namiętności! A czarem jest ta piękna maseczka kochanki.

Rozmawiając, nie dosłyszeli, jak na wschodach za-tętniały szybkie kroki i drzwi otwarły się z trzaskiem, nagle. Wszedł Marsupin. Lecz jakże go pobyt ten w Krakowie, nieustanne utrapienia, praca, troski, obawy o życie zmieniły! Wychudł, poczerniał, wysechł i podróżny, który go witać pośpieszył, podając mu rękę, wykrzyknął:

— Chory jesteś, signoro Giovanni.

— Chory! zabity! zameczony, półżywy jestem! le-dwie dyszę! — zawołał Włoch. — Że mnie ta żmija na śmierć nie zagryzła, Panu Bogu dziękuję. Zwijam się jak ryba, w ukrop rzucona! Dzięki Bogu, że wy mi na pomoc przybywacie.

— A! ja! — zawołał młody zakłopotany. — Wpraw-dzie jestem posłem króla i cesarza, ale cóż ja tu zdo-łam, gdy wy nie mogliście nic uczynić. Chyba powaga mojego ojca...

Przerwał nagle zadumany.

Był to syn Justa Decjusza, krakowianina, służący przy królu Ferdynandzie.

Marsupin padł znużony na ławę.

— Do wszystkich utrapień — rzekł — dodajcie to, żeśmy w Krakowie zagrożeni morem, że w każdej chwili śmierć może pochwycić za gardło.

— Więc i dwór stąd uchodzić powinien — rzekł Decjusz.

— Stanie się to zapewne — odparł Marsupin.

— Cóż natenczas z wami będzie? — spytał Boner Włocha.

— Ze mną? — Ja pociągnę za dworem — szepnął, czoło z potu ocierając, Marsupin i westchnął ciężko.

Decjusz się przysiadł do niego.

— Mówcież mi, jak stoicie z Boną?

— Ha! po włosku! na noże! — rozśmiał się Marsupin. — Robilem, com tylko mógł, aby ją przebłagać i w dobry sposób przyjść do jakiegoś porozumienia, napróżno. Prosiłem o posłuchanie naprzód, i to jak najpokorniej. Jednego dnia stałem u drzwi napróżno, ochmistrz dworu przyszedł mi powiedzieć, że była zatrudnioną i przyjąć mnie nie może. Sądziła zapewne, że nie będę śmiał naprzykrzać się więcej, ale wróciłem nazajutrz. Ochmistrz mi przyszedł oznajmić znowu, że królowa bierze lekarstwo; odszedłem po raz drugi z niczem. Trzeciego dnia, gdym nalegał i widzieli, że się mnie nie pozbędą, naznaczono mi godzinę dziewiętnastą. Dobrze przed nią czekałem już w antykamerze.

Sekretarz wyszedł, królowa mnie zobaczyła przez okno, i oznajmił, że godzina dziewiętnasta zajęta; abym się stawił zaraz po obiedzie. Lękając się, aby mnie to nie chybiło, pozostałem na zamku.

Sekretarz dotrzymywał mi bardzo grzecznie towarzysztwa, usiłując wybadać, z czem przychodziłem i co mam mówić królowej. Zbyłem go żartobliwie.

Skończył się obiad, widziałem, jak stara odprawiła młodego króla, jak kazano ustąpić wszystkiemu dwo-

rowi. Dwie tylko starsze jejmoście ze dworu Bony pozostały przy niej. Ona z Elżbietą ukazały się na galerji i stara dała mi znak, abym szedł za nimi. Gdyśmy na pokoje królowej przyszl, młoda pani usunęła się, zapewne z rozkazu Bony, w głąb, zostałem tak jak sam na sam ze starą.

Z największą pokorą, pomimo że twarz jej wyrażała gniew i pogardę, przykląknę przed nią.

— Mów! Czego chcesz ode mnie? — poczęła głosem, w którym wrzała złość.

— Wiadomo waszej kr. mości, iż przychodzę w sprawie młodej królowej, z polecenia rodziców!

— Cóż się to dzieje tej młodej królowej, że takiej opieki potrzebuje? — poczęła z ironją. — Widzisz ją przecie: zdrowa, wesola, krzywda jej się nie dzieje żadna!

— Królowa młoda — rzekłem — nadto jest bogobojnie, skromnie i miłościwie wychowaną, aby się uskarżała na to, co cierpi; znosi ona, ale cały świat wie, że pożycie młodych małżonków nie takie jest, jakiem być powinno.

Bona jaszczurczem okiem rzuciła na mnie.

— Tak jest; — dodałem — młody król wcale nie żyje z żoną, unika jej, ani we dnie ją odwiedza, ani się nią zajmuje.

— Alboż to do mnie należy? — odparła Bona. — Ma swoją wolę.

— Wiadomo przecież, — dodałem — że jest synem posłusznym. Dlaczegóż w. kr. mość, która masz nad nim władzę, nie nakazesz mu, aby nie zaniedbywał żony? Jeżeli od dawnych miłostek odrazu się uwolnić nie może, niechby przez to żona nie cierpiała. Taka wzgarda dla córki pana mojego, dla synowicy cesarskiej jest dla obu obrażającą. Cesarz nie zniesie zniewagi takiej. Rzecz jest publiczności wiadoma, opowiadają o niej w Niemczech, Czechach, po całej Polsce, a tu w Krakowie piosenki o tem składają.

Gdym to mówił, twarz się jej mieniła, bladła, purpurową się stawała, gniew nią taki owładnął, że się

utrzymać nie mogła. Jakiemi wyrazami wpadła na mnie, powtórzyć nie mogę, bobym wiary nie zyskał. Wprost łajać mnie poczęła, trzęsąc się i pięści nastawiając.

— Zamknę ja ci usta, zuchwalcze... pokażę ci, co to jest przeciwko mnie się porywać!

Pan Bóg łaskaw, iż z zupełnie zimną krwią wytrzymałszy tę napaść, odpowiedziałem jej z największym uszanowaniem, ale, przyznam się, złośliwie nader. Dałem jej uczuć, że wszystko mi jest wiadomem, że wyliczyć mogę, ile razy król młody odwiedzał żonę i że od niej po nocach chronił się do panien fraucymeru, za wiedzą jej.

— Jesteś podłym, nikczemnym szpiegiem! — krzyknęła.

— Tak — odparłem — niestety! Pan mój potrzebował szpiegów, bo nie tak w. kr. mość obchodzisz się z córką jego, jak na królowę matkę przystało.

Wszczęła się tedy walka między nami na słowa, w której ja tę miałem wyższość, żem krew zimną zachowywał ciągle, gdy ona ją coraz bardziej traciła, unosząc się i, zamiast argumentów, obsypując mnie obelżywemi wyrazami.

W ciągu rozmowy byłem zmuszony nietylko własne moje przekonanie wygłosić, ale podeprzeć się tem, com słyszał z ust ks. biskupa Samuela i tu oto przytomnego Bonera.

Podskarbi, słysząc to, uśmiechnął się i skłonił.

— Wie ona zdawna, co trzymam o niej — rzekł zimno.

Marsupin ciągnął dalej opowiadanie.

— Przyszło do tego, że się Bona ze złości rozpląkała.

— Byłam i jestem królową; — zaczęła wołać — chcecie mnie tu sługą uczynić i niewolnicą!

Na to jednym słowem odpowiedziałem:

— Nie, tylko matką!

Na wyrzuty najrozmaitsze, sprawę mając dobrą,

znalazłem zawsze odpowiedź słuszną, gotową, której odeprzeć nie mogła.

W ostatku mnie przyparła posagiem, że z wielkich obietnic grosza jednego dotąd nie widziano. I na to rzekłem, że przecie termin nie przeszedł, a w nim należytość splecona będzie.

Wiedziałem o tem od ks. Samuela, że królowa, gdy nie może nic ze starym królem, ucieka się do łez i gniewu... toż samo było ze mną. Znowu się jej łzy rzuciły, a złość ją dusiła; łkała i lajała. Potem odwiódłszy mnie dalej, aby nas nie usłyszano, wpadła na mnie.

— Ty sługo nikczemny, — krzyknęła — jak ty, robactwo plugawe, śmiesz mnie, królowej, mówić takie rzeczy, czynić takie wyrzuty!

— N. pani, — rzekłem — to, com mówił, niczem jest jeszcze. Mam zlecenie pana mojego powiedzieć daleko więcej, i to takich rzeczy, o których w. kr. mość sądzisz, że jednemu Panu Bogu są wiadome, a te ja będę obowiązany cesarzowi przedłożyć, wraz z tem, com tu widział, słyszał i wyrozumiał.

Usłyszawszy to, widziałem, jak pobladła, drżeć zaczęła i wielką siłą zdawała się uspokajać pozornie. Głos zniżyła razem i złagodniała, zmieniła przedmiot tak, że osłupiałem. Spojrzała mi w oczy dziko.

— Spodziewam się, — rzekła — że wy cesarzowi polecicie córkę moją, Izabelę, żądam tego po was, zaświadcacie i o mnie, że nie jestem złą matką, że to są potwarze ludzi podłych, którzy chcą nas poróżnić.

Oslupiałem w początku, nie pojmując nagłego zwrotu.

— Dosyć, dosyć, — rzekła — niech się to wszystko skończy, niech o tem więcej mowy nie będzie, niech nastanie zgoda, milcz, proszę!

— Sądząc, że na tę obietnicę rachować mogę, — mówił dalej Marsupin — zapewniłem ją, że co do mnie, uważam za swój obowiązek pokój i miłość, o ile sił moich, popierać.

Tak się skończyło owo sławne posłuchanie moje u królowej, a raczej walna bitwa, w której, jak sobie

pochlebiałem, odniosłem zwycięstwo. Lecz któż zna tę przewrotną i chytrą niewiastę?

Nazajutrz po tej porażce dowiedziałem się od biskupa Samuela, że szła z płaczem do starego króla skarżyć się na mnie, iż bez należytego poszanowania, grubiańskie śmiałem jej czynić wyrzuty, na co Zygmunt miał odpowiedzieć połajaniem a groźbą, że ona sama temu winna, i że postępowaniem swem, uchowaj Boże śmierci jego, narobi sobie nieubłaganych nieprzyjaciół i zgotuje los ciężki.

Tegoż samego dnia, pomiarkowawszy się snąć, poszła do młodej królowej, udając wielką dla niej serdeczność. Rozmawiała z nią długo, i Hölzelinówna zaraz mi o tem z największą wdzięcznością doniosła.

— A no! — przerwał młody Decjusz — toć lepiej sprawy poszły, niż mówicie i pochłubić się tem możecie.

— Posłuchajcie do końca! — westchnął Marsupin. — Pokój ten i nadzieje pojednania nie trwały długo. Wprawdzie na rozejmie zyskała młoda pani nasza, która sił nowych nabrała. Musieliśmy na nią patrzeć z uwielbieniem, z podziwem nad mocą ducha, nad męstwem, jakie okazywała.

Ze strony Bony chwilowym strachem wywołane pomiarkowanie, udawana czułość nie potrwały długo. W sercu gadziny jad się zbierał. Nie śmiała występować jawnie, ale w drobnych rzeczach, gdzie tylko młodej pani dokuczyć mogła, nie omieszkala.

Jednego ranka przychodzi do mnie poczciwy Dydycz... (spojrzał Marsupin na Bonera i uśmiechnęli się oba) i powiada, że kilka dni temu nasza pani młoda posłała do szafarza starej królowej, prosząc o kawałek sera parmezanu. Szafarz go dał natychmiast, ale Włoszki, które młodej królowej nie lubią, bo im kochanka odebrać może, natychmiast o tem doniosły Bonie, mówiąc, że młoda pani sobie pozwala rozkazywać, nie pytając matki.

Rozgniewana królowa natychmiast wydała szafarzowi rozkaz, aby się nie ważył nic wydać młodej kró-

lowej. Śmiech mnie wziął z tego i przyszedłszy tu do pana Bonera, powiedziałem mu o tem.

— I, rozumie się, — rzekł Boner — żem natychmiast kazał trzydzieści funtów parmezanu posłać młodej królowej, prosząc, aby się do mnie z rozkazami udawała, a ja dostarczę, czego tylko potrzebować będzie.

— Ser już był u królowej — ciągnął dalej Marsupin. — Marszałek się o tem dowiedział, zaczęto mówić o nim, a jam też głośno się nie wahał odzywać, że królowa Bona niezbyt uprzejmie i teraz się obchodzi z synową, opowiadając na dowód historyjkę o serze.

Szpiegowie Bony, dworzanie młodego króla, cała gromada zauszników okrutną zaraz tragedję zrobili z tego sera. Bona ją wzięła do serca. Przysyła do mnie sam pan marszałek Opaliński, domagając się, abym wyznał, kto mi o tym serze mówił. Obróciłem to w żart, nie chcąc gubić biednego Dudycza, który truchlał, boby się na nim mszczono.

— To nie są żarty, — odparł mi marszałek Opaliński — królowa domaga się koniecznie imienia tego, który ją o ser oskarżał.

— Imienia tego ani na mękach nie powiem, — odpowiedziałem stanowczo — nie przystało mi nikogo zdradzać. Moim obowiązkiem tu wszystko słyszeć, wszystko widzieć, wszystkiego dochodzić, to służba moja, ale nikogo oskarżać i mianować nie mogę.

Nazajutrz przybiega komornik starej królowej, wzywając mnie do niej; byłem prawie pewien, że o ser chodzi. Jakoż się nie omyliłem.

Biegnę, grzecznie mi chwilkę czekać każe. Patrzą, ciągną, jak na wielkie sądy, panowie senatorowie, marszałek Opaliński, dalej ks. Samuel Maciejowski, który śmiech ma na ustach, za nim Gamrat... dworzanie do sali wnoszą podnóżki, kobierce, opony, gotują siedzenia, stoły... trybunał się układa. Wpuszczono i mnie, obwinionego. Dworzanom i komornikom na ustęp iść kazano.

Nadeszła Bona w całym majestacie, nakazując za-

jąc miejsca Gamratowi, Maciejowskiemu, Zebrzydowskiemu, naostatek mnie i panu Bonerowi.

Można było sądzić, widząc ten poważny areopag, że się tu miała rozpocząć narada o najważniejszej sprawie, państwo obchodzącej, o pokoju z Turcją, o królestwo dla Izabeli na Węgrzech, o przymierze lub wojnę!

W istocie, zapomniałem o serze, dziwując się tylko, że i mnie do tak ważnej narady wezwać raczono, gdy królowa poczęła:

— Śmiać się panowie będziecie, że tak dostojnych dygnitarzy, radę króla jmości, wezwać musiałam dla bardzo blahej sprawy, ale dla mnie ona nie małej wagi jest, tkwi w niej zaród wielkiego zła. Idzie tu o mnie, o potwarze, jakimi mnie obrzucają; chcę, abyście byli wszyscy świadkami niewinności mojej.

Wskazała na mnie palcem.

— Oto ten, ten, co tu został przysłany dla pokoju i zgody, właśnie i swary między nami krzewi. Rzecz idzie o mizerny kawałek sera. Muszę wiedzieć, kto mnie przed Marsupinem oskarżył, kto mu mówił o tym serze. Proszę was, wymóście to na nim, aby zdrajcę mianował, ja muszę o nim wiedzieć. Nie zdołacie wy nie, udam się do królów obu, aby oni władzą swą zmusili go do zeznania, kto mu to doniósł.

Pierwszy tedy pośpieszył ze zwykłą swą żywością Gamrat, dowodząc, że potwarzom bezkarnym niema końca, że raz trzeba pomścić królowę i że Marsupin powinien imię winowajcy wyznać.

Zatem Opaliński, jakby na sejmie był, długą mowę zwrócił do mnie i nalegał usilnie.

Rozumie się, iż, obłożony srodze, nie zachwiałem się, bo o cześć moją chodziło; oparłem się całą siłą, biorąc winę na siebie, lecz na żaden sposób nie chcąc wydać człowieka, który mi zaufał. Wkońcu dodałem trochę szydersko, iż zaprawdę szkoda było takich dostojnych osób dla takiej fraszki.

Królowa wpadła w niezmierny gniew i krzyknęła do mnie:

— Co ty mi będziesz prawa przepisywać? Pleciesz od rzeczy! Mów coś powinien, a nie powiesz, kto ci to podszeptał, oskarżę cię, żeś sam zmyślił.

— N. pani — odparłem — *quod dixi, dixi*; więcej ode mnie nikt się nie dowie.

Królowa wstała z krzykiem i gniewem, wybiegła do przyległej komnaty, pana Bonera za sobą wołając i zgromadzenie się rozeszło.

— Poleciała mi o tem donieść królowi — dodał, śmiejąc się, Boner.

— Myślicie, że na tem koniec? Nie jeszcze. Opaliński poszedł do królowej Elżbiety, domagając się od niej, aby ona mi nakazała wydać tego człowieka *sernego*. Ale i na żądanie młodej królowej, która mi je objawiła łagodnie, odparłem, że jestem sługą jmci rzymskiego, nie czym innym i tylko jego rozkazów słucham.

Oto macie próbkę tego, co się tu dzieje, i co ja tu cierpię.

Marsupin zamilkł, głowę zwiesiwszy. Młody Decjusz stał zadumany.

— Nie widzę, — rzekł po chwili — co ja bym tu mógł pomóc i naco się przydać potrafię, gdy signor Giovanni, który zna lepiej teraźniejsze położenie, niż ja, zdawna już bawiący na dworze Ferdynanda, ledwie się umie obronić napaściom i wyjednać dla królowej małą ulgę.

— Tyle możecie, — odrzekł Marsupin, głowę podnosząc — iż się rozpatrzywszy w położeniu, zdacie z niego sprawę, aby szukano środków ratowania biednej królowej, której moje zabiegi mało co pomogły. Król młody, jak nie żył z nią, tak nie żyje; poszedłszy zamaż, odrazu wdową została.

— A teraz — dodał Boner — nowe się święcą rzeczy. Mór w Krakowie, choć jeszcze niegroźny, ale się z każdym dniem wzmacza. Zaprzeczyć temu nie można. Z przedmieścia wejdzie rychło na miasto, a stąd na zamek. Królestwo gdzieś bezpieczniejszego schronienia szukać muszą. Bodaj to nie było nowym pozorem do rozłączenia młodego małżeństwa, pod pokrywką tro-

skliwości o nie. Już, słyszę, Bona młodą królowę chce przy sobie zatrzymać, a Augusta na Litwę lub na Mazowsze odprawić.

— Ja tu nie pomogę nic, — dodał zamyślony Decjusz — odniosę tylko królowi, com widział i słyszał.

— Nie, nie dosyć na tem — przerwał Marsupin — musicie prosić o posłuchanie u starego pana i powiedzieć mu, z czem przybyliście, poprzyjcie mnie. Królowa Bona obwinia, że na swoją rękę czynię bez rozkazu, co mi do głowy przyjdzie. Poświadczycie, iż mam polecenia i że internuncjuszem tu jestem.

Boner ruszył ramionami.

— Jakgdyby ona posłów szanowała! — rzekł. — Jednym strachem pomsty cesarza nad Izabelą i jej księstwami można ją pokonać; musicie w to bić.

— Wyróbcieź mi posłuchanie u Zygmunta — odparł Decjusz, zwracając się do Bonera.

— I u młodego musicie być, i u młodej królowej, — dodał Marsupin — ale ani pan Boner, ani nawet ks. biskup Samuel nie potrafią nic, jeżeli stara żmija przeszkadzać zechce.

Stali tak wszyscy ze smutnemi twarzami, gdy Boner posłyszał chód, a że się tu nikogo ani spodziewał, ani życzył sobie, poszedł ku drzwiom. Ukazał się w nich z twarzą pomieszaną trwożliwie Dudycz, jak zwykle fantastycznie i śmiesznie ustrojony, co przy jego twarzy, postarzałej i brzydkiej, odbijało dziwnie i ciekawe oczy Decjusza ściągnęło.

Marsupin, który tego *sérnego* człowieka wielkim strachem nabawił, ale go cenil, bo mu służył dobrze, poznawszy z miny, iż troskę jakąś niósł z sobą, postąpił ku niemu, Boner skinieniem głowy go witając.

— Z zamku idziesz? — spytali.

— Tak jest — zawołał głosem niespokojnym Dudycz. — Znowu podle zamku kilku ludzi zapowietrzonych zmarło. Strach wielki u nas. Ks. Samuel nalega, aby stary król jechał do Nowego Miasta albo na Mazowsze, gdziekolwiek bądź, byle w miejsce bezpieczne. Rozumie się, że królowa Bona samego go nie puści.

— A August? — zapytał Marsupin.

Dudycz ruszył ramionami.

— Nie wiem, — rzekł — ale zdaje się, że jego prędeż jeszcze wyprawia. Bona chwyciła się moru, aby małżeństwo rozdzielić. Mowa jest o tem, aby król młody jechał sam na Litwę, a królestwo z młodą królową do Korczyna.

Wszyscy milczeli chwilę, Marsupin się oburzył pierwszy.

— Znowu coś nowego! — zawołał. — Królowa Elżbieta na to pozwolić nie powinna i oświadczyć, że pojedzie z mężem. Nie jest niewolnicą, jest małżonką... ma obowiązek!

Nikt się nie odzywał przez długą chwilę. Marsupin odwrócił się do Bonera.

— Gdyby podróż się nie po myśli składać miała, — rzekł — pan Boner ma moc jej przeszkodzić.

— A to jak? — spytał podskarbi.

— Łacno — rzekł Marsupin. — Młodemu panu królowi na Litwę pieniędzy będzie potrzeba; gdy ich mu nie dacie, nie poślą go.

— Albo pieniądze w mej woli? — odparł Boner. — Pod moim kluczem, prawda, ale nie ja rozporządzam. Zresztą na co się to zdało? Królowa Bona ma więcej w Chęcinach, niż ja w królewskim skarbcu w Krakowie; uprze się, to da synowi pieniędzy.

— Skąpa jest — odparł Marsupin.

— Ale nie tam, gdzie jej idzie o panowanie, — rzekł Boner — nie pożałuje na nie!

Wieczór nadszedł, wniesiono światło, w ulicy ruch nie ustawał. Wyglądano oknami otwartymi, dwa czy trzy wozy z trumnami przesunęły się pod oknami.

— Mrą ludzie okrutnie — odezwał się Boner. — Nie idzie zatem, aby to już powietrze być miało, lecz śmiertelność z upałów duża. Ja jeszcze w mór nie wierzę.

— Ba! — przerwał Marsupin — widziałem kilku doktorów; starsi, co już patrzyli na powietrze, twierdzą, iż na trupach znaki jego widzieli: sine plamy

i wrzody. Nie szerzy się ono jeszcze zbyt gwałtownie, lecz że przyszło, to pewna.

— Różnie twierdzą; — rzekł Boner — lecz jeżeli istotnie zaraza się wzięła, nic pilniejszego nad to, by dwór stąd wyprowadzić. Na królu naszym starym i życiu jego leży wiele.

Rozmowa o powietrzu rozpoczęła się nieśmiało, bo nikomu o niem mówić nie było miło; a i ci, co wierzyli, iż mór się szerzył, woleliby byli o tem wątpić. Lecz z każdą chwilą smutne wiadomości się potwierdzały. Pomimo spóźnionej godziny, Boner postanowił jechać na zamek i konia, który zawsze wpogotowiu stał, podać sobie kazał. Chciał oznajmić królowi o przybyciu Decjusza i dowiedzieć się, co myślano i zamierzano na zamku.

Gości więc pożegnawszy, bo młody Decjusz do ojca wracał, sam w bramie dosiadł spokojną szkapę i dwom pacholkom rozkazawszy za sobą jechać, ruszył do zamku.

W ulicach pusto już było, ale w niektórych miejscach, tam gdziekolwiek przypadek śmierci się trafił, cisnęli się ludzie, dowiadując.

Wprawnemu oku podskarbiego łatwo rozpoznać było niezwykły stan miasta, jakby w przededniu klęski. Wszędzie po ulicach, pod domostwami zamożniejszych, po placach dymiły palące się liście i zioła różne, a że powietrze było ciężkie, gorzkie dymy przepelniały je i oddychać było trudno. Tu i owdzie przesunął się za latarką ksiądz z wiatykiem, o którym dzwonek chłopca oznajmywał. Gdzie nigdzie z wrót buchala wrzawa niespokojna, a jak się to pod najcięższe czasy dzieje, gdy trwoga ludziom głowy odejmuje, gospody, browary, piwnice pełne były ludzi, co się chcieli odurzyć i z trunku zaczerpnąć odwagi.

Na zamek z trudnością wpuszczano, ale Boner miał klucz od furty każdego czasu.

W izbie sypialnej króla postrzegł światło, równie, jak w komnatach starej pani, około których na galejmach przemykały się kobiety i służba. Około króla sta-

rego nikogo już nie było z rady, kapelan tylko, starych dworzan kilku i doktor Polak.

Zygmunt zbierał się do spoczynku.

Boner, chcący się coś dowiedzieć, nikogo nie znalazł w pustych antykamerach nad drzemiącego na ławce, na kiju swym spartego, Stańczyka, który, gdy nie błaznował, do ascety i filozofa podobniejszym był, niż do trefnisia.

Podskarbi zbliżył się do niego.

— Czołem! — rzekł.

— He? — odparł stary. — Jeżeli wy mnie czołem, a czemże ja wam się pokłonię?

Rozśmiał się Boner.

— Co słyszać u was? — spytał.

— Zawsze jedno; — począł trefniś — od lat wielu nic innego nie słyszę, jeno narzekanie.

— Dziwicie się temu — rzekł Boner.

— Dziwię się, — zawołał Stańczyk — bo za głupca mam, kto, gdy go słyszać nie chcą, jedno klekce zawsze i próżno gębę trzdzi.

Boner popatrzał na zastygłego, jakby ze spuszczoną głową, siedzącego starca.

— Człowiekowi lżej, gdy się wystęka, sercu spokojniej, gdy się wypłaczę — rzekł zeicha. — A po chwili dodał:

— Dwór, słyszę, od moru chce z Krakowa precz. Prawda li to? Cóż wy naówczas myślicie z sobą?

— Ja? — rzekł trefniś — muszę iść za dworem — bo jeśli kiedy, to czasu utrapienia błazen potrzebny, aby choć odrobinę dobrej myśli wlać do tej goryczy.

— Słyszeliście co o podróży? — dodał Boner.

— Nie wiem nic, — rzekł Stańczyk — a jam zawsze do wszelkich gotów, choćby z tego świata na lepszy. Skrzyń i sepetów nie mam, czapkę i kij zabrawszy, wszystko moje niosę w jednym ręku. Reszta w głowie.

Ze Stańczyka nigdy się tak nie dopytać nie było można. Dał więc podskarbi pokój i postawszy chwilę, rzekł tylko:

— Jeżeli wam moru nie strach, a podróż dla was ciężka, wiecie, że u mnie wam gospoda otwarta zawsze! Stańczyk podniósł bladą swą twarz pomarszczoną i uśmiechnął się.

— Chcielibyście u waszego skarbcza takich stróżów mieć jak ja, którzy na złoto nie łasi? he? Ale Stańczyk wie, że pilnując skarbów, najłatwiej dostać po grzbiecie! Bóg zapłać!

Nazajutrz jak świt na korytarzach zamkowych ro-
iło się dworzanami i posłańcami. Stary król dodnia
posłał po swoich panów rady, a najpierwej do podkanc-
lerzego, królowa wyprawiła komornika do Gamrata,
młody król siedział już u niej, a Opaliński tej nocy spać
się wcale nie kładł.

Z miasta ten to ów przynosił prawdziwe i fałszywe
wieści o ludziach nagle zmarłych. W istocie mór zda-
wał się nagle szerzyć i ci, co go w wątpliwość podawali
z początku, przeczyć już nie mogli, że na mieście umie-
rano. Ale jedni spodziewali się, że po upałach burza
nadchodząca oczyści powietrze, drudzy, że zaraza sa-
ma przez się za łaską Bożą ustanie. Po kościołach wy-
stawiano relikwie i odprawiano modły uroczyste. Dok-
torowie wszyscy byli na nogach, a po aptekach goto-
wano napoje i kadzidła, przez nich zalecane.

Królowa Bona ze wszystkich członków rodziny kró-
lewskiej największym była ogarnięta strachem. W jej
komnatach wszędzie paliły się trociczki wonne, balsa-
my różne i powietrze przejęte było wyziewami silnemi
środków, które doktorowie przynosili i jedne nad dru-
gie zalecali. Nie zmniejszało to niepokoju jej o siebie,
o męża i syna.

Lecz nawet w chwili tej grozy nie zapomniała Wło-
szka o tem, co miała na sercu, o swej nienawiści dla
młodej królowej, o obawie, aby ona swą łagodnością,
cierpliwością i wdziękiem serca syna jej nie wydarła.

Morowe powietrze dawało zřęczność wysłania syna,
pod pozorem bezpieczeństwa jego, na Litwę. Dniem
wprzód mówiła o tem Zygmuntowi, który długo ani

Litwy, ani Mazowsza puścić mu nie chciał, namawiając, aby Augusta dał do Wilna, bo go tam Litwini z upragnieniem oczekiwali. Stary pan zgadzał się na wysłanie syna, lecz chciał, aby, jak przystało, żona z nim jechała.

Oparła się temu Bona.

— We dwojgu tam pojechawszy, dworu, ludzi, pieniędzy we dwójnásób potrzebować będą, na to skarb nie starczy. Niech jedzie sam!

Nie było zgody, przerwała się rozmowa bez żadnego skutku. Bona miała tysiące argumentów na to, ażeby syna osobno odprawić, a Elżbietę mieli starzy królestwo zabrać z sobą.

Z rana, nim Bona przyszła z nowemi naleganiami, król o tem mówił z Maciejowskim. Biskup głosował naturalnie za tem, ażeby małżeństwa nie rozdzielać.

Bona wcześniej, niż zwykle, wcisnęła się do małżonka, który czuł się więcej cierpiącym, niż zwykle. Pozostawiono ich samych z sobą.

Długo trwała sprzeczka, nalegania, spór, których do sąsiednich komnat pojedyncze tylko głosy i wyrazy dołatywały. Naprzemiany to głos starego króla, to piskliwe krzyki Włoszki górowały.

Dworzanie, którzy w antykamerze stali, z doświadczenia wnioskowali zawczasu.

— Królowa długo siedzi, postawi na swoim. Znak to pewny. Chce li król się jej oprzeć, rychło pozbyć musi. Im dłużej trwa, tem pewniej wygra.

Stało się tak w istocie.

Bona wyszła z rozplamienionemi policzkami, z zapłakanemi oczyma, ale z uśmiechem zwycięstwa na ustach. Zygmunt zmęczony wkońcu zgodził się na wszystko; ktoby o tem nie wiedział, domyśliłby się z twarzy Włoszki.

Wprędce potem rozeszła się wieść (była to sobota), iż młody król jedzie na Litwę sam... i to nie później, jak w poniedziałek.

Hölzelinówna, która z panią swą i bardzo szczupłym jej fraucymerem zawsze wśród zamku i dworu wiodła

życie odosobnione, czując się otoczoną nieprzyjaciółmi, nierychłoby się może dowiedziała o tem, gdyby wiadomość dla pani jej złą i smutną nie była.

Ze złem zawsze ktoś pośpieszy. W korytarzu przebiegająca Włoszka schyliła się jej do ucha.

— Postanowiono, — rzekł szybko — młody król na Litwę jedzie sam! Wasza pani z nami kędyś w świat z Krakowa na lepsze powietrze.

Hölzelinówna nie uwierzyłaby była temu, lecz przechodzący Opaliński, którego spytała, potwierdził ten posłuch.

Ścisnęło się serce starej piastunce, gdy z tem weszła do swej pani. Bolało ją zranienie nowym ciosem biedną, a dziwnie cierpliwą męczennicę.

Przez cały ten czas niemal trzech miesięcy, które się długimi, jak lata wydawały, Elżbieta walczyła mężnie z tem, co ją tu spotykało. Wszyscy, co, jak Marsupin, stawali w jej obronie, choć chwilowo, pozornie czasem wyjednali jakąś folgę, staraniami swemi drażnili Bonę, nienawiść jej powiększali, rozbudzali pragnienie zemsty.

Położenie Elżbiety wcale się nie polepszyło, lecz moc jej duszy urosła, przybyło męstwa młodzieuchnej pani. Wiedziała, że nie jest przez rodziców opuszczoną, osamotnienie swe przypisywała tylko Bonie, najmniej obwiniała męża, i była pewną, że wszystko się skończy szczęśliwie, triumfem, pojednaniem i słodkiem życiem z tym, którego kochała. Hölzelinówna utrzymywała ją w tych przekonaniach, które stan obecny czyniły znośniejszym.

Pomimo codziennych ukąszeń tej matki męża, którą Marsupin żmija nazywał, Elżbieta nie płakała, nie skarżyła się obliczem, udawała szczęśliwą i często nawet, jak po historii sera parmezanu, śmiała się pocichu, gdy prześladowanie się nie powiodło.

Kätchen dziękowała Bogu, jak za osobliwą łaskę Jego, że ta słaba istota z taką niestychaną mocą ducha i wytrwałością opierała się prześladowaniu. W istocie na twarzyczce królowej, która w początkach znacznie

była pobladła i nosiła widome ślady cierpienia, odkwitała znowu świeży rumieniec. Patrzyła śmiało; — jedna tylko Bona, na którą patrzeć nie mogła, wrażała w nią trwogę, której zwyciężyć nie umiała. Nawet naówczas, gdy Włoszka starała się być dla niej uprzejmą, gdy przemawiała słodko (przy świadkach), Elżbieta nie czuła się ośmieloną. W głosie tym zawsze brzmiała nienawiść, warczała jakaś groźba.

Wiele czasu spędzając sam na sam z Hölzelinówną i kilku pannami dworu, królowa ożywiała się, kazała sobie czytać, modliła się, zajmowała robótkami. Przyносiono jej plotki, których słuchała, zbytniej do nich nie przywiązując wagi.

Raz na dni kilka czasami przychodził do niej mąż, który z obawy Bony, śledzącej każdy krok jego, nigdy nie bawił długo, zaledwie słów kilka obojętnie zamieniwszy, uciekał.

W nim ten strach matki tak był widoczny, iż Elżbieta mu nawet za złe wziąć nie mogła zimnego obejścia się z sobą.

— Któż wie, — mówiła sama sobie, powtarzając to, co jej Hölzelinówna szeptała — gdyby okazał najmniejszą czułość, Bona mogłaby mnie kazać otłuć.

Obawa trucizny była powszechną, mówili o niej wszyscy i królowa Elżbieta rzeczy, pochodzących od Bony, tknąć nie śmiała. Rękawiczki, tkanina, klejnoty mogły być zatrute, tak, że jedno dotknięcie do nich zabijałoby. Potrawy i napoje ze stołu Bony próbowano, albo je nieużytkowane precz wyrzucano.

Ostrożności te czyniły życie nieznośnem.

Hölzelinówna, wszedłszy ze złą wiadomością do swej pani, potrzebowała chwili, aby twarz ułożyć. Elżbieta szyla w krośnach, a zobaczywszy ją w progu, uśmiechnęła się.

— Nie znalazłabym mojej Kätchen, — rzekła — gdybym nie odgadła, że nie z próżnemi rękami przychodzi!

— Gdybyż te dłonie co dobrego wam przynieść mogły! — westchnęła Hölzelinówna.

— Alem ja i do złego przywykła — odparła zimno królowa, badając piastunkę oczyma.

— Złe też przynoszę — odezwała się Kätchen. — Król nasz młody jedzie, a jedzie sam pono na Litwę. My także jedziemy, od moru uciekając, ale razem ze starą królową, która nas ze swych szpon nie chce wypuścić, nie wiem, dokąd.

— A! — powstając od krosien, odezwała się Elżbieta. — Mnie się zdaje, że to tylko początek podróży tak smutny. W Bogu nadzieja, że gdy król, pan mój, osiedzi się w Wilnie, zatęskni za mną i przyjedzie po mnie... albo, albo ja się zbiorę na męstwo i pogonię za nim.

— A! a! — wykrzyknęła Kätchen — gdybyż synowica cesarza, przed którego potęgą drży świat, zebrała się na to postanowienie, na to męstwo!

Elżbieta zamyśliła się.

— Kätchen moja, — zawołała — miałabym je przeciwko wszystkiemu... jedna jest w świecie istota, która mnie strachem śmierci przejmuje. Jej głos dreszczem mnie przechodzi, jej chód odzywa się w sercu mojem, jakby każdy krok stawiała na nim, jej dotknięcie ziębi mnie, jak ostrze miecza, jej wzrok, jak oko bazyliuszka zabija. Mam odwagę, gdy jej nie widzę; gdy się zbliży, siły mnie opuszczają, nie śmiem podnieść oczów, głos mi zasycha w gardle, życie ustaje.

Hölzelinówna milczała, nie chciała się przyznać do tego, że i na niej Bona niemal takie same czyniła wrażenie.

— Król, pan mój, jedzie? — zapytała Elżbieta, zadumana nieco. — Mówisz, Kätchen, że to zła wiadomość? Ja nie wiem, ale mnie się zdaje, że chwila wyzwolenia naszego się zbliża.

Spojrzała na piastunkę.

— Jedzie sam, — dodała ciszej — nie bierze mnie, ale też i przyjaciółek swych stąd zabierać z sobą nie może.

— Znajdzie inne, gdy zechce — szepnęła Kätchen.

— A! nie sądził tak źle o nim — przerwała Elżbie-

ta. — To są pozostałości z dawnych czasów, on teraz będzie innym. Ze starych więzów rozkuć się trudno.

— Dalby to Bóg!

Królowa pomyślała chwilę, uściskała piastunkę i usiadła spokojnie do krosien.

W tej samej chwili Opaliński przychodził wzywać Zygmunta Augusta do matki.

Bona, w bok ujawszy się ręką jedną, czekała na syna z obliczem triumfującym. Usta się jej uśmiechały. Chciano ją oderwać od syna! Ona wyjazd ten miała uczynić nowym węzłem łączącym go z nią, a rozłączającym z żoną!

Zaledwie ze swą twarzą, zawsze jakieś znużenie, ale razem powagę wyrażającą, August ukazał się na progu, gdy matka odezwała się szydersko:

— Najjaśniejszy pan z woli ojca jedziesz do Wilna! Jedziesz sam, bo żony na podróż długą, niewygodną teraz narazić nie można.

Uśmiech dziwny, złośliwy towarzyszył tym wyrazom.

— Tak jest, — dodała Bona — jedziesz sam do Wilna! Wiem, — poczęła żywiej — żeś w. k. mość życzył sobie, będąc już królem koronowanym i w. książęciem, zacząć rządzić i okazać, że potrafisz miecz i berło podźwignąć. A więc winszuję!

Skloniła się przed synem.

— Co się tyczy królowej, — rzekła — bądźcie spokojni! Pojedzie z nami, na niczem jej zbywać nie będzie. Wprawdzie i nasz, i jej dwór zmniejszyć musimy, ale pozostanie zawsze próżniaków dosyć!

Skrzywiła się królowa, patrząc na syna, w którego twarzy chciała dopatrzeć się wrażenia, jakie ta niespodziana wiadomość na nim uczyniła.

Oblicze Zygmunta Augusta nawet w jego młodości, wczesnie złudzeń pozbawionej, nielatwo w sobie czytać dawało. Zachowywał zawsze powagę i chłodną krew, stanowi swemu właściwą. Ale matka odgadywała łatwo najlżejszy odcień twarzy synowskiej. Patrzała na nią pilno, spodziewając się poruszenia radości, a dostrze-

gła, a raczej domyśliła się, pewnego pomieszania i zafrasowania. Zdziwiło ją to.

— Jakże? — podchwyciła zawsze w tym tonie — w. k. mość nie cieszysz się tem? Król ojciec długo się temu opierał, masz nareszcie, czego sobie życzyłeś sam i drudzy dla was życzyli.

August stał jakby zadumany.

— Jestem królowi ojcu wdzięczen za zaufanie, — rzekł — jadę na Litwę z ochotą, ale się lękam, czy na pierwszym kroku nie obudzę w Litwinach więcej politowania, niż radości. Wy, miłościwa matko moja, lepiej to wiecie, niż ktokolwiek bądź, jak szczupłe byłem i jestem wyposażony. Nie mam ani stosownego dworu, ani ludzi, ani zapasów i skarbu, który panującemu jest potrzebny. Mamże począć panowanie od tego, że będę rękę wyciągał do moich poddanych, aby oni mi dali zasilek?

Bona zdawała się przygotowaną na to pytanie, uśmiech nie schodził z jej ust, a wyraz triumfu malował się coraz dobitniej na promieniejącej twarzy.

— Zapominasz, że masz kochającą matkę, zawsze dla ciebie gotową do ofiar, która dumną jest synem i upokorzyć go nie dozwoli. Byłam odrazu pewną, że Boner, zwłaszcza, gdy się dowie, że Elżbieta z wami nie jedzie, wyposażyc was na tę drogę nie zechce, jak należy. Ale od czegoż stara włoska księżniczka, która z sobą przyniosła posag w złocie i dla dzieci przyzbierać coś umiała!

August stał, jakby zawstydzony, ze spuszczonej oczyma. Matka mu pieśczośliwie rękę położyła na ramieniu.

— Jedź — rzekła. — Brancaccio ma już rozkaz ode mnie. Daję ci na tę podróż piętnaście tysięcy czerwonych złotych, a że i występować musisz, a w Wilnie pewnie jednej misy srebrnej nie znajdziesz i nie masz ich wiele do zabrania stąd, a żona też nie ma ci co dać, kazałam półsetka puharów srebrnych i mis wybrać ze skarbcza, odłożyłam łańcuchów, klejnotów, com mogła.

August pocałował ją pokornie w rękę, dziękował;

ale ani ten dar, ani wiadomość nie czyniły go tak szczęśliwym, jak się Bona może spodziewała.

Zrozumiała ona opacznie chłód, jaki się objawiał w nim; na myśl jej przyszło, że rozstanie się z Dżemmą mogło być powodem smutku. Dwuznacznie, zawsze z tym samym ironicznym uśmiechem, dodała:

— Co się tyczy towarzystwa, jakie z sobą zabierzesz w podróż, ja także o tem pomyślę... bądź spokojny! Rozumiem dobrze, iż ci się z wielu osobami, do których nawykłeś, rozstawać będzie boleśnie. Postaram się o to, aby ci w Wilnie nie zbywało na niczem i na nikim. Ale musimy być ostrożni. Ludzie mnie oczerniają za moją miłość dla dziecka, wymyślają potwarze... Znajdziemy środki, aby ci, co z tobą nie pojadą, za tobą wyruszyć mogli. Rozumiesz mnie...

August stał, jakby jeszcze z nowem tem rozporządzeniem potrzebował się oswoić — zadumany.

Bona zbliżyła się z pieścizotami do niego.

— Bądźże dobrej myśli, proszę; widzisz, że wszystko się składa, jeśli nie dla mnie, to dla ciebie najlepiej. Wiem, że teraz będą krzyczeli na mnie, że ja was z Elżbietą rozdzielam... ale obojgu jechać było niepodobieństwem.

August, milczący zawsze, nie odpowiedział na to. Dziękował tylko matce, ale twarz miał ciągle posępną.

— Wyjazd twójznaczony na poniedziałek — dodała Bona. — Mówiłam o tem Opalińskiemu. Wydaj stosowne rozkazy, a jeżeli ci co jeszcze zabraknie, mów mnie, udaj się do mnie, nie do Bonera, nie do nich... tam... ja dostarczę ci, co potrzeba. Brancaccio jest na twe rozkazy.

Augustowi nie pozostawało nic nad nowe podzięki matce, która, nie widząc w nim radości, szepnęła na ucho:

— Niepodobna Dżemmy natychmiast wysłać, ale wkrótce będzie w Wilnie i to tak, że nikt nie potrafi nam tem oczu wykałać. Bądź spokojny, obmyślę, zrobię wszystko, czego potrzeba do twojego szczęścia. Pamiętaj, że masz kochającą cię matkę, że nikt lepiej po-

radzić nie potrafi. Radź się mnie... mam stare doświadczenie, znam ludzi, wiem, jak z nimi postępować potrzeba, czem ich ująć... Dla ciebie żyję.

I namiętnie pochwycawszy go za szyję, zaczęła ścisnąć.

Serce Augusta poruszyło się też temi dowodami macierzyńskiej miłości, całował ją po rękach i dziękował.

Bona zaczęła szeptać poufnie, przygotowując go do postępowania wedle jej wskazówek, chcąc zapobiec, aby oddalenie się syna nie oderwało go od niej i nie wyzwoliło z pod tego wpływu, jaki dotąd na najmniejsze jego czynności wywierała.

Długo dosyć trwała ta narada poufna z matką, po której Bona z uśmiechem wskazała synowi drogę zwykłą przez swoje pokoje do mieszkania Dżemmy.

— Idź ją pociesz, — rzekła — musi być biedna w rozpacz, bo już we dworze o twoim wyjeździe wiedzą. *Poverina!*

Młody król w istocie, pożegnawszy matkę, udał się wprost do Dżemmy.

Teraz, jak w początku rozmowy z Boną, piękne jego lice nosiło na sobie to niezmazane piętno, które przez życie całe skazanym był dźwigać, nieprzezwykłej tęsknicy. Nigdy nikt nie widział Zygmunta Augusta prawdziwie wesołym i swobodnym, jakgdyby losów miał przeczucie i świadomość; ostatni z Jagiellonów na próżno usiłował życie swe czemś umaić, wszystko mu się z rąk wyślizgało — nie miał szczęścia.

Szedł pogrążony w myślach, gdy trzpiotowata Bianka, nim się zbliżył do drzwi mieszkania Dżemmy, zabiegła mu drogę, z zuchwałym swym na koralowych wargach uśmiechem.

August się uśmiechnął do niej, a żwawe dziewczę, poprzedzając go, otworzyło mu drzwi sypialni Dżemmy. W głębi, w drugiej komnacie, widać ją było z rozpuszczonymi włosami, w rozpiętej sukni, przechadzającą się po izbie. Posłyszawszy szelest, rzuciła się ku wchodzącemu królowi i wykrzyk płaczliwy z ust się jej wyrwał.

Zimno jakoś, chociaż z politowaniem, August się zbliżył do niej; oko baczniejsze mogło dostrzec pewnej zmiany w obejściu się z nią Augusta i nie uszła ona pewnie wejrzenia Bianki, a może sama Dżemma prze-czuwała już pewne ostygnięcie.

W istocie trzy te miesiące nieznacznie, powoli od-działywały na serce króla. Miłość jego dla Włoszki od po-czątku była więcej podsycana jej namiętnością ku Au-gustowi, niż uczuciem jego własnego serca. Było w niej więcej zmysłowego pociągu, uroku wielkiej piękności, młodości, niż uczucia głębokiego. Samą gwałtownością swą Dżemma stawała się ciężarem, budziła obawę, nu-żyła króla, który potrzebował spokoju.

Kochał ją jeszcze — lecz już nie tak, jak w pierw-szych chwilach, gdy się ten węzeł zadzierzgnął, gdy cały był tylko nią zajęty i nie widział nic, oprócz niej.

Przyczyniła się do tego ostygnięcia królowa Elżbie-ta. August zaczął od tego, że ją przyjął z uprzedzeniem, ze wstrętem, podbudzany przez matkę, podmawiany do okazywania obojętności. Niezmierna cierpliwość i poddanie się swemu losowi młodej pani zdumiały na-przód, potem wywołały ciekawość, naostatek współ-lczucie.

Młody król począł od tego, iż się ulitował nad nią, iż bardzo nieznacznie, ostrożnie ostrzegał ją i podszeptywał, co czynić miała, by nie drażnić Bony. Łagodność królowej, jej posłuszeństwo, bo mu się ani narzucała, ani wymówek nie czyniła, pociągnęły go powoli ku niej.

Byłby może August okazał jawniej to współczucie żonie, ale wiedząc, jak jej Bona nienawidziła, jak się jej obawiała, lękał się, aby najmniejsza oznaka przy-bliżenia się do Elżbiety nie wywołała zemsty i prześladowania.

W ciągu tych kilku miesięcy, ostygając dla Dżem-my, August nabierał poszanowania, współczucia, zaję-cia serdecznego dla tej ofiary cichej, która z uśmiechem anielskim witała go, przyjmując wszystko wdzięcznie i nie uskarżając się nigdy.

Czy się tego królowa młoda domyślała, czy przeczu-

wała ten szczęśliwy zwrot, który jej Hölzelinówna przepowiadała. trudno było odgadnąć. Jeżeli nadzieja wstąpiła w jej serce, nawet tej piastunce, dla której nie miała żadnych tajemnic, nie powiedziała nic, nie przyznała się do niej. Obawiała się zawodu; drżąc, czekała, czy się sprawdzi to, czego zdawała się bliską, a lękała utracić.

Oczy dwojga małżonków spotykały się czasem trwożliwie i natychmiast odwracały. Dość było takiego pochwyczonego jednego wejrzenia, któreby w Bonie obudziło podejrzenie, iż małżeństwo się zbliżyło, porozumiało, a Elżbieta mogła zyskać łaskę w oczach męża, aby Bona do ostateczności doprowadzoną została.

Syn nawet nie łudził się, wiedział dobrze, iż była zdolną namiętności panowania poświęcić wszystko, chwycić się najokropniejszych środków. Ci, co ją otaczali, gotowi też byli na jedno skinienie dopuścić się zbrodni największej.

Teraźniejsza podróż na Litwę, chociaż go rozdzielała chwilowo z żoną, nie wydała mu się groźną. Zyskiwał na niej więcej niezawisłości, mógł potem odebrać żonę, musiał się o nią upomnieć. Sam król rzymski powinien był mu w tem dopomóc i młoda pani mogła rychlej być wyzwoloną, a ręka Bony, chociaż sięgała daleko, nie tak już silnie dawała się czuć na Litwie.

Wszystko to snuło się po głowie młodemu panu, gdy szedł zamyślony do Dżemmy.

Włoszka na widok jego wybuchnęła płaczem, rzucając mu się na szyję.

— Chcą nas rozdzielić, — poczęła wołać — ja się zabiję, ja nie przeżyję rozłączenia!

Król począł ją uspokajać pieszczotami.

— Nie trwóż się, — rzekł — idę od królowej matki, przyrzekła mi znaleźć sposób, abyś mogła połączyć się ze mną wkrótce.

— Nacóż tu szukać sposobów — wybuchnęła Włoszka. — Cóż nas to obchodzi, że mnie palcami wytykać będą, jako królewską kochankę? Ja o to nie

dbam wcale, ja się tem pysznię. Siądę na wóz, kolebek będzie dosyć i pojedę.

— Tak — rzekł August zimno, — tak, a matce i mnie to wyrzucać będą. Przyjaciele i szpiegi króla rzymskiego patrzą, wiedzą wszystko, królowę i tak czernią, rzuca winę na nią, mścić się będą na królowej Izabeli.

Dżemma z niecierpliwością zaczęła włosy rozrzucać na głowie i szarpać na sobie suknię.

— Nie kochasz mnie już, chcesz śmierci mojej — mówiła, płacząc. — Ja tego nie przeżyję!

— Musisz dla mnie i dla siebie przeboleć tę chwilę. — odparł August. — Uspokój się. Ja i królowa matka postaramy się o to, ażeby rozłłka nie trwała długo.

Dżemma stanęła nagle przed królem z brwiami ściągniętymi.

— Więc cóż? jak? — Mam tu pozostać? królestwo oboje jadą także z młodą panią, nie wiem dokąd. Dwór będzie zmniejszony, przy królowej tylko kilka nas zostanie. Cóż ze mną?

— Zdaje mi się, że nie jeszcze nie postanowiono — odezwał się August — ale mam przyrzeczenie najuroczystsze królowej, iż wkrótce pojedziesz za mną, a matka moja umie spełnić to, co zamierza.

Włoszka zadumała się rozpaczliwie.

— A! — zawołała — królowie! Wy, królowie, jesteście niewolnikami tylko... Boicie się oczów ludzkich, nie śmiecie słuchać serca, kochać i nienawidzić musicie, jak wam każą wasze polityczne interesy... Wolalbym pachołka kochać, niż króla, bo ten, gdybym serce jego miała, mógłby mi swoją miłość okazać, a wy...

Zakryła sobie oczy. Milczał August, nie odpowiadając. Dżemma pocichu płakać zaczęła.

— Tak więc skończyło się owo krótkie marzenie szczęścia, — zawołała, rzucając się na podłogę u nóg Augusta — nielitościwa ręka losu budzi do cierpienia... Szczęście nie wróci...

— Dżemmo! — przerwał król czule.

— Nie pocieszajcie mnie — odparła. — Wy nie

wiecie nie, jak ja; jesteśmy na łasce losu, a co on poczynie z nami, któż zgadnie? Serce moje czuje, iż wszystko skończone... żyć mi się nie chce... Co było, nie wrócił! Plakała znowu.

— Dżemmo, — szepnął August — nie wierzysz chyba we mnie ani w siebie. Prawdziwa miłość cierpliwa jest i więcej ufa własnej sile. Ja wierzę obietnicom matki, jadę i spodziewam się was wkrótce zobaczyć w Wilnie. Pozostawiam cię pod opieką najlepszą.

— Naco mi to wszystko — odparło dziewczę, spuszczaając głowę smutnie. — Chcę umrzeć. Szczęście nie wróci... al nie wrócił!

W przededniu wyjazdu na Litwę sama królowa Bona kazała przywołać syna, zajętego wyborem w podróż.

Przybycie Decjusza młodego od króla Ferdynanda, który dla niej był szpiegiem niebezpiecznym, zmusiło do pewnych względów dla Elżbiety. Obawiała się, aby ją nie oskarżano, że małżeństwo rozrywała, a że wszystkim chciała sama rozporządzać, że najmniejszy krok syna musiał być przez nią obrachowany, zapytała wchodzącego:

— Kiedy i jak myślisz się z żoną pożegnać?

August myślał o tem wprawdzie, ale się obawiał narazić matce, i był pewnym, że ona wcześniej ułoży, jak się ma odbyć pożegnanie. Sądził nawet, iż zechce mu być przytomną. Lękając się narazić żonę, zmilczał. Spojrzał pytająco na matkę.

— Nie wiem jeszcze — rzekł.

Bona podeszła ku niemu; obojętność ta udana podobala się jej.

— Później nie będzie czasu; idź dziś, nie baw długo, kilka grzecznych słów, to dosyć — rzekła. — Nie trzeba, abyś jej więcej okazywał, niż jest w istocie... niech się nie ludzi. Narzucona, nigdy nam miłą nie będzie.

Syn starał się szczególnie w tej chwili okazać posłusznym.

— Pójdę dzisiaj — rzekł chłodno.

Bona spytała o wozy, kolebki, konie, sługi, ich liczbę, bo o każdej rzeczy zawiadomioną być chciała — rozporządziła kto i jak miał jechać. Szło kilka krytych szkarlatem kolebek, szły nieokryte wozy, konie powodne, dwór był niezbyt liczny, lecz po królewsku i wytwornie dobrany.

Bona w wyborze służby nalegała na to, aby dodała synowi wiernych sobie. Chciała codziennie mieć listy od niego.

— Do żony pisać nie potrzebujesz — dodała. — To, co się znajdzie w listach moich dla niej, ja jej sama powiem. Zwierać się jej nie możesz ze wszystkiego, bo przez nią nieprzyjaciele nasi dowiedzą się o tem, czego nie powinni być świadomi. Ja potrzebuję mieć codziennie gońca, koniecznie.

August przyrzekł być posłusznym. Wprost od matki poszedł do pokojów żony.

Tu on był, niestety, gościem, rzadkim bardzo, chociaż wielce pożądanym.

Nawet przy Hölzelinównie, której wierności był pewnym, nie mógł okazać żonie najmniejszego współczucia. Radość, jakaby ono obudziło, mogła zdradzić.

Jak zawsze, tak i tym razem, August wszedł żywym krokiem, a gdy mu piastunka drzwi otworzyła do pokoju, w którym siedziała Elżbieta, na widok jego żywo powstająca od krosien, zbliżył się ku stolowi, o który stanęła oparta.

Rumieniec oblał dziecinną twarzyczkę młodej królowej; król mógł dostrzec, gdy go pozdrawiała, drżenie i wzruszenie. Podniosła ku niemu oczy.

— W. k. mość wyjeżdża? — spytała cicho.

August obejrzał się niespokojnie, chciał mówić i obawa wstrzymywała mu wyrazy na ustach... milczał dość długo...

— Tak — odparł nareszcie z jakimś wahaniem, wzrokiem niespokojnym okazując, iż się lękał być zbyt otwartym, — tak, — powtórzył — muszę jechać na Litwę, sam!

Zniżył głos bardzo i prawie niedosłyszany szepnął:

— Mieście cierpliwość... Bóg da, wszystko skończy się szczęśliwie.

Elżbiety twarz rozpromieniała — oczy, w której krążyły łzy, błysnęły wyrazem wdzięcznym.

Więcej jeszcze, niż mógł usta, król powiedział także wejrzeniem.

— Mam najlepszą nadzieję, — dodał — proszę, miejcie ją i wy, a ufność we mnie.

Podał nieśmiało rękę królowej, która ją pochwyciła, lecz wtem zdało się Augustowi, jakby u drzwi dosłyszał szelest jakiś i cofnął się natychmiast, przełękły, dodając głośno po niemiecku:

— Bądźcie zdrowi!

Uklonił się i, nie oglądając już na królowę, która szła za nim ku drzwiom, pośpieszył wyjść. W progu tylko wejrzenie, które Elżbieta zrozumiała, nakazało jej tajemnicę.

Wszystko to razem zaledwie kilka minut potrwało, a król właśnie chciał tego, aby rozpowiadano, iż pożegnanie było zimne i krótkie.

Hözelinówna, oburzona tem, wbiegła do pokoju królowej z zalamanemi rękami i zastała ją w progu spokojną, niemal wesolą.

Nie mogła zrozumieć swej wychowanicy; Elżbieta jej nawet przyznać się nie śmiała. Między nią a mężem była teraz tajemnica, której ona zdradzić nie chciała, która ją wbijała w dumę i czyniła szczęśliwą.

Cieężko jej było zaprawdę kłamać wobec piastunki, lecz czuła potrzebę, obowiązek. Rzuciła się jej na szyję, aby ukryć twarz, jakgdyby płakała, a Kätchen pocieszać ją zaczęła. Serce biło żywo.

Ta radość, którą musiała osłaniać łzami, przejmowała całą jej istotę. Tak błogo się jej stało na sercu, tak jasną i piękną ujrzała przed sobą przyszłość, iż blask ten zaćmił jej umysł i po błyskawicy szczęścia otoczyły ją mroki.

Na rękach piastunki skostniała i zastygła... wyprężyły się ręce, podniosła głowa, otwarły usta. Kätchen przerażona, poznała w tych symptomatach napad cho-

roby, którą ukrywała tak starannie i która, szczęściem, tak długo w najprzykrzejszych godzinach oszczędzała biedną ofiarę.

Teraz przychodziła ona we śnie szczęścia, ale Hölzelinówna nie wiedziała o niem i tłumaczyła ją sobie, jako skutek wielkiej, przenikającej boleści.

Zwolna, nie tykając prawie, zdołała ją na rękach przenieść na łóżko i złożywszy na niem, pośpieszyła drzwi zaryglować, aby żadne żywe oko królowej w tym stanie, na który czyhała Bona, zobaczyć nie mogło.

Hölzelinówna jedna wiedziała z doświadczenia, iż ani budzić, ni trzeźwić, jak w zwykłym omdleniu, królowej nie było można, — że potrzeba było spokojnie czekać, aż to odrętwienie straszne przejdzie samo i życie powróci.

Nazajutrz Elżbieta spokojnie przez okno przypatrywała się odjazdowi męża, którego kolebki, konie, dwór, służba, psy musiały przeciągać w podwórzu przed oknami starego króla. Chciał je widzieć i przekonać się, że syn ani nadto wspaniale, ani zbyt ubogo nie wystąpi przed Litwinami, niecierpliwie na niego oczekującymi.

August, czy na wyraźnie objawioną wolę matki, czy aby jej nie drażnić, nie przyszedł już w ostatniej chwili pożegnać żony. Bona tylko wyprowadziła go aż na galerję, z całym swoim dworem, ale oczy ciekawych na próżno w nim szukały Dżemmy.

Włoszka, niepohamowana w objawianiu swych uczuć, byłaby się zdradziła; nie dozwolono jej wyjść i Biankę posadzono na straży. Placząc i łkając, rzucała się po swej izdebce, odgrażając na wszystkich, a nawet na ukochanego, którego w dniach ostatnich znajdowała ostygłym i obojętniejszym dla siebie. Serce jej przeczuwało, że miłość ta, na której trwanie liczyła, doszedłszy do najgorętszego rozplomienienia, stygła i słabła. Augustowi nie mogła zarzucić nic, nie zaniedbywał on jej, nie uchybił w niczem, ale też same dowody miłości, które dawniej starczyły, teraz jej zdawały się skąpemi.

Królowa też matka, w początkach tak troskliwa

i pieszcząca Dżemmę, teraz ją powoli zaniedbywała nieco. W chwili odjazdu zdawało się Włoszce, iż powinna była starać się ją pocieszyć i upewnić o tem, iż wkrótce ją wyprawi za synem do Wilna. Tymczasem dzień cały upłynął, Dżemma rozpływała się we łzach naprzemiany i wybuchała gniewem, a, oprócz Bianki, nikt nie przyszedł jej pocieszyć, nikt nawet dowiedzieć się do niej.

Na zamku wszyscy byli zajęci przygotowaniami do podróży. Mówiono o wyjeździe do Nowego Miasta Korczyna; królowa wyznaczyła już była kobiety, które jej towarzyszyć miały — Dżemma nie wiedziała jeszcze, jaki los ją spotka.

Sama się królowej przypominać nie chciała, miłość Augusta wbijała ją w dumę; sądziła się potrzebną i godną tego, aby Bona pierwsza krok uczyniła ku niej.

Tymczasem Bianka, która się nią najwięcej zajmowała, po kilkakroć wybiegając na zwiady, powracając i przynosząc różne wiadomości o tem, co postanowiono o Dżemmie, albo się dowiedzieć nie mogła, lub, jeśli wiedziała coś, powiedzieć jej nie chciała.

Opuszczenie to, zaniedbanie coraz mocniej, dolegliwiej dotykało biedną Dżemmę. Płakała, ale płacz jej przy temperamencie namiętym przeradzał się w gniew i pragnienie zemsty, tak, że Bianka zaledwie ją wstrzymać potrafiła od krzyków i wybuchów.

Drugiego dnia jeszcze nie nadszedł nikt, a Dżemma nie chciała iść do królowej pytać, żalić się, prosić. Zawsze się jeszcze nadto czuła potrzebną, aby się do błagania za sobą poniżać miała.

— August mnie kocha, jestem mu dla życia konieczną, mówił mi to i poprzysięgał tyle razy... nie obejda się beze mnie.

Królowa Bona w istocie myślała o tem, jak miała synowi wysłać kochankę, której była pewną, że ją zdradzić nie powinna, lecz daleko trudniejszem się to okazało w wykonaniu, niż sądziła.

Marsupin czuwał, młody Decjusz siedział w Krakowie, biskup Maciejowski był o wszystkim zawiado-

miony i nie wahał się królowi staremu donieść o tem, co czci królewskiej i powadze szkodliwem sądził. Nie można było wprost jawnie Włoszki wysłać; mówiono by o tem nadto, a Marsupin doniósłby nieochybnie ojcu królowej.

Tak stały rzeczy, gdy Dudycz, który wiedział, że ta chwila dla niego stanowczą być mogła, nadaremnie przez dni parę nastroczając się oczom Bony, która na niego uwagi nie zwróciła, pobiegł do Zamechskiej.

— Królowo moja! — zawołał od progu — ratuj mnie! Włoszka została na koszu, król odjechał, nikt o niej nie myśli... Przypomnijcie jej, królowej, komu chcecie, mnie, który ofiaruje się żenić.

Ochmistrzyni zdumiona popatrzyła na niego.

— Daj ty mi pokój — odparła, — ja się nie podejmuję żadnego pośrednictwa. Gdybyś się powiesić chciał, a mnie o stryczek prosił, prędzejbym ci może go dała. Ja nad Włoszkami żadnej mocy nie mam, a z królową też niewiele poufałości. Idź sam, proś, to będzie najlepiej!

Napróżno Dudycz starał się ubłagać ją i ująć, tyle tylko wymóc potrafił, że mu wskazała czas i miejsce, kiedy i gdzie Bonę będzie mógł znaleźć mniej zajętą i otoczoną.

Dudyczowi tak było pilno, tak się obawiał, aby go kto nie uprzedził, iż o mało się na gniew Bony nie naraził. Schwycił ją przechodzącą ze skarbcza do komnat swych, rzucił się do nóg; naprzód łajac go poczęła królowa, precz kazawszy. Ale ją Petrek przebłagał pokorą, pozwoliła mu iść z sobą, gotowa wysłuchać prośby. Musiała się nawet domyślać, o czem mówić będzie, gdyż nie okazała się zdziwioną, gdy Dudycz oświadczył, że prosi o rękę Dżemmy.

Potem nastąpiło długie milczenie, Bona zacięła usta, popatrzyła na dziwaka tego, nie odpowiedziała nic, kazała mu przyjść nazajutrz rano. Dudycz nabrał otuchy.

Wieczorem, gdy Włoszka chodziła coraz więcej zrozpaczona po swojej komnatce, w której każdy sprzęt

jej króla przypominał, cicho, powolnym krokiem wsunęła się Bona.

Dżemma nadto była swem położeniem przejęta i poruszona, aby dostrzegła, jak teraz inną tu przychodziła królowa matka, dawniej pieszczotliwie i serdecznie się z nią obchodząca.

W istocie zimna, zamyślona, obojętna, dumna, stanęła przed zboląłą Włoszką, która w pierwszej chwili nie wiedziała, jak ma ją witać. Rzucić się do nóg? okazać rozpacz i zwątpienie? prosić o litość?

Oko starej pani badało pilno Dżemkę i wszystko około niej, nim się do niej odezwała. Chciała wyrozumieć, w jakim stanie ją znalazła, i do tego zastosować rozmowę.

Dżemma popłakiwała, ale z za łez spoglądała płomiennymi oczyma na Bonę.

— Daj pokój tym łzom, — odezwała się Bona, pozwoli zajmując miejsce w krześle — pomówmy rozumnie. Uspokójże się, słuchaj!

Włoszka usiłowała napróżno stłumić łkanie.

— Oddawna chciałam mówić z tobą — poczęła sucho i z wyrazem nieukontentowania królowa, — ale ze łzami i lamentami rozmówić się trudno, a ja czasu nie mam słuchać próżnych słów. Cóż ty myślisz?

— Spodziewałam się, spodziewam, król mi przyrzekł, miłościwa pani, wy wiecie, jak ja go kocham! Ja muszę jechać za nim, do niego, gdy z nim jechać nie mogłam!

— Tak! — przerwała Bona — tak! Gdyby to była rzecz tak łatwa do wykonania, jak do powiedzenia! Ale to wszystko na mnie spada! Wam z tem nic, jemu to nie szkodzi, ja pokutuję za niego... na mnie rzucą kamieniem! Jutro, gdybyś wyruszyła po nocy nawet i nikt cię nie widział, jutro wszyscy na dworze i w mieście powiedzą, a poślą raporta do Pragi i do Wiednia, że Bona cię wyprawiła dla syna, aby mu obmierzić żonę.

Dżemma sobie oczy zakryła.

Królowa oddychała ciężko, bo gniew na wspomnienie młodej królowej, współzawodniczki, ją ogarniał.

— Ja muszę coś poświęcić dla syna, — dodała — ale i ty z siebie powinnaś uczynić jakąś ofiarę.

Włoszka odjęła od oczów ręce i facolet, którym je osuszała.

— A! miłościwa pani! jam na wszelkie ofiary gotowa! Cześć moją, młodość, wszystko oddałam!

Jakgdyby trudnem jej było wypowiedzieć, o co chodziło, królowa się zatrzymała nieco, spuściła oczy i machinalnie palcami po poręczy krzesła przebierać zaczęła.

Dżemma oczekiwała.

— Ja cię tak samą wysłać nie mogę — rzekła po bardzo długim przestanku. — Poszukaj sama w swojej głowce, jakby się to ułożyć dało, abyś miała prawo opuścić dwór i, nie narażając mnie, wyjechać, gdzie ci się podoba.

Rozwiązanie tego zadania, które Bona rzuciła z uśmiechem ironicznym, nie było łatwem dla Włoszki. która, usłyszawszy je, stała zdumiona, zamyślona, nie pojmując, co ono znaczyć miało.

— Jakto? Więc ty, rozumna i przebiegła, sama na tę myśl wpaść nie możesz? — zapytała królowa. — A jednak rzecz to bardzo prosta!

Słuchała Dżemma.

— Możesz być swobodną — tylko wychodząc zamąż — dodała królowa.

Włoszka wydała okrzyk bolesny.

— Ja? zamąż? — zawołała z odrazą — ja stać się jemu niewierną? ja!

— A! — odparła Bona obojętnie — jakgdyby nie mógł znaleźć się człowiek, który cię poślubi i nic za to od ciebie wymagać nie będzie, pozostawi cię wolną.

— Ale jabym przysięgać musiała?

— Przysięgi tej natychmiast dotrzymywać nikt cię nie zmusi. Mąż się zgodzi być powolnym — szepnęła Bona.

Włoszka, której się to ni w głowie, ani w sercu pomieścić nie mogło, rzucać się zaczęła dziwnie i niezrozumiałemi urywanemi wyrazy protestować.

Bona powstała z siedzenia.

— Pomyśl o tem — rzekła; — to sposób jedyny, ja innego nie widzę. Dodam tylko, że takiego męża powolnego wynajdę może dla ciebie. Musisz się przygotować wszakże, iż powabnym nie będzie, ani młodym, ale za to posłusznym.

Nie tłumacząc się więcej, Bona powstała, popatrzyła na osłupioną Dżemmę i wyszła.

Zostawszy sama, biedna Włoszka długo się z miejsca nie poruszała. Myśli chodziły jej po głowie poplątane, dziwne, niezrozumiałe; dreszcz ją przejmował na samo przypuszczenie małżeństwa jakiegoś, związku, któryby dawał nad nią moc nienawistnemu człowiekowi obcemu.

Jeszcze w myślach tak zatopioną stała, gdy w progu dały się słyszeć kroki nadbiegającej Bianki. Szła tak prędko, jakby była posłaną na pociechę biednej dziewczynie.

Dla tej pocziwej, ale ze wszystkimi przewrotnościami dworu oswojonej dziewczyny, która się nigdy nie dziwiła niczemu, myśl królowej nie wydała się bynajmniej zdrożną ani wstrętliwą, raczej zręczną i zamykającą usta wszystkim. Bianka wiedziała o niej. Polecono jej przyjaciółkę z nią oswoić. Wbiegła wesoło.

— Cóż ty się we złach tak kąpiesz, — zawołała — gdy właśnie wszystko się jak najlepiej składa.

— Co? jak?

— Wyjdiesz zamąż, będziesz panią swej woli! Pojedziesz za królem, usta zamkniesz ludziom!

Zbliżającą się ku sobie Dżemma odepchnęła zlekka.

— To okropne! — zawołała.

— Mój Boże! Cóż w tem tak strasznego? — szczerbiocząc i około Dżemmy biegnąc, poczęła Bianka. — Mąż ten przyszedł na wszystko się zgodził! Rachuje na łaski króla, da ci swobodę zupełną. Alboż to raz się tak ludzkim plotkom zapobiegało? To rzecz nie nowa.

Włoszka znużona zwolna, pozornie się uspokajając zaczęła. Nogi pod nią drżały, rzuciła się na siedzenie we framudze okna.

Myślała, ktoby to mógł być ten mąż, który miał jej dać nazwisko, swobodę i sprzedać się za łaskę królewską. Wzgardę miała ku temu człowiekowi, nie znając go.

— Kogóż królowa stręczy? — przebaknęła ze wstrętem.

— Królowa nie stręczy, ale on się sam naprasza — odparła Biana. — Przypomnij sobie te tajemnicze podarki.

Lice Dżemmy okryło się rumieńcem. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie tego, co ją tak po królewsku obdarował, i tego, co teraz tak podle sięgał po jej rękę. Nie umiała pogodzić z sobą tych dwóch, tak w jej pojęciu różnych ludzi.

Podniosła głowę. Biana, patrząc na nią, uśmiechała się ciągle.

Na twarzyczce Włoszki miejsce oburzenia zajął podziw jakiś, zdumienie, ciekawość. Towarzyszcze zdawało się, że mogła począć odsłaniać tajemnicę.

— Mam ci powiedzieć, kto on jest, ten zakochany w tobie, którego miłość idzie tak daleko, że się gotów twojemu szczęściu poświęcić?

Milczała Dżemma, ale milczenie to znaczyło: mów!
Zawahała się Biana nieco.

— Człowiek jest — rzekła — bogaty bardzo, wcale niemłody, a, niestety, figurą i twarzą śmiech obudzający. Wielu mówi, że dobry ma być, nikt nie powiada, że złym być może. Czegóż można więcej wymagać od takiego słomianego męża?

Myśli Dżemmy, w miarę, jak mówiła Biana, musiały biegać i szukać we dworze kogoś, coby wizerunkowi odpowiadał, ale go znaleźć nie mogły. Poruszyła ramionami i jeden wyraz tylko z ust się jej wyrwał:

— Bogaty?

Biana śmiała się.

— Al! tak! powiadają, że jest bardzo zamożnym — odezwiała się — a najlepszym dowodem tego są podarki, za które nawet spojrzenia nie wymagał.

Włoszka jeszcze bładziła gdzieś myślami, po łysi-

nach starych dworaków, gdy towarzyszka jej, uderzając w ręce, zawołała:

— Piotr Dudycz! Dworzanin królewski.

Nazwisko to, niemal zapomniane, nieznane prawie, nierychło przywiodło Włosce na myśl pocieszną postać, do której się odnosiło.

Skrzywiła usta z odrazą, drgnęła cała ze wstrętu i nie odpowiedziała nic.

— Nie będę się starała dowodzić, że się do jego maskary przyzwyczaić można, — wtrąciła Biana — możesz bowiem nie patrzeć na niego. Królowa powiada, że się na wszelkie warunki zgodzi, byle w oczach ludzi za męża twojego uchodził.

Z drugiej strony, kochana Dżemma, możesz być pewną, że inaczej, jak czyjaś żoną, królowa ci nie pozwoli jechać za synem. Nadto już mówiono o tem, że ona się opiekowała tobą, na złość młodej królowej. Chce, żebyś jechała, ale boi się, aby na nią to nie spadło. Nie masz wyboru... biedna!

A gdy Dżemma ciągle jeszcze ani słowa nie odpowiadała, dodała prędko:

— Tak, nie masz wyboru i wiesz co? Przyjmiesz go, czy nie, zrobisz, co ci się podoba, pozwól mu się widzieć z sobą, rozmów!

Dżemma załamała ręce i poczęła płakać pocichu. Biana nawet, dawno ostygła i płocha, nie mogła na nią patrzeć bez litości i poczęła pieścizotami, słodkimi słowy starać się ją pocieszyć, a ból ten łagodzić. Lecz czemże mogła osłodzić gorzkość takiego położenia bez wyjścia innego nad jedno — upokarzające i sromotne!

Popłakały się obie i rozmowa zamknęła długim milczeniem.

Nazajutrz Dudycz, który stawiał się do Bony, jeszcze piękniej ubrany, niż zwykle, otrzymał pozwolenie widzenia się z Dżemną.

— Idź sam swoją sprawę popierać — odezwiała się Bona, — ja przymuszać jej nie mogę. Wszystko zależy od tego, jak sobie poradzisz. Pamiętaj tylko, że dumną jest, i że, bądź co bądź, ona tobie, nie ty jej wyświadczasz łaskę.

Dudycz, pokłoniwszy się do ziemi, wyszedł; ale za ledwie za progiem postrzegł, że mu samemu iść nie wypadało i nie było dogodnem.

Zamechska, którą niemal na kolanach prosił o pomoc, wręcz mu odmówiła. Bianka, czatująca na niego, także z nim wchodzić nie chciała, ale dodała mu odwagi, doprowadziła do samych drzwi, wpuściła go i uciekła.

Dudycz, wszedłszy drżący do znanej komnatki, w której oknie Włoszka zwykła była siadać, nie znalazł jej tu. Dopiero po chwili wyrzała z sypialni, zmarszczyła się, pochwyciła zasłonę we drzwiach wiszącą, zawahała chwilę czy wnijdzie, i gdy ją Dudycz zobaczył, a pokłonem pozdrowił, powoli, krokiem majestatycznym wsunęła się do izby.

Dudycz szukał po głowie, od czego rozpocznie.

— Królowa jmość, — począł, jakając się cicho — królowa jmość uczyniła mi nadzieję, że zechcecie mnie wysłuchać.

— Wiem, co mi powiedzieć macie — odparła sucho Dżemma, po krótkim namyśle. — Ważycie się na sprawę trudną, a dla was... no i dla mnie sromotną! Mnie zresztą niewiele obchodzi, co ludzie powiedzą, wiem, co mi za to zapłaci, ale wam!

Dudycz się zmieszał.

— Dawno, już dawno — odezwał się — serce moje wam oddałem. Na wszystkim gotów!

— Aby nic za to, oprócz wzgardy, nie otrzymać — przerwała mu Włoszka. — Nie rozumiem rachuby waszej. Rękę wam dać mogę być zmuszoną, ale więcej nic, nic... nawet litości!

Dudycz podniósł ku niej oczy. Nie pałała w nich namiętność, — on sam przestraszonym się wydawał, ale niemniej rozkochanym.

Dżemma odstąpiła kilka kroków, poszła ku oknu, nie patrząc na niego. W ciągu długiej nocy porachowywała wszystko, gotową była wyjść za tego nikczemnego w swem przekonaniu człowieka, lecz chciała zawczasu odjąć mu wszelką nadzieję, aby małżeństwo to kie-

dykolwiek czem innem być mogło, nad udanie i kłamstwo.

Dudycz zaś postanowił na wszystko się zgodzić, rachując, iż przyszłość zmieni warunki, a Włoszka będzie musiała się im poddać.

Milczeli oboje, gdy Dżemma się odwróciła, stanąwszy zdaleka przy oknie.

— Wiecie warunki — rzekła; — rękę wam dam, więcej nic. Żadnej mocy nade mną. Po ślubie natychmiast wyjeżdżamy za młodym królem do Wilna.

— Wiecie, że ja się zgadzam na wszystko — rzekł krótko Dudycz.

— A wy powinniście wiedzieć — dodała Włoszka, — że jeśli macie mnie oszukać, zawieść, siłą przemóc, zawiedziecie się na tem. Mam obrońcę w królu, w królowej, ale i w sobie samej, tak!

To mówiąc, z za sukni dobyła sztylecik w misternej oprawie, obnażyła jego ostrze i schowała napowrót. Dudycz milczał.

— Przygotujcież się do ślubu razem i do podróży. Jedna z moich towarzyszek pojedzie z nami, ale potrzebuję i służby, i wozu, jak mi przystało.

— Kolebkę mam szkarłatem wybitą — odparł Dudycz. — Cztery woźniki jak najlepsze. Znajdę służbę i dwór pokaźny. Na niczem wam zbywać nie będzie.

— Oprócz klejnotów moich, sukien i sprzętów — dodała zimno Włoszka — nie mam nic. Pieniędzy, gdyby mi je dała królowa, nie podzielę z wami, ani wam dam tknąć, muszę je mieć na wszelką przygodę.

— Ja ich nie potrzebuję — odparł Dudycz, który, widząc, że wszystko się nad spodziewanie jego lepiej i łatwiej składało, odzyskiwał męstwo i zaufanie w sobie.

Dżemma stała straszliwie blada i drżąca. Spełniła ofiarę, ale w głowie jej jeszcze nie mogła się pomieścić ta straszna myśl umowy z człowiekiem wstrętliwym, który w niej obudzał obawę, równą i odrazę, i łyzy rzuciły się jej z oczów.

Dudycz postąpił kroków parę, jakby rękę jej chciał

ująć i pocałować — Włoszka z krzykiem się schroniła we framugę okna, odpychając go rękami.

— Nie zbliżaj! nie zbliżaj się do mnie! Idź, przygotowuj, co potrzeba... dziękuj królowej, mnie nie! Nigdy!...

Zmieszany Petrek cofnął się do progu i zamruczał, że i dla ślubu, i dla wyjazdu naradzić się z nią, aby wedle myśli jej postąpić, będzie potrzebował.

— Możecie przyjść, jak teraz — odparła dumnie — lecz żadnej poufałości. Nie znoszę jej, pamiętajcie o tem!

Petrek posłuszny, zwolna doszedłszy do drzwi, wysunął się z komnaty, a znalazłszy się w korytarzu, jak pijanym się uczuł, otarł czoło, okryte potem, musiał stać chwilę, nim oprzytomniał.

Dżemma po swojej izdebce latała także, jak oszalała, chwytając i rzucając, co jej pod rękę wpadło, stając zadumana i rwąc piękne swe włosy, a Dudycz zbierał myśli rozbite, doszedłszy nagle do celu i nie wiedząc sam, czy dobrze, czy źle się stało. Wierzył w to, że Włoszkę ugłaskuje i pokona, ale teraz wydała mu się zbliska daleko dzikszą, niż ją sobie wyobrażał.

Przywykły do oszczędności, Dudycz obrachowywał też w myśli, na jak wielkie ofiary narażą go wymagania kobiety, która wcale żałować go nie myślała.

Resztę dnia tego, nie spoczywając na chwilę, użył Petrek na zamawianie ludzi, kupno koni, uprzęży, jednej kolebki, której mu brakło, wozów i t. p.

Późno w nocy w gospodzie jeszcze gwarno u niego było... i izba zarzucona uprzężą, bronią, naczyniem wyglądała, jak śpichrz nieporządkny, gdy wpadł do niej Marsupin.

Wiedział on już od podskarbiego o małżeństwie, ale mu niespełna dawał wiarę; przybiegł się czegoś dowiedzieć.

Wyszli razem do alkierza.

— Widzę z waszmości zajęcia, że chyba prawda, iż się żenisz i z żoną do majątku wraz jedziesz. Prawda li to?

— Prawda, — odparł Dudycz — ale co mam wam kłamać, kiedy to rychło na wierzch wynijdzie. Jadę z żoną do Wilna.

Marsupin odskoczył od niego i spojrzał z pogardą.

— Że się z kochanką króla żenisz, — zawołał — to jeszcze mniejsza; znalazłoby się wielu, coby ją wzięło, lecz żebyś ją potem królowi wiózł, toć nie do wiary?

— A któż mówi, że ja ją wiozę królowi? — odezwał się Dudycz. — Jedziemy, aby z jego łaski korzystać i pod opiekę się oddać. Na Litwie dosyć ma ziemi do rozdania.

Włoch ruszył ramionami.

— Ślepy jesteś, jak kret — rzekł. — Królowa matka na to wesele dzwoni, za jej wiedzą jedziecie, jawna rzecz, o co chodzi: aby król do żony nie tęsknił i z nią nie żył.

— Cóż wasza za powinność będzie — rozśmiał się szydersko Marsupin — na straży stać, gdy się j. k. mość z waszą żoną zabawiać będzie?

Dudyczowi twarz pobladła i poczerwieniała zaraz, zabelkował coś niewyraźnego.

— Pozwólcie — dokończył, — to moja sprawa, niczyja!

— Pewnie — odparł Marsupin; — jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz; ale pamiętajcie, że gdyście dotąd niewiele mieli miru u ludzi, teraz go mniej jeszcze pozyskacie, choćbyście łaskę młodego króla mieli.

Włoch, któremu pono o to tylko szło, aby się przekonał, jak rzeczy stały, a nie o nawrócenie Dudycza, którego upór i głupotę znał dosyć, pożegnał go odniechcenia i szedł precz.

Wszystko potem wedle programu się dokonało, z tym dodatkiem, iż, mimo skąpstwa swego, Bona, starając się ująć kochankę syna, około której ciągle teraz pilno się krzątała, wyprawę jej dała obfitą i kosztowną. Nie brakło ani tkanin na suknie, ani futer, łańcuszków i naczyń, ani pięknych drobnostek, tak, że Dudyczowi Bionka dała znać, iż bodaj jednego wozu pod skrzyń nie będzie mało, a Dżemma nic nie chciała w Krakowie

zostawiać. Ślub potem odbył się z rana o świcie w katedralnym kościele, przy którym mało co świadków było i wkrótce po nim, padłszy do nóg Bonie, płacząc, Dżem-ma wraz z dworem swym wyruszyła ku Litwie.

Bianka i stara Włoszka dodane jej były nie tak dla niej samej, jak dla interesu Bony, która o synu chciała być zawiadomioną, a na rozkochaną Włoszkę nie mogła się zdać we wszystkim.

Chociaż ożenienie pośpieszne i zaraz po niem wyjazd Dżemmy z Krakowa trzymany był w tajemnicy, cały świat wiedział i mówił o nim. Bona tylko głośno się odzywała, że Dudycz z żoną wyjechali w Krakowskie, a nie, jak fałszywie utrzymywano, na Litwę. Marsupin głową potrząsał i głośniej jeszcze twierdził, że Bona trwała w niegodziwym zamiarze rozdzielania młodego małżeństwa, i że ona to małżeństwo skleїła, aby Dżemmę do Wilna wyprowadzić, nie narażając siebie.

Wyjazd królowych obu i starego pana, przybory do niego, popłoch, jaki powietrze w Krakowie obudzało, nie dozwalały w pierwszej chwili bardzo szerzyć się tym pogłoskom. Wysłano młodego króla, wyjeżdżała reszta dworu, uciekał Gamrat do dóbr arcybiskupich, panowie wszyscy opuszczali nieszczęśliwy Kraków, więc i bogatsze mieszczaństwo i kupcy uciekali, gdzie kto mógł, w lasy, na wsie i folwarki, gdzie czuli się bezpieczniejszymi od zarazy.

Nieszczęśliwego Marsupina los był nie do pozazdrosczenia. Gdy pierwszych dni sierpnia naostatek królestwo z młodą panią wyjeżdżali na Mazowsze, napróżno domagał się, prosił, napierał, zabiegał, aby go dopuszczono do Elżbiety. Bona czuwała i tak przez Opalińskiego obstawiała synową strażami, że Włoch się do niej docisnąć nie mógł w żaden sposób.

Opaliński mu z zimną krwią dowodził, że poselstwo, jakie sprawiał do królowych, królów obu i innych osób, spełnił już, że nie miał tu nic więcej do czynienia, a uwłaczającego sobie szpiegowania czynności

królestwo oboje dopuścić nie mogą. Nalegano na Włocha, aby jechał precz.

Lecz tu się w istocie sprawdziło przysłowie: trafiła kosa na kamień. Nikt nigdy Bonie tak srodze i zuchwale nie dojadł i nie dokuczył, jak ziomek jej, Włoch ów, Marsupin. Oprócz gorącego temperamentu człowieka, przywiązania jego do króla rzymskiego, któremu służył, politowania nad losem królowej młodej, była dla Marsupina w grze jego miłość własna. Im bardziej Bona starała się go poniżyć, odepchnąć, tem zajadlej trwał na stanowisku, nie dając się ni ująć, ni ustraszyć. Było w tem i coś zemsty za pomiatanie nim i grubjańskie obchodzenie się, i chęć gorąca postawienia na swoim.

Odepchnięty od dworu, gdyż i król Zygmunt Stary dał sobie wmówić, iż szpiega cierpieć był nie powinien, Marsupin pozostał, pomimo powietrza, w Krakowie, wysławszy listy do króla, prosząc o nowe pełnomocnictwo, o pismo dla doręczenia Elżbiecie, o coś takiego, coby go upoważniało dobijać się do drzwi zamkniętych.

Mówiono, iż królestwo, po kilkodziowym spoczynku w Nowem Mieście Korczynie, udać się mieli na Mazowsze i tam w lasach przebyć ten czas, dopóki by mór w Krakowie nie ustał. Spodziewano się, że za parę miesięcy, gdy upały ustaną, jesień i zima się zbliżą, powietrze zniknie. Włoch gotów był, jak tylko listy otrzyma, ruszyć za dworem i do Korczyna i na Mazowsze, chociaż pieniędzy mu już brakować zaczynało, zdrowie szwankowało, a pomocy od nikogo nie przyjmował, aby panu swemu ujmy przez to nie czynić.

Włoch krzyczał wniebogłosy przeciwko rozłączeniu młodej pary, dowodził, że siłą wstrzymano królową Elżbietę, która i chciała i powinna była towarzyszyć mężowi do Wilna; bił w to, ażeby jej dozwolono natychmiast się z nim połączyć. Dopomagali mu w tem i potakiwali biskup Maciejowski i podskarbi Boner, ale oni nie występowali pierwsi, jemu pozostawiając, aby intonował i trąbił o tej krzywdzie i ucisku.

Z pewną pociechą dla siebie Marsupin, w pustym i coraz pущеjszym Krakowie pozostawszy sam prawie, dowiedział się trzeciego dnia po odjeździe obojga królestwa z Elżbietą, że król Zygmunt Stary, czy to skutkiem wzruszeń, jakich doznawał, czy podróży w porę skwarną, ledwie do Niepołomic dojechawszy, zaraz zachorował, a lekarze mu tu spoczywać kazali, dopóki by sił nie odzyskał.

Chociaż zameczek w Niepołomicach i miejscina niebardzo do długiego pobytu się nadawały, odosobnione położenie wśród lasów było rękojmią, iż powietrze tu niełatwo przeniknie. Wszelkie oprócz tego ostrożności przedsięwzięto, aby z Krakowem zapowietrzonym zerwać całkiem stosunki, nikogo tu nie dopuszczać i odosobnić dwór zupełnie.

Włoch wiedział o tem i przeczuwał, że mu do Niepołomic niełatwo będzie się dostać, ale upartym był i rachował na biskupa Maciejowskiego, który mu powinien był ułatwić przystęp. Oczekiwane listy od króla Ferdynanda za ledwie nadeszły, gdy już nazajutrz Marsupin siadł na koń i ruszył ku Niepołomicom.

Już prawie pod samemi Niepołomicami, bo miasteczko wdali widać było, zabiegł mu drogę sekretarz biskupa Maciejowskiego, młody Drwęcki. Wysłany on był umyślnie i z frasobliwą miną zbliżył się do Włocha.

— Na Boga milego! — zawołał, witając Włocha — ani myślcie się do nas dostać; królowa Bona przeciwko wam rozżalona, gniewna, gotowa na wszystko, a jej ludzie nie będą was szczędzić... ks. biskup w największej o was trwodze. Życie możecie stawić na kartę. Zaklinam was, nie jedźcie.

Marsupin się nie strwożył.

— Życie oddawna ważyłem, — rzekł — cofnąć mi się niepodobna. Mam listy, które mi polecono oddać, rozkaz spełnić muszę i spełnię.

Drwęcki objął Włocha, odwiódł na stronę i łagodzić go począł.

— Wiecie dobrze, iż ks. biskup płocki sprzyja młodej królowej, a waszą gotowość do jej usług wysoko

ceni, posłuchajcie go. Nie narażajcie się nadaremnie. Do króla z listami, czy bez nie dostaniecie się, bo chory jest, a gdy choruje, Bona go na krok nie odstępuje i ona przy jego łożu panią. Nikt i nic nie pomoże.

— Wrócić nie mogę! — odparł Marsupin.

— Ks. biskup radzi udać się tymczasem do Bochni i tam czekać — rzekł Drwęcki. — Tymczasem on wyrobi to przynajmniej, ażebyście listy odesłać mogli. Co się was tyczy, Bona się zakłęła, że was nie dopuści.

— A jam się zaklął, że dostanę się, bodaj przebojem — zawołał Marsupin. — Powiedzcie ks. biskupowi, iż dla czci króla, pana mojego, jako poseł jego ustąpić nie mogę. Mam listy, mam szkatułkę dla królowej Elżbiety, nie oddam inaczej, jak do rąk własnych.

Chciał Drwęcki jeszcze wrazić Marsupinowi trwogę, ale na próżno.

— Wiecie, — rzekł — iż Bona ma ludzi, którzy, gdy jawnie czego nie potrafią dokazać, nie zawahają się i zasadzkę uczynić i potajemnie człowieka sprzątnąć. Królowej dokuczylście wielce, odgraża się przeciwko wam, bądźcie ostrożni!

Po długim sporze Włoch się dał przekonać o tyle tylko, że tymczasowo obiecał czekać w Bochni, ale prosił Drwęckiego, aby biskupowi oświadczył, że co odłożone, to nieporzucone, i że on poselstwo, bądź co bądź, spełnić musi.

Wskazał tedy Drwęcki Włochowi drogę do Bochni, kawałek go jeszcze przeprowadziwszy — i tak się rozstali.

Marsupin ruszył do Bochni, jak przyrzekł, i tu w li-chej bardzo gospodzie postanowił czekać. Jak mu się tu działo, mówić nie trzeba. Wygód wszelkich brakło, lecz Marsupin na to był obojętnym. Kawałkiem chleba i zieleniną obchodzić się był gotów.

Cały tydzień upłynął Marsupinowi na tych smutnych rekolekcjach bocheńskich, gdzie już i żupy opatrzył, i z ludźmi się poznał, i do proboszcza trafił, i czem tylko mógł, czas zabijał.

Zniecierpliwiony Włoch, dłużej już czekać bez wia-

domości żadnej ze dworu nie mogąc, wystosował list błagający do króla starego, aby mu poselstwo sprawić dozwolono.

Ale list wyprawić było niedosyć, musiał wyszukać posłańca takiego, któryby się podjął to pismo oddać do króla naówczas, gdy przy nim się znajdował Maciejowski, na którego pomoc rachował.

Nastreczył się urzędnik od żupy, który wioził pieniądze, a którego Włoch sobie ujął datkiem, zakławszy go, aby nieinaczej, jak przy ks. Samuelu list wręczył. Tak się też stało.

Ale oprócz biskupa siedziała u łoża nieodstępna Bona, bo ile razy król chorował, chodziła około niego z pieczołowitością wielką, wiedząc, że życie małżonka stanowiło o jej panowaniu. Ufała miłości syna, lecz przewidywała, iż zawsze nad nim władzy, jaką miała, utrzymać nie potrafi.

Zaledwie ks. Samuel, list otworzywszy, czytać rozpoczął, gdy królowa porwała się z krzykiem.

— Za nic w świecie nie chcę tu mieć Marsupina... za nic!

Król zwrócił się flegmatycznie z zapytaniem ku niej.

— Dlaczegożby nie miał przybyć do nas? — zapytał.

Nim królowa zebrała się na odpowiedź, Maciejowski się odezwał:

— Wiem o tem na pewno, że Marsupinowi zabroniono przystępu na dwór w Krakowie i zakazano mu jechać za nami. Musiał pozostać. Jest to obraza dla króla rzymskiego, gdy się jego posła poniewiera.

Bona krzykiem i płaczem nie dała mówić biskupowi, który zamilkł. Krzyknęła Bona, coraz się bardziej unosząc.

— Nie chcę tu tego zuchwalca! Dosyć od niego cierpiałam. Nie dopuszczę go! Nie pozwolę!

— Pozwolisz w. kr. mość przynajmniej, — prze-rwał Maciejowski — iż ja słowo rzeknę za posłem, bo dla króla i dla nas igrać z cesarzem i królem rzymskim

niebezpieczna. Mścić się będą, Włocha raczej trzeba ugłaskać, niż jątrzyć.

— A ja, ja tu już u was nic nie znaczę! — poczęła wrzaskliwie królowa. — Wszystko dla młodej czynicie, dla mnie nic. Cóż wam ta młoda przyniosła? co? Ja wam skarby wniosłam, a ona grosza nie ma.

Zygmunt się począł gniewać i zawołał:

— *Tace fatua!* (milcz, głupia). Tyś mi nic nie przyniosła! nie!

— Jakto! — przerwała z wściekłością Bona — nie przywiozłamże 50000 dukatów i skrzynkę, drugie tyle wartującą.

Maciejowski nie wtrącał się już, ale król aż drżał z oburzenia i powtórzył:

— Niceś mi nie przyniosła! Co przyniosłaś, to trzymasz dla siebie; ja twojego szeląga nigdy nie widziałem, a niemałom dał. Elżbieta jest tak, jak córką moją, za córkę ją mam, krew to moja; nie da ojciec posagu, ja go jej dam, bo chcę, aby posag miała.

Zawrzało tedy okrutnie.

Bona, unosząc się, krzyknęła:

— Polacy są najgorsi ludzie w świecie.

Biskup obrażony wstał i odparł:

— N. pani, Polacy źli nie są, ale do zbytku cierpliwi.

Zygmunt natychmiast, ręką uderzywszy o krzesło silnie, nakazująco zawołał:

— Milczeć!

Bona z płaczem padła na krzesło. Korzystając z tego, Maciejowski ciągnął dalej:

— Okazuje się z listów, że Marsupin, oprócz nich, ma dwie szkatułki do wręczenia królowej. Byćby mogło, że się w nich znajduje część posagu.

Zygmunt, słysząc to, spojrzał na Bonę. Nastąpiła chwila milczenia.

— Więc niech przyjedzie, — zawołała królowa — niech przyjedzie, odda szkatułki, ale potem natychmiast precz! Ja tu cierpieć nie mogę tego szpiega, tego niegodziwego potwarcy!

Ks. Maciejowski wstał, czekając rozkazów króla.

— Pisz do niego ks. biskupie, aby przybywał.

Nazajutrz Marsupin uszczęśliwiony odebrał list i chwili nie tracąc, siadł na koń do Niepołomic. Miał zezwolenie, ale znając usposobienie królowej dla siebie, wiedział dobrze, co go tu czekało. Niechęć Bony miała go ścigać zawsze, bo Włoszka nie zapominała nic i nie przebaczała nigdy.

Przed miasteczkiem jeszcze na drodze od Bochni spotkał Marsupina sekretarz biskupa.

Niepołomice, strzeżone ze wszech stron, wyglądały, jak czasu wojny, a około zameczku pozapalane kupy liści dymiły i wyziewem gorzkim przepełniały powietrze.

Marsupin jechał z miną triumfującą.

— A co? — zawołał wesoło, witając niskim ukłonem Drwęckiego. — Widzicie, ja i moje szkatułki zdobyliśmy szturmem nieprzystępne Niepołomice. Cóż królowa?

Drwęcki miał poważną twarz i lice niewesołe.

— Tak, — odparł — księdzu biskupowi i szkatułkom winniście, że was tu dopuszczono, ale nie pochlebajcie sobie, ażebyście wielkie i trwałe odnieśli zwycięstwo. Królowa musiała ustąpić, ale tem gorzej. Nigdy ona wam tego nie przebaczy. Wszyscy, co ją znają, wiedzą, że nienawiść i chęć zemsty ku wam wzmogła się przez to. Miejcie się na baczności.

Od sekretarza dowiedział się Włoch, że miał wprowadzić pozwolenie oddania listów i szkatulek, ale razem zastrzeżono, że natychmiast potem oddać się musi. Nie dozwolano nikomu, pod żadnym pozorem, przybywającemu z Krakowa pozostawać dłużej w Niepołomicach, zerwano ze stolicą wszelkie stosunki, i nie bez przyczyny, gdyż w istocie powietrze srożyło się w mieście coraz więcej, a już w Niepołomicach i po drodze, mimo wszelkich ostrożności, kilku pacholków i służby pomierało.

— Ks. biskup Maciejowski — dodał Drwęcki — kazał was ostrzec, że zaprawdę nie wie, jeżeli noc wam

tu przepędzić przyjdzie, gdzie się pomieścicie. My na zameczku w Niepołomicach tak ciasno siedzimy, że ks. Samuel ma ledwie jedną izbę dla siebie, drugą dla nas, a zarząd dworu i służba cała w rękach królowej, więc pewnie wam kwatery nie znajdą. Na mieście wszędzie pełno, a gdzie ludzi gęsto, tam pod ten czas powietrza nie jest bezpiecznie.

Marsupin ręką zamachnął.

— Ale, ba! — zawołał — o to się ja bynajmniej nie troszczę i gotówem pod gołem niebem koczować, bylebym spełnił polecenie mego pana, listy do rąk pooddawał, a z królową Elżbietą się widział. Nie będę nawet, wiedząc o tem, nikogo prosił o pomieszczenie, a gdzie konie moje w jakiej szopie staną, tam i poseł króla rzymskiego na słomie lub na ziemi spocznie.

Oczekiwano już w Niepołomicach na Marsupina, aby się go pozbyć co najprędzej. Zaledwie przed pierwszym podwórcem z koni zsiadli, tuż przy owych kurzyskach z liści dębowych i piołunu, ledwie Włoch zdołał dobyć szkatułki owe sławne, w których nie było posagu, ale małe podarki matki, ojca i rodzeństwa dla królowej, wysłani dworzanie, szeregiem postawieni, ofiarowali się prowadzić Marsupina do Elżbiety.

Włoch złośliwy a chytry umyślnie, dopiawszy już celu, zwłóczył tak, aby z tą ceremonją oddawania listów i szkatulek przeciągnąć prawie do wieczora. Wiedział bardzo dobrze, iż w skrzynkach ozdobnych nie było pieniędzy, ani nic tak dalece kosztownego, ale nadał tej ceremonji taką cechę uroczystą, jakby skarby lub relikwje przywoził. Urągał się tem królowej Bonie. Sam strojny, przy szpadzie, z miną pełną powagi, służba napuszczona, jakby świętości dźwigała, skierowali się po chodem wolno wskazaną drogą do szczupłych pokojów, w których Elżbieta oczekiwała posła.

Marsupin pysznił się zwycięstwem, nasycił niem, przedłużał z namysłem przyjęcie, tak, aby dnia tego nie spełnić całego poselstwa i mieć powód pozostania dłużej naprzekór królowej.

Zobaczywszy Elżbietę, która go bardzo uradowana,

wesołą twarzą i wzrokiem jasnym przyjęła, zdziwił się nieco, widząc ją daleko rzeźwiejszą, mniej cierpiącą, ożywioną więcej, niż się spodziewał.

Obok Elżbiety cały dwór składały tylko jej piastunka i pozostałe cztery panny.

Długą, rozwlekłą mową Włoch począł ją pozdrawiać, położył listy, oddał dwie szkatuły i wkońcu oświadczył, że ponieważ dnia tego późno było, musiał rozmowę z królową do innego dnia odłożyć, a oprócz tego i królowi Zygmuntowi, i królowej Bonie oddać pisma dla nich przeznaczone.

Królowa spytała o zdrowie rodziców, wymieniono słów kilka i Włoch, gdy już zmierzchać zaczynało, usunął się, wprost zmierzając do ks. biskupa Samuela.

Znalazł swojego protektora i pośrednika zakłopotanym wielce.

— Spelniliście poselstwo wasze? — zapytał go, wprowadzając do siebie, Maciejowski — chwalcieź Boga za to i nie drażnijcie złego!

— Ale ja mojego poselstwa zaledwie częśćkę spełniłem — odparł, nisko się kłaniając, Marsupin. — Choćbym miał podrażnić, nie ustąpię, aż się z królową Elżbietą rozmówię i powiem jej, co mi nakazano, aż królowi wręczę list, no, i królowej Bonie.

— Lecz wiecie, jak dla was jest usposobiona? — odparł biskup.

— Wiem i mam tego dowody, — rzekł zimno Marsupin — ale to mnie od spełnienia obowiązku nie powstrzyma. Nie ruszę się stąd, aż mi miłość wasza wyjedna posłuchanie.

Biskup westchnął.

— Nie wiem, — rzekł — czy to dobra polityka z waszej strony, że Bonę zagniewaną przywodzicie do ostateczności.

— Ustąpić nie mogę — odparł Marsupin. — Com zamierzył, dokonać muszę. Mam za sobą króla rzymskiego i cesarza, a pogrózek się nie obawiam.

Włoch, gdy po dłuższej rozmowie rozstał się z Maciejowskim, naprzód musiał iść już pociemku koni

swych i ludzi szukać. Znalazły się one poza zameczkiem w nędznej, napół rozwalonej szopie, w której oprócz nich mieściła się gawiedź od wozów najbrudniejsza i najlichsze szkapy. Ciasno było, a co gorzej, szopa w cieniu za murami i u ścieków leżąca, wpół zgniła, ziemię miała wilgotną. Słomy na posłanie za nic dostać nie mógł Marsupin. Królowa zakazała surowo, aby mu w czemkolwiek, choćby płacił, usłużono.

Kątek dobywszy prawie przebojem, Włoch na zgniłych liściach i śmieciu rozesławszy kobierczyk, musiał lec i całą noc nie śpiąc, nad ranem poczuł przejmujące go dreszcze.

Znał się z tem, wiedział, że dostał febry upartej, z którą mu długo walczyć przyjdzie. Lecz rycerski ów duch, który go utrzymywał w tej walce z królową, chorego nie opuścił. Wstał, jak złamany, ubrał się i powłókł do biskupa, którego nie zastał, bo już u króla był. Tu go Drwęcki, przez litość, polewką winną ciepłą napoił i orzeźwił trochę.

Biskup nierychło wrócił od króla z oświadczeniem, że dla cierpień podagrycznych w nogach Zygmunt nie będzie mógł przyjąć posła, radził Marsupinowi, aby się o posłuchanie nie upierał i jemu wręczył listy. Włoch zgodził się na to, choć niechętnie.

— Przecież — rzekł — z królową starą i młodą widzieć się muszę.

Nie sprzeciwiał się Maciejowski, a po chwili odwrócił się do Marsupina, szepcząc cicho:

— Nienasycony człecze! Ciesz się tem, coś zdobył, nie żądaj nadto, abyś sprawy nie popsuł. W istocie wczoraj otrzymałeś wiktoryę wielką, bo gdy się król Zygmunt o owych uroczyscie niesionych i oddawanych szkatułkach dowiedział, które wam usłużyły tak dobrze, choć, zamiast posagu, zawierały pono wachlarze i kolce, począł się tak śmiać, iż mi potem sam rzekł, że od lat dziesięciu nigdy tak się nie uśmieł serdecznie, jak wczora.

Marsupin skrzywił się nieco.

— Daj mu Boże na zdrowie! — dodał. — Bardzo

się z tego cieszę! Dziś do królowej Elżbiety się wpraszam, bo z nią rozmówić się sam na sam muszę.

Z tem żądaniem posłany Drwęcki nierychło powrócił.

Bona pragnęła pozbyć się co najrychlej nieżnośnego Marsupina z Niepołomic, знаła upór jego, zgodziła się więc w końcu na to, aby go puszczono, sądząc, że po tej konferencji precz nazad do Krakowa go odprawi zaraz, gdyż tu go cierpieć nie mogła i nie chciała.

Marsupin, żegnając biskupa, zapowiedział mu pocichu, iż co najmniej godzin kilka pozostanie u młodej pani, a przynajmniej najdłużej jak będzie mógł.

Wchodząc, znalazł ją Włoch samą, stojącą przy stole, świeżo ubraną i tak jak wczoraj uśmiechniętą, spokojną, bez troski na czole. Nie mogło to być skutkiem nieczułości, obojętności, bo choćby męża nie kochała, sama miłość własna obrażona musiała uciskać. Marsupin tej mocy ducha w młodziuchnej pani nie pojmował.

— Przynoszę w. kr. mości — odezwał się na wstępie — pozdrowienia najczulsze, ale razem wyrzuty i wymówki, których zataić nie mogę. Kazano mi nastawać na to, aby w. kr. mość jako córka potężnego monarchy, synowica cesarza, rzuciła tę dziecinną nieśmiałość, to posłuszeństwo niewolnicze, które ją tu niewolnicą czyni.

Elżbieta, wzrokiem go błagać się zdawając, milczała. Marsupin mówił dalej, coraz się bardziej ożywiając.

— Królowa Bona korzysta z nieśmiałości waszej, rozkazuje dlatego, że słuchacie, ale nie będzie mogła nic uczynić, gdy objawicie otwarcie wolę waszą a z pewnością król Zygmunt ją poprze. Dlaczegożbyś w. kr. mość nie jechała za mężem, jeśli sobie życzysz tego?

Zawahała się nieco Elżbieta i rzekła nieśmiało:

— Dlatego, że nie wiem, czy to jest życzeniem króla, pana mego, a jemu się sprzeciwiać nie chcę.

Marsupin odparł żywo:

— Król August z pewnościąby tego nie miał za złe,

i owszem. Co się tyczy starej królowej, to się uzuchwala posłuszeństwem. Wiem o tem, że nawet sługi wasze więcej Bony, niż was słuchają.

Uśmiechnęła się królowa obojętnie.

— Cierpliwością i łagodnością wiele też dokazać można — rzekła cicho.

— Nie ze wszystkimi, — przerwał Marsupin — nadewszysko nie z królową Boną! Idzie tu o godność waszą, o cześć rodziny; nie można się tak dać deptać, upokarzać i w Bonie jeszcze coraz zuchwalsze tą uległością obudzać zachcianki.

Elżbieta, jakby się lękała, aby rozmowy nie podsłuchiowano, dawała mu znaki; Marsupin wcale na to nie zważał, jakby jej nie rozumiał. Owszem, unosił się coraz mocniej, otwarcie mówiąc przeciw Bonie, co zdawało się mieszać i onieśmielać Elżbietę.

Rozmowa cała w ten sposób prowadzona, chociaż się Marsupin wysilał na to, aby natchnęła męstwem i przekonała młodą panią, że zmienić była powinna postępowanie, na młodej, bojaźliwej, słabej napozór Elżbiecie bardzo małe uczyniła wrażenie.

— Zostawcież mi też coś własnej woli — rzekła. — Może to nie jest chwila, w którejbym mogła wystąpić i powinna.

Marsupin czuł, iż nie chciała się przed nim otworzyć, usiłował wydobyć z niej wyznanie jakiegoś, zwierzenie się i zdziwił nadzwyczajnie, w istocie tej tak bojaźliwej i wątpliej znajdując opór, łagodny wprawdzie, ale niezwykły.

Im Elżbieta mocniej przy nim obstawała, tem Włoch upierał się silniej, chcąc ją nawrócić — nadaremnie.

Wedle postanowienia swego, Marsupin, wiedząc, iż długi jego pobyt u królowej Elżbiety do najwyższego stopnia zniecierpliwi Bonę, umyślnie się kilka godzin zasiedział, zwlekał, a gdy wkońcu zmuszonym był ją opuścić, jeszcze na odchodnym nalegania ponowił.

Bystry i przenikający Włoch, tym razem wobec pełnej prostoty młodej królowej znalazł się w tem niepo-

jętem dla siebie i upokarzającym położeniu, że odcho-
dząc, wyznać musiał, iż jej nie rozumiał.

Jak go witała, tak pożegnała uśmiechem jasnym, podając białą rączkę do pocałowania i upewniając go, że, da Bóg, wszystko szczęśliwie się ułoży. Broniła Augusta, nie skarżyła się na nikogo.

Chociaż późno dnia tego było, Bona, chcąc się pozbyć Włocha, byłaby może dała mu posłuchanie, wiedząc, iż miał listy, ale Marsupin, który dla szpiegowania i rozsluchania się rad był tu jak najdłużej pozostać, poszedł do biskupa i do dnia następującego odłożył audjencję.

Resztę dnia przesiedział u ks. Samuela, przeszedł się po miasteczku, przegadał na ustroniu z różnymi ludźmi.

Czekał go nocleg taki sam jak poprzedzający, skutkiem którego febra, we dniu zgubiona, powróciła gwałtowniejszą jeszcze. Pierwszą rzeczą nazajutrz było dreszcze okrutne przemoc gorącym i mocnym napojem i lekarza się poradzić, ale doktorów Bony Marsupin się obawiał, lekarstw od nich nawet biskup mu przyjąć nie radził, musiał więc poprzestać na jakichś babskich lekach.

Blady, zmęczony, ledwie się na nogach trzymając, bo gorączka wewnętrzna go trawiła, poszedł z listami do Bony.

Łatwo było przewidzieć, jak zostanie przyjęty. Królowa wcale nie myślała udawać nawet, iż nienawiści dlań nie ma.

Posłuchanie trwało bardzo krótko. Włoch, listy oddając, dołożył do nich nietylko gorące życzenia króla Ferdynanda, ale żądanie jego usilne, aby małżeństwo zostało połączone.

— A cóż to do mnie należy? — ofuknęła królowa. — Król, syn mój, może żonę wezwać, przyjechać do niej, robić, co mu się podoba. Czynicie mnie odpowiedzialną za niego! To nie moja rzecz!

Odwróciła się pogardliwie, a Włoch dodał:

— Cały świat wie o tem, że tu się tylko to dzieje,

co w. kr. mość rozkażesz. Dlatego też na nią oczy wszystkich są zwrócone.

Bona z oburzeniem poruszyła się.

— Pozdrów króla Ferdynanda ode mnie uprzejmie i powiedz mu, że syn mój ma własną wolę.

Na tem skończyło się posłuchanie, Bona wyszła.

Nazajutrz, gdy z rana przyszedł biskup do króla i zastał tam ją, z rozpłomienioną twarzą odezwała się do niego:

— Oddał mi ten zuchwalec list króla Ferdynanda! Co ten łotr plecie i kłamie, a w oczy mi rzuca! W liście niema nic. Ja go każę kijmi obić.

Maciejowski, który nierad drażnił królowę, tym razem nie mógł się wstrzymać i stanął w obronie Mar-supina.

— Wasza kr. mość przebaczysz, — rzekł — ale Włoch to powtarza, co wie cały świat i co na dworze królewskim i cesarskim jest we wszystkich ustach. Zarzucają w. kr. mości obchodzenie się z synową nieliłościwie, królowej Elżbiecie nie wolno jest mieć własnego lekarza, w taki czas, jak dzisiejszy. Każde jej słowo, każdy ruch i czynność podlegają rozkazom, kroku stąpić samowolnie nie może. Dlaczego nie ma własnej służby, kuchni własnej? Z tego rosną plotki i podejrzenia, że w. kr. mość, jawnie jej nie lubiąc, czyhasz na jej życie.

— Myślą, że ja ją chcę otruć? — podchwyciła Bona gwałtownie.

— Jeżeli głośno tego mówić nie śmia, to niezawodnie potajemnie podejrzenie to jest we wszystkich — odezwał się Maciejowski. — Przykro mi to wyznać, ale spytany, prawdę mówić muszę.

Działo się to w sypialni króla i Zygmunt słuchał rozmowy, co biskupa ośmielało.

Zwykły więc koniec nastąpić musiał; Bona z krzykiem, łkaniem, płaczem rzuciła się na podłogę. Stary król patrzył obojętnie, zukosa niekiedy rzucał oczyma ku biskupowi — obaj milczeli.

Po chwili królowa porwała się z ziemi.

— Odtąd — krzyknęła — ja jej nic posyłać nie będę. Niech dla niej kupują i gotują osobno. Niech robi, co chce.

— Tak będzie lepiej — dodał biskup spokojnie.

Padła potem Bona na krzesło i siedziała, dysząc ciężko, długą chwilę, aż się jej z ust wyrwało:

— A! gdybym nie miała dóbr, które są w mocy cesarza, dałabym ja naukę temu łotrowi, który mi się śmie tu urągać i siedzi naprzekorę mnie, kiedy ja go mieć nie chcę!

Ks. Maciejowski, powróciwszy od króla, zastał u siebie Włocha, który się upierał pozostać jeszcze w Niepołomicach.

— Czyń, jak chcesz, — rzekł Samuel — ale i moja, i króla jest rada, abyś królowej nie przywodził do ostateczności. Wierzaj mi, iż ci grozi niebezpieczeństwo. Gdyby ona nie wydała rozkazów, ma sługi, które się domyślą, co jej miłym być może. Życie ratuj dla usług królowi. Jedź, proszę!

— Nie dalej, jak do Krakowa — odparł Marsupin — i to do czasu. Chociaż mi tam powietrze grozi, choć sam chory stąd ruszam, nie opuszczę Polski, dopóki mnie tu nie będzie komu zastąpić, lub odwołanym nie zostanę.

Po rozmowie z ks. Maciejowskim, widząc, że dłuższy pobyt w Niepołomicach stał się niemożliwym, szczególnie dla febry, której się tu pozbyć nie mógł — Marsupin zmuszony został wracać do Krakowa.

Choroba nabyta w stajni na noclegu nie opuściła go rychło, lecz walcząc z nią, uparty Włoch nie zszedł ze stanowiska. Otoczony morem, narażony na niebezpieczeństwo, wycieńczony febrą złośliwą, trudno było wiedzieć czy przez wierność panu swojemu, czy przez zajadłość przeciw Bonie nie chciał z miejsca ruszyć.

Hetman Tarnowski słał, aby się chronił do niego na wieś, Marsupin odmówił, aby dworu i królowej z oczów nie tracił.

Wyprawa młodego króla na Litwę w oczach wszystkich uchodziła za ustępstwo rządów wielkiego księstwa na rzecz syna.

Litwa cieszyła się samym odgłosem podróży, widząc w niej nieochybną zapowiedź nowych rządów, o które teraz tem natarczywiej się upominać miała, że nic im nie zdawało się stawać na zawadzie.

Blisko trzy wieki upływały od połączenia dwu narodów pod jedną dynastją. Polski obyczaj i prawa silnie oddziaływały na organizację kraju, wychodzącego z barbarzyństwa wiekowego, ze stanu pierwotnego. Działanie to jednak nie zlało dwóch państw, choć je połączyło, a swobody, jakie Polska przynosiła Litwie, same się przyczyniały do wyrobienia pragnień autonomji i oddzielności pewnej.

Niebezpieczeństwo od Moskwy i Tatarów, od czasów Aleksandra przekonało Litwę, iż sojusz ścisły z Polską był dla niej rękojmią ocalenia od zagłady, niemniej jednak chciano mieć wielkich książąt udzielnych i stanowić całość odrębną.

Mimo swobód, zdobytych raczej obyczajem, niż prawem, Litwa zawsze była odmienną od Polski, rządy w niej więcej dawały władzy panującemu, który tu był dziedzicznym, nie wybieralnym, szlachta mniej miała znaczenia, wielkie rodziny kniaziowskie przeważały w zarządzie i radzie.

Jagiellonowie czuli się tu aż do ostatniego swobodniejszymi panami, niż w Polsce. Litwa też wyglądała, żyła, mówiła, obradowała inaczej. Ogląda europejska tylko w wielkich rodzinach czuć się dawała. W szlachcicu widać było niedawno klejnotem ozdobionego bajorasa.

Jak szaraczkowa barwa sukni odznaczała szlachtę litewską, tak i prostota obyczajów. Łączyły się małżeństwami dwa narody, wiązały rozlicznymi stosunkami, lecz odrębność ich była jeszcze bardzo wyrazistą. Bronili jej szczególnie magnaci, choć znaczenie swe i głos przeważny winni byli od Polski zapożyczanym prawom i obyczajowi.

Dla młodego króla chwila ta wyprawy na Litwę była w życiu jego stanowczą. Po raz pierwszy czuł się sam, wyzwolony z pod czulej, troskliwej, ale ciężkiej opieki macierzyńskiej. Teraz mógł być sobą i próbować spełnić marzenia te, które dojrzała młodość zrodziła. Wychowaniec ludzi takich, jak Lismanin i Włosi, którzy go otaczali, Zygmunt August stał umysłowo na wysokości wszystkich zadań wieku.

Widział w Polsce i Litwie wiele do zrobienia, do poprawienia, do dźwignięcia. Temperament i charakter zmiękczone wychowaniem niewieściem nie czyniły go zdolnym do walki, do zdobywania praw, utraconych przez poprzedników, ale w granicach swej władzy miał szerokie pole do działania.

Najszlachetniejsze, młodzieńcze popędy były w sercu jego, marzył, iż uczyni wiele dobrego. Wprawdzie miękki był, leniwym niecc, rozpieszczonym, zawczasu zużytym młodością, na której rozwiązała matka patrzyła przez szpary, ale jemu samemu znużenie wydawało się skutkiem tego, że do czynu nigdy powołanym nie był.

W przeciągu kilku miesięcy odpychany przez Bonę od żony, Zygmunt przywiązał się do niej potajemnie. Zresztą, chcąc się wyswobodzić z więzów matki, nie miał lepszego sposobu, mniej gwałtownego, skuteczniejszego nad to przywiązanie się do żony. Lecz, dopóki byli w Krakowie, musiał zmyślać obojętność, lękając się narazić żonę na prześladowanie, którego rozmiary i doniosłość znał dobrze. Wiedział, że matka nie cofnie się przed najostateczniejszymi środkami. O życie nawet Elżbiety obawiać się było można.

Udawał więc chłód i wstręty, choć w chwili wyjazdu myśl połączenia się z żoną już go zajmowała. Rachował na ojca, a potem na oddalenie, gdyż w Wilnie Bona, zmuszona czuwać nad chorym mężem, czynną być nie mogła.

Wyprawując w drogę, matka, która chwilowo go sobie zjednała, nakazała do siebie pisywać codziennie,

do żony listy były zakazane; Bona miała ją żywić swojemi.

Na rękę było młodemu królowi rozstawać się z Włoszką, do której zmysłami tylko i nałogiem był w ostatku przywiązany. Jej wymówki, wymagania, zazdrość nużyły go już wielce.

Matka szepnęła mu na wyjeździe, iż znajdzie sposób wyprawienia za nim Włoszki, lecz rzecz ta nie zdawała się łatwą. Bona była wystawioną na potwarze, patrzono zbliżając się do niej, co poczyniała; na Dżemnę zwrócone też były oczy — nie spodziewał się jej August rychło.

W podróży czuł się dziwnie swobodnym i wesołym. Świat mu się uśmiechał cały.

Chociaż podróż, w początkach na Mazowsze projektowana, w Litwie nie była oznajmioną — zaledwie się o niej wieść rozeszła, natychmiast Litwini, znajdujący się w Krakowie, dali o niej znać do Wilna.

Tam ona obudziła radość i nadzieję. Kto tylko mógł, śpieszył i wybierał się przeciw młodemu królowi, aby zdobyć przy nim miejsce, pozyskać łaski i zapewnić sobie stanowisko na przyszłość.

August jechał z wolna, gdyż musiał wymijać miejsca zapowietrzone; poprzedziły go więc gońcy na Litwie i panowie Radziwiłłowie, Chodkiewicz, Wirszyłłowie, Kiszki, Pruńscy, kto mógł, pobiegł ku granicy na powitanie młodego pana.

Wszystkim im wydał się wielce poważnym, nad wiek swój rozumnym, umiarkowanym i pełnym majestatu. Znajdowano go tylko nieco zamkniętym w sobie i dumnym.

Przyjazd do Wilna, choć z licznym już gronem panów, którzy się po drodze przyłączyli, nie miał żadnego charakteru uroczystego. Nie był to wjazd na w. księstwo, bo Zygmunt August rządów objąć nie miał jeszcze prawa.

Zamek dolny, chociaż naprędce przez Wirszyłła w części na przyjęcie króla przygotowany, po pożarze ostatnim smutną przedstawiał ruinę. Przez długie lata

stał pustkami, otaczające go place, ogrody, budowy, wszystko było zaniedbane, a że się nigdy nie odznaczał wytwornością, po Krakowie, po włoskich budowach, jakie się tam wznosiły, robił wrażenie przykre.

Na pierwszy rzut oka Zygmunt August mimowolnie wykrzyknąć musiał, że zamek z gruntu trzeba było odnowić i przebudować, a po zdolnych robotników śłać do Krakowa. Miał odrazu pilne i niewstrętliwe zajęcie.

Tymczasem w jednym skrzydle, oczyszczonem naprędce, pomieścił się król i dwór. Zygmunt August zamieszkać tu stale nie myślał, dopóki by zamek nie był gotów na pomieszczenie jego i żony, ale miał do poznania Litwę, kraj cały, prawie sobie nieznany.

Stare zamczyska w Trokach, w Lidzie równie były zaniedbane, jak w Wilnie; mieściły się tam szczupłe załogi, a najlepsze izby nie miały nic nad ławy i stoły, nie wszędzie nawet podłogi, częściej tokowiska.

Panowie, otaczający króla, zapraszali go w gościńnię — młody pan nie był od tego. Załedwie się rozpatrzywszy, począł wycieczki dokoła.

Tymczasem Dudycz z żoną, wyruszywszy w podróż, kosztował pierwszych przyjemności osobliwego z nią pożycia, ciężko je opłacając. Jejmość od ślubu ani słowa się nie odezwała do niego. Gdy potrzeba było wydawać rozkazy, posługiwała się Bianką.

Petrek w paradnym stroju podróżnym, na koniu wytwornie przybranym, z rzędem i siodłem świecącemi od srebra, pozłoty i kamieni, jechał u stopni kolebki na straży, od strony, po której siedziała Dżemma.

Włoszka niekiedy spoglądała na niego, przypatrywała mu się, krzywiła i wkońcu wydała rozkaz, aby jej widoku nie zasłaniał, a jechał po drugiej stronie kolebki. Dudycz musiał spełnić wolę małżonki.

Na popasach i noclegach nie było mu dozwolonem wniknąć do izby, zajmowanej przez kobiety. Całą jego pociechę stanowiła litościwa, wesoła, trzpiotowata, choć już niezbyt młodziuchna Bianka, która wybiegała,

niosąc rozkazy, a przytem pocieszała go i bawiła rozmową.

Dżemma jechała milcząca, dumna, niecierpliwiąc się długością podróży, znajdując wszystko niedogodnem, a unikając nie tylko spotkania z mężem, ale nawet wspomnienia o nim.

Dudycz, gdyby był chciał, nie mógł zmienić tego stanu rzeczy, miał przeciwko sobie cały pułk kobiety, a na jego czele, oprócz Dżemmy, starą, złośliwą, krzykliwą Włoszkę.

Petrek nie jeden raz z dworem odbywał podróże, znał wszystkie ich w kraju niedogodności, ale mu one nigdy się jak teraz nie dały we znaki. Podróż wszystkim równie wydawała się długą, a Dudyczowi musiała stać się nieznośną, gdyż tej nawet pociechy nie miał, aby swobodnie oblicze małżonki oglądać. Siedziała w głębi kolebki, najczęściej zasłoną twarzą tak mając obwiązaną, że jej mało co lub nic widać nie było.

Gdy stawali, wchodziła do izby, do której mężowi przystęp był wzbroniony. Skarżył się o to Biance, powiadając zprosta: „jużcibym nie zjadł oczyma“, Włoszka się śmiała i radziła cierpliwość.

W końcu podróży, gdy się już do stolicy zbliżali, Dudycz, przeszedłszy przez rozmaite rodzaje i stopnie męczarni, dobił się aż do gniewu i pragnienia zemsty. Przeklinał piękną swą panią, która z nim obchodziła się jak ze sługą i niewolnikiem.

— Czekaјno! — mówił w duchu — przyjdzie koza do woza; naówczas ja ci za te wszystkie męczarnie moje zapłacę.

Nie wiedział tylko, kiedy do tego szczęśliwego terminu mógł się dobić.

Nie dojeżdżając do Wilna, Dżemma wydała rozkaz, iż nie gdzie indziej, tylko wprost do zamku zajechać mają. Nie rozumiała inaczej położenia, tylko że tu, gdzie nad Augusta nikogo wyższego nie było, gdzie on rozkazywał, ona musiała otwarcie zająć miejsce jego ulubienicy. Wstydzić się tego nie myślała wcale, jak wprzód, tak teraz była swoim tytułem dumna.

Dudycz oparł się w początku zajeżdżaniu do zamku, chciał szukać gospody w mieście; Włoszka się pogriewała, poczęła go łajać i stało na tem, czego żądała. Bianka wprawdzie czyniła jej uwagi, iż młody król może tu w obcym miejscu nierad będzie tak jawnemu ukazaniu się kochanki; Dżemma nie dała jej nawet mówić.

Cały więc tabor bramą od Trok wjechał, powoli ciągnąc w mury miasta; Dudycz po drodze już dowiedział się, że króla w Wilnie nie było, siedział podczas w Olicie i nie wiadano, kiedy powróci. Oznajmił o tem Biance, ona Dżemmie, ale Włoszka nie zmieniła postanowienia, hardo odpowiedziawszy, iż przecie ją zna dwór i urzędnicy młodego pana.

Zwolna przyciągnęli aż do bram zamkowych, skąd widać było dolną budowę, całą ostawioną rusztowaniami, na których mnóstwo robotników pracowało. Na jednej części dolnego zamku dach kryto, drugą muryowano jeszcze, niektóre ściany tynkowano.

Gdy stanęli u bramy, powychodzili dworzanie królewscy niektórzy i służba, a naostatek podkomorzy starszy i Merło, ulubiony Augusta komornik. Dudycz oznajmił im o Dżemmie, która sama się, wychyliwszy z kolebki, upominała o gospodę na zamku.

Merło, znający ją dobrze, przystąpił, głową potrząsając.

— Króla niema, — rzekł — a co gorzej, izb niema. W zamku wszystko się przerabia, ani kąta, gdzieby spocząć można.

Szepnął ciszej zaraz, że król mu na wszelki wypadek dał zlecenie, aby Dżemma, przybywszy, gospodą stanęła w mieście. Gdzie? Merło nie dostał żadnego w tej mierze rozporządzenia.

Włoszka zapaliła się gniewem wielkim i rozpłakała, kląć i narzekając razem, na wzór królowej Bony. Bianka musiała ją tulić, uspokajać, a Merło Dudyczowi wskazywał w mieście dom dostatniego kupca, do którego się mogli wprosić, szepnąwszy mu na ucho, iż

król się tą niewiaścą zajmował i miał ją w opiece. Kupiec zwał się Sopoćko.

Tak tedy, zawróciwszy od zamku, nazad musieli. Dżemma oczy sobie zakrywała ze wstydu.

Przez zamkową bramę wrócili do miasta i tu dopiero przy Trockiej ulicy odszukali Sopoćkę.

Kupiec, pół-Rusina, pół-Litwina, trochę po polsku mówiący, skrobał się po głowie, bo miał rodzinę, a dla Dżemmy kilka izb trzeba było opróżnić. Lecz dla króla i wielkiego księcia nie godziło się odmawiać posługi.

Tu, nim kobiety, do wygod nawykłe, i Dżemma, co się niemal za królowę miała, znośnie się rozłożyły, nim im dostarczono wszystkiego, co potrzebowały, parę dni upłynęło. Dudycz na dole w małej komórcie razem z chomątami, uprzężą i siodłami, na podłodze legiwał, a o żonie tyle tylko wiedział, że mu dla niej Bianka ciągle pieniądze z kalety wyciągała. Do zamku posyłano dwa razy na dzień, bo się Dżemma niecierpliwiła, ale król nie powracał, a Merło nie wiedział wcale, kiedy się go spodziewać było można.

Wielka i gorąca miłość Dżemmy zaczynała się zamieniać w rozpacz i gniewy. Nie pojmowała tego, że o niej tak zapomniano, tak ją zaniedbano i nie przewidziano przybycia. Naprzemiany Bianka to musiała lży jej ocierać, to zburzenie i odgrażania się uśmierzać.

Chciała gonić za ukochanym do Olity, ale Merło stanowczo się temu sprzeciwił, opowiadając, że młody pan był otoczony litewskimi senatorami i musiał dawać na siebie baczną uwagę, więcby pewno Niemile przyjął przybywającą.

Wszystko to w główce rozkochanej Dżemmy pomieścić się nie mogło.

Dudycz się cieszył i czekał.

Tak upłynęło długich dni dziesięć, a o królu nie było wiadomości żadnej. Merło kłamał czy prawdę mówił, zapewniał, że August już Olitę opuścił i gdzie indziej przebywał, zatem cierpliwie na niego czekać było potrzeba.

Bianka pierwsza jednego poranka, wyszedłszy na

ulicę do bliskiego kościoła Św. Ducha, dowiedziała się o powrocie króla i co prędzej dobrą tę wiadomość przyniosła przyjaciółce. Dżemma porwała się z łóżka, w którem większą część dnia spędzała, kazała się stroić, czesać, chciała uczynić najpiękniejszą i była pewną, że jak tylko król się o niej dowie od Merły, natychmiast pośpieszy. Chciała zaraz wszystko kazać pakować, zbierać, rachując na to, że tego dnia jeszcze na zamku będzie panować.

Upłynął czas do południa, rosła niecierpliwość, nadszedł wieczór, Dżemma płakać i narzekać zaczęła, noc ciemna wkońcu okryła miasto — nie było króla, a nawet żadnego posła od niego.

Bianka na zamek nie chciała się ważyć, stara Włoszka obawiała się, musiano posłać Dudycza.

Bardzo nierychło wrócił Petrek, donosząc, iż król był bardzo zajęty, miał z Kijowa i Smoleńska gości i na chwilę oddalić się nie mógł. Merło radził cierpliwość, a zaprzysięgał się, iż panu natychmiast o Dżemmie oznajmił, na co otrzymał w odpowiedzi tylko skinienie głowy.

Następny dzień cały zszedł znowu tak samo na próżnem oczekiwaniu i już noc nadchodziła, gdy nadjechał król sam w towarzystwie tylko wiernego Merły, przebrany i z twarzą okrytą.

Dżemma wybiegła naprzeciw niemu z wyrzutami, z płaczem; zostawiono ich samych. Słychać było szlochanie, krzyki, jęki, potem gwałtowny potok słów, płynący z ust Włoszki, a wkrótce potem król wyszedł zimny, blady, zniecierpliwiony wewnątrz, zasepiony — siadł na koń i odjechał.

Bianka, która wbiegła się dowiedzieć od przyjaciółki, jak się skończyła rozmowa, znalazła ją w stanie dziwnym, rozgorzałą gniewem tłumionym, milczącą, nie chcąc się przyznać do doznanego zawodu, lecz widocznie okrutnie cierpiącą. Z początku przed przyjaciółką nawet żalić się nie śmiała, bała się zarówno urągania i litości, ale boleść ją zmogła.

— A! — zawołała, zapłakane oczy tuląc do ramie-

nia Bianki — wszyscy oni są jednacy, królowie i chłopci; serca nie mają, kochać stale nie umie z nich żaden. Padamy ofiarami. August, August, który mi żonę poświęcił, poprzysiągł miłość wiekuiłą, przestał mnie kochać... Serce jego wystygło! Jestem nieszczęśliwa... najnieszczęśliwsza!

Bianka usiłowała ją pocieszać tem, że młody król musiał tu wiele rzeczy poświęcać, aby się nie narazić Litwinom, nie dać powodu do plotek, któreby doszły do Krakowa, do króla starego, że potrzeba było mieć cierpliwość.

Dżemma wszystkiego tego nie rozumiała, chciała zająć miejsce na zamku, a król wprost jej oświadczył, że to ani dziś, ani później nie będzie możliwem, że musi pozostać w mieście. Obiecywał zresztą postarać się o osobny dwór, w którymby ją umieścił, ale i o ten nie było łatwo, bo zamek restaurowano i robotnika było mało, a dwory książęce na mieście stały prawie wszystkie opuszczone.

Oprócz tego, według Dżemmy, młody król tak się jej okazał zmienionym, tak okrutnie chłodnym, obojętnym, iż na wspomnienie tego Włoszka w rozpacz wpadała.

O Dudyczu, z obrzydzeniem imię jego wymawiając, Dżemina ani słuchać nie chciała.

Biedny Petrek od stajni chodził do ciemnej komory, w której miał legowisko, wysuwał się czasem w ulicę na piwo lub miód i powracał, czekając, co będzie dalej. Chociaż mu się nie zwierzano, jak stały stosunki z królem, sam on je doskonale widział i oceniał. Cieszył go ten zwrot, nad wszelkie nadzieje pomyślny. Żona musiała przeboleć, wypłakać się, a on pojednany z nią, obiecywał sobie korzystać z łaski królewskiej, na którą rachował.

Po pierwszym burzliwym widzeniu się z królem Dżemma spodziewała się go zaraz nazajutrz, ale się nie pokazał i nie przysłał nawet nikogo. Czekala dwa dni na niego, zjawił się znowu wieczorem, potajemnie,

skarżył się, że go oblegają panowie litewscy, że swo-
bodnym nie jest i t. p.

Napróżno Dżemma starała się go ubłagać; ani wy-
rzuty, ani łzy nie pomagały. Następnego dnia przygo-
towano długie listy do starej królowej ze skargami,
przypisując zmianę intrygom — któż wie, zabiegom mo-
że potajemnym młodej królowej. Potem biegły do Nie-
połomic listy za listami, opisujące życie króla.

On sam pisywał też do Bony w początku codzien-
nie, potem zwolna coraz rzadziej.

Królowa stara, która tej podróży na Litwę obawia-
ła się wielce, z listów Dżemmy i z pism syna wyrozu-
miała, że w istocie położenie to było dla niej groźnem.
August się starał widocznie z pod władzy matki wyła-
mać, pisał mniej, chłodniej, nie ze wszystkiego się zwie-
rzał, nie słuchał jej, jak wprzód.

Samo podejrzenie o chęć wyzwolenia się Bonę, któ-
ra wielkie dla syna w swem przekonaniu uczyniła ofia-
ry, wprowadziło w gniew straszny! Wielka miłość dla sy-
na w jednej chwili mogła w jej sercu zmienić się w nie-
nawiść ku niewdzięcznikowi. Lecz nie chciała wierzyć
jeszcze ogarniającym ją obawom. Czekala.

Z Niepołomic wyprawiony potajemnie zaufany dwor-
zanin przybył do Wilna podpatrywać młodego króla,
rozsluchać się w tem, co się tu święciło.

Wprawdzie August pokornie zawsze matce zdawał
sprawę ze wszystkiego, lecz w tonie listów, w sposobie
postępowania czuć było odmianę, większą niezawisłość,
różnicę przekonań, której nie tail tak bardzo.

Nie dała po sobie poznać Bona, co się w duszy jej
działo, lecz wrzała wewnątrz gniewem po chybionych
rachubach. Jeżeli syn ją miał zdradzić, przyszłość sta-
wała się okropną. Ona, ona zepchnięta ze stanowiska,
które zajmowała, Elżbieta królująca nad nią! Tego
znieść nie mogła.

Przyjaciele pomóc jej musieli, gotową była kraj za-
wichrzyc, ściągnąć wojnę wewnętrzną, ale nigdy się
poddąć!

W Niepołomicach król chory prawie miesiąc musiał odpoczywać. Bona, Elżbieta, dwór byli przy nim. Pomimo zerwania wszystkich związków z Krakowem, nie było prawie dnia, żeby ktoś ze służby nie zmarł nagle. Powietrze okazywało się w sąsiedztwie; w Krakowie, gdzie Marsupin leżał chory na febrę, mór się szerzył z gwałtownością coraz większą.

Do wszystkich utrapień królowej, strachu o króla i siebie, walki z Elżbietą, obaw o przyszłość — Marsupin nie pozbyty był dla niej jednym z najnieznośniejszych; nie tyle się go może obawiała, ile obrażoną była tem, że ją lekceważył. Wiedziała Bona, iż się ciągle odgrażał bodaj ścigać dwór i młodą królowę, czyby mu dozwolono, czy nie.

Maciejowski, o którego uszy się obijały gniewy królowej, przestrzegał Włocha napróżno, aby się nie narażał. Marsupinowi szło o postawienie na swoim.

Gdy już z Niepołomic się wybierać miano naprzód do Korczyna, potem do hetmana Tarnowskiego do jego majątności, dotąd od moru wolnych — Włoch zaczął się także wybierać wślad za dworem.

Chory, bo febra go dotąd nie opuszczała, pomimo to konie i ludzi gotował do podróży, która była postanowioną. Ta tylko zaszła zmiana w przygotowaniach do niej, że niewielu swym sługom Marsupin kupił oręż lepszy, aby nie być bezbronnym w razie napaści.

Sam on jednak w nią nie wierzył, choć biskup, Boner i posłaniec hetmana usiłowali go przekonać, iż Bona nie będzie szczędzić życia jego.

Ażeby doniesienia Marsupina o Elżbiecie osłabić, Bona bardzo zręcznie zwróciła się do znajomego sobie Herbersteina z listami, w których usiłowała dowieść, iż to, co szpiegi donosiły, fałszem było wierutnym.

Herberstein wiele miał względów dla możnej pani, ale odpowiedzi jego dały Bonie do zrozumienia, że w Wiedniu i Pradze miano bardzo dokładne wiadomości o losie, jaki spotkał młodą królowę. Radził więc zmianę, większą troskliwość, więcej względów dla mło-

dej pani, a w grzecznych jego listach czuć było groźbę i niepewność przyszłości.

Wszystko to Bona przypisywała Marsupinowi. On to ją oczernił, on donosił, on pierwszy obudził podejrzenie. Pałała nienawiścią i pragnieniem zemsty niewypowiedzianem.

Marsupin właśnie się miał wybierać naprzód do Bochni, potem wślad za dworem, odprawivszy listy do króla Ferdynanda, w których doradzał środki gwałtowne, odebranie Bonie księstw włoskich i t. p., gdy jednego wieczora, leżąc już na łóżku, wychudły Włoch ujrzał wsuwającego się, płaszczem otulonego, zgiętego człowieka, który ostrożnie oglądał się dokoła.

Z pod płaszczyka cienki koniec mieczyka, jaki nosili Włosi, dał mu się w nieznanym domyślać ziomka. Lecz, że Włosi prawie wszyscy tu do Bony obozu należeli, Marsupin ostrożny, zobaczywszy wsuwającego się bojaźliwie gościa, natychmiast z łóżka się zerwał i wepchnął za pas sztylet.

Lampka maleńka słabo oświecała dużą izbę, twarzy więc zbliżającego się nie mógł łatwo rozpoznać. Dopiero, gdy podszedłszy kroków kilka, gość odrzucił kołnierz płaszcza i stara, pomarszczona jego twarz z głową łysą płomykiem lampki oświeconą została, Marsupin poznał w nim jednego ze sług królowej Bony, starego Moncaccio, z którym lepiej był, niż z innymi.

Moncaccio, neapolitańczyk, należał do tych, którzy tu z Boną pierwsi przybyli. Na dworze pełnił funkcje różne. Uchodził za zaprzedanego swej pani i gotowego na wszystko. Chociaż go nigdy nie schwytano na uczynku, przypisywano mu różne tajemnicze a krwawe zamachy. Człowiek był niebezpieczny, lecz dla Marsupina mniej może, niż dla innych. Włoch miał zręczność w początkach swego pobytu oddać mu wielką przysługę. Moncaccio miał córkę zbiegłą, do której był bardzo przywiązany; Włoch pomógł do jej odszukania. Po kilkakroć zaklinał się zbir stary, że tego nigdy Marsupinowi nie zapomni, a będzie, da Bóg, odwdzińczyć mu się starał.

Ta obietnica przyszła teraz na myśl Włochowi, gdy niespodzianie ujrzał go przychodzącego po nocy, a wiedział o nim, iż z królową był w Niepołomicach. Nie okazując po sobie najmniejszej trwogi, Marsupin powitał go zapytaniem, co tu robi?

Moncaccio nie odpowiedział, zamruczał coś, kapelusz rzucił na stół, obejrzał się dokoła pilno, pochylił ku gospodarzowi i spytał:

— Jesteśmy sami?

— Najzupełniej.

— Wy się, słyszę, jutro wybieracie w drogę? — rzekł Moncaccio.

— Tak jest.

— Jeżeli do Pragi, z Bogiem; — mówił dalej przybyły — jeżeli za królową i królem — signor Giovanni, wam dobrze życzę, nie jedźcie.

— Dlaczego?

— Szkoda mi was — odparł Moncaccio.

Marsupin się rozśmiał.

— Strachem mnie nie wziąć — rzekł.

Zmilczał gość, patrząc na stół.

— Wiem, że się nie boisz, — rzekł po chwili — ale jechać nie życzę.

Zawahał się chwilę.

— Mam dla was obowiązek wdzięczności; ostrzegam — dodał; — królowej naraziliście się śmiertelnie. Ona wam nie przebaczy, życie wasze zapłacone, zabija was.

— Zdradzam moją panią — dodał — ale wasza śmierć nic jej nie da, oprócz tego, że jej zemstę nasyci. Na drodze w trzech miejscach na was czekają zasadzki, nie ujdiesz ich. Czyń, co chcesz. Jam swoje spełnił, nie będę miał nic na sumieniu i, jeżeli się znajdę naprzeciw was, tak dobędę miecza, jak i drudzy.

Marsupin pogardliwą miną odpowiedział na to.

— Jeżeli życie masz za co ważyć — dodał przybyły, biorąc za kapelusz — czyń, co wola.

Chciał już powstać, gdy Marsupin rękę jego pochwycił i zatrzymał go.

— Nie są to próżne strachy, aby się mnie pozbyć? — zapytał.

— Na patrona mojego, świętego Januarjusza, na krew jego żywą — odparł Moncaccio — przysięgam ci, że nie tylko nie powiększam niebezpieczeństwa, ale ci oszczędził tego, co już zbyteczne, a co je znacznie czyni straszniejszym. Czyń, co chcesz.

Marsupinowi, znękanemu chorobą, zabrakło sił, westchnął i zadumał się.

— Zostanę przynajmniej na stanowisku w Krakowie — odezwał się — aż mnie odwołają, a kogo innego wyślą.

— Tak uczyni, — wtrącił żywo Moncaccio — bo życie dasz daremnie. Nie uczynisz nic. Naraziłeś się tak, że gdybyś teraz synowi królowej Izabeli przyniósł koronę, a Bonie inwestytury na księstwa, jeszczeby ci nie przebaczyła.

— Al nieszczęśliwa Elżbieta moja! — zawołał w uniesieniu Marsupin — dziecko niewinne w szponach takiej harpii... Co ją czeka!

Moncaccio spuścił głowę, usta ścisnął, nie rzekł ani słowa pociechy.

— Nie znacie — odezwał się po długim przestanku — królowej naszej. Nigdy dotąd nic się jej oprzeć nie zdołało. Panowała, panuje, rządzi, kupuje ludzi lub strachem ich łamie; na starość nie dopuści, aby jej dyktowano prawa.

— Ale król stary chory jest i życie mu obiecują niedługie — rzekł Marsupin.

— Będzie władza młodą.

— Czary są, czary! — szepnął zabobonny Włoch — nic innego!

Moncaccio uśmiechnął się tylko.

— Gdyby niczem innem nie mogła, pewnie, że i czarów-by się użyć nie zawahała — odezwał się. — Astrologowie patrzą dla niej w gwiazdy, aby chwilę pomysłną wyznaczili, doktorowie przyprawują napoje, Brancaccio zbiera złoto, dla młodych i rozpustnych ma swe dziewczęta, starego króla zmoże zawsze łzami

i krzykiem, sług jej takich, jak Gamrat i Kmita, nie zbywa.

Ruszył ramionami, nie kończąc.

— Tak, — rzucił chmurno Marsupin — wszystko to waży, ale niech Bona strzeże się zemsty króla rzymskiego i cesarza. W ich mocy jest Elżbietę odplacić, jeśli włos z głowy jej spadnie.

Nie odpowiadając na to, Moncaccio powtórnie kapelusz ujął i ruszył się z siedzenia.

— Męstwo wasze uwielbiać muszę, — rzekł — wołałbym z pięciu zbójami naraz mieć do czynienia, niż z powietrzem, wśród którego wy siedzicie. Whieglem tylko do Krakowa, aby was ostrzec, a to, com tu widział, strachem mnie przejęło. Naostatek — dodał, mając się ku drzwiom — nie potrzebuję mówić, że idąc do was, gardło moje stawilem; dotrzymajcie mi tajemnicy.

Marsupin podał mu rękę smutny.

— Bądźcie spokojni, — rzekł — wiecie, żem przecie człowieka *sernego* nie zdradził, choć mi królowa kijmi groziła, a miałabym wydać tego, co życie moje ocalił?

Znikł Moncaccio. Włoch chodził po izbie długo, nim się ukladł na spoczynek.

Nazajutrz wysłał listy do Pragi, prosząc o nowego posła, coby go zastąpił, gdyż on już wyczerpał wszelkie środki dopomożenia młodej królowej.

Pobył w Krakowie stawał się z dniem każdym mniej możliwym, tak ludzie marli strasznie, a ratunek przypadkowy, nieumiejętny, nie mógł szerzeniu się moru zapobiec. Jednym środkiem skutecznym było rozbijanie się ludności, chronienie się po lasach. Mór wprawdzie niekiedy się tym sposobem roznosił, ale ustawał, gdy mu pastwy zabrakło.

Opustoszało znacznie miasto, wyludniło się z uczniów, pozamykano szkoły, na ratuszu, na zamku siedzieli tylko urzędnicy, a duchowieństwo zastępowało z cudowną rezygnacją i poświęceniem, gdziekolwiek brakło rodziny, opieki i pomocy. Pobożność też wzro-

sła, jak zwykle, gdy ciężka ręka losu dotyka ludzi, którzy w nieszczęściu dopiero wracają do Boga.

W kilka dni potem chory jeszcze Marsupin, pożegnawszy Decjuszów na Woli i swoich kilku znajomych w Krakowie, zniknął z miasta, nie opowiadając się, co miał czynić z sobą.

Niespokojna królowa Bona, która się nauczyła nie-dowierzać mu i lękać się człowieka, nie dającego się zastraszyć niczem, gdy jej doniesiono, że Marsupin wyjechał, a nikt nie wiedział dokąd, tem większą nakazała czujność. zawsze się obawiając, aby nie wtargnął znowu.

Nigdy może tak ściśle nie strzeżono młodej królowej, króla starego i biskupa Maciejowskiego, o którym Bona była przekonana, że Włochowi pomagał.

Nie jedna ta troska nie dawała jej spoczywać. Król stary, około zdrowia którego chodziła z nadzwyczajną troskliwością, bo jego życie stanowiło o jej panowaniu, pomimo starań lekarzy, nie miał się dobrze. Załedwie uspokojony cokolwiek sił odzyskał, najmniejsze znużenie, frasunek, zniecierpliwienie je wyczerpywało.

Drugą przyczyną niepokoju dla Bony był syn.

Drażliwa, podejrzewająca, nieufna, czytała w listach, wnioskowała z doniesień może więcej, niż napozór dozwalały. miała przecucie, że August wyswobodzić się zechce i że się ku żonie zwróci. Obawę tę potwierdziły rozpaczliwe listy Dżemmy i Bianki, ustne opowieści posłańców z Wilna. Odepchnięcie obojętne Włoszki, którą mu posłała królowa, obeszło ją, jak symptom groźny.

Przestraszyła się wpływu panów litewskich, nowych ludzi, któż wie? może zwrotu ku Elżbiecie. Listy Bony pośpieszyły, nie okazując obawy, przypomnieć Augustowi jego zobowiązania względem matki i wszystkie ofiary, jakie ona czyniła dla niego. Oczy Bony niespokojnie odtąd poczęły się zwracać na Wilno.

Nakoniec, ostatnim niepokoju dla niej powodem była niepojęta, niezrozumiała dla niej Elżbieta. Tu wszelkie rachuby zwykle okazywały się chybionemi.

Bona rachowała na łzy, na rozpacze, na skutek zmartwienia, który powinien był sprowadzić chorobę, i, któż wie, przyspieszyć rychły zgon, który jej astrologowie przepowiadali?

Tymczasem Elżbieta, jak to już Marsupin przy widzeniu się z nią uważał, nie tylko nie wyglądała gorzej, ale odzyskała rumieńce. Uśmiech jej był weselszy, spokój ducha niezachwiany. Zdawała się zupełnie szczęśliwą, nie czyniła wymówek, nie uskarżała się, nie obwiniała Bony, a okazując jej poszanowanie wielkie, unikała wszelkiego pozoru rozdrażnienia.

Ale właśnie ten spokój, ta zimna krew, to wesele młodej pani najmocniej Bonę rozdrażniało. Chciała, aby płakała i cierpiała, a doczekać się tego nie mogła.

Od czasu wyjazdu młodego króla stosunki jego z żoną były zerwane. Nie pisał do niej.

Każdego posłańca z Wilna dopytywano o listy od Augusta, żaden z nich nie przyniósł nic do żony. Ale i do matki posły stały się rzadszymi.

Jak skoro król uczuł się cokolwiek silniejszym, Bona, której sąsiedztwo Krakowa było niedogodnem, przyspieszyła wyjazd do Korczyna.

Tu nie zapowiadano, jak długo się miano zatrzymać, a o dalszych planach podróży głucho było.

Jednego dnia ruszyły tabory królewskie, przodem niektóre, inne wraz z kolebkami, które wiozły Zygmunta, Bonę i Elżbietę.

Młoda pani jechała z Hölzelinówną, ze swoim bardzo szczupłym dworem i służbą, tuż za starym, który się pilno o tę, jak ją nazywał, — córkę dowiadywał.

Podróż bardzo powolna, naprzód obmyślana tak, aby się nigdzie z powietrzem nie spotykać, a miejsca zarażone, jeżeli ominąć ich nie było podobna, przejeżdżać bez zatrzymywania się, szła nieznośnie długo, a niezawsze wygodnie. Rzadko gdzie było można rozłożyć się i pomieścić bez ścisku. Elżbieta zносиła to z dzielnością niemal wesołością niedoświadczonej, którą wszystko bawiło, — nawet czasem niedostatek czegoś i pozbawienie tego, do czego była nawykłą.

W Nowym Korczynie pobyt nie był długi. Hetman Tarnowski zapraszał króla do jednej ze swych majątności, w której spokojnie i bezpiecznie mógł przebyć czas jakiś. Zygmunt rad był przyjąć ofiarę, ale Bona niecierpiała, obawiała się hetmana. Był to wróg Kmity, nieprzyjaciel Gamrata, sprzymierzeniec Maciejowskiego, jawny antagonistą starej królowej, mąż wielkiego i niepodległego ducha, jeden z tych bardzo niewielu, których Włoszka ani złamać, ani oszukać, ani ugłaskać nie mogła.

Piastując najwyższą godność hetmańską, Tarnowski nie miał już nic do zdobycia, ogromne posiadłości na swój czas czyniły go jednym z najbogatszych magnatów nie tylko w Polsce, ale na cywilizowanym świecie. W XVI wieku pięćdziesiąt tysięcy czerwonych złotych dochodu, przy buławie hetmańskiej i wielkiem imieniu, stanowiły potęgę ogromną.

Bona rozporządzała wielkimi skarbami, jak on, ale daleko od niego była zależniejszą, a tylko przebiegłość jej, intrygi, nieprzebieranie w środkach czyniły ją niebezpieczną.

Kmita, którym się ona posługiwała przeciwko Tarnowskiemu, wróg jego ogłoszony, przy całym wysiłku do walki z hetmanem, nie dorósł do jego powagi i znaczenia.

Tarnowski obchodził się z nim niemal lekceważąco, nie wyzywając nigdy, ale tam, gdzie starcie było nieuchronne, utrzymując wyższość swoją. Oba oni w oczach kraju, który ich znał, powagą i zacnością mierzyć się nie mogli i nie stali narówni. Kmicie zarzucano gwałty, szaleństwa, wybryki, jego bandę złoczyńców, jakimi się posługiwał, gdy hetmanowi nigdy nikt nie mógł zadać, co by sławę jego zaćmić zdołało.

Zwycięzca w tylu bojach, był czystym i niepokalanym i cnotę swą nosił wysoko, nie lekając się nawet potwarzy, która do niego przystać nie mogła.

Nie było powodu odrzucenia zaprosin Tarnowskiego, które, choć Bonie były niemiłe, przyjęte zostały.

Dwór przeniósł się do spokojnej osady, przygoto-

wanej naprędce na jego przyjęcie. Pobudowano tu szopy, wzniesiono nowe dwory, a hetman z gościnnością staropolską przyjmował pana, nie dając mu nic pożądać, bo życzenia były przewidziane.

Wiejskie to było schronienie, ale nie nie brakło i w porównaniu z Niepołomicami, wygodniejsze od nich. Król je sobie upodobał. Dokoła nigdzie o straszonym morze słyhać nie było i z Krakowa tylko zawsze złe przychodziły wieści, tak, że o prędkim powrocie do niego marzyć nawet nie było podobna.

Elżbieta znajdowała się tu, jak wszędzie, szczęśliwa ze wszystkiego i cierpliwa na to, co ją spotykało. Bona, przeciwnie, objawiała coraz większy niepokój, z jednej strony o zdrowie i życie męża, z drugiej o syna. August pisywał rzadziej.

Nie wchodziło w plan Bony, aby król oddał synowi Litwę do rządów; chciała go mieć u boku swojego, pod bezpośrednim wpływem. Tymczasem pobyt w Wilnie, zbliżenie się do panów tutejszych podbudziło nadzwyczaj dawne ich wymagania, aby Zygmunt dał im syna na w. księstwo.

Im mocniej przekonywała się Bona z doniesień, które jej slano, że August niezupełnie szedł za jej wolą, tem więcej nalegała na męża, aby dopóki żyw, nie puszczał z rąk wodzów.

Z polecenia Bony, aby dokuczyć synowej, podszeptowano Hölzelinównie o tem, iż wydana za mąż Dżem-ma, kochanka Augusta, pojechała do Wilna. Sądzone, że ona o tem oznajmi swej pani, ale piastunka zmilczała, a Elżbieta, gdyby jej nawet o tem doniesiono, zbyłaby uśmiechem obojętnym wiadomość.

Ona żyła ostatniemi słowy męża i tą błogą nadzieją, jaką one jej przyniosły. Kochała go i wierzyła mu. Całe jego postępowanie tłumaczyło się obawą matki tak do-brze, iż ją zupełnie uspokajało.

Naostatek, po długiem oczekiwaniu, jeden z posłańców przywiózł list od męża do młodej królowej. Był li on z rozkazu, za pozwoleniem, czy mimo wiedzy Bony pisany, Elżbieta nie umiała dociec, lecz miarkując z te-

go, jak Bona przyjęła wieść o nim, stanowczo musiał jej być niemiłym.

Królowa młoda, rozpromieniona, nosiła go na pierśsiach, nie rozstawiała się z nim i natychmiast zaczęła myśleć o odpowiedzi.

Było to dla niej zadanie trudne. Jak w liście pogodzić czułość, którą chciała wyrazić w nim, a nie obudzić w Bonie podejrzeń? (bo ta niechybnie czytać go miała — szedł przez jej posłów do Wilna).

Hözelinówna nalegała na wyrażenie jak najczulsze, na opis szczegółowy życia, jakie wiodła królowa, tęskniąca za mężem. Elżbieta potrzasała główką, milczała, a gdy list był gotowym i odczytała piastunce, wydał się jej zimny; Elżbieta nic w nim zmienić już nie chciała, nie mogła.

Hözelinówna próżno wyprawienie listu zwlec chciała, wyszedł on takim, jakim go obmyśliła Elżbieta i brzmiał, jak następuje:

„Lubo powinna mieć nadzieję, że się wkrótce z sobą zjedziemy, ponieważ czas mi się dłuższym daleko wydaje, niżbym chciała, postanowiłam tym listem jeszcze gonić za w. k. mością. Gdy nie mogę ręki podać ani z nim ustnie rozmawiać, niechże nieobecna, choć listem się przypomnę.

Niech w. k. mość to o swej wiernej małżonce i słudze wiedzieć raczy, iż niczego tak nie pragnę, jak żebyś mnie w. k. mość w pamięci swej zachować raczył i szczerze z duszy kochającą nawzajem miłował. Niech Pan Bóg zachowa w. k. mość w dobrem zdrowiu i zsyła nań ponysłność wszelką, a mnie jak najprędzej z w. k. mością, królem, panem i małżonkiem moim najmilszym połączy“¹⁾).

Naówczas już, gdy list do Wilna wysłano, młoda królowa po pobycie na wsi u Tarnowskiego, potem w Piotrkowie, znajdowała się z Zygmuntem Starym w Warszawie.

Była wiosna, długi czas upłynął od wyjazdu Augu-

¹⁾ Przeździecki. Jagiellonki.

sta. Sejm dla Litwy zapowiadano w tym roku wkrótce, a August miał przybyć z panami litewskimi do Brześcia.

Wszystkiemu temu Bona, przy całej swej zabiegliwości, zapobiec nie umiała. Zwlekała, mając nadzieję, że coś zjazdowi przeszkodzi, ale nadzieje wszelkie ją zawodziły.

Zygmunt Stary, listami króla Ferdynada i naleganiami Maciejowskiego pokonany, mimo odradzań Bony, postanowił zawczasu, iż Elżbieta z mężem się połączy i pojedzie z nim do Wilna.

Otwarcie Bona się nawet sprzeciwiać temu nie mogła. List Herbersteina dawał jej do myślenia, trwożyła się zarówno o córkę, jak o zagrożone neapolitańskie dobra swoje. Cała jej polityka polegała na odkładaniu, na zwłokach, na wynajdywaniu pozorów w stanie zdrowia króla, w pogłoskach o powietrzu, które stawało się groźniejszym wszędzie, gdzie było wielkie zbiegowisko ludzi.

W Brześciu właśnie sejm ten miał się zgromadzić ze wszech stron.

Lecz mór srogi naostatek i w Krakowie ustawać począł, mniej o nim słyhać było, a Litwa nalegała mocno. Postanowiono więc w czerwcu z Mazowsza się udać na granicę do Brześcia, gdzie już przygotowania poczęto czynić na pomieszczenie dworu.

August obiecywał przybyć nieochybnie.

Elżbieta wyglądała przyjazdu jego, jak wybawienia z niewoli, ale niemniej niespokojnie czekała na niego Bona.

Miał jej on powrócić tak poddanym i posłusznym, jak był, czy zmienionym i zbuntowanym? Ostatnie listy kazały się tego domyślać, a przynajmniej ciężkiego przejścia, nimby wyrywający się niewolnik znowu został zakuty w kajdany.

Miarkując ze wszystkiego, co jej donoszono, królowa nie rachowała już na Dżemnę. Na dworze swym miała ją czem zastąpić. Oprócz tego liczyła na znaną sobie rozrzutność syna, a skąpstwo ojca, gdy szło

o niego. Musiał potrzebować posiłków, które matka była gotową dać, nawzajem żądając za nie powrotu do dawnej uległości.

— Hölzelin, duszo moja! — wołała, dni licząc, młoda królowa — w czerwcu przybywał Dwa księżyce nowe się zmieniają, a my go zobaczymy!

Kätchen z jakąś nieufnością i niedowierzaniem całowała ją po rękach.

— Królowo moja, — szeptała — bodaj lepszym wrócił, niż odjechał.

Dwuznaczny uśmiezek Elżbiety i milczenie jej były dla piastunki zagadką.

Losy nieszczęśliwego Dudycza i pięknej jego małżonki nie mogą nam być obojętne. Dżemma spodziewała się zawsze powrotu króla do dawnej miłości, roiła, że zostanie na zamek wprowadzoną, oczekiwała codzień naglej zmiany szczęśliwej. Ale nadzieje te okrutnie zostały zawiedzione.

Gdy znowu przez dni kilka król nie ukazał się na Trockiej ulicy, a Dżemma sobie wytłumaczyć nie mogła tego zaniedbania, choć Bianka usiłowała ją tem pocieszać, iż miał gości dostojnych i zajętym był bardzo — zniecierpliwiona już chciała biec na zamek, więc Bianka, obawiając się porywczowości jej, musiała sama ofiarować się w zastępstwie.

Na zamek dostać się było niełatwo. Jedna jego część nieprzystępna się stała, bo koło niej pracowano, w drugiej ciasno było od natłoku dworu i urzędników. Ale Włoszka była rozważną, zręczną i ostrożną. Potrafiła, niezbyt na siebie oczy ściągając, dostać się do Merły, ulubieńca Augusta.

— Mój miły panie, — zawołała, zobaczywszy go nadchodzącego — radź coś na to, aby król jegomość tak okrutny nie był dla biednej Dżemmy. Ona oszałeje z rozpacz.

— A cóż ja na to radzić mogę? — odparł Merło. — Król nasz w Wilnie nie ten, co był w Krakowie. Tu się

on musi na wsze strony oglądać, bo zewsząd na niego patrzą. Dobrze jest miłowanie, ale całego życia oddać mu nie można.

— Niechże o niej nie zapomina! Litość mieć powinien! — zawołała Bianka.

— A ona też nad nim — rzekł Merło. — Królowi ona zawsze miłą, ale teraz, gdy męża ma...

— Męża? — rozśmiała się Włoszka. — Aleć to stajenny, nie mąż. On na próg do niej wejść nie śmie!

— O to mniejsza — dodał dworzanin, który z przyjemnością z piękną jeszcze, choć przywidłą Bianką gawędził. — Król się wszakże opamiętał, że żonę wziął i myśli o niej.

— Król? A w Krakowie ani znać jej nie chciał? — odparła Włoszka.

— Co innego było w Krakowie — począł poufnie Merło. — To pewna, że teraz do niej nabrał serca. W Krakowie obawiał się matki, a tu my nikogo się nie lękamy.

— Zapomnieliście, że stara królowa długie ma ręce — rzekła Bianka.

— Na Litwę przecie niemi sięgnąć będzie trudno — odparł Merło, — a jeżeli królowa matka syna kocha, to mu żony odbierać nie zechce, gdy się przekona, że się do niej przywiązał.

Włoszka poczęła się śmiać.

— Przywiązał się teraz, nie widząc jej! Co wy właściwie, jakbyście ze mnie żartowali.

— Mówię prawdę — począł Merło — i mam na to dowody. Powtarzam wam, że w Krakowie co innego było, a tu się inaczej święci. Najlepszy dowód, że król o niczem nie myśli, tylko o tem, aby na zamku jak najprędzej izby dla swej pani godne jej urządził. Śpieszą robotnicy, jak mogą, a on sam się niemal codzień dowiadyuje. Sprowadza kobierce, opony, malarzy i pilno się stara, aby usłał gniazdo piękne i miękkie.

Bianka słuchała, uszom nie dowierzając. Merło się jej do ucha nachylił.

— Król z żoną swą ma pewnie potajemne stosunki

i jest w porozumieniu. Nie wiem ja nic, bo i przede mną się z tem tai, ale domyślam się na pewno. Mówię wam o tem dlatego, że mi Dżemmy żal. Niech się darmo nie uwodzi. Co niemożliwe, to niemożliwe. Król ją wyposaży i dopomoże im do gospodarstwa, ale dawna miłość nie powróci.

Bianka, która do serca brała sprawę swej przyjaciółki, stanęła, słuchając, z załamaniem rękami, i łzy się jej w oczach zakręciły. W piersiach jej zawrzał gniew, może obudzony tem, że sobie własny los przypomniiała.

— A zatem — odezwała się po chwili, wychodząc z zamku na podwórze ku miastu — nie mam ja tu co robić, a teraz myśleć tylko muszę, jak smutną prawdę powiedzieć Dżemmie, która się jej ani domyśla, ani przeczuwa.

— Bądźcie zdrowi — dodała, żegnając wymuszonym uśmiechem Merłę — muszę pośpieszyć do tej biedaczki.

Przez całą drogę myślała w istocie posłana, z czem powróci do domu. Odrazu odebrać Dżemmie wszelkiej nadziei nie chciała. Skłamała więc, na pytania natarczywe odpowiadając, że Merło był zajęty, że na zamku nieład wielki panował, bo pośpiesznie odnawiano mieszkalne komnaty, i z tego powodu nic się prawie dowiedzieć nie mogła.

Dżemma chciała już lecieć sama, ale ją towarzyszka powstrzymać zdołała. Nie przeciwiała się, gdy zrozpaczona i zniecierpliwiona, znowu króla się spodziewać zaczęła i czekała na niego.

Lecz dzień ten i następny upłynął, a król nie dał znaku życia. Zniecierpliwienie i gniew rosły z każdą chwilą.

Trzeciego dnia już utaić nie było można, iż król znowu na czas dłuższy wyjechał do Olity, żadnych nie wydawszy rozkazów względem pobytu i pomieszczenia Włoszki.

Widząc ją podrażnioną i oszalałą, Bianka naostatek postanowiła nie taić dłużej i nie dać się jej uwodzić próżną nadzieją. Wieczorem przysiadła się do jej łóżka

i począwszy od narzekania na niestałe serca mężczyzn, wkońcu wyjawiała, co mówił Merło.

Domysły jego w ustach Bianki przybrały barwę inną; Włoszka zaręczała, że była pewną stosunków potajemnych króla z żoną.

Wrażenie, jakie te smutne wieści sprawiły na Dżemmie, było niezmiernie gwałtowne, krzyki i łkania rozbudziły całą kamienicę, ukoić nie było podobna przywiedzioną do szaleństwa.

Nad ranem już Dżemma poprzysięgła zemstę królowi i szukała środków, jakimiby ją na nim i na żonie jego wyrzucić mogła. Rachowała na Bonę, będąc pewną, że ona we własnym interesie sprawę jej posłubi.

Sama nie wiedząc, co czynić, to się zrywała jechać, goniąc Bonę do Piotrkowa lub Warszawy, to namyśliwszy się potem, gońca wyprawić do niej. Ale kogo? List nie mógł wypowiedzieć wszystkiego. Dudycz, który jej przyszedł na myśl, nie był zdatny do sprawienia poselstwa, zaczęła prosić o to Bianki.

Włoszka sama jedna obawiała się podróżować.

Cały dzień następny strawiły na naradach, do których stara Włoszka została też wezwana. Ale ani ona, ani Bianka nie chciały się puścić w tę podróż i narazić na pierwszy wybuch gniewu starej królowej. Stało więc na tem, iż Dudycz z listem miał jechać.

Bianka poszła mu oznajmić o tem, nie rozszerzając się nad treścią listów, które miał do rąk oddać królowej. Dotąd posłuszny Petrek rozkaz pani swej przyjął zimno.

— Nie pojedę — rzekł krótko. — Dostyc już wam za darmo się wysługuję, żebym miał stare kości tłuc po drogach dla jejmościnej fantazji. Niechaj śle, kogo chce, ja się nie ruszę.

Niespodziany opór, którego Bianka przełamać nie mogła, zdziwił Dżemmę — pierwszy raz niewolnik jej śmiał się sprzeciwić.

Lecz teraz nawet jego oszczędzać było potrzeba, bo gdyby i on opuścił?

Po namyśle Włoszka kazała przywołać go. Ten dowód łaski jeszcze go dotąd nie spotkał. Dudycz poszedł się ustroić, wasy posmarował i poważnym krokiem wszedł do pokoju żony. Dżemma musiała udawać łagodną, ale nie mogła wesolej.

— Pierwszy raz mam prośbę do was — rzekła — a i tej zadośćuczynić odmawiacie.

— Bo mi już ciężko dźwigać to jarzmo — rzekł Dudycz. — Jam, oprócz rozkazów, dobrego słowa od was nie słyszał.

Dżemma spojrzała na niego i wzdrygnęła się. Wydał się jej okropnym, pomyślała, że to był mąż, pan, i lzy się jej z oczu puściły.

— To, czego po was wymagam — odezwała się — nie dla mnie samej potrzebne. Jest to pilny interes królowej matki, która wam wdzięczną będzie. Dlatego, skarbiąc dla was jej łaskę, chciałam, abyś waćpan sam pośpieszył.

Niewymowny Dudycz, z oczyma spuszczonemi, strzepił machinalnie pióro od kapelusza, który trzymał w ręku.

— Pojedziecie? — zapytała Dżemma łagodnie.

— Ten raz, cóż robić! — odparł Petrek. — Choć przyznam się, że i dla królowej nawet ochoty nie mam. Koń ciągnie — dodał — ale mu też obroku dać potrzeba, a jam go nie widział jeszcze.

Dwuznacznie się uśmiechnęła Włoszka.

— Zdaje mi się, — rzekła — że obrok i za mnie i za siebie da królowa. Jedźcie tylko śpiesznie, sprawcie się dobrze, a będą was pytać, potwierdźcie to, co królowa w liście moim znajdzie.

Bianka podjęła się nawpół wtajemniczyć Dudycza, który się powoli udobruchał.

Tak wkońcu, po naradach, pisaniu i wyborach, które się parę dni przeciągnęły, Dudycz wyruszył, zostawwszy ludzi żonie, samowiór z jednym pacholikiem.

Królestwo byli naówczas w mazowieckim grodzie nad Wisłą, skąd im do Brześcia na sejm bliżej być miało. Gród ten, nieznany Dudyczowi, opasany dokoła la-

sami, na małym wzgórzu nad samą Wisłą, ciasno murami opasany, po Krakowie mu się nie wydał zbyt pokąźnym, a i Wilno przy nim nie traciło. Zameczek stary, budowany i przebudowywany składał się z murów polepionych razem i niewiele obiecujących. W mieście gospody niełatwo było wyszukać.

Petrkowi, który przyjechał zły i wszystko mu kwaśno smakowało, nawet wymowa mazurska śmieszna, a jak on powiadał, chłopską się wydała.

Zmuszony niebardzo się wydawać ze swoim przyjazdem i celem podróży, Dudycz strawił dzień niemal na rozpatrywaniu się, nim natrafił na kogoś zaufanego ze dworu Bony, któremu się opowiedział, iż z panią potajemnie widzieć się potrzebował, bo przywoził ważne wiadomości.

Zaledwie zmierzchło, gdy do gospody jego podle Panny Marji, nieopodal zamku, bo tam wszystko jeszcze było na kupie, przyszedł Włoch, aby go zaprowadzić do Bony.

Posadzono go naprzód w ciasnej antykamerze, gdzie skrzyń i sepetów podróżnych było pełno, listy mu odebrawszy. Upłynęło sporo czasu, nim je odczytano i samego Dudycza przyprowadzono do królowej, za której krzesłem stała jedna tylko mniszka Maryna, z jaszczurczemi oczyma, towarzysząca pani wówczas, gdy nikogo nie dopuszczano więcej ze dworu.

Na stole zobaczył Petrek poszarpane listy, które przywiózł, a Bona siedziała z twarzą jakby obrzękłą, pomarszczoną, obwisłą, tak straszna, jak jej sobie Dudycz nie przypominał. Nim się zbliżył, zdawała się go piorunować oczyma i krzyknęła, ręką potrząsając listy.

— Coś mi to przywiózł? prawda li to? Nie może być, Dżemma oszalała! Cóż się tam w Wilnie dzieje?

Petrek zimno, ale ze szczegółami opowiadać zaczął, jak się napróżno do króla dobijali, który tak dobrze, jak znać ich nie chciał. Potwierdził i to, że zamek dla młodej królowej pośpiesznie przygotowywano, a co się tyczy podejrzeń, iż August potajemnie znosił się z żoną, nie umiał powiedzieć nic.

Bonie wiadomość ta tak była nieprzyjemną, iż niebardzo jej wierzyć chciała. Odzyskać straconą władzę nad chorym mężem było jej łatwo, ale nad synem, który się raz z rąk wyrwał, wiedziała, iż się stać może niepodobnem. Znała jego słabość, serce miękkie i przeczuwała, że tak samo opanuje go żona, jak wprzódty ona nim władała.

Odstępstwo syna wprawiało ją w rozpacz. Przypisywała je niezręczności Dżemmy, głupocie Bianki, i na wszystkich wyrzekać poczęła, łajac ich i grożąc. Dudycz niewielu słowami uniewinniać się starał.

Po krótkiej rozmowie, gdyż królowa nadto była rozgniewaną, aby ją prowadzić długo, Dudycza odprawiono do jutra.

W przedsieniu pochwyciły go czatujące panny dworskie Bony i zaprowadziły do siebie, damagając się, aby im o żonie swej i Biance opowiadał. Ale Dudycz ostrożnym był i mało co się od niego dowiedziały; z humoru tylko jego i królowej domyślać się mogły, iż zaszło coś niespodziewanego i niepożądanego.

Dudycz, nie mogąc na króla, narzekał na „boćwinę“ litewską, jak on ją zwał, na obyczaj dziki, na wszystko.

Drugiego dnia o zmroku zaprowadzono go do królowej, która już była nieco ostygła, ale rozczytawszy się w listach i rozmyśliwszy, doniesienie Dżemmy wzięła do serca. Nie wątpiła już o zdradzie syna, o podstępach Elżbiety, o tajemnych stosunkach. Nienawiść jej ku synowej spotęgowała się jeszcze obrażoną miłością własną, iż ją śmiano i potrafiono podejść i oszukać. Odgrzała się w duchu zemstą sroga.

Jedyną pociechą było, że astrolog jej, ciągle w gwiazdy patrząc, stanowczo młodej pani nie obiecywał długiego życia. Ale i krótki triumf, odniesiony nad nią, był nieznośnym.

Ostro nakazała Bona Dudyczowi, aby się z żoną z Wilna nie ruszał i starał dostać koniecznie do króla, a do Dżemmy napisać poleciła, aby jej donosiła o wszystkim i utracone względy (własną winą) starała odzyskać.

Poselstwo to wogóle bardzo dla Bony pożądane, dla królowej Elżbiety groźne, Dudyczowi nie przyniosło nic a nic. Bona mu ani dała, ani obiecała od siebie nagrody za służbę, zbурczała i odprawiła nazad do Wilna.

Petrek, nie śmiejąc w Warszawie gościć długo i nie mając też co poczynąć, niebawem też wyruszył zpowrotem, niebardzo śpiesząc, bo nie się dobrego w Wilnie zastać nie spodziewał.

W czasie tej jego podróży Włoszka, wysławszy zażalenie do królowej, nie zaniedbywała, mimo to, kołatać do króla, ujmować Merłę przez Biankę, którą on mile widywał, i czatować na Augusta, rzadko i na krótko pokazującego się w Wilnie dla rozpatrzenia w robotach zamkowych, tak, że często, gdy Dżemma się dowiedziała, iż przybył, i słała do niego, on już do Trok lub do Lidy wyruszył.

Męczyła się namiętna Włoszka, płakała, chorowała, wymyślała rozmaite sposoby zbliżenia się, których wykonać nie mogła, naostatek śmiertelnie nudzić się zaczęła.

Był wówczas na dworze Augusta między innymi Włochami jeden, który się zwał Testa, a dano mu od jego obowiązków przydomek *il Cavalcatore*, bo konie królewskie ujeżdżał. Mężczyzna urody był i postawy bardzo pięknej, młody jeszcze, wesół, a że łaski u pana miał, butny i śmiały.

Raz natrafiwszy na Biankę, gdy z Merłą rozmawiała, rad był, że Włoszkę znalazł i nazajutrz po wyjeździe Dudycza do niej się stawił.

Bianka, która go przyjąć nie miała gdzie, choć rada mu była, zaprowadziła do Dżemmy. Tę Włoch zobaczywszy, łatwo się domysleć, jaką dla niej miłością rozgorzał.

Dumna pani, choć jej to pochlebiało, w początkach go bardzo surowo przyjmowała, nie dając przystępu do siebie, lecz Włoch był zręczny, pochlebny, znał kobiety i wcale się tem nie zraził. Oprócz innych talentów, Testa śpiewał, choć nie uczenie, ale przyjemnie, wesołe piosenki ludowe.

Nieznacznie weszło w zwyczaj, że przychodził wieczorem. siadywał, balamucąc obie Włoszki, niekiedy je do śmiechu pobudzając, a wkońcu i pożądanym się stał, bo je bawił.

Dżemma zaczęła na niego patrzeć okiem łaskawszym. Miał łaski u króla, chciała go użyć za pośrednika, bo Merło się jej wydawał niezręcznym. Włoch przyrzekał więcej daleko, niż się spodziewał dotrzymać, bo w istocie nie miał tej poufałości i zaufania u Augusta, aby śmiał mu coś powiedzieć.

Łudzona obietnicami, Dżemma coraz Włocha więcej potrzebowała i dała mu wstęp do domu, w którym się on zasiadywał.

Tak się to dosyć długo ciągnęło, a Włoszka Augusta w ciągłych przejażdżkach schwycić nie mogła, aż naostatek, za poradą Testy, wybrała się za miasto, gdy miał wieczorem z Trok powracać i zuchwale mu zastąpiła drogę.

Szczęściem król tak jak sam był, bo nie miał nikogo, oprócz dworzan, przy sobie. Zatrzymał się, zobaczywszy ją, bo litość może powziął nad nią, i oddawszy konia dworzaninowi, pieszo dalej szedł z nią razem.

Dżemma, wiedząc, że się jej może niełatwo uda drugi raz z nim spotkać, wybuchnęła wyrzutami i narzekaniem straszliwem. Przypominała mu dawne obietnice i przysięgi, oplakiwała swą niedolę, groziła, że życie sobie odbierze. Scen takich August nie lubił, a serce miał miękkie.

— Uspokój się na Boga — rzekł — nie zapomniałem o tobie, ale się okoliczności zmieniły; król nie jest panem siebie, a rychlejby nas niewolnikami, niż królami zwać przystało. Nie wymagaj ode mnie, czego dać nie mogę.

— Ja nic nie chcę, oprócz serca! — płacząc, odparła Włoszka.

— Nie odebrałem ci go, masz je — rzekł król — lecz przed całym światem z tą miłością się okazać nie mogę. Nie dość, żem ja żonaty, ty wyszłaś zamaż; nie spyławszy mnie, a to samo nas rozdziela.

— Jakto? — krzyknęła Dżemma — moje małżeństwo żadnem jest! Męża mojego nie znam. Wzięłam go jedynie dlatego, abym mogła sobą władać i tu przybyć, a wy mnie, królu i panie, karzecie za to, co mi nie najwięcej kosztowało i było ofiarą dla ciebie!

Zygmunt nie odpowiedział nic; zwolnił kroku.

— Słuchaj, Dżemmo! — rzekł stanowczo — uczynię dla was i dla ciebie, co tylko mogę, lecz na życie ze mną nie rachuj. Dziś ono niepodobieństwem. Samo przebywanie twoje tutaj niemilem mi będzie; jedź, dokąd chcesz. Mężowi i tobie dam zapomogę, gdy tylko władzę odzierzę, a to nastąpi wkrótce.

Usłyszawszy wyrok ten, Dżemma zachwiała się i byłaby z krzykiem padła na ziemię, gdyby nieopodal stojąca Bianka nie pochwyciła jej w silne ramiona. Król natychmiast konia sobie podać kazał i na zamek odjechał.

Gdy do siebie przyszła pani Dudyczowa, rozpacz jej zmieniła się w gniew i pragnienie zemsty okrutne. Straciła wszelką nadzieję, życie jej było zwichnięte.

Przez dni kilka Bianka musiała czuwać nad nią, chować sztylety i zapobiegać, aby nie dostała trucizny. Wkońcu jednak uspokoiła się tyle, iż z odgrózkami na ustach postanowiła powrócić do królowej.

Merło z rozkazu Augusta w parę dni potem przyniósł paręset czerwonych złotych i radę, aby się z Wilna oddaliły. Dżemma rzuciła pieniędzmi o ziemię, ale je Bianka skrzętnie pozbierała. Nie chciała nawet czekać na powrót męża, a że Testa wypraszał się do Krakowa i ofiarował jej towarzyszyć, wszystkie Włoszki razem z nim puściły się w drogę ku Warszawie.

Los dziwny chciał, by z Dudyczem się gdzieś rozminęli niepostrzeżenie, tak, iż ten do Wilna przyjechawszy, znalazł izby puste i dług tylko niezapłacony, który uiścić musiał.

Gospodyni mu bez ogródki opowiedziała, że żona jego z Włochem kawalkatorem w świat ruszyła.

Co się tam z Dudyczem działo, gdy się dowiedział o swoim losie, nikt nie odgadł, bo zasepił się, głębiej

zwarł mocno, zębami zgrzytnął, ale słowa nie powiedział.

Milcząc, dług zapłacił, koniom dał odpocząć, sam się wyspał, a gdy nie było tu co robić, poszedł Merłę pożegnać i zabrał się żonę gonić.

Zobaczywszy go, dworzanin królewski zdziwił się, widząc tak napozór obojętnym. O Włochu kawalkatorze mowy nie było. Dudycz wyjazd jejmości składał na nieporozumienie. Spytano o to, kędy bywał i co słyszał. Powiedział, że nic nie wie nad to, iż stara królowa z młodą w Warszawie siedzą.

Merło znalazł go zamkniętym i milczącym aż do zbytku.

Nazajutrz rano Dudycz już był na koniu i ruszył, rozpytawszy o jak najbliższą drogę do Warszawy, pewien, że tam żonę zastanie.

Ponieważ królowej nie była już potrzebną, myślał ją zabrać na wieś do siebie i tam zamknawszy, ugłaskać a zmusić do lepszego z sobą pożycia. Lecz Petrek lepiej się znał na soli i na handlu nią, niż na sercach kobiet i włoskim temperamentcie.

Próżne były wszelkie starania Bony, aby zjazd w Brześciu został odroczony. Wydano listy i stary król, choć niezbyt silny, na dni kilkanaście przed terminem, wyprawił część dworu, za którym sam i dwie królowe z nim puściły się małemi dniami, kierując ku Bugowi.

Bona jechała milcząca, blada, z oczyma zapłakanemi, nie mówiąc do synowej, mierząc ją wzrokiem zjadliwym, którego wyraz przejmował Elżbietę trwogą. Pokora, uległość, posłuszeństwo, wszystkie środki prześlągania tego tłumionego gniewu, który nie wybuchał, bo nie miał najmniejszego pozoru, coby go mógł usprawiedliwić, napróżne były ze strony Elżbiety.

Codzień prawie spotykały ją dotkliwie przykrości, które w milczeniu połykać musiała, taić i twarz, na przekór im, okazywać wesolą.

Bona, za poradą swego astrologa i lekarzy przestrzeżona, iż młodej królowej drażnienie niebezpiecznem być mogło, właśnie zdawała się rachować na nie, aby chorobę, o której wiedziała, na której objawy czatowała, wywołać. Lecz szczegółnem zrządzeniem jakimś Elżbieta, którąby może szczęście zmogło, ucisk wytrzymała bohatersko.

Hözelinówna, czuwająca nad nią, każdego dnia dziękowała Bogu, gdy przeszedł bez wypadku. Lękała się, aby kiedy paroksyzm ów straszny nie pochwycił królowej w chwili, gdy na nią dwór i stary król patrzył.

Zygmunt dotąd, gdy o chorobie synowej Bona mu mówiła, kłam jej zadawał. W istocie kilka razy ze znużenia, po łzach, po wielkiem zmartwieniu w nocy dostawała Elżbieta tego zdrętwienia, gdy, oprócz piastunki, nikt nie był jego świadkiem. Przechodziło to snem do rana, a choć nazajutrz bladą była i twarz świadczyła o znużeniu, Hözelinówna zaprzeczała chorobie i sama Elżbieta zareczowała, że jest zdrową.

W tem, jak w innych sprawach, nie powodziło się teraz Bonie, a przy jej charakterze gwałtownym łatwo się domyślać, do jakiego stanu to ją doprowadzało. Gotowa się była chwycić środków ostatecznych. Codzienne potajemne narady z lekarzami nie samym stanem zdrowia króla były spowodowane.

Podróż do Brześcia osłabioną wiosennem powietrzem królowę Elżbietę, nadzieja połączenia się nareszcie z mężem, wyzwolenia z więzów nieznośnych, dźwignęła cudownie. Twarzyczka jej zarumieniła się znowu, usta uśmiechały jeszcze milej, ścisła Kätchen i zareczowała jej, że nigdy, nigdy już chorować nie będzie.

Hözelinówna jechała z wielką i nieustającą obawą. Wiedziała ona, iż wszelkie wstrząśnienie moralne, cierpienie duszne, a na tych nie zbywało, dzięki Bonie, mogło nagle sprowadzić paroksyzm.

Naostatek, po długiej, powolnej podróży nad rozlanym jeszcze szeroko Bugiem wiosennym ukazał się naprzód Błotków, a potem szary, po większej części z drewnianych domostw składający się Brześć Litewski.

Wiosenna pora dobraną była na zjazd dlatego też, że w miasteczku Litwa zebrana na żaden sposób pomieścić się nie mogła. Leżała obozem dokoła.

Oprócz panów litewskich, prócz szlachty, Polaków też urzędników znaczniejszych i senatorów do boku króla przystawiło się niemało.

Gdy Zygmunt Stary i obie królowe przyjechały do Brześcia, Augusta tu jeszcze nie było, obiecywano go na jutro.

Jeżeli kto, to Bona czekała na syna z najżywszą niecierpliwością, czując, że spotkanie to o przyszłości wyrokować miało. Nie żeby się ona jej wyrzec chciała, znajdując Augusta zmienionym dla siebie, miała jeszcze siły do walczenia z nim, ale wołałaby była uniknąć gorszącego zajścia z dzieckiem własnem, które liczbę jej przeciwników zwiększyć musiało.

Serce matki, kobiety, ma przecucia i widzenia wczesne; — i Bona, choć się jeszcze ludzić starała tem, że Augusta potrafi znowu pozyskać, że mu się wyzwolić nie da, czuła, iż miał jej po jedenastu miesiącach, spędzonych na Litwie, innym, niż jechał, powrócić.

Wszyscy ci panowie litewscy, którzy go tu poprzedzili, wyjechali na moście między Błotkowem a Brześciem powitać Augusta, którego zgodnie wynosili, chwaili i dziękowali zawczasu ojcu, że im takiego pana miał dać do rządów.

Król tych zbytłych pochwał nie lubił i przyjął je w milczeniu. Bona oczami zdawała się nakazywać oratorom powściągnięcie się od nich. Elżbiecie serce rosnęło.

Nazajutrz, wedle obietnicy, przybył Zygmunt August, wiedząc już o ojcu, matce i żonie, i uroczyście w kościele się spotkał z nimi. Wszyscy, co go tak długo nie widzieli, żona pierwsza, wielce na korzyść znaleźli zmienionym. Wyjeżdżał z Krakowa, można było powiedzieć, młodzikiem, powracał z Wilna poważnym mężem.

Dojrzałość ta malowała się w wejrzeniu, twarzy, w postawie i ruchu każdym. Pięknym był i krasa młodości niezwiędła kwitła na jego obliczu.

Przy powitaniu ojca i matki oko jego padło na stojącą za nimi żonę, która od tego wzroku zadrżała, poczuła nawet ów tajemniczy powiew ¹⁾, który zwykł był poprzedzać odrętwienie, lecz wielka siła woli zwyciężyła to niebezpieczeństwo.

Z żoną powitanie publiczne było stosunkowo chłodne, ale Bonie wydało się obrachowaniem na oszukanie ją kłamstwem.

August, znając dobrze matkę, która w tej chwili radość udawać usiłowała, widział, że była gniewną i wzmagala się tylko na okazanie mu czułości. Burza nadchodząca była nieuniknioną... król młody na nią przygotowany.

Po odśpiewaniu hymnu dziękczynnego i błogosławieństwie królowie stary i młody, obie królowe, towarzyszący im dwór świetny, wszyscy jechali na zamek.

Kilka godzin zajęła uczta, rozmowy, przyjęcia osób przybywających i Bona, cofnąwszy się pierwsza do swoich komnat, przez dworzaniną oznajmiła synowi, że tam na niego tegoż dnia czekać będzie, a widzieć się i rozmówić nieodzownie potrzebuje.

Dawniejszym obyczajem byłby August pośpieszył zaraz do matki, tym razem jednak dosyć na siebie czekać kazał, tak, że dopiero wysłany po niego Opałiński przyprowadził go Bonie.

Królowa siedziała oparta o stół i nie rzuciła mu się na szyję, jak niegdyś, oczy jej pałały ogniem, drżały usta i ręce, pierś miotła się gwałtownie. Syn wszedł z twarzą wesołą ale chłodny.

Milczenie Bony było już groźne.

— W. k. mość — odezwała się z przekąsem — bardzo mi spoważniałeś na Litwie i zapomniałeś o matce. Nie wiem, czy na to zasłużyłam...

Oddech jej mowę tamował.

Nie schyliwszy się do pocałowania ręki matki, August stanął.

¹⁾ Aura epileptica.

— Zdaje mi się, — odparł — że i ja na wymówki nie zasługuję. Czemże zawiniłem?

Bona poruszyła się na krześle.

— Nie kłam, — zawołała, unosząc się nagle — powracasz innym, dałeś się ująć ludziom, którzy są wrogami moimi.

— Ja? — odparł August — ja? Do tego się wcale nie poczuwam...

— Wierz mi, — przerwała gwałtownie Bona — iż każdy twój krok, niemal myśl mi jest wiadomą. Kochałam cię i kocham, pragnę twojego dobra. Jesteś niewdzięcznym.

— Ale czemuż zawiniłem? — chłodno zapytał Zygmunt August.

— O! uderz się w. k. mość w piersi! — poczęła szybko królowa. — Łatwiej to uczuć mnie, matce, niż wypowiedzieć i wyliczyć. Od kilku miesięcy listy ustały prawie, ton ich się zmienił, w kilku znalazłam zdania zupełnie moim przeciwne. Naostatek...

Zamilkła nagle, chustkę, którą miała w rękę, rzuciła na stół i dłonią otarła oczy, płakać poczynając.

Wtem we drzwiach, które się poza królową znajdowały, tak, iż ona ich widzieć nie mogła, drgnęła zasłona ciężka, część jej uchylono i blada twarz Dżemmy, z oczyma gniewnymi, wlepionymi w Augusta, ukazała się na tle ich ciemnem.

Młody król spojrzał groźnie i już mając odpowiedź na ustach, wstrzymał się z nią; Bona poruszyła się gwałtownie na siedzeniu — widmo Włoszki znikło.

Królowa tak była nawykłą zawsze do gniewu mieszać łzy i odegrywać sceny z mężem, któremi go nużyła a w końcu pokonywała, iż mimowoli z synem też raz miała rozpocząć podobną sprzeczkę, gdy spojrzenie na niego zmieniło to usposobienie. Nie potrzebowała z nim używać tych wybiegów, miała prawo powagą macierzyńską go pokonać. Podniosła głowę dumnie.

— Dałeś mi w. k. mość uczuć, — poczęła głośniejszym głosem — iż nawet na dziecko własne liczyć nie można,

że ja tu jestem otoczona zdrajcami i zdradą. Od kilku miesięcy zmieniłeś się widocznie; królowa Elżbieta i jej przyjaciele pozyskali sobie afekt w. kr. mości.

— Nie miałem z nimi stosunków — rzekł August.

— Jawnych nie, ale potajemne.

— Ja nic nie robię skrycie — odparł król.

— Maż to być wyrzutem, że ja sobie w ten sposób poczynam? — krzyknęła królowa.

August zmilczał.

— Staralam się godność królewską rodziny waszej ocalić, opierając się rozkazom króla rzymskiego, który wraz z cesarzem chciałby z nas niewolników swych uczynić. Ślą nam tu posłów z wymaganiami coraz cięższymi, grożą, zmuszają, a my mamy ulec i być posłuszni? Na mnie spada cała ich złość, dlatego, że ja was bronię z narażeniem moich dóbr w Neapolitańskiem, siebie...

Zamiast wdzięczności, król stary, jego rada przekupiona przez cesarza, który wiem, że ks. Samuelowi podarki przesyła, a nareszcie i wy bierzecie stronę Elżbiety przeciwko mnie...

August wysłuchiwał tej mowy cierpliwie, a Bona dodała jeszcze wkońcu:

— Nawet tu, do Brześcia jeszcze, wysłali znowu posła z nowymi wymaganiami.

— Ale pozwól mi w. kr. mość powiedzieć, — rzekł młody pan — iż domagania te są słuszne.

Zmarszczyła się Bona i uderzyła ręką o stół.

— Tak już teraz sądzicie! Tak! — zawołała — a ja, broniąc was od pożycia z niewiastą chorą, która i was może zakazić swoją chorobą, nie miałam słuszności?

— Królowa Elżbieta wcale nie jest chora.

— A skądże o tem wiesz w. k. mość, coś jej jedenaście miesięcy nie widział, gdy ja na nią codzień patrzę? — pochwyciła Bona. — Wyznajesz więc sam, że miałeś potajemne doniesienia, mnie nie wierząc.

— Nie potajemnie, ale jawnie świadczą o królowej ci, co ją też widywali ciągle — rzekł August.

Bonie, widząc, że jej syn nie ustępuje, łązy stanęły w oczach.

— Myślisz więc — wykrzyknęła — zgiać się przed królem Ferdynandem i posłuszny rozkazom jego, żonę zabrać? Słyszałam, żeś dla niej na zamku przygotował już pomieszczenie.

— Tak jest — odparł król sucho. — Nie mam i nie mogę mieć żadnej wymówki, jestem jej mężem, powinienem z nią żyć. Korzystam z prawa mojego.

Bona się podniosła z krzesła.

— Tak więc — dodała z za łez — w. k. mość także zrywasz ze mną, nie chcesz ani rady, ani dobrodziejstw moich, ani serca! Bardzo dobrze! Ale raczcie pomnieć, że ze mną rozbrać wziąć można, ale mnie przebłagać potem, nigdy! raczcie pomnieć, że ja tu jeszcze w tem królestwie, dopóki pan mój i król żyw, coś znaczę, a gdyby nawet Bóg mi go wziął, mam przyjaciół i obrońców mieć będę.

— Boli mnie, — zimno odezwał się August — że w. kr. mość mnie już dziś jakby nieprzyjacielem swym, a nie dzieckiem liczysz, gdy nic nie uczynilem.

— Jakto nic? — przerwała Bona. — Przypomnij, jakeśmy się rozstawali, a jak się dziś spotykamy. Padaleś mi do nóg, gdym cię wyposażała na drogę, bo nie miałbyś z czem pójść na Litwę, gdyby nie dobrodziejstwa moje.

— Za które i dziś wdzięczen jestem, — odparł August — ale nie wiem, jak mam okazać wdzięczność moją.

— Ja nie potrzebuję żadnych oznak wdzięczności... dla siebie nic, — poczęła, podnosząc głos, Bona — ja pragnę waszego dobra. Nie powinniście się dać upokarzać królowi Ferdynandowi i pozwalać narzucać żonę.

Spojrzała na syna, którego twarz wyrażała stałe postanowienie.

— Nie dla króla Ferdynanda, ani dla cesarza to czynię, iż żonę zabiorę, — rzekł sucho — ale dla sumienia własnego. Jest to obowiązek. Biedna królo-

wa wycierpiała dość, czas jest, aby zajęła stanowisko, do jakiego ma prawo.

— Prawo?! — ironicznie powtórzyła Bona — prawo? Jednego grosza posagu dotąd nie wniosła, żyje z naszej łaski.

To niezręczne wtrącenie przymówki o posag rumieńcem okryło twarz młodego króla, który dodał żywo:

— W liście swym kr. Ferdynand zapowiada wypłatę znacznej części posagowej sumy za kilka miesięcy.

— A na obietnicach u nich nigdy nie zbywa — rozśmiała się Bona.

Rozmowa zdawała się wyczerpaną. Królowa wiedziała to, o czym się przekonać chciała, młody król też czuł, że stosunek dawny z matką może na zawsze zostać zerwany i zmieniony.

Wielką, namiętną miłość miała zastąpić nienawiść.

Nie zbliżając się nawet do matki, która w krzesle swem siedziała rozparta, skłonił się nisko i zwrócił ku drzwiom. Bona zapewne, spodziewając się czegoś więcej, rzuciła się, jakby gonić za nim chciała i pomiarkowawszy zaraz, głową skinęła, padła na poręcz siedzenia.

Zygmunt August, krótko się zatrzymawszy w przedsiени, gdzie na niego czekali komornicy, zwrócił się do mieszkania żony, którą widział tylko zdaleka.

Zajmowane przez nią izby były tak szczupłe i niewygodne, że w głównej z nich zasłona wielka, zawieszona w połowie, oddzielała część jej od sypialni, w której siedziała Hölzelinówna.

Elżbieta zdawała się oczekiwać na męża, siedziała przy stole, przebierając w otwartej szkatułce, zawierającej listy ojca, matki i rodzeństwa. Wyraz niemal dzieciennego wesela twarzyczkę jej nieco bładą ożywił. Widać było, że w tej chwili nadzieja czyniła ją szczęśliwą.

Zdała posłyszawszy kroki, domyśliła się ukochanego, upragnionego męża, którego we drzwiach zapowiedziawszy, dworzanin sam ustąpił.

August szedł z postawą swobodną i obliczem jasnym, obejrzał się po mieszkaniu, uśmiechnął. Królowa powstała i nieśmiało, hamując się, kilka kroków na-przód postąpiła, niskim ukłonem go pozdrawiając.

— Przychodzę na chwilę tylko — rzekł August — śpiesząc oznajmić w. kr. mości, pani mej milej, że stąd razem połączeni pojedziemy do Wilna. Chciejcie więc do tego czynić przygotowania.

Elżbieta złożyła ręce i nie umiejac słowem, odpowiedziała wdzięcznem spojrzeniem długiem.

— Jak długo w Brześciu zostać musimy, nie wiem — dodał August. — Wierz mi wasza kr. mość, iżbym rad jak najkrócej.

Mówiąc, młody król, który zdawał się nie śmieć przystąpić bliżej i ręki jej nawet nie dotknął, badał ją pilno oczyma, a twarz jego świadczyła, iż skromna, łagodna, bojaźliwa młoda pani za serce go chwyciła.

— Mam tu tylu ludzi do widzenia, tyle spraw do załatwienia, — dodał August — iż mi się dziwić nie będziesz w. kr. mość, że wiele z nią czasu spędzać nie mogę. Nagrodzę to sobie w podróży i na miejscu w Wilnie.

Mówiąc to, skłonił się z galanterją rycerską, ręką pozdrowił królowę, która schyliła się przed nim i wyszedł szybko.

Hölzelinówna tak się dla pani swej obawiała silnego wrażenia przy tem spotkaniu, iż przez cały czas u zasłony stała na straży, a zaledwie się drzwi zamknęły, przypadła do Elżbiety, która usiadła w krześle.

Z niepokojem, przykląkszy przed nią, badała jej twarzyczkę, która na chwilę zbladła, lecz rumieniec życia powrócił na nią. Ręce królowej splotły się na szyi piastunki.

— Widziałaś go? — szepnęła. — Jaki on śliczny, jak piękny, jak poważny, jak głos ust jego słodki, jakie wejrzenie, życiem karmiące, co za muzyka w tych słowach, co za wdzięk w ruchach! Widziałaś, gdy mnie żegnał!

A, ale ty, ty, moja Hölzelin, nie czytasz, jak ja, w jego oczach, głosie i mowie, która dla mnie ma znacze-

nie inne. Ja czuję to, co on chce powiedzieć a nie mówić, co myśli. Kätchen! my będziemy szczęśliwi!

I przytuliwszy się jej do ucha, szepnęła:

— A! Bona! Bona się będzie wściekała, ona, co mnie tak chciała widzieć pod nogami swemi, błagającą litości!

Uspokojona piastunka wstała, starając się rozerwać panią swą, aby się nazbyt uczuciom silnym opanowywać nie dała, usiłowała ją zabawić, poprowadziła do okna, ukazując pocztę, konie i oryginalne stroje ciągle na zamek przybywających panów.

Brześć był pełen, zjazd ogromny i nawet znaleźli się tu posłowie króla Ferdynanda, którzy za radą Marsupina pokoju nie dawali królowi staremu.

Zygmunt August zaledwie powrócił do kamienicy, którą zajmował w mieście, gdy mu oznajmiono podkanclerzego, ks. Samuela.

Biskup płocki pośpieszał tu, chcąc uprzedzić wpływy inne i działać na korzyść młodej królowej, nie wiedział bowiem, jak młody król był usposobiony, a Bony się obawiał.

Wyszedł na spotkanie jego Zygmunt August z tą warzą weselszą, którą przywiózł z Litwy. Biskup powitał go uprzejmie... siedli we dwu w pierwszej komnacie.

— Śpieszyłem powitać w. kr. mość — odezwał się ks. Samuel — a uprzedzić ją, iż król ojciec pragnie mocno tego, aby się raz nieporozumienia z królem Ferdynandem skończyły. Przybyły aż tu posły, nalegając na to, aby królowa Elżbieta na Litwę z w. kr. mością jechała.

— Ale to jest rzecz postanowiona, — rzekł młody król — przeszkody ku temu nie widzę żadnej. Zgodni jesteśmy wszyscy. Dotąd naprawdę nie było gdzie w Wilnie pomieścić królowej, zamek po pożarze nie był wyrestaurowany, ale, nim przyjedziemy, stanie gotów.

— Dzięki Bogu! — odparł, ręce składając, ks. Samuel. — Stanie się więc zadość prawom boskim i ludzkim, słusznym żądaniom rodziny i starego króla.

— Tak jest, — potwierdził August — ja się tem równie cieszę, jak król, ojciec mój, bom tego pragnął.

Znalazłszy tak niespodziewanie młodego pana powolnym, biskup już tylko mógł winszować i błogosławić. Niemniej nagle w nim zmiana budziła ciekawość, bo zgoda na przyjęcie żony albo zwiastowała zerwanie z matką, lub z jej strony podstęp jakiś. Tego się biskup obawiał i pragnął lepiej objaśnić.

— Tak więc — odezwał się — w. k. mość potrafiłś szczęśliwiej, niż my, cośmy nad tem nadaremnie pracowali, przekonać królowę matkę, iż dłużej się zwlekać nie godziło.

Spojrzał na młodego króla, który oczy trzymał wlepione w posadzkę.

— Królowa jejmość ma uprzedzenia, które nielatwo zwyciężyć — rzekł. — Inaczej się na to zapatruje, nie zgadza się dotąd, lecz będę musiał wbrew jej życzeniom postąpić.

Królowej Elżbiecie oznajmiłem, że stąd jedziemy razem do Wilna — dodał August.

Maciejowski odetchnął. Rozmowa o przyszłym sejmie przeciągnęła się jeszcze czas jakiś, poczem odjechał biskup.

Na chwilę pozostawszy sam, król kazał przywołać podkomorzego swego dworu.

— Włochowi kawalkatorowi Testa zechciejcie oznajmić, — rzekł — iż usług jego na przyszłość potrzebować nie będę. Polecić mu wypłacić jego lenung i niech wraca, skąd przybył.

Nie tłumacząc się więcej, król na tem zakończył. Obrażonym się czuł przez Dżemmę, naprzód tem wyjściem zamaż, potem płochem przyjęciem za towarzysza podróży Włocha. W ten sposób dawna kochanka królewska czyniła panu ujmę, okazując się lekką i pospolitą dworką.

Dżemma powróciła, jak widzieliśmy, na dwór Bony, która może jeszcze na jej chęci pomszczenia się, na piękności i na miękkiem sercu syna coś budowała.

Przed przybyciem króla zjawił się też ścigający żonę Dudycz, która go znać nie chciała.

Musiał prosić o posłuchanie królowej Bony, aby się skarżyć przed nią i prosić o wydanie małżonki, ale zagniewana królowa wyłajała go, że się z żoną obchodzić nie umiał, że na jej względy nie zasłużył, że wcale go-dzien nie był takiej połowicy i pozbyła się go, nic nie obiecując. Dżemma została przy fraucymerze, a dla męża była niedostępną.

Dudycz, nie wiedząc, co począć, gdzie się zwrócić, czekał na przyjazd Augusta, poszedł z prośbą do Mer-ły, aby mu posłuchanie wyjednał i postanowił prosić pomocy jego.

Niełatwo było przy takim natłoku ludu i zajęć o chwilę wolną. Król młody nie miał też ochoty wda-wać się w tę sprawę, ale dozwolił Merle z rana, gdy się ubierał, wpuścić biednego Dudycza, który, do ziemi się skłoniwszy, skargi wywodzić zaczął.

Żalił się na Testę; wtem król mu usta zamknął tem, że już Teście odprawę dał i sługą jego nie był.

— Wstaw się w. kr. mość do najmiłościwszej mat-ki swej, — dodał Petrek — aby mi żonę oddała.

Król ramionami poruszył.

— Mogę to uczynić, — rzekł — lecz zgóry przewi-duję, iż mojej prośby nie posłucha.

Piszczał i bolał srodze Dudycz, rachując straty ogromne, jakie już poniósł na niewdzięczną. Kazano mu przyjść dnia następnego.

Sam na sam z matką rzadko się teraz znajdował August i unikał tego, aby na próżne wymówki się nie narażać; ale szło mu o to, aby Dżemnę oddać. Wsty-dził się jej teraz.

Na chwilę po obiedzie zszedłszy w jadalnej izbie na stronę, August przebaknął, iż mu się Dudycz skarżył i o żonę domagał.

— Gotowi i o to mnie ludzie obwiniać, — zakrzyk-nęła Bona — iż ja jej daję przytułek! Ale to dawna moja wychowanka i sługa. Schroniła się pod opiekę do mnie, bo męża ma gbura nieokrzesanego, który się z nią

obchodzić nie umie. Nie trzymam jej, może jechać, kędy chce, ale wypędzić nie mam serca.

Spojrzała jakby z wymówką na syna, że on serca nie miał. August szepnął o tem, iż z Wilna uszła z Testą i okazała się płochą.

— Testa — odparła Bona — towarzyszył jej razem i Biance. On też litość miał nad opuszczoną przez wszystkich, boś i w. kr. mość w Wilnie nieludzko ją przyjął, choć mu dawniej była bardzo droga.

— W Wilnie na mnie patrzyło tysiące oczu — odparł August. — Nie mogłem tego uczynić, co chciała, bo się wprost na zamek dobijała.

— Kocha cię, — rzekła Bona ciszej — winy jej nie widzę.

Król zamilkł.

— Zdaje mi się, — dodał, odchodząc od Bony — że najlepiejby dziś uczyniła, do męża powracając.

— Al powracać nie może, — rozśmiała się Bona — bo nigdy z nim nie była!

Na tem się skończyło pośrednictwo króla. Dżemma zagadnięta, dumnie odparła, że Dudycz, prostego parobka, znać nie chce i żyć z nim nie myśli. O Teście, który jako kawalkator dawny młodego króla szukał sobie miejsca na dworze u jednego z możnych panów i łatwo mógł je pozyskać, nie było mowy.

Gdy potem Dudycz stawiał się do młodego króla, Merło mu w jego imieniu powiedział, że u królowej i u Dżemmy nic nie zyskał.

— Cóż ja mam robić? — lamentował Dudycz.

— Ba! na waszem miejscu — odparł Merło, śmiejąc się — dałbym takiej jejmości za wygraną i znaćbym jej nie chciał.

— To nie może być, — zawołał Dudycz — ludzie się będą ze mnie śmiać.

— Oni się i tak już śmieją — rzekł Merło.

— No, to trzeba przekonać, że ja, kiedym co postanowił, umiem na swem postawić.

— Jak? — zapytał Merło.

Petrek miał, jak się okazało, plan już cały w głowie.

Królowej panny chodziły się kąpać do Bugu, towarzyszyła im pani Dudyczowa. Miejsce, w którym pod wierzbami i łożą szukały chłodka i wypoczywały, było od miasta i obozów oddalone. Uparty Petrek chciał urządzić tu zasadzkę, porwać żonę i uwięzić ją do domu. Przyznał się do tego Merle, który śmiał się a potakiwał.

— Jak sądzicie, — spytał Dudycz — każe mnie stara królowa ścigać, będzie prześladować?

— Nie myślę; — rzekł Merle — ma ona tu dosyć do czynienia, a Dżemma jej teraz nie tak potrzebna, aby miała zbyttnio się o nią troszczyć. Jeżeli wy to potrafcie, aby narazie wam jej nie odebrano, nikt pewnie za nią gonić nie będzie, chyba Testa, a ten siły nie ma i ludzi nie zbierze.

W kilka dni potem wieczorem rozeszła się wieść, iż u fraucymeru starej królowej piękną Włoszkę porwano i wpadła jak w wodę, poszedłszy do kąpieli. Ochmistrzyni i panny, które z nią były, szczególnie Bianka, opowiadały, że widziały, gdy ją ludzie jacyś zbrojni pochwycili, usta jej zawiązali i zanieśli do wozu, który natychmiast w cwał puścił się ku gościńcowi.

A że i Dudycz zniknął, a Merle do zachowywania tajemnicy nie był obowiązany, wiedziano wkrótce, iż on własną swą żonę odebrał, czego mu tak bardzo za złe nie miano.

Testa też, który u Chodkiewiczów znalazł miejsce, nie mógł, ani myślał gonić za nią. Królowa Bona skarżyła się o gwałt ten synowi, który najmocniej ręczył, że nie wiedział o niczem.

— W. k. mość wydaliście ją za tego człowieka, — rzekł — o czem ja wcale nie wiedziałem, nie można się dziwić, że o własność się swą upomniał.

Królowa Elżbieta wiedziała dobrze o Dżemmie i zawsze się jej obawiała, wielki więc ciężar spadł z jej piersi, gdy Hölzelinówna przyszła oznajmić, iż Włoszkę mąż porwał i wywiózł, dokąd, niewiadomo.

— Byle królowa Bona winy tego wypadku na nas

nie złożyła, — odezwała się Elżbieta — bo cokolwiek się stanie, zawsze to na mój rachunek składają!

Odgadła dobrze młoda pani, gdyż w istocie puszczo-
no ze dworu starej pani wieść, że posłowie i ludzie kró-
la rzymskiego, z naprawy królowej Elżbiety, podmó-
wili do wykradzenia i dopomagali do niego.

Chociaż Włoszka nie wydawała się już niebezpiecz-
ną, cieszyli się wszyscy, iż się jej pozbyto, a August na
opowiadanie o tem Merły nie odparł ani słowa. Miłość
jego dla niej dawno była wygasła.

Im bliżej zbliżał się oznaczony dzień zamknięcia
sejmu i wyjazdu młodych królestwa na Litwę, tem Bo-
na, gorączką większą miotana, zabiegała na wszelki
sposób, aby jeżeli nie wzbronić odjazdu, przynajmniej
go odroczyć.

Przyszło do tego, iż okazywała politowanie nad
Elżbietą, która na Litwie miała być pozbawioną leka-
rzy, gdy w Krakowie do wyboru ich było, a stan zdro-
wia pilnej wymagał pieczy.

Ale August miał dwu doktorów, Polaka i Włocha,
którzy, choć może Strusiowi i astrologom, doktorom
Bony, sławą nie dorównali, zdaniem jego, starczyli.

Wiedząc, jak dalece każde zbliżenie się czulsze do
żony matkę rozdrażnia, młody król w czasie pobytu
w Brześciu mało, krótko i zdala ją tylko widywał, co
ona rozumiała dobrze i nie żaliła się na to.

Żyła cała w tej błogiej przyszłości, jaką sobie obie-
cywała.

Napróżno też potajemnie zabiegała Bona, aby pu-
szczenie rządów Litwy Augustowi choćby odroczyć.
Dotąd powolny Zygmunt, usilnym naleganiom nietyl-
ko Litwy, ale senatorów polskich uległ, znajdując słu-
sznem, aby ten, co po nim miał objąć rządy całego kra-
ju, uczył się na części jego trudnej sztuki rządzenia
ludźmi.

Rzecz została postanowiona, ogłoszona i Bona ze
swym obozem, który w Litwie miał mało sprzymierzeń-
ców, poniosła wielką klęskę.

Było to zapowiedzią strat większych jeszcze.

Nadewszystko bolało ją to, że syn w ciągu pobytu w Brześciu nie tylko się nie starał odzyskać łask, podać na nowo, przejednać, ale widocznie unikał wszelkich zręczności widywania sam na sam, i z wielkiem poszanowaniem, ale z większym jeszcze chłodem się z nią obchodził.

Plakała temi łzami gorzkimi gniewu, które boleści ulgi nie przynoszą, ale zatruwają jeszcze. Wszyscy, co się do niej zbliżali, znajdowali ją dzikszą, przykrzejszą, niedostępniejszą, niż kiedykolwiek. Pozostawał jej oręż jeden tylko: niezmierne skarby nagromadzone w Krakowie i Chęcinach, które i teraz jeszcze powiększać umiała. Król stary, choć osłabły, żyć jeszcze obiecywał, a dopóki on był na tronie, czuła się panią. Na syna już nie rachowała wcale, lecz nie myślała mu ustąpić.

Dzień zgonu Zygmunta miał być rozpoczęciem walki.

Jakim sposobem zjazd, zwołany do Brześcia, ścigawszy tu królów obu, zatrzymał ich w tej nadgranicznej mieścinie, na niewygodnem obozowisku aż do października?...

O rozwiązanie tego pytania potrzeba było może spytać starą królowę, która, napozór nie miesząc się do niczego, umiała, nie sama, ale przez swoich, zabiegać tak zręcznie, iż zawsze coś wyjazd z Brześcia hamowało.

Im pilniej było młodemu małżeństwu połączyć się z sobą, a Augustowi objąć naostatek rządu Litwy, tem Bona, rachując jeszcze na rozdzielenie syna z żoną, na utrzymanie się przy swej władzy, zwlekała mądrze ostateczne rozwiązanie.

Chlubiła się ona tem, że na Litwie miała wielu przyjaciół i sprzymierzeńców; tymczasem ci, co za panowania starego Zygmunta istotnie przez nią i Gamrata stanowiska tam wyjednywali i płacili za nie, czując, że Bona traci władzę nad synem, zwrócili się wszyscy ku niemu. Pomoc, na którą rachowała, zawiodła ją.

Z Augustem zaś, zamiast przejednania, stosunki tak

się stały nieprzyjazne, iż już w Brześciu dwór młodego króla, który mu był oddany, z dworem Bony i Gamrata stanął na jawnie nieprzyjacielskiej stopie. Gdziekolwiek Augustowi zetknęli się z Bony słuźalcami, przychodziło do przymówek, odgróźek, i starsi tylko zapobiegali, aby do bójki nie dopuścić.

Młody król z dobrej woli nie przychodził do matki widywał ją tylko przy ojcu lub publicznie, nie zapraszał się do niej, a ona też, okazując mu gniew, nie przywoływała go do siebie.

Rozjątrzona i gniewna, dawała to czuć Elźbiecie, równie jak Augustowi i obojgu starała się szkodzić u ojca.

Co do pierwszej, jak dawniej, tak i teraz, nie wiodło się królowej; co do drugiego, Zygmunt, trochę zazdrosny, iż synowi miłości wiele okazywano, łatwiej potwarzom i posądzonom ucha nakłaniał. Nie okazywał mu i teraz twarzy łaskawszej, burczał, żalił się i zawsze coś miał mu do wyrzucenia.

Przez cały ten czas Bona trzymała Elźbietę przy sobie i Zygmuncie, tak, że przystęp do niej mężowi był prawie niemożliwy. August przychodził żonę pozdrowić na krótko, podszeptował jej, aby miała cierpliwość, ona mu się uśmiechała biedna, w wejrzeniu jego czerpiąc siłę do wytrwania, i tak miesiące całe upływały na wyczekiwaniu.

Tymczasem Zygmunt, jeśli nie chorzał, to słabł i tracił widocznie siły, a ze zdrowiem uchodziła dawniejsza moc ducha. Aby pozyskać swobodę, często, sam nie wiedząc, czego Bona się domagała od niego, przystawał na wszystko. Włoszka umiała wyzyskiwać to położenie.

Naostatek, gdy po tych wysiłkach nadaremnych podróż Augusta na Litwę niezmiennie trwała na programie, a jesień nadchodząca groźną być zaczynała dla dróg i powietrza, trzeba było oznaczyć dzień wyjazdu.

Z jaką radością usłyszała o nim młoda królowa, August i Litwini, którzy oczekiwali na swego przyszłego w. księcia, aby go prowadzić na stolicę Witoldo-

wą — opisać trudno. Bona zacinała usta, a oczy jej mówiły:

— I tam was moja dłoń dosięże!

Naostatek nadszedł dzień uroczysty, z nabożeństwem w kościele, z pokłonami, z uściskami, ze łzami, i cały orszak, młodemu królowi towarzyszący, puścił się ochoczo ku Tycinowi, Grodnu do Wilna.

Okazały był ten poczet najmożniejszych panów, najznakomitszych rodzin potomków, który otaczał Augusta. Z dumą spoglądać nań mogła młoda pani.

Radziwiłłowie, Chodkiewicze, Pruńscy, Wirszyłłowie, Gastoldowie, w tych strojach, jakie onego czasu w używaniu były po całym Bożym świecie, każdy z dobraną i strojną też garstką ludu, z kolebkami, końmi powodnemi, paziami, giermkami, otaczali kolebkę szkarłatną młodej swej pani.

Pomiędzy tymi młodymi i poważnymi magnatami niektóre postacie odznaczały się takim smakiem i elegancją, iż oczy porywały.

Starzy z brodami, spływającymi na zbroje, młodzież w piórach na hełmach i złocistych napierśnikach, z tarczami barwnymi u siodeł, z Tatarami, których barki przyozdabiały kołczany złotem szyte, barwy służby jaskrawe, przepyszne konie, na gościńcu ciągnęły się miłą drogi. Zkolei to jedna, to druga garstka zbliżała się do kolebki i straż około niej obejmowała.

August też nie mógł razem z żoną odbywać podróży w kolebce, ale siadł na koń w towarzystwie Radziwiłłów i Chodkiewicza, towarzysząc jej u stopni.

Elżbieta z Hölzelinówną zajmowała powóz napół otwarty, tak, że swobodnie wzrokiem mogła ścigać ukochanego małżonka. Naostatek po tak długim utęsknieniu byli razem, byli sami i nie, i nikt nie mógł im przeszkodzić miłować się a być z sobą, wiecznie, wiecznie!...

Z bijącym sercem myślała o tem tylko królowa i zdawało jej się, że w oczach męża czytała myśl tę samą, obietnicę stałej miłości.

A! straszne, długie miesiące próby przebyli, przeboleli przystęp do tego raj, który ich czekał.

Gdy teraz na myśl jej przychodził surowy, naigrawający się wzrok Bony, drżała jeszcze. Zdawał się ją ścigać, zdawała się te oczy nachmurzoną okryte powieka widzieć przed sobą.

Naówczas zwracała wejrzenie na Augusta, który jechał wesół, uśmiechnięty, a tak piękny... Trącała Kätchen i szeptała jej na ucho:

— Patrz! patrz! nie widaćże w nim króla i pana! nie jestże to najpiękniejszy z rycerzy i najszlachetniejszy z ludzi?

A w duchu powtarzała:

— Teraz nic, nic nas rozdzielić już nie może, nic, chyba śmierć. Nawet śmierć nie rozłączy, bo nasze trumny na wieczny spoczynek staną obok siebie.

Jesień, choć późna, jakgdyby niebo sprzyjało długo prześladowanym, zdobyła się na dni pogodne i piękne. Na drzewach trzymały się liście pofarbowane żywo barwami jesieni, w powietrzu ulatywały srebrne nici czarodziejskiej przędzy, słońce łagodnie świeciło na błękitie turkusowym. W powietrzu była woń liści zwiędłych i kłosów, nad drogą ostatnie kwiatki blade, główkami witały królowę, która wszystkiem się bawiła, jak dziecko.

A choć kraj po drodze nie był wcale piękny, choć często długo żółte piaski z czarnymi jodłami i czarniejszymi jeszcze krzakami jałowców się ciągnęły, królowa wszystko znajdowała pięknem, zachwycającem.

Noclegi i popasy z powodu znacznej liczby ludzi i koni musiały być tak wyznaczone, aby dla młodej pary przynajmniej parę izb się znalazło na spoczynek. Reszta obozowała po chatach, szopach i pod bogatymi a zawczasu rozbitemi namiotami, w których może nie raz wygodniej było, niż pod dachem.

W obozie panowała wesołość, uczucie jakiegoś wyzwolenia, które się na wszystkich odbijało twarzach, odbrzmiwało w każdym słowie.

Na kogo spojrzała młoda pani, uśmiechał się jej każdy, biegł rad usłużyć i przydać się na coś. Zdawali się wszyscy, panowie i słudzy, równie w niej rozkocha-

ni. Nie słyhać było nic, tylko pochwały piękności, wdzięku i wyrazu dobroci, rozlanego na jej twarzy.

Słońce zaszło jaskrawo za ciemne lasy, gdy cały ten orszak stanął wreszcie u starego dworu, który stanowniczowie przygotowali dla króla i królowej.

Ówczesnym obyczajem na takie przyjęcie dosyć było ścian czterech, ław i stołów, reszta na wozach jechała. Rozścielano kołnierze, rozpinano opony, okrywano podłogę, stoły, drzwi, nawet i okna, przynoszono sprzęt podróżny i w mgnieniu oka pustka się czarodziejsko przeistaczała w coś do pałacu podobnego.

Zupełnie tak samo na zamku krakowskim, gdy w jednej z sal pustych królestwo mieli zasiąść z gośćmi, służba je wyporządkowała.

Na kominie płonął już ogień z suchych drewek olchowych, które tak ślicznym różnobarwnym, spokojnym płomykiem się pała.

Izb dosyć było dla wszystkich i sypialnia już z zaślanem łóżem czekała na małżeństwo, a naprzeciw na stołach okrytych misy i dzbany pełne przynoszono, aby na wieczrę nie czekali.

Wszystko się czarodziejsko składało, a najpiękniej to, że Elżbieta nie lękała się spotkać nigdzie wzroku Bony, że mogła śmiało podnieść oczy, patrzeć i mówić do męża, a on się też nie obawiał jej okazać miłości swojej.

Nigdy też Hölzelinówna od lat dziecięcych nie widziała swej ukochanej pani tak szczęśliwą, tak wesołą i tak szczęściem tem piękną, promieniejącą. Nie mogła się jej napatrzyć. Tylko ten blask jej oczu niezwykły, to poruszenie wielkie trochę ją niepokoiły.

— A Boże mój! — myślała sobie — jeżeli przetrwała tyle boleści bezkarnie, czyżby szczęścia znieść nie mogła? Ono uzdrawia i życie daje!

Przy stole królestwo oboje siedzieli razem i piła Litwa zdrowie młodych państwa, długich lat życząc, a wierność i miłość im poprzysięgając.

Nawet zwykle poważna i trochę smętna twarz Augusta nabrała wyrazu weselszego — odmłodziła.

Hölzelinówna stała ciągle za krzesłem pani swej, sama jej służąc; jakaś obawa nie dozwalała jej na krok się oddalić.

Niekiedy, czując ją poza sobą, Elżbieta zwracała się z uśmiechem, nalewała jej wino, podawała potrawy, ale starej ani pić, ani jeść się nie chciało.

Po wieczerzy król z Litwinami wyszedł przed dwór, bo noc była gwiazdzista i piękna, a dokoła ludek się weselił, aż miło słuchać go było.

W duszy Augusta, jak w sercu Elżbiety, zalegał dziwny spokój jakiś i uczucie wyswobodzenia. Pierwszy raz był panem swej woli i panem nad krajem, nad którym daleko większą miał władzę, niż ojciec w Polsce. Ojcowie jego i praojcie królowali tej ziemi, to była jego ojczyzna. Czuł się tu w domu i było mu błogo.

Było mu błogo, myśląc o tej biednej żonie, od której go okrutna dłoń matki dzieliła tak długo. Obiecywał sobie tej ofierze nieszczęsnej nagrodzić wszystko, co wycierpiała dla niego. On najlepiej wiedział, czem być mogło to prześladowanie na każdym kroku, ta niewiść nieprzeblagana.

W sypialni Hölzelinówna sama, nie dając nikomu zbliżyć się do królowej, zdejmowała z niej suknie podróżne, które dość jej ciążyły, bo w kolebce na oczach ludzi strojną być musiała. Sama rozpuściła jej włosy, aby je ująć na noc w siatkę jedwabną; sama włożyła suknię białą, do łoża przeznaczoną, zapaliła lampkę opatrzyła, czy czego nie brakło i cofnęła się, ucałowała jej ręce, nie dalej, jak do drzwi, które wiodły do izby dla kobiet przeznaczonej.

Z bijącym sercem, modląc się, stanęła tu na czatach

Szpara we drzwiach i uchylona umyślnie zasłona dozwalały jej widzieć wszystko, co się w sypialni działo. A nie zdrożna ciekawość trzymała ją przykutą u progu — lękała się o biedne dziecko swoje. W mroku ujrzała, jak się ukazał król, który tylko lekką futrem okładaną, długą suknię miał na sobie.

Elżbieta, której głowa spoczywała na poduszkaach, podniosła się.

Wolnym krokiem August zbliżył się do łoża i ujrzał dwie białe ręce, wyciągnięte ku sobie.

— Królu mój! panie mój! — szeptały usta.

— Elzo ty moja! — odezwał się, pochylając ku niej, August — tak długo na tę chwilę szczęścia czekać nam było potrzeba... tak długo...

— A! wszystko zapomniane, — szepnęła królowa — tyś mój, jam służebnica twoja!

I widziała Hölzelinówna, jak August pochylił się ku Elżbiecie, aby złożyć pocałunek na jej ustach, jak go objęły ręce białe — i krzyk rozpaczliwy wyrwał się z ust króla.

Ręce te, które objąć go chciały, nagle ostygły, wyprężyły się, stężały, opadły; oczy powlokły się mgłą, głowa zsunęła się na poduszki; Augustowi zdało się, że trupa już tylko trzymał w drżących dłoniach.

Okrzyk ten zaledwie posłyszawszy, wpadła Hölzelinówna przerażona. To, czego się obawiała, o czego odwrócenie się modliła, przyszło, jak piorun, zatruć pierwszą godzinę szczęścia.

Król stał przełękły, gdy piastunka, dając mu znaki, wcisnęła się do łoża i zwolna królowę układając, uklękła przed niem.

August stał niemy i jakby obłąkany.

— Omdlenie — odezwała się cicho Kätchen — miłościwy panie, trzeba ją tak zostawić, nie tykać, nie czynić nic, to przejdzie samo... A! to nie! to nie!

Ale mówiła napróżno. August jakby nie słyszał. Przychodziło mu na myśl, co opowiadała matka; uczucie to, że trupa trzymał na rękach, dreszczem strachu zabobonnego i wstrętu jakiegoś go przejęło.

Tak więc wszystko, los sam spikał się przeciwko niemu i w momencie tym, gdy miał być szczęśliwym, rozpocząć żywot błogi z kochającą go istotą, zimna ręka przeznaczenia stawiała między nim a nią.

Z oczyma wlepionemi w zastygłą twarz żony, trupiej bladości, August stał, ruszyć się nie mogąc, stał, jak przykuty, i oczy mu paliły łzy, które z nich wytrysnąć nie mogły.

Przekleństwo matki, fatalizm jakiś, nieprzeblagane przeznaczenie... Szczęście, jak rozbite naczynie wątle, leżało u nóg jego. Pozostawała istota biedna, niewinna, którą litość kochać kazała, a od której strach odpychał.

Hözelinówna, nachylona nad królową, śledziła znamiona, po których o trwaniu paroksyzmu nauczyła się wnioskować. Tym razem musiał on być długim i długim snem po nim pokrzepić się musiała królowa.

Ułożywszy ją na wezglowiach, okrywszy, piastunka ciągle stojącego w osłupieniu Augusta zlekka pociągnęła za suknię i poprowadziła z sobą ku drzwiom.

Uklękła przed nim ze złożonemi rękami.

— Miłościwy królu, — poczęła głosem, który przerywało łkanie — miłościwy królu, panie! A! nie trwóż się. Zbytek szczęścia spowodził omdlenie... królowa tak was kocha, a tak długo była nieszczęśliwą i wycierpiała tyle! A! niech jej to serca waszego nie odbiera...

I chwyciła kraj sukni króla, całując ją a oblewając łzami. Podniosła oczy. August stał posępny, blady, przybity.

— To nie było omdlenie, — odezwał się, z ciężkością zdobywając na słowo — to nie było omdlenie! To była, to jest ta nieszczęsna choroba, którą mi grożono!

Załamał ręce. Hözelinówna umilkła, spuszczać głowę.

— Jutro — rzekła cicho — ona o niczem wiedzieć, nic pamiętać nie będzie! Przysięgam wam, n. panie, przez cały rok niemal nie było nigdy podobnego wypadku. Zbytek wzruszenia...

August powiódł ręką po oczach i czole.

— Taka jest dola moja i jej — odezwał się sam do siebie. — Gdziekolwiek sięgnie dłoń moja, wszystko się w proch rozsypie. Nie doniosę do ust nic, czegoby mi los nie zatruił. Serce ojca odjęła mi matka, serce matki odjęła mi żona, a żonę wyrywa mi ręka Boża!

Załamał ręce.

— Czem zawiniłem?

I nie odpowiadając, ani patrząc na Hözelinównę, August, jakby senny, wszedł do izby swojej, dopadł za-

ledwie krzesła i rzucił się na nie, głowę kryjąc w dłoniach.

U łoża Elżbiety klęczała Kätchen i płakała, we łzach się rozplywając. Patrzała na martwą twarzyczkę, na skostniałe, wyprężone ręce, na trupią postać dziecięcia.

Nierychło począł paroksyzm odchodzić, poruszyły się palce u rąk i usta zdały znowu składać do uśmiechu. Westchnienie się z nich wyrwało lekkie.

Ale oczy się nie otwarły. Opanował znużoną i osłabłą sen głęboki, kamienny, który Hölzelinówna знаła dobrze. Miał on trwać do rana, a po nim następowało osłabienie straszne i długie.

O świcie już w obozie ruch się czuć dawał, lecz około starego dworu podkomorzy z rozkazu króla zalecił milczenie najgłębsze. August obojętnie zapowiedział, że sam się czuje trochę niezdrów i może spocząć tu będzie musiał.

Dowiedziawszy się o tem, nadbiegł niespokojny podczaszy Radziwiłł. Wszystka tu Litwa, co otaczała króla, ludzie byli jeszcze starego kroju i obyczaju. Żaden z nich nie rozumiał ani choroby, ani znużenia. Padali na gołą ziemię dla spoczynku po kilkodniowych trudach, a wstawali z niej rzeźwi i zdrowi. Chorzy szli do łaźni i pili stary miód.

Radziwiłł też królowi nic innego radzić nie umiał nad łaźnię.

— Nie potrzeba mi nic, oprócz spoczynku trochę — rzekł mu król, gdy go do izby wprowadzono. — Sądzę też, iż królowa spocznie trochę rada, bo wątpię, czy się umęczyła w Brześciu.

Niektóre poczty już przodem wyruszyły o świcie, potrzeba więc było ślać za nimi, aby się do tej zmiany zastosowały.

Dzień już był, ale przysłonięte okna nie wpuszczały go do sypialni, gdy królowa się obudziła i ujrzała przy łóżku swem siedzącą Hölzelinównę.

Z wejrzenia jej poznała piastunka, iż sobie przypomnieć nie mogła ani gdzie była, ani co się z nią stało. Z przestrachem oglądała się dokoła.

— Kätchen moja, — szepnęła cicho — gdzie my jesteśmy? Co się stało ze mną? Śniłam, nieprawdaż, śniłam? A! to było rozkoszne marzenie. On przyszedł do mnie, czułam go przy sobie, pochylił się ku mnie, wtem mroki nocy osłoniły mi wszystko... ciemność pożarła szczęście moje... zasnęłam kołysana jakby na morzu czarnem, cała w całunach. I spałam.

— Uspokójże się, królowo moja — odparła Hölzelinówna. — Byłaś bardzo, bardzo znużona podróżą. Cóż dziwnego! sen przyszedł nagle!

— A on? — spytała niespokojnie królowa.

— On kazał, aby cicho było i żeby cię nie budzono — rzekła piastunka.

— Widział mnie?

— Śpiącą, zdaleka. Ja pilnowałam u drzwi.

— A! — odezwała się Elżbieta, ręce łamiąc — ten sen nieszczęsny! Zawsze ten sen, co jak kamień spada na mnie!

Łzy poczęły płynąć z jej oczów.

Król musiał posłyszeć szmer rozmowy z komnaty sąsiedniej, wszedł na palcach.

Uczuła go i trwożliwie osłoniła się okryciem. August zbliżał się powoli z widoczną na twarzy obawą, układając ją do uśmiechu.

Królowa się zarumienila, spojrzała na Kätchen, która umyślnie nie ustępowała. Nie zważając na nią, August podszedł zwolna aż do łóżka i rzekł łagodnie:

— Potrzebujecie spoczynku, kazałem się tu zatrzymać. Używajcie, proszę, wczasu, bo podróż jeszcze długą i nużącą mamy przed sobą.

To mówiąc, schylił się ku niej i, zawahawszy nieco, w czoło ją pocałował.

Elżbieta podniosła się zarumieniona i szczęśliwa.

— Królu mój! — zawołała — a! jak mi wstyd, jakim ja śpiochem jestem niegodziwym. Powinieneś mnie ukarać!

Ta wesołość, która trochę zdumiała Augusta, zdawała się go uspokajać. Usiadł na stojącym przy łożu krześle.

— Sądzę, — odezwał się — iż najlepiej będzie, gdy cały dzień tu przestoimy, a wy, królowo moja, pozostaniecie w łóżku i wypoczniecie lepiej. Nikt wam nie zakłóci spokoju, a ja się nie oddalę.

Elżbieta schwyciła, milcząc, rękę króla i chciała całować ją zaczęła, ale poczuł na niej lzy ciepłe i drgnął biedny król. Zwrócił się do piastunki.

— Proszę was, czuwajcie nad królową, — rzekł — a gdy dla was przyjdzie czas obiadu, każcie tu nakryć i mnie przywołać. Nie chcę, aby się królowa ubierała do ludzi, a do mnie nie potrzebuje.

Wyszedł.

— Hölzelinówna moja! — zawołała, ręce drobne składając, królowa. — Słyszałaś? nie jestże to anioł dobroci? nie jestże to ze wszystkich ludzi najlepszy człowiek, ze wszystkich mężów najlepszy małżonek, a ja najszczęśliwszą z istot na ziemi!

Hölzelinówna zbliżyła się żywo, lecz nim zdołała ująć główkę królowej, upadła na poduszki oblana bladością trupią, zamknęły się oczy, otwarły usta, wyteżyły ręce. Elżbieta leżała nieprzytomna, a piastunka ułożała się, łamiąc ręce z rozpaczą.

Długi, długi przeciąg czasu upłynął; młody król z żoną siedział na zamku w Wilnie. Ludzie, co na pożytku małżeństwa patrzyli zdala, cieszyli się szczęściem jego.

Gdy młodziuchna, dziewiczo wyglądająca, blada, wątła, ale piękna, jak biały kwiatek, wykwitły w cieniu, królowa ze spuszczonemi oczyma, w towarzystwie swej ochmistryni przechodziła do zamkowego kościoła, do kaplicy grobu św. Kazimierza, zwracały się ku niej wejrzenia wszystkich, odkrywały głowy i ciągnęła serca za sobą.

Nie pominęła żadnego ubogiego bez jałmużny, uśmiechnęła się najbiedniejszemu, dzieci biegły do niej ośmielone z wyciągniętymi rączkami.

Ci, co bliżej dworu stali, co ją częściej widywali, nie mogli się dosyć nachwalić łagodności i dobroci.

Nazywali ją jedni lilją białą, drudzy aniołem i nie było człowieka, coby nie wielbił tej królowej.

Duchowni sławili pobożność jej, dwór łaskawość, młodzież unosiła się nad pięknością, poeci porównywali do Heleny greckiej i opiewali ją wierszem łacińskim.

Król zdawał się troskliwie czuwać około skarbu tego. Ale ani na twarzy jego, ani na obliczu postarzałem piastunki nie widać było tego wesela i błogiego uczucia szczęścia, jakiego ludzie się tu domyślali.

August chodził poważny nad wiek, zadumany, smutny, jakby mu życie i rządy, z których się wszyscy cieszyli, ciążyły. Czasami nagle wśród tego spokojnego, jednostajnego trybu życia, zachmurzały się czoła, królowa się nie pokazywała. Nie widać jej było idącej do kościoła, ani na przechadzce w ogrodzie, który pod zamkiem nad rzeką król założył, i gdzie Elżbieta karmić była zwykła białe łabędzie swoje.

Naówczas, gdy się niespokojnie pytano Hölzelinównę o zdrowie pani, przeczyła, żeby była chorą, mówiła, że spoczywa, znużona trochę.

I po niejakim czasie ukazywała się znowu na drożynie, wiodącej do kościoła, z tym samym uśmiechem dziewiczym i pogodą na twarzyczce bladej.

Do Krakowa kto przybywał z Litwy, a pytał go stary król, jak się tam syn rządzi, wszyscy mu odpowiadali, wynosząc go pod niebiosa, a Bona usta zakąsywała ironicznie. A stary, nasłuchawszy się pochwał, mruczał, jak zwykle:

— Zostawcież też co do naganienia!

Gdy o młodej królowej mówiono, odwracała się Bona, słuchać nie chcąc, zburzona, a choć z Wilna o zdrowiu jej przychodziły wieści uspokajające, ona zawsze wiedziała o jakiejś chorobie i staremu mężowi nie przedstawiała wyrzucać, że synowi dał żonę, która mu życie zatruje i wstrętnem uczyni.

— Chorobę ma, — powtarzała — z której ją nikt nie uleczy.

— Baśnie to są — zaprzeczał Zygmunt i nakazywał żonie milczeć.

Wtem naraz przyszły do Krakowa zatrważające wieści, potwierdzały je i listy Dantyszka, wielkiego wielbiciela Elżbiety. Królowa ciężko, niebezpiecznie zapadła.

Skarżył się na to sam August, posłano po lekarzy do Krakowa.

To, co dotąd było tajemnicą, stało się przez nich jawnem — królowa miała straszną tę chorobę, którą wielką zwano, a na nią doktorowie lekarstwa nie znali żadnego.

Przez czas jakiś zwątpiono o życiu. August chodził pogrążony w smutku wielkim. Gdy już wszelka prawie nadzieja stracona została, Elżbieta cudem podniosła się z łoża i powróciła do życia. A gdy potem przyszedł do niej mąż, chwyciwszy rękę jego, patrząc mu w oczy z miłością wielką, szepnęła mu:

— Wyprosiłam u Boga, aby mi jeszcze z wami, królu mój, pozostać pozwolił.

Augustowi stanęły w oczach łzy, i wyszedłszy od żony, gdy spotkał Strusia, który z Krakowa był sprowadzony, wziął go do swej komnaty.

— Proszę was, — rzekł — uczynicie co jeno w ludzkiej mocy jest, abyśmy się żywotem i zdrowiem ukochanej małżonki cieszyć mogli. Niema ofiary, którejbyśmy dla tego nie byli gotowi uczynić.

— Miłościwy panie — odparł lekarz, który pochlebiać, ani kłamać nie umiał, — co w ludzkiej mocy jest, nie na wiele się przyda. Myśmy z nauką naszą ślepi, a Bóg jeden wszechmocny.

Miłościwy panie, — dodał — jako kwiatu delikatnego strzec potrzeba wątlej pani od wszelkiego powiewu gwałtowniejszego, czy on z południa, czy z północy przychodzi. Zarówno wielka radość, jak smutek wielki szkodliwe jej są; nad tem czuwać należy.

Zygmunt August wiedział o tem bardzo dobrze; czuwano nad królową, osłaniając ją zewsząd. Lecz Bona też przez swoich lekarzy wiedziała to samo, a nienawidziła kobietę, która jej serce syna wydarła.

Z piekielnem wyrachowaniem Włoszka dobijała

swą ofiarę. Trucizny, o którą ją pomawiano, dawać jej nie potrzebowała; dosyć było, aby zręczna ręka podrzuciła Elżbiecie paszkwil, aby jej do uszu dopuszczono wieść, którą nią wstrząsnąć mogła.

Ani król, ani Hölzelinówna zapobiec nie mogli, by w ogrodzie, na uliczce, w zamku na ścianie, nawet w książce pobożnej królowej, na klamry złote zamkniętej, nie znalazł się świstek, po którego przeczytaniu Elżbieta bladła i padała, jak nieżywa.

Po każdym takim paroksyzmie wstawiała słabszą, a sama obawa nowej napaści życie jej czyniła niezdolnością.

Nieprzyjaciółkę oddaloną, nieubłaganą czuła i widziała nieustannie, krok w krok idącą za sobą, stojącą w nocy u łóżka, we dnie za siedzeniem.

Jej siepacze skryci, niewyśledzeni, tak umieli się osłonić, tak kłamali wierność, iż ich pochwycić nie było podobna. Sprawę tylko rąk tych niegodziwych każdy niemal dzień przynosił.

Mnóstwo papierów niszczyła Hölzelinówna, król naznaczył znaczną nagrodę za wykrycie sprawców tego katowskiego prześladowania — nie pomagało nic. Śladu odkryć nie umiał nikt.

Ostatnia, najcięższa słabość spowodowaną była paskwilem niemieckim, który Elżbieta w ławce swej zamczystej znalazła w kościele. Podle piśmidło urągało się jej i przepowiadało śmierć rychłą, obrachowane było, aby dobiło. Wyniesiono Elżbietę zdrętwiałą z kościoła, długi czas była na skraju grobu i cudem potem powstała jeszcze.

Odżyła, jakby zapomniała, co wycierpiała.

Wtem nadeszła wieść z Krakowa radosna, że posłowie króla rzymskiego przybyć tam mieli, wioząc znaczną część posagu w złocie i srebrze. Wzywano Elżbietę i Augusta na odebranie i pokwitowanie. Zygmunt Stary zapraszał oboje do siebie, rad pragnął widzieć uzdrowioną synowę.

August przyszedł żonie odczytać listy. Zarumieniła

się i pobladła. Stała zadumana i stroskana, i długo musiał czekać na odpowiedź.

— A! królu mój, panie mój — rzekła głosem drżącym, — jam służebnica twoja, jam na rozkazy gotowa w ogień i wodę, ale czy ja tam potrzebna jestem w Krakowie? Ojciec mi rad może być, ale drudzy? Widok mój gniew rozżarzy, podrażni. Jedźcie sami.

Zaplakała, otarła łzy i mówiła dalej:

— A! rozstać się z wami, królu mój, panie mój, tak mi ciężko będzie, jak z życiem. Wolałabym u twego boku dotrwać do końca, a taka trwoga mnie ogarnia, gdy z oczów stracę słońce moje. Powiedzcie, trzebaż, bym jechała do Krakowa?

— Poradźmy się lekarzy — odparł August. — Wolałbym was mieć z sobą, a wiem, ile to kosztować was będzie. A! i mnie też, królowo moja! Ani ja, ani wy nie wyrokujcie, niech dekret wydadzą doktorowie.

Spytano ich dnia tegoż, ale wszyscy zgodni byli, aby królowa pozostała w Wilnie. Starcia z królową Boną w Krakowie były nieuchronne, a dla Elżbiety groźne.

Gdy ręce nieublaganej nieprzyjaciółki sięgały aż tu nad Wilję, jakże daleko silniej musiały się dać czuć tam, gdzie ona wszystkiem władała.

Królowa musiała więc pozostać.

Lecz gdy przyszła chwila pożegnania z mężem, rozpłynęła się w łzy, straciła odwagę i Hölzelinówna ledwie potrafiła zapobiec nowemu napadowi choroby.

August napróżno ją upewniał, że wróci rychło, że chwili nie zabawi nad konieczny czas do odebrania pieniędzy i pokwitowania.

Stosunki z matką były z powodu tych prześladowań Elżbiety tak naprężone, iż król młody postanowił zawczasu nie stać nawet na zamku, zamówić kazał dla siebie kamienicę w Rynku, a cały dwór jego, urzędnicy, komornicy dali sobie słowo ani znać, ani widzieć, ani mówić, ani jeść i pić razem z ludźmi Bony i Gamrata.

Przy pożegnaniu zabrakło słów, łzy je zastąpiły. Dopiero gdy August na koń siadł, a królowa odjeżdżają-

cego krzyżem z relikwjami żegnała, odezwała się do Hölzelinówny:

— Kätchen, coś mi mówi w głębi serca, jakby głos słyszę jakiś: ja go więcej nie zobaczę.

Nie dała jej mówić piastunka, używając tego środka, co zwykle, gdy się obawiała bardzo; naówczas groźno i surowo powstawała i Elżbietę zmuszała do milczenia. Poczęła jej czynić wymówki, iż była niewdzięczną Bogu, który ją z choroby ciężkiej podźwignął do życia, że teraz miała się lepiej, niż kiedykolwiek, a przywidzeniami sobie trula życie i zdrowie niszczyła.

Elżbieta zamilknąć musiała.

Z podróży listy od męża przychodziły często.

Jechał młody król niespokojny, wiedząc, co go czekało w Krakowie, bo otwartą wojnę z matką prowadzić musiał, a usposobienie Bony odbijało się w królu Zygmuncie, we wszystkich, co dwór składali, w całej niemal ludności tej, o którą się ocierać było potrzeba.

Nie było dla nikogo z dworzan Augusta tajemnicą położenie to i jego wymagania. Młody król umiał taką miłością ku sobie natchnąć tych, co go otaczali, iż nie było jednego, któryby z zapalem nie gotował się do walki.

Owe paskwilusze podłe przeciwko Augustowi, przeciw niewinnej królowej, rozpuszczane wieści, potwarcze plotki i zmyślane baśnie do szatu doprowadzały dwór, w którym domyślano się zdrajców. Chodziło im o cześć wiernych sług.

August też jechał z mocnem postanowieniem dać uczuć matce, iż jej przypisywał prześladowanie i że je brał do serca.

Jakby naumyślnie przygotowano się na przyjęcie uroczyste młodego króla w Krakowie. Dnie były ciepłe, stary król kazał się zanieść do kościoła, wyszła Bona z córkami; choć Gamrat uciekł z Krakowa, znalazło się duchowieństwo na powitanie przyszłego pana.

Zygmunt August musiał się poddać temu ceremonjałowi i wobec świata okazać się jako syn uległy i miłujący rodziców.

Bona, w kościele nawet i wobec Boga, nie przybrała oblicza kłamanego — zasepiona, z zagryzionemi wargami, dumnie przyjęła syna.

Dwa dwory stały naprzeciw tak groźnie, milcząco, jakgdyby wnet rzucić się miały na siebie.

Wedle rozporządzenia młodego pana, miał on zająć mieszkanie w Rynku, dom dla niego stał gotowy, ale Zygmunt ojciec nie pozwolił na to. Bona chciała go mieć na zamku.

August ojcu poddać się musiał. Tem straszniejsze było to zbliżenie się w obawie starcia jawnie nieprzyjaznych dwóch dworów.

Zaraz pierwszego dnia u wspólnego marszałkowskiego stołu, gdy prze zdrowie pić zaczęto, wstawali jedni, drudzy wino wylewali.

Młody król jednak zaraz surowo zakazał, aby z jego otoczenia nikt pierwszy nie dał powodu do zajścia. Bona też i ludzie jej ostrożni byli. Obchodzono się wzajem, milcząc, oczyma sobie urągając i wyzywając.

Sam na sam August z matką się nie zszedł ani razu, ona też nie wyzywała do tego. Król stary badał o synową pilno, mówiono mu, że się ma lepiej i że do nóg jego kłaniała się i pozdrawiała.

Nie chciał długo tu pozostać August i natychmiast liczenie, ważenie a pisanie poręczeń i kwitów się poczęło. Lecz znalazły się formalności, papierów było brak, jakby naumyślnie zwlekało się ukończenie i wyjazd zpowrotem na Litwę.

Król od Elżbiety w początku odbierał listy niemal co parę dni. Pisała ona, donosili urzędnicy o zdrowiu królowej i nie było żadnych zatrważających wieści.

Z szatańską zajadłością codzien Bona przy starym królu, łagodząc głos, zapytywała syna:

— Jak się ma królowa jmość? — mieliście wiadomości?

W głosie jej było szyderstwo i jakby zapowiedź nie-szczęścia, oczekiwanie jego.

August wkońcu znużony odpowiadał matce tylko mruczeniem niewyraźnem, a Zygmunt Stary podnosił

oczy znużone ku Bonie, ale wymówek jej czynić nie śmiał, bo możnaż było wyrzucać jej tę troskliwość o zdrowie synowej?

Pobyty Zygmunta Augusta już się zbliżał ku końcowi, mówiono o wyjeździe, gdy nagle listy i posły z Wilna przybywać przestały. Nie uderzało to w początku, nie obudzało niepokoju, lecz po kilku dniach milczenia młody król trwożyć się począł.

Matka zawsze prześladowała go pytaniem tem sztyderskiem, na które teraz wiedziała dobrze, iż nie otrzyma odpowiedzi, bo ona również miała swe slugi na Litwie.

Zygmunt Stary niespokojnym się okazał i posyłać już chciał do Wilna. Lecz naówczas potrzeba było około dwunastu dni, aby mieć odpowiedź, a listy co chwila były spodziewane.

Wśród dworu młodego króla niepokój coraz większy przerodził się w posadzenia Bony, że ona przejmowała listy. Niektórzy wyrwali się jechać, aby przywieźć wiadomość. August milczał, usiłując zapanować nad niepokojem, jaki go ogarniał.

Dnia jednego, gdy Bona, stojąc przy Zygmuncie, rzuciła znowu owo urągające pytanie synowi, August zamruczał zniecierpliwiony.

— W. k. mość wiesz, jak ja, że wiadomości z Litwy nie mamy.

— Nie było mi to wiadomem — odparła Bona zimno.

Późnym wieczorem August siedział w swych izbach w niewielkiem kółku urzędników i starych znajomych, gdy w progu ukazał się teraz unikający młodego pana Opaliński i z miną tajemniczą oznajmił mu, iż królowa matka do siebie go prosiła.

W tem zaproszeniu było coś tak nadzwyczajnego, groźnego, niezrozumiałego, iż w pierwszej chwili August się zawahał, czy ma być posłusznym. Ale Bona w oczach ludzi była zawsze jego matką, należało jej poszanowanie.

Nie mówiąc nic, wstał i udał się za Opalińskim, któ-

ry dość długo idąc przy królu, nie odezwał się ni słowa, a August, czując w nim nieprzyjaciela, w rozmowę wdawać się nie chciał.

W progu komnat starej królowej Opaliński znikł.

Bona nie siedziała, jak zwykle, na swem krześle, nakształt tronu wyslanem i podwyższonem, lecz stała z podniesioną głową, a twarz jej i wejrzenie takim dziwnym jaśniały blaskiem, że Augusta dreszcz przeszedł.

Brwi namarszczone starały się napróżno oblicze to posepnem uczynić, — usta wykrzywiał uśmiech ironiczny. Tak śmiać się mógł tylko kat, patrząc na ofiarę swą w pętach u nóg leżącą.

August zbliżył się. Bona, jakby dla przedłużenia chwili niepewności i trwogi, milczała; podobną była do zbira, który waży, jak najgłębiej sztylet zatopić w pierśiach skazanego.

— W. k. mość kazaliście mi się stawić — wyjąknął syn.

— Tak, chciałam osłodzić w. k. mości bolesną wiadomość, która z ust matki nie wyda się może tak srogą, bo usta te zawczasu ją przepowiadały. Królowa Elżbieta, żona w. k. mości, nie żyje!

August stał jak wryty, bladeść śmiertelna okryła twarz jego, wyrazów mu zabrakło w ustach.

Było to nowe okrucieństwo, osłonięte szyderstwem bezlitośnem.

Długiego czasu potrzebował młody król, nim potrafił odpowiedzieć:

— Srodze dotknęła mnie ręka Boża!

Bona zbliżyła się, chcąc, korzystając z chwili, związać rozmowę, rachując na złamane serce syna, ale August nie chciał dopuścić, aby się napawała jego rozpaczą, a swoim zwycięstwem. Skłonił głowę.

— W. k. mość — rzekł — skróciłaś jej życie.

Poruszył się żywo i usłyszawszy tylko okrzyk za sobą, nieprzytomny pobiegł do swoich.

Lecz już w korytarzach otoczyli go dworzanie — goniec z Litwy nadjechał. Jeden z nich padł królowi do nóg, płacząc i ściskając je, zawołał:

— Królowa! królowa nasza!...

— Módlmy się za jej duszę — odparł mężnie Zygmunt August, — albo raczej prośmy, aby się ona do Boga za nami wstawiła. Męczennicą umarła!

Właśnie w czasie, gdy Zygmunt August był w Krakowie, na ulicach miasta zaczęto widywać człowieka milczącego, w odartej i wyszarzalej opanczy, który, do nikogo nie mówiąc, przesuwał się powoli pod domostwy, zachodził do kościołów, stawał na Rynku, błakał się, jakby nie wiedział, co ma z sobą począć.

Niektórzy, przypatrując mu się, znajome jakieś, dawniej widywane rysy sobie przypominali. On nie znał i nie poznawał nikogo.

Raz jeden z dworzan królowej Bony, blisko się o niego otarłszy i zajrzawszy w oczy, pochwycił za rękę i zawolał:

— Dudycz! — ale nieznajomy wyrwał mu się i mówić z nim nie chciał.

Drudzy potem, śledząc, poznali w nim także zbiedzzonego wielce i napół obłąkanego Petrka. O nim i o żonie oddawna nikt nic nie słyszał.

Gdy dworzanie oznajmili o nim królowej, kazała go przyprowadzić do siebie na zamek.

— Co się z twoją żoną stało? — spytała Bona.

— Jam temu nic nie winien! — zamruczał Dudycz.

— Gdzież ona jest?

— Pewnie w piekle — odparł Dudycz.

— Nie żyje?

— Nosila zawsze sztylet u pasa; jam nic nie winien — rzekł Dudycz.

I więcej od niego trudno się dopytać było.

Sąsiedzi Petrka powiadali, że ją pochowano ze sztyletem w piersi i ręką na nim skostniałą. Życ nie chciała.





x Edo
d



